

SŁUGA naszej radości

Księga pamiątkowa
dedykowana
Księdzu Profesorowi
Jerzemu Szymikowi



Sługa naszej radości

Sługa naszej radości

Księga pamiątkowa dedykowana

Księdzu Profesorowi Jerzemu Szymikowi

pod redakcją:

Gabrieli Pardubickiej
Gabrieli Seifert-Knopik
Izabeli Skrobak

Katowice 2015

© 2015 by Księgarnia św. Jacka, Katowice

Redakcja wstępna:
Izabela Skrobak
Gabriela Seifert-Knopik

Projekt okładki:
Izabela Jańczak

Zdjęcie na okładce:
ks. Grzegorz Strzelczyk

Łamanie tekstu i przygotowanie do druku:
Katarzyna Solecka

ISBN
978-83-7030-965-7

Księgarnia św. Jacka Sp. z o.o.
ul. Warszawska 58, 40-008 Katowice
tel.: +48 32 355 48 00
faks: +48 32 259 78 25
e-mail: redakcja@ksj.pl
strona internetowa: www.ksj.pl
księgarnia internetowa: sklep@ksj.pl

ed. 01/2015/01

„Obcować z Bogiem, wierzyć z ludźmi
 – oto sposób życia, o jakim tu mowa.
 To zresztą, ten splot wiary i bliskości Boga i ludzi jest istotą niebywałego,
 nieporównywalnego z niczym (to nie znaczy, że lepszego od innych)
 piękna kapłańskiego losu.
 Bóg – wiemy to dzięki Inkarnacji – chce przychodzić
 do człowieka przez człowieka.
 Kapłan jest na tej drodze Boga do człowieka
 kimś – z powołania Bożego – chrystokształtnym,
 kimś, kogo kształt życia («funkcja» dopiero wtórnie) służy tej Sprawie.
 Tym może być kapłan
 (a z historii i teraźniejszości Kościoła wiemy,
 że nie jest to jedynie naiwna, idealistyczna mrzonka)
 «w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu – pasterzem,
 który w razie potrzeby poświęca siebie samego,
 na którego bezinteresowne oddanie można liczyć
 w każdym czasie i bez zastrzeżeń».
 Odwzorować kształt Chrystusa: być aż tak dla Ojca, że aż tak dla ludzi.
 Benedykt XVI:
 «Kapłan jest człowiekiem modlitwy, człowiekiem przebaczenia,
 człowiekiem, który otrzymuje i sprawuje sakramenty
 jako akty modlitwy i spotkania z Panem.
 Jest człowiekiem miłości, przeżywanej i praktykowanej.
 W ten sposób wszystkie najprostsze rozmowy i spotkania, wszystkie obowiązki,
 stają się aktami duchowymi w komunii z Chrystusem.
 Jego *pro omnibus* staje się naszym *pro meis*.
 [...] Radość, o którą toczy się walka w ludzkim sercu kapłana
 (tę radość najgłębszą, do trzewi bytu,
 którą może dać ostatecznie jedynie Bóg)
 ma zresztą swój wielki i, by tak rzec, «wzajemny» wymiar.
 Ojciec Święty [...] nazwał misję powierzoną kapłanom
 «służbą radości Bożej, która pragnie wtargnąć do świata».
 I było to echo jego definicji kapłaństwa sprzed lat [...]:
Diener eurer Freude – Słudzy waszej radości;
 jedno z najświetniejszych określeń kapłaństwa, jakie kiedykolwiek powstały.
 Tym zwrotem opisał święty Paweł tych, co służą Ewangelii (2 Kor 1,24),
 broniąc zresztą siebie i towarzyszy przed zarzutami Koryntian,
 o duchową przemoc.
 Frazę *συνεργοί ἐσμεν τῆς χαρῆς ὑμῶν* polskie przekłady tłumaczą najczęściej
 jako «jesteśmy współtwórcami radości waszej».
 W niemieckich tłumaczeniach Biblii pojawia się tu słowo
Gehilfen bądź *Diener* (słudzy).
 Do tego ostatniego odwołuje się Ratzinger/Benedykt XVI:
 kapłaństwo jest służbą, wyzbytą koncentracji na sobie i własnych korzyściach,
 jest służbą nie-swojej radości;
 jest służbą radości cudzej, radości Boga i radości bliźnich.
 I jako takie jest «głębką radością» własnego serca.”

Serce serca

Rozmowy o księdzu Jerzym Szymiku
z lat 2012–2014

wysłuchały i spisały
Gabriela Pardubicka i Izabela Skrobak

(z pomocą Małgorzaty Musińskiej i Małgorzaty Tytko)

Rozmówcy:

Salomea Szymik
ks. Stanisław Gańczorz
abp Damian Zimoń
abp Alfons Nossol
ks. Tomasz Jaklewicz
ks. Marek Gancarczyk
ks. Michał Anderko
Piotr Skowronek
Ewa i Jan Kaintochowie
członkowie Grupy „PoCo”

„Czym są te lata?
Operacją na otwartym sercu? Otwarciem więc jednak? Jakiej
bramy? Do serca serca? Otwarciem czego? Kogo?”

J. Szymik, *Smuga błękitu 2. Po siedmiu latach*,
w: tegoż, *Czułość, siła i drżenie. 50 wierszy z lat 2006–2009*,
„Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”,
Katowice 2009, s. 40

„Kiedy serce nie bije, umiera mózg.
Człowiek przestaje myśleć, kiedy serce nie pracuje.
Bez miłości zamiera rozum.”

J. Szymik, *Racje serca*, w: tegoż, *Hilasterion*.
Wiersze z lat 2009–2014, Katowice 2014, s. 48

W kwestii serca

Na część zatytułowaną *Serce serca* składają się rozmowy poświęcone osobie księdza profesora Jerzego Szymika – postaci niezwykle ważnej dla środowiska duchowych przestrzeni Pszowa i okolic. Pomysł ich przeprowadzenia i spisania zrodził się w roku poprzedzającym sześćdziesiąte urodziny Profesora, z początkiem ciepłego, pszowskiego lata Anno Domini 2012. Powziętemu zamiarowi towarzyszyła wprzódę chęć uczczenia tego, przypadającego 3 kwietnia roku 2013, okrągłego jubileuszu w dekadę po Profesorskim *abrahamie* (jakże wyjątkowo świętowanym!). Owocem zaś przedsięwzięcia miała być publikacja kilku wywiadów w *Śląskim kalendarzu katolickim „Z tej ziemi” na rok 2013*. Pierwotna idea jednak ewoluowała – wysłuchanie i zredagowanie rozmów odbyło się w latach 2012-2014, a rezultatem tego jest niniejszy zbiór, stanowiący finalnie składową księgi pamiątkowej *Sługa naszej radości* dedykowanej księdzu profesorowi Jerzemu Szymikowi.

Sięgnijmy zatem do samych korzeni *Serca serca*. Podstawową inspiracją do powstania cyklu stała się rozmowa z matką Księdza Profesora, Salomeą Szymik, przeprowadzona 24 października 2012 roku w cieniu wież pszowskiej bazyliki i okolicznych hołd. Zapis tej rozmowy chcieliśmy, w pierwszym zamyśle, ofiarować Profesorowi w prezencie na sześćdziesiątkę: w imieniu całego lokalnego środowiska – w podziękowaniu za ogół otrzymanego odeń dobra. Ostatecznie, odsłonięte w rozmowie z mamą Profesora treści uświadomiły nam, jakie bogactwo niesie z sobą zjawisko, któremu na imię ksiądz Jerzy Szymik.

Jak przystało wszak na wiernego ucznia jedynego Pana i Mistrza, Jezusa Chrystusa, ucznia terminującego zresztą w wysokiej rangi szkole profesora Josepha Ratzingera/Benedykta XVI, ksiądz Szymik nieustannie i wytrwale przez kolejne lata „mimo całego swego wykształcenia nie jest jednym z wielu specjalistów, lecz sługą stworzenia Bożego, [...] jest sługą człowieka, [...] z rozbicia życiowego prowadzi nas ku miłosiernej miłości Boga, do jedności Ciała Chrystusowego”¹. Co więcej, stwierdzić musimy, wsparłszy się raz jeszcze Ratzingerowską myślą, że na tym polega „piękno, głęboka ludzkość i zarazem świętość, sakramentalność osoby kapłana”²: księdza profesora Jerzego Szymika.

¹ J. Ratzinger, *Służyć prawdzie. Myśli na każdy dzień*, tłum. A. Warkotsch, Wrocław 1986, s. 132. Cyt. za: J. Szymik, *Theologia benedicta*, t. 2, Katowice 2012, s. 300.

² Tamże.

Dlatego właśnie postanowiliśmy porozmawiać z ludźmi, którzy – z racji dłuższej współpracy na gruncie naukowym bądź duszpasterskim – weszli w głębsze relacje z Profesorem. Każda kolejna rozmowa niejako „popychała” nas do dalszego odkrywania fenomenu kapłaństwa w ogóle, a w podstawowej warstwie: do charakterystyki samego człowieczeństwa księdza Jerzego Szymika, postaci ikonicznej dla geografii kultury Pszowa. I, jak się okazało, kobieca intuicja nas nie zawiodła. Osoba Księdza Profesora bowiem w jakiś naturalny sposób ewokuje tematy stawiane przez współczesność, sytuując je w samym centrum debaty światopoglądowej i aksjologicznej.

Tak więc fenomen kapłaństwa Księdza Profesora, obserwowany i komentowany przez każdego Rozmówcę, w ciągu kolejnych kilkudziesięciu miesięcy stawał się przyczynkiem do namysłu nad zagadnieniami takimi, jak: rodzina i wychowanie, mała ojczyzna, potrzeba autorytetu i pracy nad sobą, stosunek do czasu, duchowość i modlitwa, kształt Kościoła, a zwłaszcza do refleksji nad kwestią – od wieków niezmiennie aktualnej, choć nader dziś deficytowej – otwartości na Boga i człowieka. Wszystkie te sprawy, jakże często relatywizowane przez współczesny *mainstream*, w utkanej ze wspomnień i komentarzy Rozmówców biografii Księdza Profesora odzyskują kształt wartości podstawowych dla każdego, kto mieni się wyznawcą Chrystusa.

Każda z rozmów wchodzących w skład niniejszego cyklu sytuuje pytanie o model współczesnego kapłana w formule cytowanego przed momentem Josepha Ratzingera/Benedykta XVI, wedle której „bycie księdzem” to „doświadczenie na wskroś serdeczne w najdosłowniejszym sensie tego określenia: jako spotkanie dwóch serc, Boskiego i ludzkiego i ich komunია”³. Nadto opowieści o niezwykłym kapłanie snute przez ich Autorów wpisują się w nadziejerodną – w naszym przekonaniu – postawę i dzieło Księdza Profesora.

Naszym Rozmówcom w tym miejscu – z potrzeby serca, nie innej – dziękujemy za otwartość i ciepło, jakim otoczyli tak osobę naszego bohatera, jak i nas jako reprezentantki środowisk admirujących twórczość Księdza Profesora oraz dostrzegających w nim mistrza i nauczyciela. Bo wszystko jest „kwestią serca”⁴...

Gabriela Pardubicka
Izabela Skrobak

Rydułtowy – Pszów, 10 stycznia 2015 roku

³ J. Szymik, *Theologia benedicta*, s. 279.

⁴ Por. tamże.

Salomea Szymik

Urodziła się 23 czerwca 1931 roku w Czyżowicach jako córka Antoniego i Luizy Mitków. Żona Emila Szymika. Matka księdza Jerzego i Bożeny. Babcia Wojciecha, Michała i Marii. Mieszka w Pszowie.

GABRIELA PARDUBICKA, IZABELA SKROBAK: Pani Szymikowa, nasze pytania nie będą pytaniami teologów, ale dociekaniem kobiet, które poszukują odpowiedzi na pytanie o to, jak pięknie żyć. Czy mogłaby Pani opowiedzieć trochę o dzieciństwie księdza Jurka – jak wyglądały jego zabawy, co czytał, jakich miał kolegów, jak wyglądał wasz zwyczajny, szary dzień? Czy Pani w jakiś szczególny sposób przyglądała się swojemu synowi?

SALOMEA SZYMIK: Jurek był w dzieciństwie takim promykiem, wiecznie uśmiechniętym. Ten uśmiech jest zresztą obecny na jego twarzy do dnia dzisiejszego. Był bardzo pogodny i wciąż zapracowany. Miał różne gry planszowe, które rano rozkładał i potrafił w nieskończoność nad nimi siedzieć.

Szczególnie upodobał sobie planszę z piłką nożną. Rozstawiał skrupulatnie składy złożone ze swoich ulubionych zawodników (nie wiem, skąd ich znał) i potrafił przez długie chwile przeżywać współzawodnictwo tych swoich ulubieńców. Kiedy wracałam z pracy, słyszałam często: „O! Ty już przyszedłaś?”. Był zaskoczony, że czas mojej nieobecności tak szybko upłynął, a jego planszowi zawodnicy jeszcze nie ukończyli rywalizacji.

Inną, ulubioną zabawą była zabawa w księdza. Od czwartego, a może piątego roku życia Jurek wiązał na szyi *kapę*, czyli babci fartuch, na *byfyju* ustawiał figurki i obrazki, szykował też kadzidło zrobione przez tatę z puszki, w której wydrążone były dziurki na dym. Po tak starannie przygotowanej „oprawie” rozpoczynały się pełne dziecięcej żarliwości śpiewy i modlitwy. Kiedy ta zabawa się

skończyła, wracał do swoich sportowych idoli z planszy. I tak na okrągło.

Jurek jako dziecko nigdy nie wymykał się z domu. Bożena, i owszem, cichcem zniknęła, po dachach pochodziła, po płotach się powspinała. On tego nie robił, on spokojnie bawił się z kolegami. A chłopców w jego wieku wokół naszego domu było dość dużo. Zdarzało się, że prosiłam go: „Jureczku, zostaniesz teraz tylko z babcią, więc nie wolno ci wychodzić, bo babcia cię nie upilnuje”. On oczywiście poza nasze podwórko nie wyszedł, ale jako że umiał i lubił dowodzić grupą swoich kolegów, dowodził zza siatki ogradzającej naszą posesję. Kiedy prosiłam, by nie wychodził na ulicę, on tego zakazu przestrzegał. Powiedziałabym, że był takim dzieckiem zdyscyplinowanym.

G.P.: Ale to nie była jakaś ślepa karność?

Nie, absolutnie nie miało to nic wspólnego z bezmyślnym rygorem, bo ja go nigdy w życiu nie uderzyłam. Nigdy.

G.P.: W jaki sposób wy – rodzice małego Jureka – budowaliście więź ze swoim dzieckiem?

Po przyjściu z pracy zostawiałam wszystko i szliśmy na spacer. Nieważne, czy była śłota, czy padał śnieg – jak było śnieżno, to braliśmy sanki... Takie przechadzki od pół godziny do godziny były obowiązkowe. Czas spędzony w ten sposób z dzieckiem jest czymś bezcennym.

G.P.: Pani Szymikowa, to jednak było wyjątkowe – tak rodziny nie spędzały i nie spędzają czasu z dzieckiem. Raczej mama przychodzi z roboty, gotuje obiad i dalej do roboty: do domowych obowiązków.

Rzeczywiście, czas powrotu mamy z pracy wygląda raczej tak, jak to przedstawiłaś. A ja rozumowałam w ten sposób: „Nie, ta robota nie jest teraz ważna, ona poczeka, ale ja muszę ten czas poświęcić dziecku”. I rzeczywiście, to było wyjątkowe i ważne dla naszej rodziny. Nauczyłam się tego od mojego taty. On ze mną chodził na takie właśnie spacer.

Wracając z kościoła z Jedłownika, tata – wiedząc, że obiad będzie gotowy gdzieś na godzinę 13.00 – zabierał mnie do kokoszyckiego parku albo szliśmy na spacer między pola i on mi wtedy opowiadał,

tłumaczył, uczył patrzeć na otaczający świat. Moim pierwszym katechetą był właśnie mój ojciec. Tak, jak on mi przedstawił Drogę Krzyżową, nie zrobił do tej pory żaden ksiądz. Nigdy z nikim nie przeżyłam Drogi Krzyżowej tak jak właśnie z nim. Kiedy chadzaliśmy do dziadków do Czyżowic z życzeniami urodzinowymi bądź noworocznymi, tata opowiadał mi Stary Testament. Kiedy przechodziliśmy się między żytem po okolicznych polach, snuł mi opowieści o tym, jak Pan Jezus chodził z apostołami między zbożem, jak jedli to zboże, czego to jest symbolem, dlaczego – i tak nam te wspólne spacerowały.

Tata to był mój pierwszy katecheta. I widocznie ta jego lekcja życia tak we mnie wsiąknęła, że powieliłam ją w wychowaniu swoich dzieci. A męża miałam takiego, że mu się szalenie ten model wychowawczy podobał i również w tym kluczu budował relacje z naszymi dziećmi. Dlatego więc, kiedy ja nie miałam czasu lub gdzieś musiałam wyjść, on sam zabierał Jurka na spacer i po drodze bardzo często zachodzili do księgarni, gdzie kupował synowi książkę. Nie był to jednak jedynie miły prezent, odkładany na półkę. Wieczorem bowiem wspólnie tę książkę czytali. Kiedy teraz słyszę, że aż trzeba zorganizować akcję, w której „cała Polska czyta dzieciom”, to jestem głęboko zdumiona. Myślę sobie wtedy, że myśmy to już dawno, dawno, w jakże innych czasach, przerobili.

G.P.: To prawda, mamy czytały, ale tata?

Tak, Emil czytał dzieciom, odkąd pamiętam. Czytał im na przykład *Krzyżaków*, całą *Trylogię* Sienkiewicza, ale też swojego ulubionego *Dobrego wojaka Szwejka*. Na górze, w sypialni znaleźli sobie ten swój kącik czytelniczy, a tak przy tym nieraz rechotali, że aż ich na dole słyszałam. Czytanie było u nas wręcz obrzędkiem.

G.P.: A jak wyglądały relacje Jurka z babcią, z dziadkiem – tak z jednej, jak i z drugiej strony?

Były to dobre relacje, szczególnie ciepłe były relacje z dziadkiem. Babcia Matylda (mama męża) wprowadzała swego rodzaju rygor. Ona uważała, że dziecko trzeba *sstrynk chować*. Więc do mnie miała zawsze żal, że ja tego synka nie wiadomo na kogo wychowam. Wskazywała mi zawsze Maję (naszą sąsiadkę), która – jak teściowa twierdziła – inaczej wychowuje. Babci nie podobało się, że ja, zamiast Jurkowi dać klapsa albo wytłuc, prowadzę z nim dialog.

Bowiem w sytuacji konfliktowej rozmawiałam, dyskutowałam, by wspólnie z dzieckiem dojść do rozeznania, co w danym wydarzeniu było dobrem, a co złem.

G.P.: A skąd Pani wiedziała, że w taki właśnie sposób należy rozwiązywać sytuacje trudne, że z dzieckiem trzeba rozmawiać? Przecież ówczesne półki księgarskie nie ugięły się pod literaturą poświęconą mądrym wychowywaniu dziecka.

Takie książki były, tylko ich wyszperanie w księgarni lub na półkach przyjaciół wymagało trochę wysiłku i świadomości, że nie jestem najmądrzejsza na świecie, a jeśli chcę dobrze wychować swoje dzieci, muszę poszukać i posłuchać fachowców. Była na przykład taka książka *Twoje dziecko*, jej autorką była lekarka czy pedagog, już nie pamiętam. Często po tę książkę sięgałam. Pożyczałam też różne, dotyczące wychowania książki od znajomych księży. Wśród tych lektur były i poważne, specjalistyczne poradniki, ale także i broszurki, w których znalazłam niejedną odpowiedź w kwestii wychowania. Sięgałam po te książki, bo uważałam, że skoro ludzie przygotowują się rzetelnie do każdego zawodu, to ja jako matka też muszę zadbać o odpowiedni poziom wiedzy potrzebnej do odrobienia tej najważniejszej dla kobiety lekcji. I to właśnie później tłumaczyłam narzeczonym na spotkaniach przedmażeńskich.

G.P.: Pani tak pięknie określiła swoją metodę wychowawczą: prowadziłam z dzieckiem dialog. Czy w tej kwestii miała Pani męża po swojej stronie?

Tak, męża miałam zawsze po swojej stronie. Ale ja też dość długo szukałam swojego męża. Miałam kilku innych kawalerów. W każdym z nich odnajdywałam jednak jakiś poważny *feler*. Jeden *przeżywoł* na księży, inny nie chodził do kościoła, jeszcze inny pił wódkę lub na przykład był za bardzo za sportem. Wszyscy owi kandydaci odpadali więc po pierwszym, drugim spotkaniu bądź kinie. Zdecydowałam, że jeśli mój przyszły mąż nie będzie mężczyzną duchowo podobnym do mojego taty, to wolę zostać starą panną.

I.S.: Czy w takim razie modliła się Pani o dobrego męża? Ciekawie mnie to, bo teraz młodzież nie chce uwierzyć w sens takiej modlitwy.

Oczywiście, że się modliłam w tej intencji. A wiecie, do kogo się trzeba modlić? Do Świętego Antoniego. Święty Antoni to mój najlepszy przyjaciel. To był patron, imiennik mojego taty. I tata mi dużo o nim opowiadał – jak przemawiał do ryb, do osiołka, jak osiołek klękał. Mój tata był niezwykle czytany człowiekiem, a tę wiedzę potrafił świetnie przekuć w konkret życia. Do dnia dzisiejszego mówię nieraz do Jurka: „Ja się tego dowiedziałam w dzieciństwie od mojego taty”. Słyszę niejednokrotnie komentarze mówiące, że moje myślenie ukształtowane jest przez specyficzne otoczenie, bo tu ksiądz, tam ksiądz. Ale tak naprawdę to zasługa mojej mamy... Pan Bóg widocznie tak prowadzi.

G.P.: Pamiętamy słynny esej „Z gałązką bzu do nieba”¹...

W tym czasie obowiązywało rozporządzenie ogólnoswiatowe, żeby kobiety chore na gruźlicę i te z dysfunkcjami psychicznymi nakłaniać, by nie zachodziły w ciążę. Jeśli jednak dojdzie już do poczęcia dziecka, powinny poddać się aborcji. W takiej właśnie sytuacji znalazła się moja mama – chora na gruźlicę znalazła się w stanie błogosławionym. Lekarz wskazał jedyny możliwy sposób na rozwiązanie „problemu”: aborcja. „Ta ciąża nie może być – stwierdził zdecydowanie – dziecko albo życie”.

G.P.: Czyli nie pozostawił kobiecie żadnego prawa do podjęcia decyzji?

Żadnego. Stwierdził jedynie: „Pani się musi leczyć, bo pani cherlaka urodzi”. I ten cherlak już ma osiemdziesiąt lat (*śmiech*). Nigdy nie chorowałam. No i to jest zasługa mojej mamy. Ona z pełną świadomością podjęła decyzję o urodzeniu mnie. Nie przyjmowała żadnych leków, obawiając się, że zagrozi to poczętemu życiu. Starannie przygotowywała się do przyjęcia na świat swojego dziecka, godząc się przy tym na wszystkie konsekwencje, jakie ta decyzja niosła. Wiedziała, że swój wybór przypłaci życiem. I tak się też stało. Ja urodziłam się 23 czerwca 1931 roku, zaś mama odeszła do Pana rok później – 24 czerwca 1932 roku. W postawie mojej mamy Pan Bóg pokazał, jak bardzo szanuje ludzką wolę, ludzką wolność.

¹ Zob. J. Szymik, *Z gałązką bzu do nieba*, w: tegoż, *Zapachy, obrazy, dźwięki. Wybór esejów i rozmów*, Katowice 1999, s. 19-23.

Dzisiejsza moja kondycja osiemdziesięcioletniej kobiety pokazuje, na czym ta Boża ekonomia polega i czym skutkuje. Cała moja rodzina konsekwentnie stoi na straży obrony życia. Jurek jako ksiądz, wnuk jako ksiądz. Bożena jako lekarz odwiedza szkoły, gdzie uczy młodych ludzi szacunku do każdego poczętego życia, pokazuje tragiczne skutki aborcji. Ja przez dwadzieścia pięć lat pracowałam w poradnictwie życia rodzinnego. To jest ów stokrotny plon za jedno obumarłe ziarno.

I.S.: Jeszcze o jedno dopytam w związku z tym, co Pani powiedziała. Czy w tym długim życiu czuje Pani opiekę swojej mamy?

Zdecydowanie. Odczuwam jej nieustanne, pełne czułości spojrzenie z nieba.

I.S.: Pani wielokrotnie sama zmagala się z problemami życia...

Oj, wiele razy. Decyzja o małżeństwie została podjęta właśnie nad grobem mojej mamy. Zdarzyło się bowiem tak, że chciałam zerwać znajomość z moim przyszłym mężem. Dostrzegałam, że byłam mocno odtrącana przez jego rodzinę. Miałam więc poważne obawy, czy wchodzić w takie relacje. Emil, usłyszawszy, że chcę zerwać znajomość, stwierdził, że źle robię, podejmując taką decyzję. Przemyślałam i postanowiłam pójść na kompromis. Zdecydowałam, że pojadę na rekolekcje i tam podejmę decyzję, jak postąpić. Jak postanowiłam, tak zrobiłam.

Wcześniej jeszcze pojechałam na grób mamy: „Ty mnie, mamo, prowadź, ty mi podpowiedz”. Rekolekcje prowadził ksiądz Gawor, słynny chorzowski katecheta. Rekolekcje się kończyły, a ja miałam pustkę w głowie, nadal nie wiedziałam, co zrobić. Wróciłam i wybrałam się na spacer do kokoszyckiego parku. Spaceruję po tym parku ze świadomością, że Emil dzisiaj ma przyjść i ja muszę dać mu odpowiedź. Myślę sobie: „Boże Świąty, co ja mu mam powiedzieć? Dlaczego oni mnie nie chcą? Przecież ja się tak dobrze przygotowałam, przecież dobra ze mnie *dziotcha*. Skąd ten sprzeciw?”. Przypominam sobie usilnie, o czym mówił ksiądz Gawor i nie znajduję żadnego słowa skierowanego do mnie. Chciałam usłyszeć choć jedno słowo, jedno zdanie, które pomogłoby mi rozwiązać mój problem. I naraz mnie tknęło – przecież ksiądz mówił o złym duchu, bardzo dużo mówił o Szatanie. I wtedy pomyślałam, że to może nie jest wina rodziny Emila, a wina Szatana. On może wie, że z tego

małżeństwa wyrośnie kapłan i dlatego on tak walczy. Pomyślałam: „O nie, to ty mi możesz *na puklu* drzewo rąbać, ale ja się nie poddam!”. I się nie poddałam.

Wróciłam czym prędzej do domu, Emil przyszedł i oznajmiłam mu, że za miesiąc się pobieramy. Pierścionki mieliśmy zamówione na maj, bo 13 maja chcieliśmy się pobrać, wbrew przesądom, że maj, a do tego trzynasty... Ostatecznie ślub wzięliśmy 17 kwietnia. Kiedy wreszcie podjęłam decyzję, moja teściowa zaprosiła mnie do siebie. Przyszłam więc i ona mówi: „No widzisz *dziotcha*, czemuś ty *zaraz* tak *nie przyszła*?”. Zrozumiałam, że o to właśnie chodziło. I od tego czasu dużo się zmieniło, wszystko się zmieniło.

I.S.: I to wszystko działo się w Kokoszycach, w domu rekolekcyjnym?

Tak, w Kokoszycach.

G.P.: Pani Szymikowa, mam jeszcze takie pytanie natury bardzo osobistej i nie musi Pani na nie odpowiadać. U Pani nie było tego, co często dotyka młode dziewczyny: miłość, oczarowanie i nic się nie liczy... Pani to umiała jakoś tak wyważyć, zapanować nad, nazwijmy to, niekontrolowanym, romantycznym uniesieniem. A przecież na pewno bardzo kochała Pani męża...

Bardzo, ale umiałam zrezygnować. Dwaj moi pierwsi chłopcy, w których się zakochałam, poszli do seminarium (*śmiech*). Później, kiedy jeździłam pociągiem do szkoły urszulanek w Rybniku, jeździło razem ze mną sporo chłopców harcerzy – ja też należałam do harcerstwa – i oni wtedy zgodnie twierdzili, żeby trzymać się od tej *dziotchy* z daleka, bo ona ma powołanie, do urszulanek chodzi. Idzie za panna.

G.P.: A jednak ma Pani dwadzieścia lat i wychodzi Pani za męża.

I dwadzieścia dwa lata, kiedy rodzę Jurka.

G.P.: Wróćmy jeszcze do tych rekolekcji, na których, jak się Pani początkowo wydawało, nic Pani nie usłyszała. Przemysłała Pani potem, przeanalizowała nauki rekolekcyjne i odkryła Pani robotę Złego. Skąd u młodej dziewczyny taka umiejętność rozeznania?

To proste. Ja już wtedy należałam do Sodalicji Mariańskiej, czytałam wszystkie broszury księdza Gawora na ten temat, tam były przepiękne artykuły. Prowadziłam krucjatę eucharystyczną z dziećmi, do których to spotkań solidnie przygotowywałam się poprzez modlitwę i lekturę. Brałam udział w spotkaniach z najlepszymi księżmi – takimi jak: ksiądz Gawor, ksiądz Żelazko, ksiądz Smandzich, ksiądz Niedziela. To były *szpice* duchowości i teologii. To byli moi wykładowcy. To się samo nie zrobiło... Podkład od taty i solidna formacja duchowo-teologiczna, którą wręcz chłonełam, złożyły się na to, co nazywasz umiejętnością rozeznania. To wymaga wysiłku, a przede wszystkim pokładania ufności w Bogu.

I.S.: Czy w takim razie ma Pani receptę dla młodych? W jaki sposób, mimo sprzeciwu, mają iść za głosem serca, zawierzyć, odnaleźć się w tym mroku? Co Pani radzi w takich sytuacjach?

Modlitwa i jeszcze raz modlitwa. Trzymać się Pana Boga rękami i nogami. Innej rady nie ma.

I.S.: I nie zawiedzie?

Nie zawiedzie.

I.S.: Kiedy jest pewność serca, to mimo oporu...?

Z Panem Bogiem trzeba się nawet pokłócić – ja się nieraz z Nim kłóciłam. Powiedziałam do Niego: „Słuchaj no, ja mogę w życiu dużo głupstw jeszcze zrobić, bo jestem młoda, ale pamiętaj ten dzisiejszy dzień, ja chcę być z Tobą przez całe życie! I Ty mnie masz prowadzić! Innej rady nie ma!”. Do Pana Boga tak mówiłam!

„To teraz rób ze mną, co chcesz. Tu mnie masz i ja chcę należeć wyłącznie i tylko do Ciebie, i Ty o mnie dbaj”. Mam Aniołów Stróżów, chyba czterech. Oni mi pomagali w takich najtrudniejszych chwilach, w których się znalazłam. Gdy miałam czternaście lat, byłam pod ścianą śmierci do rozstrzelania. Rosjanie nas chcieli rozstrzelać. I wtedy pierwszy raz w życiu modliłam się do mojej mamy.

Wiercie mi, nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Byłam przekonana, że zaraz mnie zastrzelą i nie ma już wyjścia. No, myślę sobie, to się teraz najpierw z moją mamą zobaczę. I w tym momencie zaczęłam ją prosić, żeby coś z tym tu zrobiła. Było nas tam sporo. Nagle zrobiło się cichuteńko. Pomyślałam, że wszyscy zostali

już rozstrzelani, a ja zostałam sama, ostatnia do egzekucji. Obracam się, a tu wszyscy żyjemy. I w tym momencie zwracam się do mamy: „Teraz idź do taty, bo jest sam w domu i pilnuj, by go ruscy nie zastrzelili”. Ten sam pluton egzekucyjny udał się w kierunku naszego domu... Świętych obcowanie to coś bardzo realnego, jego moc jest niewiarygodna.

Pytałaś o babcię i o dziadków. Otóż babcia była bardzo rygorystyczna. Zawsze miała mi za złe, że trochę źle tego synka wychowuję, bo niby on robi, co chce. On jednak nie robił tego, co chciał, zawsze się pytał. Kiedy babcia mu powiedziała: „Zrób to i to” bądź też oceniła negatywnie jakiś jego postępek, wtedy Jurek, spojrzawszy w moim kierunku, pytał: „Mama, tak?”. I to babcię może bardziej denerwowało.

G.P.: Była Pani w dość trudnej sytuacji...

Rzeczywiście, była to sytuacja mało komfortowa. Ale taka też jest cena macierzyństwa. Ja po prostu byłam dla Jurka największym autorytetem. Opowiem wam zdarzenie dość przejrzyście obrazujące ten stan rzeczy.

Pewnego dnia – Jurek miał może cztery lata – wracam z pracy, a on siedzi sobie na *leżance*, a na twarzy ma wymalowane takie dziecięce zadowolenie z siebie, jakieś poczucie pewności swojej racji. Jednocześnie zapisana jest na jego buzi informacja, że coś ważnego się wydarzyło.

W tym momencie wchodzi babcia i oznajmia mi, że z tego synka *nic nie będzie*:

– Jakie wychowanie, takiego go będziesz miała – mówi.

Zaskoczona tak jednoznaczną oceną, zapytałam, co się tak naprawdę stało. Wtedy babcia wyjaśniła, że Jurek zakomunikował jej, iż nie będzie się już nigdy modlił. Byłam mocno zaskoczona, bo przecież zawsze chętnie klękał z nami do wspólnej modlitwy. Pytam go więc:

– Co, Jureczku, nie będziesz się modlił?

– Nie – odpowiedział tonem grzecznym, ale zdecydowanym.

Cierpliwie i głosem pełnym troski pytam więc dalej:

– Dlaczego postanowiłeś, że nie będziesz się modlił?

– Bo babcia mi mówiła, że kiedy nie będę się modlił, to Anioł Stróż będzie płakał. A ja właśnie dzisiaj rano się nie pomodliłem i kiedy babcia poszła do piwnicy po ziemniaki i kapustę, zdjąłem ze

ściany obrazek Anioła Stróża. Okazało się, że on wcale nie był mokry. A w takim razie babcia mnie *ocyga*niła. Pytałem też babcię, kto to jest „winowajec”. I ona nie umiała mi na to pytanie odpowiedzieć. Kazała mi tylko *robić, co kożom i pasuje*. I jeszcze, że *mom rzykać tak, jak ona mi koże*. I, mamo, dopóki się nie dowiem, kto to jest „winowajec”, modlić się nie będę.

– W porządku – mówię. – Porozmawiamy i spróbuję ci wytłumaczyć, kim jest ten „winowajec”.

A Jurek na to:

– Nie, dziękuję. Już postanowiłem, że nie będę się modlił.

– Rozumiem – odrzekłam stroskana, lecz postanowiłam nie reagować pochopnie.

Emil przyszedł z pracy i opowiadam mu całe zajście. Mąż nie mógł wyjść ze zdumienia i chyba też nie bardzo wiedział, co z tym fantem zrobić. Wieczorem klęczymy przy łóżku, modlimy się, a nasz synek: leży sobie, rączki za głową, nóżką podtupuje, zaś modlitwę rodziców ignoruje zupełnie. Tydzień mija, synek się nie modli, mijają kolejne dni – to samo. Idzie w zaparte.

Ja codziennie przed pracą idę na Mszę Świętą i proszę Matkę Boską: „Matko Boska, pomóż mi coś z tym synkiem zrobić, bo przecież nie dam mu klapsa za to, że się nie modli, wszak wiem, że przyniosłoby to efekt wręcz odwrotny. Pomóż mi Ty, bo ja nie wiem, jak zareagować, jak do niego przemówić?”.

Modliłam się, prosiłam, ale też codziennie nosiłam go okrakiem na sobie pod górce, w kierunku naszych sąsiadów Baronów i śpiewałam mu. To był swoisty rytuał naszego pożegnania dnia. W zależności od pory roku śpiewałam mu różne pieśni religijne. Szczególnie podobała mu się pieśń *Chwalcie łaki umajone*. Już wtedy chyba *wylazował* z niego poeta.

I kiedy tak sobie pewnego dnia chodziliśmy, a była już jesień, opowiadałam mu o zachodzącym słońcu, przyglądaliśmy się rozłożystej koronie kasztanowca, nad którym jaśniała zorza. Z tej rozgałęzionej korony roznosił się hałaśliwy śpiew ptaków. Były ich tam dziesiątki. Jurek nagle pyta:

– Mamo, dlaczego te wróble tak *larmują*? Co one tam robią?

W tym momencie jakby mnie coś tchnęło i mówię:

– Synku, one nie *larmują*, one się modlą. Widzisz, wszystko, co żyje, modli się. Te wróble dziękują, że mają gniazdko, że tam się spotkały z mamą i tatą, dziękują, że mogą w koronie tego drzewa znaleźć miejsce na sen. I one za to wszystko Bogu dziękują. A teraz

popatrz, Jureczku, na tego beczącego baranka. Wiesz, co robi? On się najadł, teraz idzie do chlewika spać i tym beczeniem też Panu Bogu dziękuje i w ten sposób się modli. Kurki gdaczą, maciejki otwierają się i pachną – wszystko to się modli, każde stworzenie swoim językiem. A wiesz, synku, kto się nie modli? Żli ludzie i dzieci, które nie chcą się modlić.

W tym momencie zaległa cisza. Cichutko, ani słowa. Po chwili pojawił się błysk w jego oku i natychmiast chciał wracać do domu. Zjadł szybko kolację, kąpiel, piżama i na swój tapczanik – wszystko w błyskawicznym tempie. Nigdy nie był taki szybki.

– Mama, ja się dzisiaj będę modlił – mówi, klękając. – Ale nie tak jak wy, ale tak jak wróble.

I tak się później modlił, jak wróble. Dziękował za udane babki z piasku, za to, że wygrał jego ulubieniec, za każdą drobną rzecz, która w przeżytym dniu wydawała mu się ważna. Jak oni później wspólnie z Bożenką pięknie się modlili! Właśnie Jurek uczył Bożenkę modlitwy. On się bardzo nią opiekował, chociaż niekiedy ją też do drzewa przywiązał jako Indiankę (*śmiech*). Ale kiedy uczył ją się modlić, to my z Emilem, obserwując ich, stwierdziliśmy – wysiadamy...

I.S.: Jaka jest różnica wieku między księdzem Jerzym a panią Bożenką?

Osiem i pół roku.

G.P.: A później, kiedy Jurek dorastał, gdy miał dziesięć, jedenaście lat, jak wtedy spędzaliście popołudnia, niedziele, wieczory? O czym z nim rozmawialiście? Było widać, że to jakieś wyjątkowe dziecko?

Wieczorami przede wszystkim czytaliśmy. W wieku lat pięciu Jurek zachorował na koklusz. Przyszedł do niego taki felczer, pan Oleś, z zastrzykiem. Jurek płakał, bo się strasznie bał. On zresztą boi się takich rzeczy do dzisiaj. I tenże felczer strasznie na mnie nakrzyczał, że takie małe dziecko, a my je zmuszamy do czytania. Widział bowiem stosy „Miśków” (ówczesnej gazety dla dzieci), widział, że Jurek sam je czyta i myślał, że my dziecko zmuszamy. A prawda wyglądała tak, że nasz synek z własnej woli przychodził do mnie i pytał, jak napisać literki – najpierw duże, drukowane, później już małe i tak sam nauczył się czytać. Podobnie robiła Bożenka.

G.P.: Ksiądz Jurek w „Dzienniku Pszowskim” zapisał: w domu rodzinnym „uczyłem się chrześcijańskiego alfabetu: kochać, pracować, cierpieć”². W jaki sposób uczyła go Pani tych trudnych cnót? Pytam o to, bo jako długoletni obserwator księdza Jureka i wnikliwy czytelnik jego książek mogę powiedzieć, że okazał się uczniem nader zdolnym, ale też musiał mieć niezłego nauczyciela, mistrza. Jurek po prostu – w powszechnej opinii – naprawdę umie kochać, pracować i cierpieć.

Niektórzy ludzie robią w ten sposób, że jeśli ktoś w domu choruje czy ktoś umrze, czy dzieje się coś złego, to dzieci odsuwają na bok, żeby tego nie wiedziały, nie cierpiały. A myśmy to razem wszyscy przeżywali.

Dziadek chorował, cierpiał bardzo. Coś niedobrego się działo, jakieś kłopoty w rodzinach krewnych czy znajomych, to myśmy o tym mówili, współcierpieliśmy. Jak musiałam iść do szpitala na operację woreczka żółciowego, tego się nie ukrywało. Wiadomo, że to trzeba było przeboleć, przecierpieć. Jeśli kogoś głowa bolała, a trzeba było iść w tej chwili na pole robić, to się szło – z płaczem, ale się szło, bo to musiało być zrobione, bo to było to cierpienie. Nie ukrywało się żadnego ludzkiego cierpienia, nie udawaliśmy, że go nie ma w życiu.

Często ludzie chcą chronić dzieci przed widokiem cierpienia, chcą to dziecko niby oszczędzić, ale robią mu w ten sposób wielką krzywdę, wprowadzają w świat iluzji. Nie da się przecież przeżyć życia bez cierpienia

G.P.: Byliście normalną rodziną, więc zapewne zdarzały się też sytuacje, kiedy dochodziło do tak zwanego popstrykania się...

Oczywiście. Tak jak to bywa w każdym normalnym życiu.

G.P.: Czy w tych rodzinnych utarczkach Jurek również uczestniczył, czy próbowała go Pani trzymać od takich sytuacji z daleka?

Daleka byłam od zakłamywania tego, czym na co dzień żyliśmy. Kiedy pokłóciłam się z teściową, on to widział, słyszał, jego to bolało. Trzeba mu było jednak wytłumaczyć, na czym to polega. Że babcia jest już w podeszłym wieku, że cierpi, że babci coś się może nie podobać, może inaczej myśleć, bo jest inaczej wychowana. Musiałam

² Tenże, *Dziennik pszowski*. 44 kartki o ludziach, miejscach, Śląsku i tęsknocie, Pszów – Katowice 2004, s. 6.

mu uświadomić, że kiedy będzie dorosły, też nie wszystko w naszym postępowaniu będzie mu odpowiadało. Musiałam mu po prostu wytłumaczyć prozę życia.

I.S.: To jest ta rozmowa, ten dialog.

Właśnie, rozmowa i dialog. A ludzie robią tak: „Cicho siedź, smaraczku, bo cię to nic nie obchodzi. *Wroź se nos do futermela*, bo to nie twoja sprawa”. Tak nie można. Dziecku trzeba wytłumaczyć, dlaczego dochodzi między ludźmi do nieporozumień – czy ich źródłem jest złośliwość, czy też swego rodzaju nieporadność w relacjach bądź też słabość fizyczna lub duchowa w danej chwili. Koniecznie też – jeśli konflikt jest efektem złośliwości – należy nazwać go złem.

Jurek nieraz mówił do mnie: „Wiesz, mama, ja nie musiałbym do spowiedzi chodzić, gdyby nie babcia”. Bo babcia niekiedy wymagała takich rzeczy, których on albo nie potrafił zrobić, albo nie rozumiał. Wtedy bardzo się denerwował i musiałam mu tłumaczyć. To była jedyna droga prowadząca do budowania zdrowych relacji domowych.

G.P.: A jak się Pani w tym odnajdywała? Trzeba było nie lada geniuszu, aby zadbać, by wszyscy mieszkający pod jednym dachem – babcia, małżeństwo, dzieci – wzrastali, a nie karłowacieli.

Rzeczywiście, nie było to łatwe. Ale ja się dużo modliłam w tej intencji. Bardzo dużo też czytałam literatury omawiającej istotę relacji międzyludzkich. Były to książki z zakresu pedagogiki, psychiatrii, duchowości. Jakoś tak się działo, że one jakby same wpadały mi w ręce. Odczytywałam ten fakt poprzez treść Ewangelii, która zawsze sprawiała mi kłopot, której nie rozumiałam.

Chodzi o scenę, w której Pan Jezus mówi: „Ten, kto ma, będzie mu dodane, a ten, kto nie ma, jeszcze mu będzie odejęte”. Zrozumiałam, że skoro jest u mnie zapotrzebowanie na tego typu literaturę i to zapotrzebowanie przekładające się na konkret życia, to znaczy, że Pan Bóg na nie odpowiada i podsuwa mi – rękoma na przykład księdza Zygmunta, księdza Poloczka, rękoma rekolekcjonistów i znajomych – potrzebne teksty. Bo kto ma, będzie mu dodane... Bardzo konkretnie traktowałam Boże obietnice.

I.S.: Nie unika Pani jednak refleksji nad codziennym znojem wielopokoleniowości ujętym w kategorii cierpienia. Tłumaczyła Pani, że nieraz było takie cierpienie, że po prostu trzeba było zacisnąć zęby i...

I płakać.

I.S.: Płakać, ale iść dalej, prawda?

Płakać do poduszki mocno i iść dalej.

I.S.: Czyli nie stany załamania, lęki...?

Nie, nie, nie. Płakać do poduszki, aż będzie mokra i iść dalej. Rano iść do kościoła, pogadać z Panem Bogiem i cześć. I wracać do mięszu życia. Nieraz mi mówiono: „Tobie, Lusia, to się musi powodzić, bo ty jesteś zawsze uśmiechnięta”.

I.S.: No właśnie.

Miałam w urszulankach wychowawczynię, która mówiła: „Wiesz, najlepsza rada jest taka – śmieć się wśród ludzi, płacz tylko w ukryciu”.

G.P.: Wróćmy teraz do księdza Jurka i zatrzymajmy się nad jego decyzją o wyborze seminarium. Pani intuicyjnie czuła, że taką właśnie drogę życia wybierze syn?

Widziałam, że on coś kombinuje, że się w nim coś kotłuje. Początkowo chciał iść na studia dziennikarskie. W żaden sposób w te jego decyzje nie ingerowałam. Intuicyjnie jednak czułam, że w tym kierunku jednak nie pójdzie. Przypomniiał mi się wtedy pewien sen z młodości³ i byłam przekonana, że inaczej będzie wyglądała

³ Pani Salomea Szymik opowiedziała o nim redaktor Agacie Wojterzance w raporcie radiowym w 1993 roku, wydanym później w zbiorze *Gdzie miłość wzajemna* nakładem Księgarni św. Jacka i Radia Katowice S.A. (zob. A. Wojterzanka, *Matka i syn*, w: tejsze, *Gdzie miłość wzajemna. Wybór reportaży radiowych*, Katowice 1995, s. 48-58):

„– Pani Salomeo, pani zawsze wiedziała, że wychowuje pani przyszłego kapłana?

– (po chwili milczenia i głębokim westchnieniu) Podświadomie. Właściwie prawie, że tak. Ale to była moja tajemnica, którą się z nikim nie dzieliłam. Synowi dopiero powiedziałam, gdy przyszedł po święceniach, w Wielki Czwartek wieczorem. Był bardzo zaskoczony. I był tak wzruszony, że jeszcze dzisiaj żywo widzę jego twarz.

Ten sen miał i ma do dziś wielkie znaczenie w moim życiu. Byłam wtedy bardzo młodą mężatką, mąż był w wojsku. Spostrzegłam, że zaszłam w ciążę. Trochę się przestraszyłam tej nowej mojej sytuacji. I mam w nocy sen. Jestem w parku i widzę: na ulubionym moim miejscu, tam gdzie zawsze siedziałam i książki czytałam,

jego droga życiowa. Pomyślałam wtedy: „Dziennikarstwa, synku, to ty studiować nie będziesz”. Lecz nawet pół słowem nie skomentowałam jego decyzji.

pod tym drzewem stoi ksiądz, tyłem do mnie odwrócony. I w korze drzewa graveruje, wycina nożykiem datę: 3 (kropka) 4 (kropka) 1953.

– *Pani to widzi?*

– Ja to widzę. Ja to widzę. Stoję za nim i widzę, jak on to precyzyjnie wykonuje takim szczytykiem. Ja sobie myślę: «Cóż to jest za data?» Zaskoczyło mnie, że to jest data, która dopiero będzie – rok 1953, a mieliśmy dopiero rok 1952. I on w tym momencie się odwraca do mnie. Widzę jego twarz. Pamiętam ją do dziś bardzo wyraźnie. On do mnie mówi: «To jest data urodzenia twojego syna. W tym dniu się urodzi. Niczego się nie bój. I to będzie ksiądz». Bo ja zawsze wszystko, co się zdarza, odbieram z takim lękiem, z taką bojaźnią. A on powtarza: «Niczego się nie bój». (głęboki oddech) I na tym się skończyło. On odszedł. Rano się budzę...

– *Rano zwykle się snów nie pamięta.*

– Ja go pamiętam. Ja go pamiętam. I pamiętam całe życie. Zajrzałam do kalendarza, patrzę – to będzie Wielki Piątek. I tak sobie myślę: «O, nie. W Wielki Piątek to ja nie będę rodziła, dlatego że to będzie dziecko nieszczęśliwe». Obliczyłam sobie od razu datę: «O, to nie pasuje. Ja w tym dniu nie urodzę». Wysła mi zupełnie inna data. Poszłam do lekarza. Jemu też wyszedł inny termin rodzenia. Jestem więc spokojna.

No i nadszedł ten Wielki Piątek. Jest ta data ze snu i ja sobie myślę: «Jest ten Wielki Piątek i ja nie rodzę. Jak to dobrze. Świetnie». Długo tak jednak nie myślałam. Szybko i prędko pobiegłam na porodówkę, ale tylko, żeby zapytać znajomą, starszą położną: «Coś się tam ze mną dzieje, ale to na pewno nic takiego, bo ja przecież inną mam datę wyliczoną i teraz rodzić nie będę, prawda?» A ona mi na to: «Dziecko, ty się zaraz kładź, bo będziesz rodziła». I rzeczywiście. Po południu urodziłam syna. I wtedy wrócił do mnie mój sen. «Boże kochany, to jest ta data i to jest syn, więc teraz musi się sprawdzić i to trzecie – że będzie księdzem». I tak znowu ogarnęła mnie bojaźń. Co to dziecko w takim razie czeka, czy będzie ono szczęśliwe, czy też nieszczęśliwe? Przypomniłam mi się też w tym dniu, w którym urodziłam taki moment z mojej młodości, kiedy idę z moim ojcem jako dziewczynka w Wielki Piątek do kościoła, do Grobu świętego. Tato mówi do mnie w ten sposób: «Dziś jest taki dzień, w którym szatan nie ma prawa do człowieka. Dzisiaj został szatan pogrążony. Zwyciężył go Chrystus, który umarł na krzyżu. I ja sobie w duchu z urodzonym synem u boku tak pomyślałam: «Jeśli to tak ma być, to dzięki Ci, Boże».

Nawet mężowi nie powiedziałam o tym moim śnie. Nikomu nie powiedziałam, a temu dziecku dopiero nie mogłam ujawnić tej tajemnicy, żeby nie musiał żyć pod takim jakimś naciskiem, pod presją tego mojego snu z młodości. Powiedziałam mu o tym dopiero, gdy wrócił po święceniach w Wielki Czwartek. Siedział tutaj, na tej kanapce, i mówi: «Mamo, jaki ja jestem szczęśliwy. Czy ty pomyślałaś kiedyś, że ja będę księdzem?» Bardzo mnie to poruszyło i wtedy mu to wyznałam: «Ja wiedziałam! Wiedziałam!»". Tamże, s. 54-55.

G.P.: I nie było w Pani jakiegoś rodzaju niecierpliwości związanej z przypuszczeniami, że właśnie kapłaństwo jest jego prawdziwym powołaniem?

Żadnych niepokojów w tej kwestii nie doświadczałam. Nie rozmawialiśmy też na temat jego dalszych wyborów. Wszystko ograniczyło się raczej do zakomunikowania przez Jurka wizji swojej przyszłości po zdaniu matury.

Okazało się, że ostatecznie dokumenty złożył do seminarium. Po tym fakcie przyszedł kiedyś do mnie i mówi:

– Wiesz, mama, wszystkie mamy moich koleżanek i kolegów tak się cieszą, że ja idę do seminarium, a ty nic nie mówisz.

W tym momencie zostałam przyparta do muru. Odpowiedziałam mu w ten mniej więcej sposób:

– No, synku, zachowuję się dość powściągliwie, bo to jest twoja decyzja. Ja się bardzo cieszę. Ale teraz ty mi powiedz, z jakiego powodu idziesz do seminarium?

– Hm, jak by ci to wytłumaczyć... – powiada. – Wyobraź sobie, że jestem w kościele. I stoję gdzieś tam, pod tym filarem, a miałem być za balaskami, tam przy ołtarzu. Ja bym tego nie przeżył. Ja wiem, że muszę być tam!

– Skoro wiesz, że musisz tam być, to masz moje błogosławieństwo i idź tam, dokąd jesteś wezwany.

G.P.: A potem przyszło uderzenie w Pani męża. Świętej pamięci Eugeniusz Ryszka, były dyrektor Kopalni Węgla Kamiennego „Anna”, opowiadał mi, jakie impertynencje spotykały pana Szymika w pracy. Nie obawiała się Pani, że to zachwieje waszym małżeństwem, że mąż – ambitny człowiek – ulegnie frustracji, że go to zniszczy?

Jego to zniszczyło zdrowotnie, ale nie duchowo i nie moralnie. Mam protokół z egzekutywy, w czasie której „rozprawiano” się z moim mężem. Jest tam zapisane, że proponowano mu, że wyślą Jurka do Kijowa, do szkoły dyplomatycznej. Emil musiałby zrobić tylko jeden krok – zabrać Jurka z Krakowa, z seminarium. Mąż jednak załatwił sprawę zdecydowanie i krótko:

– Nie, mój syn ma osiemnaście lat, a u nas w rodzinie jest taki zwyczaj, że kiedy ktoś kończy osiemnaście lat, to sam o sobie decyduje. Wybór, jakiego dokonał mój syn, uszanuję. A jeśli nic więcej nie macie mi do powiedzenia, to do widzenia.

Wziął kapelusz, torbę i poszedł. Pozbierał papiery, klucze zostawił na biurku i opuścił swoje stanowisko pracy. Z Kierownika Działu Pracy i Płacy został zdegradowany do stanowiska Inspektora Gospodarki Materiałowej. Po powrocie do domu mąż powiedział: „Nie pisz Jurkowi do Krakowa, że coś takiego się stało (nie było jeszcze telefonów), bo teraz ma egzaminy”.

G.P.: Czy Jurek dowiedział się o tym wydarzeniu?

Tak, później się dowiedział.

G.P.: Mogłaby Pani opowiedzieć o tym, jak w waszej rodzinie wyglądały chwile, kiedy Jurek wracał z seminarium na święta czy na jakiś urlop?

To były cudowne, naprawdę piękne chwile. Wczoraj sobie rzewnie popłakałam. Przygotowując się do naszej rozmowy, znalazłam sporo listów, jakie Jurek pisał do nas z Krakowa. Jakie to są listy! Jedna poezja! Pięknie je powycierałam, spakowałam, niech tam sobie leżą, aż przyjdzie czas.

G.P.: Słuchając Pani wspomnień, można odnieść wrażenie, że ów seminaryjny okres Jurka was, jako rodzinę, jeszcze mocniej scalał.

Rzeczywiście tak było. Czuliśmy, że łączy nas coraz większa i głębsza więź.

G.P.: Czy odwiedzała Pani Jurka w krakowskim seminarium?

Oczywiście. Pakowałam dwie torby, wsiadałam w autobus marki „San” – z charakterystycznym dla tego środka lokomocji zapachem benzyny – i jechałam do Krakowa. Po takiej „przejażdżce w oparach” głowa bolała trzy dni.

G.P.: Ksiądz Jurek wspominał kiedyś, że warunki mieszkaniowe w seminarium były bardzo skromne.

Powiedziałabym, że wręcz marne. Ale takie były czasy.

G.P.: No właśnie, nie było Pani tak po ludzku żal syna?

Po ludzku... Opowiem wam, jak wyglądała jego wyprowadzka do Krakowa. Wiózł go Werki Zapałowej tata, kopalnianym samochodem, na czarno. Przecież gdyby się partia o tym dowiedziała, to człowieka natychmiast by zwolniono. Pan Szymiczek pracował w zaopatrzeniu i jechał do Nowej Huty po jakiś towar, więc po drodze nas zabrał. Przeplakałam całą drogę do Krakowa i z Krakowa. Tak boleśnie przeżywałam fakt, że Jurka już nie będzie w domu. Zostały tylko laczki i piżama.

Warunki, w jakich chłopcy mieszkali, przypominały mi koszary, znane jeszcze z czasów, kiedy odwiedzałam męża w wojsku – piętrowe łóżka, szaro, nieprzytulnie. Trzeba pamiętać, że to był początek lat siedemdziesiątych. Dla mnie było to przerażające. Myślałam sobie w duchu: „Synek, jak ty tu *boroczku* wytrzymasz!”. Ale, dzięki Bogu, wytrzymał. Uporał się nawet z ubekiem w pokoju.

Wspomnę jeszcze tutaj o pewnym epizodzie, który miał miejsce w czasie powrotu z Krakowa, a który uświadomił mi – szczególnie w momencie późniejszej refleksji – jak to Pan Bóg pochyła się nad zagubionym człowiekiem. Otóż siedzę na tym siedzeniu za kierowcą, rozmyślam i płaczę nad tym moim synkiem. W pewnym momencie kierowca zatrzymał samochód, odwrócił się do mnie i mówi: „Nie byłoby już dość tego płaczu? *Mo jedynoka* i płacze. *Jo mom* dwóch synów i *oba poszli na księdza*”. I tak mnie ów, pochodzący gdzieś z okolic Kietrza, kierowca *przitkoł* (*śmiech*).

G.P.: Nie przeżywała Pani lęku, że syn zostanie „wkręcony” w coś niedobrego? Młody, zdolny chłopak był w tych czasach nie lada kąskiem.

Wtyczkę, jak przed chwilą wspomniałam, miał w pokoju, ale dzięki późniejszemu arcybiskupowi, Damianowi Zimoniowi, ówczesnemu wicerektorowi seminarium, udało się ukreć hydrze głowę.

Diabeł kładł gęsto kłody pod nogi. Kiedy Jurek jechał z dokumentami do Krakowa, to nawet autobus się zepsuł. Przyjechał z pięciogodzinnym opóźnieniem. Czekający na niego ksiądz Zimoń podejrzewał już, że Jurek jednak zrezygnował.

G.P.: Ale cieszyło Panią, kiedy dochodziły do Pani wiadomości, że jest świętym studentem, że zapowiada się na wspaniałego kapłana?

Radowałam się tak, jak każda matka, kiedy widzi, że jej dziecko jest szczęśliwe i idzie w dobrym kierunku. On właśnie w seminarium zaczął pisać wiersze i to przez przypadek. Poproszono go o przygotowanie gazetki i z tego się wywiązał, pisząc przy okazji

swoj pierwszy wiersz. Zawsze niezwykle odpowiedzialnie traktował swoje obowiązki i powierzone zadania. Kiedy jako uczeń odrabiał lekcje, wszystko musiało być wykonane perfekcyjnie.

G.P.: Z jednej strony poukładany, perfekcyjny, a z drugiej – artysta, poeta. A przecież artysta często kojarzy się z bujaniem w obłokach, z człowiekiem odrobinę „niepozbanym”. Jak to się łączy w Jureka?

Kiedy Jurek zaczął współpracę z biskupem Nossolem, usłyszał pytanie:

– Jurek, ja mam wątpliwości co do tej twojej poezji. Czy ty jesteś dobrym poetą?

– Dlaczego ksiądz biskup o to pyta? – odpowiada Jurek, zdziwiony i lekko zakłopotany.

Biskup wyznał mu wtedy, że po raz pierwszy ma ucznia, który zlecone zadania wykonuje zawsze na czas, a nawet przed czasem. Alfons Nossol, kojarząc poetów z roztargnieniem i brakiem poczucia czasu, powątpiewał, czy tak doskonale zorganizowany człowiek może być dobrym poetą. Wyraził tę swoją opinię bez ogródek: „Jeśli ty jesteś taki poukładany, to chyba te twoje wiersze nie będą za wiele warte” (*śmiech*).

G.P.: W jaki sposób przeżywała Pani dzień prymicji Jureka? Kobiety, jako stworzenia bardzo uczuciowe, w takich chwilach zwykle wylewają łzy strumieniami. Pamiętam Panią w tym dniu – była Pani taka dostojna, emanowała z Pani godność i ogromny spokój. Czy był to tylko trzymany fason, czy też...?

Nie zażyłam wtedy jakiegokolwiek tabletki na uspokojenie. Musiałam przeżyć ten dzień po swojemu. Przed święczeniami Jurek poprosił mnie o dwie sprawy: bym nie płakała i bym nie szła do fryzjera, bo – jak twierdził – wyglądałabym sztucznie (*śmiech*). Z fryzjera jednak nie zrezygnowałam.

W katedrze w Katowicach usiedliśmy w pierwszym rzędzie, obok państwa Klemensów. Jurek dostrzegł mnie, puścił oko i kiwnął głową, że jest OK. W tym momencie zrozumiałam, że drugą prośbę spełnię – płakać nie będę na pewno. Po Mszy Świętej wszyscy rodzice nowo wyświęconych kapłanów zostali zaproszeni na spotkanie i życzenia do biskupa. Wracając stamtąd, wstałam raz jeszcze do katedry i usiadłam w tej samej ławce. Obok stała kobieta, która powiedziała do mnie: „Szczęśliwa matka takiego syna”. I wtedy się rozplakałam, pod wpływem tej kobiety.

G.P.: A później, w dniu prymicji?

Żadnej lzy. Ani w czasie błogosławieństwa, ani w kościele. Mąż się rozplakał, a ja trzymałam się jak skała. Wchodząc po schodach do pszowskiego kościoła, byłam zupełnie obojętna na to, co dzieje się obok. Nieważne było dla mnie, jak idzie praca w kuchni, czy kucharki ze wszystkim zdążyły, czy czegoś nie brakuje. Jedynym problemem, który zaprzętał mi wtedy serce i głowę, było pytanie, czy wychowałam tego synka na tyle dobrze, czy zrobiłam wszystko, by był on dobrym księdzem. To była moja myśl przewodnia. Jeszcze tego nikomu nie powiedziałam.

I zaraz *diobół* w tym, co ludzkie, namieszał: zabrakło lodów, bo pszowskiemu piekarzowi Czyżowi popękały wszystkie termosy. Pan Czyż był przybity i zdenerwowany. Ja nie robiłam z tego żadnego problemu. Stwierdziłam, że bez lodów przyjęcie prymicyjne też się odbędzie. Lody pojawiły się drugiego dnia na tak zwanych poprawinach.

G.P.: Dość nietypowa reakcja. Przecież każda, chciałoby się powiedzieć „normalna”, kobieta, denerwuje się w takiej sytuacji.

Tego też się obawiał, jak mi potem mówił, pan Czyż – że go, jak to zdenerwowana baba, opieprzę. Wytłumaczyłam mu jednak, że lody niewiele, a właściwie nic nie mają wspólnego z pięknem i tajemnicą takiego wydarzenia, jak pierwsza msza neoprezbitera.

I.S.: Ogromnie mnie Pani zaintrygowała stwierdzeniem, że diobół namieszał w tym wydarzeniu. Bo kiedy sama doszukuję się diabelskiej roboty w sytuacjach, które mnie nieraz spotykają, to obawiam się, czy czasem nie przesadzam.

Myślę, że jednak nie przesadzasz. Powiem ci, że ja już nieraz *dio-bła* na swoim *puklu* poczułam.

I.S.: Jak człowiek nie wie, co się dzieje i traci się grunt pod nogami, to co wtedy robić?

Zachować spokój. I nie dyskutować z nim. Nie dyskutować z diabłem, z kimkolwiek, bo on może objawić się i przez człowieka.

I.S.: Czyli robić swoje, jeżeli z czystym sumieniem jest się przekonującym, że to jest słuszne?

Tak właśnie trzeba postępować. Kiedy przez chwilę pracowałam w Rybnickim Zjednoczeniu Węglowym, pracował tam starszy, bardzo miły, sympatyczny pan – ewangelik. Spotkaliśmy się później po iluś tam latach, kiedy Jurek był już w seminarium. Powiedziałam mu wówczas, że Jurek jest klerykiem. Ogromnie mi wtedy współczuł. Zapytałam go więc o przyczynę takiego myślenia. Powiedział mi wtedy, że jest przekonany, że od tej pory wszelkie zło, jakie pojawi się wśród księży, będzie mi natychmiast „uprzejmie” doniesione. Zwrócił uwagę na to, że w przeciwieństwie do ewangelików katolicy nader chętnie opluwają swoich księży. Okazało się, że miał rację. Każda kontrowersyjna sprawa dotycząca duchowieństwa, gdziekolwiek by się nie zdarzyła, natychmiast była mi przekazywana. W pracy wręcz czekali na mnie, by mi o tym opowiedzieć.

G.P.: I poradziła sobie Pani z tym, nie dyskutowała?

Z Bożą pomocą dałam sobie radę. Przez siedem lat czasów seminaryjnych Jurka pracowałam z eksksjędzem, który dodatkowo był moim szefem. Czy to nie była szatańska sprawka?

I.S.: Jak to Pani wytrzymała?

No, kiedy mu powiedziałam, że mi może drzewo *na puklu* rąbać, to mi rąbał. I szło na przetrzymanie: kto okaże większy hart ducha.

G.P.: A bała się Pani kiedyś o Jurka – bo przecież synek szwarny, zdolny, poeta, że go świat „wciągnie”, zmanipuluje, zawróci mu w głowie?

Nie mogę powiedzieć, że się nie bałam. To nie był jakiś uzasadniony lęk, ale zawsze matkę takie myśli nachodzą. Nic innego nie trzeba, tylko się modlić. Powierzyć to Panu Bogu. On wie najlepiej, co ma robić.

I.S.: W którym momencie była Pani najbardziej dumna z syna? Czy były jakieś szczególne chwile, kiedy Pani czuła, że zdarzyło się coś wyjątkowego?

Hm, to musiałabym pogrzebać w pamięci, posegregować różne fakty, bo takich momentów było sporo.

Ogromnie bałam się o jego zdrowie. W pewnym momencie Jurek był tak wychudzony, że pytano mnie, co to za kucharka mu gotuje, bo on tak *liczo wyglądo*, że coś okropnego. I znowu się chyba *dio-bol* wmieszał. Był to bowiem czas, kiedy Jurek przygotowywał się do habilitacji. Jakoś tak zawsze się działo, że kiedy mocno szedł do przodu, pojawiały się kłopoty. Tym razem było to prawdopodobnie wirusowe zapalenie płuc. Jurek poddał się już wszelkim możliwym badaniom, jednak one nic nie wykazały. Pacjent niby zdrowy, a czuje się źle. Wtedy sobie pomyślałam: „Nie, tu już nic nie pomoże, ja się muszę na poważnie wziąć się za to z Panem Bogiem”. Jurek akurat był w Lublinie i miał mieć jakieś kolejne badanie. I sobie myślę: „Co tu zrobić? Nic, tylko się zebrać i iść do Turzy. Z Matką Pszowską już porozmawiałam, to teraz jeszcze muszę z Turską porozmawiać”.

Było to 1 czerwca. 31 maja Emil miał urodziny, byłam na cmentarzu odwiedzić jego grób, później zaś chciałam iść do Turzy. Ale zbierało się na burzę i postanowiłam odłożyć moją pielgrzymkę na dzień następny. 1 czerwca, w Dzień Dziecka, rano poszłam na grób mamy i na grób taty, a potem na pielgrzymkę z Pszowa do Turzy, sama. Z postem – ani cukierka miętowego żadnego nie wzięłam, żeby mnie nic nie kusiło. Postanowiłam cały dzień nie jeść.

Idę do Matki Boskiej. I taaak mi było lekko, ale tak mi było lekko, że aż się dziwiłam: „Przecież to miała być pokutna pielgrzymka, a mnie tu jest za dobrze na tej pielgrzymce”. A kiedy tam szłam, to dostrzegłam krzak dzikiej róży. Rósł na skarpie przy torach z Czyżowic do Turzy. Pomyślałam, że muszę tę różę zerwać i Jurkowi, kiedy przyjedzie, pokazać, że ja byłam w Turzy, że to są róże z Turzy. Przychodzę przed kościół, a akurat jest południe, Anioł Pański. Dzwonią mi po tych schodkach. Obraz oczywiście jest zasłonięty. I tak w tym kościele jestem dwie godziny.

Wpierw sobie usiadłam i mówię: „Teraz posłucham, co wy mi macie do powiedzenia, a potem ja będę mówić” (*śmiech*). I tak sobie siedzę, siedzę i tak patrzę na tę zasłonę obrazu. Przedstawia ona matkę trzymającą syna, który umiera. Ta matka ma położoną rękę na czymś takim, a Matka Boska ją tak głaszcze po tej ręce. Patrzę, patrzę i tak mówię: „Widzisz, Matko Boska, jakbyś Ty mnie tak chociaż tylko w rękę pogłaskała, więcej nic, to by mi już było dobrze. Tylko tyle i więcej nic”.

Porozmawiałam tak sobie z Matką Boską i udałam się w drogę powrotną. I znowuż mi jest tak fajnie: lekko, lekko, lekko. Z głównego traktu wchodzę potem na tę polną drogę wzdłuż torów. Tym właśnie traktem chodzą pielgrzymki. Jest tam pięknie, idzie się wśród zbóż, które rozciągały się wtedy aż po horyzont. Tak sobie idę i widzę, że z daleka wyłania się jakaś kobieta. „Baba” – myślę. I tak patrzy na tę drogę, w tym kierunku, gdzie ja idę. Co chwilę wychodzi zza tego żyta i daje znaki. Jechały tam może ze trzy auteczka, ale żadne się nie zatrzymało i ona na mnie tak patrzy. Podchodzę więc bliżej, a ona jakby na mnie czeka.

A poprzedniej nocy miałam taki oto sen. Stoję w Pszowie na rynku i jedzie auto, laweta. Na niej stoją: Jurek, biskup Zimoń i Jan Paweł II. Cała trójka radośnie się śmieje. I myślę: „Kuchnia! Oni jadą do mnie. A ja nie mam ani ciasta, ani kwiatów. Co ja teraz zrobić?”. Panika niesamowita w tym śnie. Panika! I tak się odwracam i widzę czerwony kosz, taki na bieliznę. A w tym koszu pełno łubinu, takiego niebieskiego łubinu. Pomyślałam jednak – w tym śnie – że to chyba nie wypada. „Biskupowi i Ojcu Świętemu łubin wręczyć? Kto to widział?”. I w tym momencie ów kosz z łubinem mi się zgubił, a ja, cała spocona, się obudziłam i ucieszyłam się, że to był tylko sen.

I teraz podchodzę do wyłaniającej się spomiędzy zboża pani, a ona zwraca się do mnie:

– Dobrze, że pani idzie. Bo tak czekam i czekam na kogoś, kto by tu szedł, żeby mi trochę pomógł. Wie pani, ja bym tak panią tylko prosiła, żeby mi pani pomogła. Ja tu mam rower, a na ten rower chcę coś spakować, a nie umiem sobie sama poradzić, bo jedną ręką tego nie umiem zrobić. A roweru też nie umiem utrzymać jedną ręką. Pomogłaby mi pani ten rower przytrzymać?

Podchodzę więc bliżej do niej i jej ten rower podtrzymuję. W pewnym momencie patrzę: „Matko jedyna!!! Czerwony kosz z niebieskim łubinem. Ten sam kosz, który w nocy dzisiaj widziałam!”. I trzymam ten rower w szoku, patrzę na kosz, a ona tłumaczy mi:

– Ja go tu chcę na ten *packenhalter* (bagażnik) dać. Muszę go przypiąć pasem. Jeśli mi to pani będzie trzymać – jedną ręką kierownicę, a drugą ręką ten koszyk – to sobie go przypnę i już nie będzie mi spadał. A jutro jest Boże Ciało i ja chcę zrobić taki ołtarzyk na ludowo. I wiedziałam, że tu tyle łubinu rośnie i przyszłam go nazbierać.

Miała tego pełno, wielki kosz na pranie pełny łubinu. Kobieta ten kosz przypina, a ja mam guł w gardle: łubin, niebieski łubin! Zakończyłyśmy robotę, pani za wszystko podziękowała i pyta:

– A pani nie jest z Turzy?

– Nie. Z Pszowa – odpowiadam.

– O! Z Pszowa! To od jednej Matki Boskiej do drugiej pani przyszła – rozmowa toczy się dalej.

– Tak, właśnie z Pszowa.

– Co, przyszła pani prosić o coś? O co? – kontynuuje dziwna nieznajoma.

– Tak, byłam u Matki Boskiej po prośbie. O zdrowie. Ale nie moje – dodaję.

– O zdrowie dziecka, syna?

– Tak, o syna – odpowiadam.

I tak trzymam ten rower, a ona położyła swoją rękę na mojej, głaszcze mnie po niej – tak jak chciałam, żeby mnie Matka Boska pogłaskała – i mówi:

– Niech się pani nie martwi. Syn wyzdrowieje, on jest jeszcze bardzo potrzebny.

I więcej nic.

Powiedziałam jej jeszcze, że chciałabym różę z tego przydrożnego dzikiego krzaka. Nie potrafię jej jednak zerwać, nawet przez chusteczkę.

– Ja mam nóż, ja pani tego natnę – odparła dziwna nieznajoma.

Wyjęła z siatki ten nóż i nacięła mi róż. Ułożony z nich bukiet wisiał długo, długo, aż się z tego proch zrobił... Potem nieznajoma zabrała rower i poszła w swoją stronę. I jechała z tym niebieskim łubinem ołtarzyk stroić. A ja nie miałam nawet odwagi się za nią odwrócić. Nogi miałam jak z waty.

Takie rzeczy się na świecie dzieją, a my myślimy często, że podobne zdarzenia nie mogą mieć miejsca.

I.S.: Ksiądz Jurek wie o tym?

Wie. Kiedy mu o wszystkim opowiedziałam, był wstrząśnięty. Sama nie chciałam o tym nikomu opowiadać. Wydawało mi się, że są to przeżycia bardzo osobiste. Istnieją chyba jednak takie sprawy, o których myślimy, że są tylko nasze i nie chcemy ich „sprzedać”. Lecz w niektórych okolicznościach Pan Bóg niejako „wymusza”, żeby się podzielić swoim doświadczeniem, dać o Nim świadectwo.

I.S.: Choć to zrozumiałe, że pewne historie chcielibyśmy zachować tylko dla siebie...

Takie skupienie na sobie jest jednak trochę egoistyczne. O mojej mamie też nie chciałam mówić, chociaż było wiele różnych spotkań, wykładów. Jednak przyszedł taki moment, że powiedziałam.

Tata umierał w szpitalu, a ja miałam w tym dniu trudne rekolekcje dla maturzystek. Młode dziewczyny, a były strasznie zażarte... Wstawały i po prostu krzyczały, że aborcja jest ostatnim ratunkiem dla kobiety. Wtedy pękłam i wszystko im powiedziałam: o mojej mamie, o tym, że w tej chwili mój tata umiera w szpitalu. Tłumaczyłam im: „Ojciec umiera, ale ja nie muszę przy nim być, bo na pewno jest bardzo spokojny i wie, że powinnam być tu, obok was. Wam to muszę powiedzieć, żebyście nie zginęły! On sobie tam da radę, ale wy sobie nie dacie rady!”. Potem opowiedziałam wszystko o mojej mamie. I mówię: „Widzicie tę ekonomię Bożą? Tu jest ksiądz, tu jest lekarz, tu ja prowadzę z wami bój o życie. Czy wy tego nie rozumiecie? Jeśli tego nie rozumiecie, to nie chodźcie ani na gorzkie żale, ani nie czcicie ojca Maksymiliana Kolbego, nikogo, bo to jest tylko fasada. To nie jest życie, to jest zakłamanie”.

I.S.: Pocieszyła mnie Pani tym spostrzeżeniem. Katechizując, uważałam bowiem, a uczyłam też innych przedmiotów, że nagle ci sami uczniowie na lekcji religii zachowują się tak, jakby im rozum odebrało, aż ręce opadają. Długo się zastanawiałam, czemu oni tak krzyczą. Taki wrzask, taki jazgot... Teraz dopiero widzę, że religia to nie jest „normalna” lekcja. Z tym trzeba się zmagać, to jest bój... O życie właśnie.

G.P.: Jest taki wiersz Jurka, Pani poświęcony. Już po pierwszej lekturze zrobił na mnie ogromne wrażenie:

„Miłość II

Matce

zawsze miałem gdzie wracać
z tych wszystkich bitew
poraniony i głodny
w krąg który zataczał
blask Twoich oczu
kochających
zawsze tam wracałem”⁴.

⁴ J. Szymik, *Miłość II*, w: tegoż, *Uczę się chodzić*, Katowice 1988, s. 49.

Wiersz pochodzi z tomiku „Uczę się chodzić”. Te słowa są świadectwem idealnego macierzyństwa. Pani umiała przyjmować Jurka ze świadomością, że człowiek uczestniczy w bitwach życiowych i wraca nieraz poraniony, zniszczony, zdeptany. Nie stawiała Pani warunków. Gdzie się Pani tego uczyła? Czy to efekt lektur?

Czy to wyczytałam, nie wiem. Musimy pamiętać, że są pewne łaski. Komu Pan Bóg chce dać, temu daje. Nie wiadomo, ile w tym jest zasług mojej mamy, ile przodków. Nie wiem. To jest z samego Pana Boga, który chce, żeby w tym Kościele tak szło, jak ma iść. I do tego potrzebuje pewnych takich „narzędzi”. My jesteśmy tylko Jego narzędziem.

G.P.: Ale na pewno był w tym duży Pani udział. Fajnie jest, kiedy mamy super-, ekstraszy, ale kiedy pojawiają się problemy, to już kłopot. Pani to wszystko umiała ogarnąć, wyważyć – to ogromna sztuka, mądrość. A Pani mówi, że łaska...

Nie wiem, na wszystko człowiek nie zna odpowiedzi.

G.P.: No dobrze, to ja przeczytam Pani jeszcze jeden fragment:

„Mamusia. Salomea... [jak pięknie!] Nie znam drugiego człowieka [...], który tak łączy rozumność z serdecznością. To stop, który występuje u mamy w niezwykłych proporcjach. Ona jest bardzo mądra, ja się jej często radzę, zwłaszcza w kwestiach mądrości życiowej, a jednocześnie ani przez moment ta mądrość nie jest zagrożona chłodem. Teraz się starzeje, radykalizuje, radykalizują się jej poglądy, jest coraz bardziej stanowcza, ma określone sądy na określony temat. Ale ciepło – kobiece, matczyne, śląskie, (mówi to syn, który jest w jej sercu na szczególnych prawach, wiem, pamiętam) – jest w niej zawsze. Jest osobą o bardzo zdrowej religijności – mówię to teraz jako syn-ksiądz. Jest trzeźwa, racjonalna, wychylona w nadprzyrodzoność, pogłębiona. Mama jest osobą, która bardzo dużo czyta i szalenie dużo pracuje. [...] Powietrze, bez którego umiera się w ciągu kilku sekund”⁵.

Myślę, że każda matka by Pani pozazdrościła. Jak to jest, Pani Szymikowa? Profesor, który przeczytał tony książek, twórca, który tak wiele napisał, ksiądz, który przebywa z ludźmi z najwyższej półki umysłowej

⁵ Tenże, A. Petrowa-Wasilewicz, *Jak Ślązak z Bułgarem, czyli patchwork prowincjonalny*, Katowice 2005, s. 9.

i duchowej – i okazuje się, że Pani jest dla niego jednym z największych autorytetów:

„Jeśli miałbym podać absolutną czołówkę moich osobistych autorytetów, to jednym tchem wymieniłbym: moją Mamę, Jana Pawła II i Arcybiskupa Alfonsa Nossola. Cała trójka posiada umiejętność łączenia ognia z wodą – w ważnych sferach życia, na niezwyklej skale. Mama, na przykład, w niebywale oryginalny i dojrzały sposób, najdojrzalszy, jaki widziałem kiedykolwiek, łączy wrażliwość i serdeczność z racjonalnością i zdrowym rozsądkiem. Proporcje są nie do podrobienia”⁶.

Skąd bije źródło tych słów? Bo to nie jest przecież taki zwykły, chociażby najgłębszy, ukłon w kierunku matki.

Nie. Wiem, jak mocno mnie szanuje i jak mocno kocha. To jest jednorazowe. My się rozumiemy w pół słowa.

I.S.: Tak jak w przypadku umawiania się na rozmowę telefoniczną na dzisiejszy środy wieczór?

(śmiech) W niedzielę dzwonił i mówi:

– To ja zadzwonię w środę o tej samej porze.

Na to ja:

– Wiesz, synku, a gdybyś tak mógł zadzwonić w czwartek? To by było fajnie.

– Tak. A masz środę zajętą?

– No, mam środę zajętą.

– Gdzie idziesz? – pyta.

Ja powietrze dwa razy wciągam, o naszej konspiracji pamiętając, i mówię:

– Do koleżanki na bloki.

– Do Haliny?

– Tak.

– To pozdrów Halinę.

G.P.: Bliski i wspaiały kontakt. W jaki sposób Pani pracowała nad takim kształtem relacji między matką a synem?

Nie wiem. Bardzo dużo czytam, to racja. Zanim jeszcze Ratzinger został papieżem, to ja już byłam w nim zakochana, w jego słowach,

⁶ J. Szymik, *Prolog*, w: tegoż, *Cień rzeczy duchowych*, Wrocław 2005, s. 14.

w jego teologii, w jego patrzeniu na Kościół. Mówiłam: „Jurek, Duch Święty jest mądry! Pamiętaj, że on będzie papieżem”. Po wyborze od razu musieliśmy się skontaktować. „Nasz Ratzinger jest papieżem!” – cieszyliśmy się wspólnie.

Wstyd powiedzieć, bojaźń taka, ale niektóre zdania kardynała Ratzingera znałam, zanim je jeszcze przeczytałam. Na przykład to, w jaki sposób tłumaczy młodym ludziom, co to jest miłość. To jednak Duch Święty tak działa, że nawet nie wiemy, co pod czaszką nam siedzi. To Boskie działanie, tak to sobie tłumaczę. Bo skąd mi przyszło do głowy powiedzieć, że miłość to jest bukiet, który się składa z wielu kwiatów? A potem aż ręce mi opadły – czytam to samo u Ratzingera...

Jak jest jeden kwiat, to jest jeden kwiat, a jak jest wiele kwiatów, to jest bukiet. Jak mówimy o miłości, to mówimy o wielu kwiatach. Jest miłość macierzyńska, jest miłość małżeńska, jest miłość do ojczyzny, jest miłość do swojego zawodu, jest wiele pięknych miłości. I te wszystkie miłości, razem połączone, mogą się nazywać Miłość. Jedna bez drugiej kuleje.

G.P.: Niejednokrotnie bywa Pani bohaterką pięknego wiersza, eseju czy też fragmentu udzielonego przez księdza Jurka wywiadu. Jak się Pani z tym czuje? Czy to Panią krępuje?

Nie, przyjmuję to zwyczajnie, tak po prostu, zupełnie normalnie. Nic ponad i nic poniżej. I zwyczajnie żyję.

Prasuję zwykle siedem, osiem, czasem i piętnaście koszul wieczorem. Bożenka, patrząc kiedyś na moją zmęczona twarz, powiedziała: „Tyś już tego narobiła dzisiaj”. A ja na to: „Bożena, wiesz co, jak ja umrę, to Święty Piotr powie tak: «Chodź tu, duszyczko kochana, boś mi tylu tych chłopców oprasowała. Będziesz świętą, dostaniesz atrybut świętego – żelazko»” (*śmiech*). Bożena myślała, że strzeli w tych futrynach. Ja mówię: „Jak będziecie mieć obrazek ze świętą z żelazkiem, to będę to ja” (*śmiech*).

Bo codziennie prasuję. Teraz jeszcze mam wnuka księdza, to niekiedy wyprasuję nawet kilkanaście kapłańskich koszul. To jest siedem ludzi do oprasowania!

G.P.: Pani nieraz wyjeżdża z Jurkiem, na przykład do Kamienia Śląskiego. Czy są to wyjątkowe dla Pani chwile? Proszę uchylić rąbką tajemnicy, na czym polega to przebywanie? Czy cieszycie się sobą?

Bardzo! Teraz byliśmy parę dni w Olsztynie. Pięć lat temu byliśmy u Świętej Anny. W Kamieniu Śląskim byliśmy dwa razy. Zawsze

o tej samej porze obydwójce wychodzimy na balkon i słuchamy słówków. Spotykamy się na zabiegach. Przy basenie nie, bo ja na basen nie chodzę. Jemy razem obiad, wieczorami chodzimy na spacer. I jeden drugiemu podrzucamy, co by przeczytać. Jurek czyta wszystkie gazety – ja już nie, bo mnie denerwują. A on musi, bo musi wiedzieć. I jak jest jakiś wywiad, który go strasznie denerwuje, a chce się nim podzielić, to z kim, jak nie z mamą? Przychodzi i mówi:

– Chcesz spać dzisiaj w nocy?

– Chcę spać – odpowiadam.

– Ale nie będziesz, bo ja ci coś przeczytam.

My potrafimy gadać i do drugiej w nocy. Idę po schodach i słyszę: „Chodź mi poopowiadać!”. No to wracam ze schodów, biorę szlafrok, siadam na skraju łóżka i rozmawiamy. Zaczniemy niekiedy od przypadkowej rzeczy i tak się zagłębialmy, że patrzymy, a tu druga w nocy.

G.P.: Czyli rozmawiacie o życiu?

O wszystkim. O teologii, tej najgłębszej, o życiu, o polityce, o sztuce, ale też o rzeczach, które się dzieją.

Jurek z początku nie bardzo umiał się zaaklimatyzować w Katowicach, bo jednak dziewiętnaście lat był w Lublinie. To są dwie różne kultury. Miewał swoje problemy, do ich rozwiązania też się trochę przyczyniłam. Wszystko musiało się dotrzeć, teraz jest dobrze.

G.P.: Widzi Pani w tym Boży plan?

Widzę i mu to mówię. Przecierpiałeś, co przecierpiałeś, a wszystko się w cierpieniu rodzi. Bez krzyża nie da rady. Zawsze mówiłam, że z miłości się dużo, dużo płacze.

I.S.: Dzisiaj młodym fenomen tego bólu tłumaczyłam...

Tak, miłość boli.

I.S.: Jak w wierszu:

„Miłość boli.

Im więcej miłości,

tym bardziej.

Niekoniecznie odwrotnie”⁷.

⁷ Tenże, *** [Miłość boli...], w: tegoż, *Dotyk żrenicy. Wiersze z lat 1993–1996. Tłumaczenia wierszy Josepha von Eichendorffa, poetów Andaluzji, Jacques’a Préverta. Esej o miłości do książki, wstęp J. Sochoń, A. Nossol, Lublin 1997, s. 46.*

G.P.: Który wiersz albo książkę Jurka Pani szczególnie lubi?

Bardzo mi się podoba wiersz o śląskich kapłanach⁸ i *Uczę się chodzić*⁹ – z tych pierwszych wierszy.

Książki Jurka przeczytałam wszystkie. Ostatnio tę pod tytułem *Chodzi o Boga*¹⁰. Super!

I.S.: Jest Pani pierwszą czytelniczką?

Niekiedy czytam wrywkowe fragmenty, jeszcze przed drukiem, ale żeby zupełnie jako pierwsza, to nie. Wspólnie sobie czytamy. Czasem chce mi coś pokazać albo powiedzieć, bo kiedyś na ten temat rozmawialiśmy, a on teraz o tym pisze.

Mam też pierwsze kazanie Jurka, które napisał, mając jedenaście lat. Stary druk – musiałam mu to przepisać na maszynie. To był konkurs ministrantów, akurat w jego urodziny: 3 kwietnia 1964 roku.

I.S.: Przeczytajmy go wspólnie:

„*Modlitwa*

Modlitwa jest to rozmowa człowieka z Panem Bogiem. Najlepszym przykładem modlitwy był sam Pan Jezus. On to właśnie nauczył nas pięknej modlitwy *Ojciec nasz*, którą nazywamy też *Modlitwą Pańską*. Pan Bóg w swej nieograniczonej dobroci pozwala się nazwać Ojcem naszym, a skoro Bóg nam Ojcem, tak my dostępujemy łaski, by się zwać dziećmi Bożymi. Przez to Pan Bóg tworzy atmosferę rodzinną, atmosferę miłości, dobroci codziennej, by nam łatwiej było zbliżyć się do Niego, by łatwiej porozmawiać i poprosić o coś, by szczerzej, serdeczniej Mu dziękować.

Czy mamy się modlić tylko po to, by o coś prosić i z kolei dziękować? Nie, to nam nie powinno wystarczać. Chociaż sam Pan Jezus nas do tego zachęca, kiedy mówi: «Kończcie, a będzie wam dane, pukajcie, a otworzą wam». A na innym miejscu znowu nas zapewnia: «O cokolwiek prosić będziecie Ojca Niebieskiego w imię moje, da

⁸ Zob. tenże, *Być śląskim księdzem*, w: tegoż, *Czułość, siła i drżenie. 50 wierszy z lat 2006–2009, „Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”*, Katowice 2009, s. 92–93.

⁹ Zob. tenże, *Uczę się chodzić*, w: tegoż, *Zupełnie inaczej*, Katowice 1991, s. 17–20.

¹⁰ *Chodzi o Boga*. Ks. prof. Jerzy Szymik w rozmowie z Dominiką Szczawińską-Ziembą o teologii Benedykta XVI, Katowice 2011.

wam». Czujemy jeszcze potrzebę modlitwy chwalebnej, takiej bezinteresownej, która dotyczy świętości i majestatu Bożego. Pan Jezus wiele wypowiedzi i cudów podkreślał ku chwale Ojca Niebieskiego. Nawet w *Modlitwie Pańskiej* na początku chwalimy świętość imienia Bożego, a później przystępujemy do prośb.

Tak więc modlitwa jest pierwszą potrzebą człowieka. Bo kiedy wróg Kościoła może nas pozbawić wszelkich praktyk religijnych i nawet sakramentów świętych, to zawsze pozostanie nam modlitwa, w której z pokorą i wielką ufnością będziemy prosić – nie tylko za nas, ale i za tych, co tej modlitwy najwięcej potrzebują. Bo się sami modlić nie umiemy, gdyż przykuwa ich do siebie materializm tego świata, a jego wielki hałas i bezbożne życie zagłuszają w nich subtelny głos Boży, tak jak nam to przedstawia Pan Jezus w przypowieści o ziarnie, które zagłuszyły chwasty. Więc pielęgnujmy modlitwę w sobie, by nas Pan Jezus nie musiał obudzić i zaraz nam powiedzieć: «Czyście ani na chwilę nie mogli czuwać i modlić się ze mną?».

Amen”.

G.P.: Autorem powyższego tekstu jest jedenastoletni chłopczyk. Pomagała mu Pani w przygotowaniu tego kazania?

Wspólnie to poprawialiśmy.

I.S.: Pani jest starsza od nas. Czy widzi Pani jakąś powtarzalność w życiu? Inne są czasy, inny ustrój, mija tyle lat – czy istnieją jakieś zjawiska, które trwają mimo obyczajowych, kulturowych, politycznych przemian?

Ten sam jest człowiek, który zawsze jest narażony na zło i na dobro. I musi w swojej woli umieć rozeznawać. A rozeznawać może tylko wtedy, kiedy jest we wnętrzu Kościoła i słucha Kościoła. Inaczej się pogubi. I to pogubienie już teraz widzimy: kiedy człowiek wyklucza się z Kościoła, kiedy chce nazwać Pana Jezusa według siebie i całe życie według siebie układać – poza Kościołem.

G.P.: Czyli bez Pana Boga i bez Kościoła nie ma szczęśliwego życia?

Nie! Pan Bóg ułatwił tę sprawę, bo wiedział, że sami sobie nie damy rady. To wiem na pewno z perspektywy mojego długiego życia, które jest jednocześnie króciutkie. Podobne przekonanie pojawia się także u innych, którzy powtarzają, że bez Boga i Kościoła nic nie

może się udać. Trzeba mieć zawsze zaufanie do Pana Boga. Ludzie, którzy wiele cierpieli, którzy przeszli łagry, w pewnych momentach się załamywali. Ale jak się załamali i dopuścili do frustracji, stracili ufność, to wtedy był koniec.

G.P.: O tę ufność trzeba się modlić?

Tak. Modlitwa jest zawsze na pierwszym miejscu.

G.P.: Pani kontakt z Jurkiem jest naprawdę głęboki, bliski – on o tym pisze, Pani też to dziś niejednokrotnie potwierdziła. Nie czyniono Pani w rodzinie zarzutu, że Pani sobie zawłaszcza Jurka? Nie było obaw, że wyrośnie maminsynek? Czy pan Emil miał z nim równie dobry kontakt?

Oni się wzajemnie bardzo cenili, a ja starałam się nikogo nie zawłaszczać. Mieliśmy zawsze z mężem taką umowę, że każdy robi to, do czego ma predyspozycje. Nic na siłę.

G.P.: Czyli Pani nie zajmowała się technicznymi sprawami?

Nie dzieliłam ludzi w ten sposób: ty musisz to robić, ty musisz to, ty musisz być taki, a ty taki. Nie, tak się nie robi. To Pan Bóg wychowuje. Ja tylko starałam się Mu nie przeszkadzać. On ma swoje ścieżki. On wie najlepiej, wie lepiej od matki. Kiedy siebie stawiamy na pierwszym miejscu, to wtedy jest zgrzyt.

Byłam kiedyś na spotkaniu w szkole w Bluszczowach. Jedna pani powiedziała, że zna matkę, której syn chciał iść do seminarium i ona mu nie pozwoliła, bo był jedynakiem. I pyta, czy według mnie dobrze zrobiła i co ja bym na jej miejscu zrobiła. Najczęściej w takich sytuacjach się odpowiada, że nie wiem, co bym zrobiła. Ale ja akurat wiem. Ja bym po prostu z bojaźni przed Panem Bogiem temu dziecku nigdy nie powiedziała, że nie może być księdzem, bo ja go chcę widzieć w małżeństwie, ja chcę mieć wnuki i tak dalej. Z bojaźni przed Panem Bogiem – bo to przecież Jego dziecko. Kiedy On je woła, to ja nie mam nic do tego. A skąd mogę wiedzieć, że on w tym małżeństwie będzie szczęśliwy? Że akurat będzie miał dzieci? Że mu żona do Niemiec nie wyjedzie, a on tu nie zostanie sam? Skąd to można wiedzieć? Bo tak to też się może skończyć, a nie akurat w sposób, w jaki ja to sobie zaplanuję – tu będzie wnuczek, taki pulchniutki, piękny, a tu jeszcze jeden i będę miała sielankę wokół siebie. Wcale tak nie musi być.

I.S.: Czyli całe nasze wymyślanie, planowanie, ingerowanie w życie to jest błąd?

To jest błąd. Ja bym się bała. Ale jeśli ktoś ma taki tupet wobec Pana Boga, to proszę bardzo. To jest myślenie o sobie. Ona chce mieć syna koło siebie, ona chce mieć te wnuki. Ona tego syna wcale nie kocha, tylko siebie. Przeczytajcie sobie tylko wspomnienia matki księdza Popiełuszki, co ta kobieta pisze.

I.S.: Wiemy, że Pani miała trochę ułatwione zadanie, żeby pogodzić się z powołaniem syna. Miała Pani przed laty sen, który sugerował, jaką może wybrać drogę...

Takie zżycie się z tym? No tak, ale to też nie jest łatwo.

I.S.: A czy przeszło Pani także przez myśl, że on może wybrać inaczej? Być ojcem rodziny, mężem? Nie wykluczała pani tego?

Nie, nie wykluczałam.

G.P.: Które cechy specyficznie charakteryzują Jurka?

Przede wszystkim modlitwa i ogromna wrażliwość. Wrażliwy jest do bólu. I ta dobroć, kiedy widzi jakieś zło... Ja się prędzej zdenerwuję, bardziej mnie trzepnie. Potrafię *naprzezywać*, nazłościć się, a on nie. Albo się śmieje z tego, albo wewnętrznie to jakoś potrafi tłumić. Ja mówię: „*Dyc chłopie*, ale to...”. A on: „Tak, ale ja jestem księdzem, ja tego tak nie mogę”. Zawsze wie, kim jest. To chyba wynika z tej wrażliwości. On przebacza do bólu. On zawsze mówi: „Nie nam sądzić. Kto stoi, niech baczy, żeby nie upadł”. Jak tak czasem słucham innych księży, to nie każdy jest do tego stopnia wrażliwy. Niektóry może nawet sobie przekląć na coś, a u niego to nie ma miejsca.

Niektórzy mówią: „My tylko zło potępiamy, ale człowieka nie potępiamy”. Oczywiście, jak najbardziej, człowieka nie wolno potępiać. Ale skąd to zło pochodzi? Ono pochodzi z serca człowieka. Nie spada z nieba ani króliczek go nie przyniesie, tylko wychodzi z wnętrza człowieka. Więc najpierw trzeba człowieka uleczyć – nie potępić, ale powiedzieć mu wprost, nazwać rzeczy po imieniu. Nie w takim sensie, że już z ciebie nic nie będzie, ale jednak bez ogródek. Inaczej się do tego nie dochodzi. Słyszymy nieustannie: miłosierdzie,

miłosierdzie i miłosierdzie. A gdzie jest sprawiedliwość? To miłosierdzie musi się o coś oprzeć. Zło musi być najpierw nazwane. Bo jak nie ma zła, to po co miłosierdzie?

G.P.: Jurek i Bożena to różne temperamenty?

Dość różne, ale im bardziej się starzeją, tym bardziej są sobie bliscy.

G.P.: Bożuś, Bożenka, moja siostrzyczka kochana...

Oni się bardzo dobrze rozumieją, chociaż sposób ekspresji zdecydowanie ich różni. Jurek jest ogromnie otwarty, natomiast Bożenka nieco skryta.

G.P.: Nie dochodziło między rodzeństwem do scysji? Nie było zazdrości ze strony Bożeny?

Oni się jeszcze w życiu nie pokłócili. Jak przychodzili ze szkoły, to się witali, choćby z *Westfall* przyjechali. Jak był jeden orzech, to ta druga połówka musiała zostać dla drugiego. Żadne nad drugim nigdy nie dominowało.

G.P.: Nawet o względy mamy, taty?

Nie, nigdy tego nie było.

I.S.: Mądrość rodziców musiała tu jakoś zadziałać...

To był Jerzuś, a to był Bożuś.

I.S.: Bożena była wyczekiwana przez rodziców i przez brata.

A jak on się o nią modlił! O dziewczynkę się modlił. Byliśmy na wycieczce w Szczyrku. Tam się wychodzi do takiego kościółka. Opowiadaliśmy babci, że tam byliśmy i że Jurek pierwszy wyszedł, a my dopiero za nim doczłapaliśmy. Babcia mu powiedziała: „A ty wiesz, o co tam się modlili w tym kościółku? Oni się modlili o braciszka albo o siostrzyczkę dla ciebie”. A on: „Co? Gdybym ja to wiedział!”. Potem każdego dnia modlił się o siostrzyczkę. Nie o braciszka, ale o siostrzyczkę.

G.P.: Jurek pisze, że był wychowywany wśród kobiet i w promieniowaniu Matki Boskiej Pszowskiej. Jest w nim ta wrażliwość na kobiety.

„Spotkałem w życiu wiele kobiet:
jak to w Kościele.
Niektóre z nich otaczała poświata:
podejrzywałem, że mieszka w nich światło.
Nie należy się więc dziwić,
że obserwowałem je znacznie uważniej
niż moich zarośniętych współbraci,
o których ciemności wiedziałem sporo,
żyjąc samemu od lat w
mroku męskiego siebie”¹¹.

I.S.: Czy Pani czuła jego wyjątkowość? Na przykład w szkole, w kontakcie z rodzicami, nauczycielami?

Mie było zawsze okropnie gańba, jak mi go zaczęli chwolić. Słowo daję. Ja się czułam wśród tych matek jak jakaś biedulka, że mi tak synka chwala. W pracy, jak wszyscy rozmawiali o swoich dzieciach, to ja siedziałam jak mysz pod miotłą.

G.P.: Nie chwaliła się Pani?

Nie, to było nie do pomyślenia. Było mi żal tych koleżanek, że one czasem nie rozumieją swoich dzieci, że nie umieją się z nimi dogadać. Ale ja nie mam takiej natury, żeby kogoś nawracać, żeby powiedzieć: „Słuchaj, tak musisz, tego nie możesz”. Jeśli mnie ktoś o to poprosi, to mogę powiedzieć. Jak był jakiś *kafeklacz* przy urodzinach, to opowiadały o swoich dzieciach i narzekały, że ten jest taki, a ten jest taki, a ten to robi, a tamten to, a ten tego nie chce, a tu się biją, a tu się kłócą... Siedziałam cichutko, bo co miałam powiedzieć? Moje dzieci się nie biły, to ja powiem: „Moje dzieci się nie biją”? Albo głupia, albo *cygani*. W szkole na wywiadówkach siedziałam jak trusia, bo się bałam, że mi będą zazdrościć, że powiedzą: „To jest wielka urzędniczka i dlatego tak chwali te dzieci”. Nie umiałam inaczej, mnie to po prostu przerastało.

¹¹ J. Szymik, *Jasność*, w: tegoż, *Błękit. 50 wierszy z lat 2000–2002*, wstęp A. Szostek, post. K. Najman, Katowice 2003, s. 51.

I.S.: Nie miała Pani problemów wychowawczych?

Nie, bo jeśli rodzice postępują kulturalnie, wtedy wszystko jest w porządku. Daje się odczuć, poznać dziecku, co jest złe, a co dobre. Nie wiem, jakie geny musiałyby zadziałać, żeby ono robiło akurat coś na przekór. Są takie przypadki, ale mnie to akurat nie spotkało.

G.P.: Podkreśla Pani, że modliliście się razem...

Oczywiście, ale jakieś genetyczne uwarunkowania też są. Mój tata był zawsze bardzo religijny, dobrze poukładany, nigdy go nie widziałam pijanego, nigdy nie zaklął. Gdyby ktoś przyszedł do nas i coś złego o księdzu powiedział, usłyszałby: „Nie mów tak pod moim dachem, wyjdź”.

Pamiętam, jak w czasie okupacji przyszedł człowiek i prosił, byśmy mu wynajęli jeden pokój, bo go wyrzucają Niemcy. A mój tata powiedział: „Wiecie, dlaczego was nie przyjmę? Bo wy strasznie klniecie. Aż was tu słyszać, a jesteście trzy domy przed nami. I pod moim dachem takich klątw nie będzie. Nie przyjmę was, bo będziecie tu chodzić i będziecie kląć”. Ów człowiek za trzy dni wrócił skruszony i mówi: „Antku, nie będę u ciebie kląć”. Dał słowo honoru i przyprowadził się. Potem, kiedy w Kokoszycach budowali kościół, ten człowiek dowodził furmankami z piaskiem, żeby wszystkie dojechały.

G.P.: Dzisiejszy świat w ogóle nie zastanawia się nad czymś takim, jak przeklinanie.

No tak, co drugie słowo to przekleństwo, słyszać to na ulicy... Moje dzieci nigdy nie powiedziały brzydkiego słowa. Aż się sama dziwiłam, bo wiadomo, jak to powszechne było w szkole, na podwórku. Nawet dobre dzieci się tym zarażały. Dla mnie to zawsze było obrzydliwe, bo ja czegoś takiego nigdy nie słyszałam w domu. Ale wiedziałam, że niektóre koleżanki czasem zakląły, choć to były dobre *dziołchy*. Mnie by do głowy nie przyszło, żeby coś takiego powiedzieć, moim dzieciom tak samo.

G.P.: Jak reagować dzisiaj na przekleństwa?

Kiedy widziałam takie grupki młodzieży z „Mega Astry”, mówiłam: „Dziewczyny, nie wstydzicie się chodzić z chłopcami, którzy tak mówią?”. Wtedy one: „Hihihi”, „hahaha”, no bo jak mama z tatą też tak mówią, to co? Młodych ludzi niszczą dorośli. Dają zły przykład i mają ograniczony wpływ na dzieci. To, co się czasem wyrabia w telewizji, jest po prostu skandaliczne. My tego nie mieliśmy. Może oni będą bardziej u Boga święci niż my, bo są na to narażeni? My nie byliśmy aż tak narażeni. Jeśli nie ma pokusy, to nie ma winy, prawda?

I.S.: To by znaczyło, że dzisiaj jest ciężiej?

Jest ciężiej.

I.S.: Tak to Pani widzi?

Tak to widzę.

G.P.: A nie jest to konsekwencja braku ojców? Pani tak pięknie opowiadała o swoim ojcu, o panu Emilu-ojcu...

Żał mi tych dzieci bez ojców. I kobiet, które nie zdają sobie sprawy z tego, jaką krzywdę robią, pozbawiając dzieci obecności ojca. Jak on jest dziecku potrzebny! Przecież to widać w filmach – i tych wartościowych, i tych niewartościowych – jak dzieci reagują, kiedy brakuje ojca, ile to przynosi szkody. Mężczyzna wnosi ogromny skarb do rodziny. Naprawdę. Dobry mężczyzna wnosi ogromny skarb.

G.P.: Bez niego nie ma równowagi.

Nie ma. Mnie się tak dobrze mówi dlatego, że jestem wychowana niemalże między samymi mężczyznami. Jak mama umarła, to byłam więcej z dziadkiem, bo babcia miała robotę. Druga mama za bardzo za mną nie przepadała, więc tata cały czas był dla mnie największym guru na świecie. Tata i dziadek. Tata miał sześciu młodszych braci. To byli tacy młodzi wujkowie. Miałam też samych kuzynów. Były dwie kuzynki, ale zawsze takie *umraszczane*. Czegoś mi wiecznie zazdrościły albo gardziły, że nie mam mamy. A chłopcy nie – z chłopcami zawsze umiałam się dogadać.

G.P.: Jan Paweł II też był wychowywany przez ojca. Brak mężczyzny w rodzinie to wielki problem.

Tak, to jest wielki problem. Dobry mężczyzna w domu to naprawdę wielki potencjał. Chociażby te dzieci pod wpływem środowiska poszły trochę w bok, to wróć. Mają w sobie tę siłę, tę „poduszkę psychologiczną”, jaką daje obecność ojca.

I.S.: Najpierw jest mama, a potem potrzebny jest tata, prawda?

Tak. Tata od meczów, tata od tego, tata od tamtego. No, mój Emil akurat od meczów nie był. On zawsze mówił: „Boże, taki fajny synek: dobry, mądry i taki głupi mecz mu w głowie siedzi” (*śmiech*). Ale budował Jurkowi zabawki, skocznie. Nawet idąc na pielgrzymkę do Częstochowy, uprawiali skok w dal.

G.P.: Czy mogłaby Pani podać spis lektur, które warto przeczytać, które Pani pomogły, są dla Pani ważne?

Gabrysiu, ja przeczytałam tomiska różnych książek... Czytałam wszystko, oprócz science fiction i kryminałów. Książki historyczne, podróżnicze, wszystko. To, co dzieci czytały, to ja przeczytałam najpierw, żeby potem móc z nimi rozmawiać na ten temat. Wszystkie te kowbojskie, *Winnetou* nie *Winnetou*, wszystko miałam przeczytane. Kiedy w pracy jedliśmy śniadanie, to w jednej ręce trzymałam kromkę chleba, a w drugiej książkę, bo wiedziałam, że jak wrócę do domu, to będzie mowa na ten temat. Nikt mnie nigdy żadną książką nie zaskoczył.

I.S.: Jak pogodzić obowiązki pani domu: żony, mamy, gospodyni z pasją czytania?

No właśnie, sama siebie pytam: jak to robiłam? Dziś chłopcy mówią: „My już nie wiemy, jakie książki ci kupować, bo co weźmiesz do ręki, to już to przeczytałaś”. Wojtek z Michałem kupili mi więc na Boże Narodzenie *Żywot i Bolesną Mękę Pana Naszego Jezusa Chrystusa i Najświętszej Matki Jego Maryi wraz z Tajemnicami Starego Przymierza* niemieckiej stygmatyczki Katarzyny Emmerich. Dzisiaj się zastanawiam, jak ja to robiłam? Teraz to już jestem taki *langsam Peter*, już mi robota tak nie idzie – jak ugotuję obiad, to jestem trochę zmęczona... A kiedyś miałam otwarty *byfaj*, otwartą książkę,

wycierałam, układałam i czytałam. Naprawdę: jednocześnie wycierałam stos pozmywanych rzeczy i czytałam.

G.P.: Teściowa nie mówiła: „Kiedy wreszcie przestaniesz?”

Oczywiście, że mówiła. Ale starałam się, żeby tego nie widziała, nie chciałam jej drażnić. Jak była w ogródku, to robiłam coś, przy czym jednocześnie mogłam czytać. Bez książki nie szłam ani do fryzjera, ani do dentysty, ani do autobusu – nigdzie.

G.P.: Przyszłam do Pani kiedyś, była pani w ogródku. Patrę, a tu szmineczka na ustach – w ogrodzie, a tak wysztryndzono...

To jest może przyzwyczajenie, a z drugiej strony takie było życzenie mojego męża. Uważał, że kobieta musi być zawsze *poszykowano*. Jeśli spotkał gdzieś na Pszowie kobietę, która choćby była bardzo ładna, ale *nieposzykowano*, to znaczy nie umiała wydobyć z siebie tego ładu, tego piękna, to już się nie liczyła.

Przyszłam z pracy, a on tylko spojrzał i od razu: „Oczko ci leci”. Albo jedliśmy, a on: „Nos ci się świeci” (*śmiech*). Nieraz trzeba było wziąć buty, *kufaja* i iść do *gnojoka* gnój rzucać. Wspólnie żeśmy gnój rzucali, ale musiałam mieć pięknie zawiązaną chustkę, wszystko musiało być OK.

Radio malutkie stało na oknie i grała *hudba*. Akurat śpiewała Santor i mąż mówi: „Wszystko w tobie mi się podoba, wszystko. Jesteś idealną żoną, ale żebyś tak jeszcze umiała śpiewać jak Santorka...” (*śmiech*). Ja mu na to: „Wiesz co, jakbym umiała śpiewać jak Santorka, to w tym *gnojoku* dzisiaj nie stoję” (*śmiech*). No i takie były nasze rozmowy.

G.P.: Przygotowywała się Pani na starość? Bo generalnie starsi ludzie narzekają...

Jak przyjdzie starość, to najlepiej tak: jak się rano wstanie, to trzeba się pięć minut gimnastykować, dziesięć stać przed lustrem, a piętnaście rozmawiać z Panem Bogiem. Dobra kondycja murowana.

I.S.: Czy Pani mąż też tak kochał książki?

Tak, ale moim książkowym nie był. Bardzo doceniał, czytał, lubił literaturę z humorem. Dzieciom przeczytał całą *Trylogię* i *Krzyżaków*.

Wtedy nie było telewizora i komputera. Dzisiaj mamy problem, że się nie czyta. My byliśmy w lepszej sytuacji pod tym względem.

G.P.: Ale też wyjątkowo dbaliście o dom, o atmosferę w nim. Zawsze mówiłam, że chciałabym mieć taki dom, jak u Szymików. Iza nie może pamiętać, jak u was było, a było po prostu cudnie. Wszyscy mogli zawsze przyjść, nigdy Pani nie pytała: kto, po co, dlaczego. Prócz tego te piękne pokoje na poddaszu i kominek. Pani zgodziła się na dom otwarty. Było to trudne, uciążliwe?

No, to nie jest łatwe. Trzeba wziąć się za bary. Ale trzeba też wiedzieć, że za tym wszystkim kryje się dobro – dobro drugiego człowieka. A czym jest miłość? Miłość to jest czynienie dobra drugiemu, a nie sobie. Bez tego się ani na miłość nie zasługuje, ani się jej nie da, bo się jej nie nauczy. Bez tego otwarcia na drugiego człowieka odezwie się egoizm. A człowiek, niestety, z natury jest egoistą. I dlatego zawsze trzeba się otwierać na drugiego.

G.P.: Z grupą przyjaciół i znajomych chodziliśmy do was w Świąta, robiliśmy bałagan...

Tak, po pasterce. Kiedy rano wstaliśmy, to za głowę się można było złapać. Pierwsze święto, a tu trzeba odkurzać... Ale jak *se uciecha policzysz*, to straty nie ma.

Kiedyś powiedziałam Jurkowi: „Popatrz, wszyscy się tak zachwycają tą Ewangelią o miłosiernym Samarytaninie. To jest pięknie poukładane, ale do pewnego punktu, a dalej tak, jakby nic nie było. Zdrowiał, Samarytanin go wyleczył. A gdyby tak powiedzieć o tym gospodarzu? Przecież ten gospodarz zrobił naprawdę piękną robotę. Czy nie jest ten gospodarz prawie jak Samarytanin? Bo Samarytanin to jest chyba, wiesz Jurek, sam Pan Bóg.

Teraz sobie wyobraź nasze życie. Przychodzą tu ludzie różnie poranieni, o których się wiedziało albo się nie wiedziało... Przychodzą i kto ich tu prowadzi w ten próg? Ani ja ich nie zapraszam, ani ty ich nie zapraszasz, a oni przychodzą. A kto ich tu przyprowadza? Czy Pan Jezus nie mówi: tu ich macie, niech się ogrzeją u was, niech trochę ozdrowieją. A jak pogłówkujecie, co im jeszcze dać, to kiedy wrócę, wynagrodzę wam stokrotnie.

I tak samo było u tego gospodarza. On mu mówił: jak wrócę, to wynagrodzę ci wszystko, co dla niego jeszcze zrobiłeś. Ile razy nam ich jeszcze przyniesie? Nie wiem. Teściów, koleżankę, kolegę syna,

córki, kogokolwiek... Wszystkich tych, którzy wpadają do ciebie, a nie wiesz dlaczego. Masz im dać to, co masz najlepszego. A jak On wróci, to się spotkamy i wtedy to wszystko nam wynagrodzi”.

I.S.: Znam was krócej niż Gabrysia, lecz też szybko zauważyłam wyraźne zagęszczenie osób. Jest w tym wiele ciepła i radości. Ale był i moment, to chyba była moja pierwsza wizyta u was, że Pani wystąpiła w roli takiej strażniczki, która chroni księdza Jurka przed natłokiem spraw i ludzi. Powiedziała Pani, że on by zrobił dla ludzi wszystko i Pani musi nad tym czuwać, że muszą być granice, bo po ich przekroczeniu może się to źle skończyć.

Że nie mogą go rozszarpać. Może tak powiedziałam. Czasem się włączam, żeby go trochę odciążyć. Każdy, kto przychodzi, po jakimś czasie wspomina to bardzo dobrze. Ile razy słyszę: „A ja u pani byłam i to, i to pamiętam”. To zawsze cieszy, bo wiadomo, że to było dobre.

Niedawno przyszedł do Bożenki ksiądz z dziewczyną, żeby stwierdzić, czy nie jest psychicznie chora, bo chcieli ją wysłać do egzorcysty. I ja z tym księdzem siedzę, pijemy kawę. W pewnym momencie dziewczyna kieruje się do toalety, potem wyszła i on mi kiwnął, że to jest właśnie ona. Opowiadał, że ma bardzo nieciekawą sytuację rodzinną.

Otóż owa dziewczyna wychodzi z toalety i mówi: „Boże, jak tu jest ładnie”. Patrzę, co też tam może być ładnego – no są dwa bukiety, my przy stole, filiżanki, obrus. Ona znowu: „Jak tu jest ładnie! Jak tu jest pięknie!”. A stała pod obrazem, który dostałam od męża na urodziny – ogromnie mi się podobał: przedstawia Matkę Boską Gromniczną z wilkami. Nie wiedziałam, co zrobić, ale słuchaliśmy, a potem powiedziałam do owego księdza: „Ona stała pod tym obrazem. Nie wie, że może ją Matka Boska przytuliła do siebie”.

G.P.: Ludzie do księdza Jurka lgną, stąd też wielu „małych” i „wielkich” tego świata przewinęło się przez wasz dom. Czy są tacy, których Pani szczególnie miło wspomina, którzy są bliscy sercu?

Tak. Ja naprawdę miło wspominam wszystkich, którzy u mnie byli. Czy z Jurka strony, czy Bożenki – ze wszystkimi mam jakiś kontakt, bardzo mi są bliscy.

I.S.: Obserwuje Pani, że ksiądz Jurek jest dla wielu osób bardzo ważnym człowiekiem, kapłanem. Jak to Pani postrzega? Jak się Pani z tym czuje?

Przyjmuję to normalnie. Mam dużo telefonów z podziękowaniami, że tyle pomógł, że jak to jest możliwe – znają wielu księży, ale on jest wyjątkowy. Niekiedy aż do przesady, ale chcą jakoś to wyrazić, wypowiedzieć...

I.S.: Czuje się pani spełnioną matką, kobietą?

Tak, czuję się spełniona. Nie ma kleryka z roku Jurka, który by u nas nie był na wakacjach – a było ich szesnastu. Zawsze mówili: „Boże, tych *szklonek tela* myć, jak sobie pani poradzi?”. Jak sobie poradzę? Szklankę umyć to jest pół biedy, tu trzeba z tymi ludźmi porozmawiać, pobyc, to jest ważniejsze: bycie z człowiekiem. Ubogacamy się wzajemnie – oni mnie, ja ich. Przecież patrzę na tych młodych, też się od nich uczę.

Teraz Wojtuś przyjechał ze swoimi studentami na ognisko. Powiedział: „Babciu, nie masz pojęcia, jak byli nami zachwyceni”. On, żyjąc cały czas w takiej atmosferze, po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy, nie widział w tym nic wyjątkowego. Ognisko, kolacja, rozmowy, śmiechy, śpiewy, serdeczne witania, pożegnania. Dużo rozmów przede wszystkim. I pytanie: „Kiedy znowu możemy przyjechać? Zimą nie, bo ogniska nie będzie”. No to ja mówię: „Przyjedźcie kolędy śpiewać”. Tym młodym ludziom tego brakuje.

Gdy Jurek kiedyś przyjechał ze studentami z Lublina, to w domu wszyscy przy kominku, na podłodze, na schodach siedzieli. Pytali, co czytam. Ja mówię: czytam wszystko, oprócz „Gazety Wyborczej”, science fiction i kryminałów.

Pszów – Rydułtowy, 24 października 2012 roku

Ksiądz Stanisław Gańczorz

Urodził się 15 stycznia 1953 roku w Książenicach. Prezbiter archidiecezji katowickiej, prałat. Proboszcz Rzymskokatolickiej Parafii Świętych Apostołów Filipa i Jakuba w Żorach. Dziekan dekanatu żorskiego. Przyjaciół księdza Jerzego Szymika z rocznika studiów: w latach 1972–1979 alumn Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, święcenia kapłańskie przyjął 12 kwietnia 1979 roku w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach z rąk biskupa Herberta Bednorza.

KSIĄDZ STANISŁAW GAŃCZORZ (*prezentując wcześniej przygotowane, gęsto rozłożone na jadalnianym stole, niemal wszystkie książki księdza Jerzego Szymika – z licznymi zakładkami i zaznaczeniami, koniecznie opatrzone dedykacją autora*): Takie rzeczy czytamy dlatego, że one są inspiracją dla przepowiadania Bożego słowa, ale również dla doładowania intelektualnego każdego z nas. Bo człowiek musi cały czas coś czytać, żeby się nie wyjałowić, prawda? Rutyna i spływanie myśli i mowy grozi każdemu z nas, szczególnie wtedy, gdy głosimy słowo Boże, które musi być ciągle jędrne, ciągle na czasie. I w tym mój sposób widzenia problemu jest podobny do rozumowania księdza Jerzego: czasem nasze słowa albo kształt wypowiedzianych słów tracą świeżość, atrakcyjność, więc nieustannie trzeba je ubogacać. U niego zaś wszystko, że tak powiem, mamy pięknie upieczone i gotowe – od stylu, przez logikę, język...

Głosimy od dwóch tysięcy lat cały czas tę samą Ewangelię, tylko głosimy ją w nieco inny sposób, gdyż odbiorca jest inny i nadawca też. Pan Bóg jest wciąż ten sam, lecz ten, którym się posługuje – człowiek – posiada szczególny talent do tego przepowiadania, a równocześnie, co oczywiste, ogromną ilość pracy wkłada w jego rozwój. Wszak zawsze jest tak, że coś otrzymujemy od Pana Boga, a resztę, owe talenty, musimy pomnażać.

IZABELA SKROBAK: Księżę Pratacie, rozmawiamy w cieniu świątyni świętych apostołów Filipa i Jakuba w Zorach, na probostwie parafii, w której Ksiądz jest proboszczem. Tematem naszej rozmowy jest przede wszystkim postać księdza profesora Jerzego Szymika jako Księdza rówieśnika seminaryjnego. Kiedy wasze drogi zetknęły się po raz pierwszy, gdzie się poznałście?

Zdawaliśmy maturę w roku 1972, potem przyszliśmy do seminarium – we wrześniu 1972, czyli znamy się już parędziesiąt lat. Ta nasza, na początku całkiem zwykła, więc koleżeńska, studencka, akademicka zamieniła się z czasem w przyjaźń, obejmując, jak sadzę, cały nasz rocznik święceń 1979. Jesteśmy świadomi, że możemy wiele sobie powiedzieć, liczyć możemy na siebie, a równocześnie udało nam się zrobić coś takiego, że nie zazdrościmy tego, co zrobił ksiądz Jerzy. Nie jest on więc dla nas typem modeli, o których słyszymy dziś w mediach. Każdy z nas ma bowiem swoją działkę aktywności i żaden z nas, wydaje mi się, nie czuje zawiści, nie zazdrości. Może gdybym pisał albo był profesorem, byłoby inaczej... (*śmiech*) Każdy natomiast z nas – jeśli można użyć modnego słowa „sukces” – jest po części sukcesem wszystkich. Cieszymy się przeto, kiedy jeden z nas jest człowiekiem, który w jakże piękny sposób przekazuje ludziom Ewangelię czy wykładą.

Tym bardziej że Jerzy sam nie ukrywa tego, że ci studenci, ci magistranci, ci doktoranci, ci wszyscy, którzy go szukają, nie tylko na uniwersytecie – to jest jego parafia. Również wieczory poezji czy inne sposoby jego przepowiadania stanowią proces nieustannego głoszenia Bożego słowa. Oczywiście, to jest pewna tylko forma duszpasterstwa, tak on to widzi. My zaś się cieszymy, że on to tak widzi i najwyżej (nierzadko) „ściągamy” z niego – czasem cytując, a czasem nie. Po jakimś bowiem czasie zaciera się pewna granica i trudno stwierdzić, czy słowo, które wypowiadam, jeszcze jest jego, czy już moje. Ale też staje się tak, że jego światło (przepuszczone przez pryzmat siebie samego – każdego z nas) doprowadza do sytuacji, że jego słowo, myśl, określenie, jego forma głoszenia Bożego słowa – po części już przyswojone – są po prostu nasze.

Był 1972 rok w Krakowie, przy alei Adama Mickiewicza 3. Tam rozpoczęliśmy studia, gdyż wówczas Wyższe Śląskie Seminarium Duchowne istniało właśnie w Krakowie, przypisane papieskiej uczelni na Lateranie. Studiowaliśmy na Papieskim Wydziale Teologicznym wywodzącym się z fakultetu teologii najstarszej

polskiej uczelni, Akademii Krakowskiej (później Uniwersytetu Jagiellońskiego). Wydział Teologii założyła ponad sześćset lat temu, pamiętajmy, Święta Jadwiga królowa Polski, jednak w siermiężnych latach pięćdziesiątych XX wieku teologię z macierzystej uczelni oczywiście wyrzucono. W naszych czasach seminaryjnych wydział był więc już niezależny od państwa. W tej chwili zresztą jest tak samo: Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie (wcześniej Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie, w którą przekształcono Papieski Wydział Teologiczny w 1981 roku) to uczelnia dotowana przez państwo, natomiast funkcjonuje jako niezależna od państwa – jest formalnie uczelnią kościelną finansowaną na zasadach uczelni publicznych. Nigdy dotąd, niestety, wydział teologiczny nie wszedł na nowo w struktury Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Taki jest ogólny kontekst naszego z księdzem Jerzym spotkania.

GABRIELA PARDUBICKA: Podzielił się Ksiądz z nami przed rozmową uwagą, że spotkał się z Jerzym Szymikiem w swoistym „centrum”, które jakoś samoistnie organizowało się wokół niego. Czy w takim razie już w seminarium postrzegaliście go jako osobowość nietuzinkową, wybierającą się?

Na pewno Jerzy przyciągał do siebie wiele osób. Ja natomiast, w porównaniu z dniem dzisiejszym, byłem raczej człowiekiem o wiele bardziej nieśmiałym, niepewnym swojego powołania. Jednak nowy świat, nowa rzeczywistość – Kraków, miał swoją siłę: budował człowieka na nowo. Tak się stało i ze mną, choć miasto generalnie nie było mi obce. Mój tato, z zamiłowania muzyk, bywał czasem na festiwalach muzyki organowej w Tyńcu czy gdzieś w krakowskich okolicach. Były to najczęściej koncerty bezbiletowe, dlatego zawsze zabierał nas ze sobą. Ponadto w Krakowie studiowało dwóch moich kuzynów – jeden na Akademii Rolniczej (tak to się wtedy nazywało, teraz to Uniwersytet Rolniczy), a drugi biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, więc czasem przy okazji ich odwiedzałem.

W każdym razie Kraków był dla nas zawsze miejscem ważnym jako miasto obecności Boga i człowieka. Toteż za dobrą uważam decyzję naszych przełożonych, którzy utworzyli seminarium w Krakowie, żeby nas – ludzi z Górnego Śląska – połączyć z całą historią Krakowa i naszej ojczyzny. To spotkanie kultur: górnośląskiej z Krakowem owocuje, jestem o tym głęboko przekonany, do dziś wielkim dobrem. Zresztą nawet kilku rektorów Uniwersytetu

Jagiellońskiego to byli ludzie z ziemi śląskiej, a poprzedni rektor bodajże pochodzi z Radzionkowa. Z Krakowem łączy nas zatem więź również ściśle intelektualna.

Ksiądz Szymik, o czym myśmy wiedzieli, zdobył w liceum wysokie miejsce na olimpiadzie polonistycznej, zdał więc na studia bez egzaminów. I na pewno w tej dziedzinie o wiele bardziej nas to mobilizowało do dobra: jego poczucie humoru, jego sposób nawiązywania kontaktów, rozmawiania z ludźmi, poszanowania każdego człowieka, jego swoisty humor... Humor księdza Jerzego, co warto podkreślić, ani nie był bardzo ironiczny, ani niszczący kogoś, lecz raczej podnosił człowieka z kłeczek albo z jakichś kompleksów do rzeczywistości, stając się zachętą do wyprostowania pewnych krzywych linii w nas, które dzięki kontaktowi z Jurkiem owocowały lepszą edukacją i wszystkimi tymi podobnymi rzeczami.

Oczywiście, takich wyróżniających się osób w naszym roczniku mieliśmy więcej. Przykładowo ksiądz Antoni Klemens był po szkole muzycznej. Oni akurat szli, tak to widzieliśmy często, razem: Antoni Klemens w dziedzinie muzyki, bo był jedyny na roku, który skończył średnią szkołę muzyczną w zakresie gry na klarnecie, a ksiądz Jerzy bardziej w kierunku języka polskiego. Oni tworzyli dzięki temu uzupełniający się tandem, bo muzyka i słowo najczęściej idą w parze. Również ksiądz Krzysztof Bąk – obecny Dyrektor Caritas Archidiecezji Katowickiej, który od początku doskonale organizował nasze seminaryjne wigilie czy spotkania rocznikowe. Dalej: ksiądz Eugeniusz Krason – historyk, ksiądz Eugeniusz Kurpas... Wiele osób, które reprezentowały wysoką kulturę osobistą i czytanie. Można powiedzieć, że każdy z nich zaszczerpiał w nas coś pozytywnego. To jest tak, jakby się otrzymało szczepionki od wielu osób w różnych dziedzinach: ten na historię, ten na język polski, ten na muzykę, ten na logistykę, ten na organizacyjne sprawy, tamten na bardziej pobożnościowe, ów na misyjne, ekonomiczne czy prasowe. Człowiek był w ten sposób „witaminami” dobrych kolegów wzmocniony. Myślę, że dzięki temu rozwój nas wszystkich wzajemnie był dobry.

Ksiądz Jerzy połączył zresztą wiele elementów. Doskonale grał w piłkę. Pamiętam sytuacje, kiedy on grał też na gitarze, choć w tej chwili nie przypuszczam, żeby się za bardzo do tego przyznawał. Były jednak czasy, kiedy to służyło przekazowi Bożego słowa, ponieważ ewangelizacja młodzieży zawsze była pierwsza. Pamiętam i nasze wspólne wycieczki. W czwartek mieliśmy w Krakowie dzień wolny,

bez zajęć. Zwykle prosiliśmy więc naszych przełożonych, żebyśmy za Kraków mogli wypaść, a najbliżej byli kameduli. Kiedyś bardziej z Henryka Sienkiewicza się ich znało czy z różnych opowiadań i legend... Zwiedzaliśmy okolice, modliliśmy się w tych miejscach, adorowaliśmy Najświętszy Sakrament: u cystersów w Mogile, u wizytek, w klasztorach kontemplacyjnych, we wszystkich klasztorach i zgromadzeniach, których było mnóstwo w Krakowie – od mądrych jezuitów, po pobożnych franciszkanów czy dominikanów. Kiedy się potem cokolwiek studiowało (czy Świętego Tomasza z Akwinu, czy jakiegokolwiek inne pisma, które, jak uważamy, niezmiernie wsparły intelektualnie Kościół katolicki), to ze świadomością, że tam w okolicy są ich duchowe dzieci.

Byliśmy ponadto aktywni kulturalnie. Podziwialiśmy Wita Stwosza z jego ołtarzem w Kościele Mariackim, chodziliśmy do Teatru Starego. A wtedy jeszcze żył Konrad Swinarski, reżyser słynnych Mickiewiczowskich *Dziadów*, które potem komuniści zdjęli, a na których też później byliśmy w kościele Dominikanów; była to ich generalna próba przed wyjazdem gdzieś poza granice Polski. Uczestniczyliśmy w ciekawych spotkaniach – czy z Andrzejem Wajdą w seminarium w czasie studiów, czy z wieloma innymi ludźmi; również z aktorem Henrykiem Bistą, który pochodził z Kochłowic. Oglądaliśmy rzeźby Władysława Hasióra, Józefa Szajny, wiele innych wystaw sztuki współczesnej. Ta nowoczesność, ekstrawagancja harmonizowały i z tym średniowiecznym miastem, i z tymi pięknymi kościołami, i z Karolem Wojtyłą, który wtedy był jeszcze kardynałem. Nas – młodych ludzi, których przełożeni starali się ukształtować, scalając nas w różnoraki sposób – to wszystko (wypadki za miasto, odwiedziny klasztorów i tak dalej) elektryzowało i podnosiło poprzeczkę wyżej.

A ksiądz Jerzy miał to do siebie, że on wszystko potem albo ładnie ubrał w poezję, albo też ładnie opisał – na przykład w gazetkach w seminarium. Bo jeśli jakiegokolwiek tekst trzeba było napisać, to myśmy się zawsze zwracali do niego, łącznie z tym, żeby go poprawił pod kątem poprawności językowej (stylu, interpunkcji i tym podobnych kwestii związanych z polszczyzną). Pamiętam, że kiedyś namalowałem na adwent portret dziewczynki, a on napisał modlitwę adwentową dziecka oczekującego na pamiątkę Bożego Narodzenia – wszak my wszyscy tymi dziećmi Pana Boga jesteśmy. Jerzy wraz z kolegą był zatem odpowiedzialny właśnie za tego typu formy.

Był to człowiek, który nie zrażał ludzi. Nie wiem, czy on mógłby kogoś zrazić – świadomie nigdy, chyba że podświadomie. Docenialiśmy jego poczucie humoru, radość, optymizm, intelekt, zwłaszcza kiedy trzeba było o coś zapytać albo przygotować się do zajęć czy do egzaminu. Często korzystaliśmy z jego notatek, łatwiej nam bowiem uczyło się z jego notatek niż z naszych, bo treści były już przezeń przemyślane, a dodatkowo on je miał zwięzłe i starannie napisane. Podpatrując naszego kolegę, dostrzegaliśmy, że on tak właśnie metodycznie potrafił też radzić sobie z organizacją czasu: było trwanie na modlitwie, był czas na wszystkie elementy związane z humorem, z radością, z optymizmem, zawsze też wokół niego było pełno ludzi. Do tej pory jest człowiekiem zdyscyplinowanym, logicznie poukładanym.

G.P.: Na pewno – wszak na tym etapie życia to naturalne – mieliście jakieś dylematy czy wahania związane z waszym powołaniem. Czy uczestniczyliście we wspólnych rozmowach na podobne tematy, czy ksiądz Jerzy wówczas wspierał was może? Jak to wyglądało? Bo z takich sytuacji też się życie seminaryjne składa, prawda?

Przede wszystkim byliśmy wobec siebie, sądzę, szczerzy. Spotykaliśmy się w różnych okolicznościach: od kręgów biblijnych po ogólne rozmyślanie, które zawsze jest rano jednym z pierwszych punktów rozwijanej w seminarium duchowości – potem dopiero laudesy, czyli modlitwa poranna Kościoła, Eucharystia, potem śniadanie i wykłady. Ale mieliśmy również ważne bardzo spotkania z księdzem doktorem Janem Grzesicą, który był opiekunem naszego roku przez dwa pierwsze lata. Z jego udziałem raz na miesiąc odprawiana była msza święta dla naszego rocznika, a przy jej okazji pojawiała się wymiana myśli, która przypominała burzę mózgów... Można powiedzieć, że to były, choć nie miały wówczas takiej nazwy, swego rodzaju panele dyskusyjne: po południu, po zakończeniu obiadu każdy z nas się wypowiadał, a w ramach studium, kiedy mieliśmy pogłębiać zdobytą wiedzę, odbywały się spacer-y na miasto. Wiele osób wychodziło się po prostu dotlenić – jeżdżąc na rowerze czy grając w piłkę nożną. Sam w piłce nożnej byłem słaby, natomiast ksiądz Jerzy był zawsze w reprezentacji rocznika i seminarium.

To na pewno były rzeczy bardzo dobre, przydatne także w innych sytuacjach. Dzięki takim formom spędzania wolnego czasu odblokowaliśmy się w każdej dziedzinie, wyzbyliśmy się różnych barier

i wspomagaliśmy się wzajemnie w powołaniu, budując szeroką argumentację w kwestiach: jak ja dany problem rozumiem albo dlaczego tak – nie inaczej uważam, albo jak ja próbuję „reformować” – ale nie Kościół cały, tylko najpierw siebie, albo też jak dany konkret widzę jako potencjalny wikary czy późniejszy proboszcz. Ważnym tematem tych rozmów byli zresztą sami kapłani: wymienialiśmy ich zalety, dociekaliśmy, co byśmy ewentualnie sami na ich miejscu zmienili, wskazywaliśmy, co nam się nie podobało u kapłanów, których spotkaliśmy, albo zastanawialiśmy się, w jaki sposób moglibyśmy to poprawić, troszcząc się także w naszych rozmowach nieustannie o rozbudowę elementów związanych z lepszą organizacją życia parafialnego czy z bardziej owocną formą kontaktów z ludźmi, w szczególności z młodzieżą. Uczyliśmy się zaś nade wszystko tego, żeby nie bać się tych ludzi, do których jesteśmy posłani.

Tym bardziej że w Krakowie w naszych czasach studiowało około 30 tysięcy młodych ludzi (dziś ta liczba jest o wiele większa), no i z wieloma spośród tej braci zakowskiej się spotykaliśmy. Nie wszyscy rzecz jasna podzielali nasze poglądy. Kiedy potem nosiliśmy koloratkę czy sutannę, to reakcje na nasze powołanie były różne... Mieliśmy również kolegów, którzy byli do wojska przeznaczeni – szli do wojska „za”, czyli czasem się mówiło: idzie za poglądy wygłoszone przez księdza Karola Wojtyłę w Piekarach albo z jakichś innych podobnych przyczyn. Więc kiedy z nimi przez całe miasto szliśmy, manifestując swoje chrześcijaństwo, śpiewając pieśni, przy pomniku Adama Mickiewicza kwiaciarki obdarowywały tych naszych kolegów kwiatami. I to nas wszystko bardzo scalało.

Szczególnie istotnym momentem jednoczącym była wiadomość, że ojciec księdza Jerzego stracił pracę, ponieważ nie upilnował ideologicznie syna, który – według opinii ówczesnych władz – wymknął się spod rodzicielskiej kontroli. Dodajmy, że to było przed sesją i ojciec Jerzemu o całym wydarzeniu nie powiedział, żeby go nie stresować. Poinformował go dopiero później, żeby syn nie miał stresu przedsesyjnego związanego z sytuacją w domu... Wiedzieliśmy wtedy, że rodzina musiała cierpieć także w sensie materialnym, ekonomicznym, bo to się łączyło przecież niewątpliwie z niższą płacą. I widzieliśmy, że ktoś cierpi w zupełnie wyjątkowy sposób dla Chrystusa. To wszystko po prostu potwierdzało, że warto było w stan kapłański iść.

Sam mieszkalem za Rybnikiem, w Książenicach i skończyłem drugie liceum w Rybniku – wtedy Hanki Sawickiej, teraz Andrzeja Frycza

Modrzewskiego. W czasie wakacji, kiedy czasem na rowerze odwiedzałem dom rodzinny księdza Jerzego, zauważałem, że ów dom zawsze był pełny: u Szymików zawsze było pełno ludzi. Babcia jeszcze żyła i tato, była pani Salomea i Bożenka – wtedy dziecko. Wiedzieliśmy zatem i to, że ich dom ściąga wielu ludzi... To jest niesamowite, że – czy dotyczy to seminarium, czy kolejnych miejsc w życiu księdza Jerzego – zawsze wokół niego ludzie chcieli stać, chcieli być. I to powodowało, że była radość, był optymizm, była nadzieja, była równocześnie prawda w miłości, bo on potrafił zwrócić uwagę, jeśli coś było nie tak, więc można było się wiele przy okazji nauczyć.

Tak jest i teraz. Gdy on na przykład przyjeżdżał z Watykanu, po kolejnej sesji Międzynarodowej Komisji Teologicznej, zawsze go pytałem: jaki temat dominował, o czym rozmawiali, jakie wnioski ogólne wyciągnęli. Szukałem tego, co bardziej było potrzebne w naszej pracy duszpasterskiej, a jednocześnie interesowało mnie, czym zajmują się tak elitarne grupy. Bo jeżeli jest fachowców w tej Komisji około 30, to kardynałów w Kościele mamy wielu więcej, prawda? A tych 30 speców z całego świata wybrano po to, żeby jako ludzie obdarzeni dużą inteligencją, ludzie o szerokiej wiedzy i sporej praktyce mogli przekazać naukę wiary w sposób syntetyczny lub też wskazać istniejący w tym obszarze problem, rozwiązując go dla papieża czy wręcz dla całego Kościoła.

Konfliktu z księdzem Jerzym nie pamiętam żadnego. Byliśmy wspólnie kilka razy na wakacjach. Zapamiętałem na przykład lato spędzone nad rzeką Krutynia na Mazurach. Towarzyszył nam wówczas – nie z naszego rocznika święceń, starszy o rok – obecny wikariusz biskupi, ksiądz Marek Szkudło. Przeżyliśmy dwa tygodnie pełne wrażeń: pływanie, śpiewy, ognisko. Przyłączali się do nas chętnie ludzie, którzy tych naszych pieśni słuchali. Później byliśmy również u znajomych siostr w Rumunii, pracując trochę u nich, odpoczywając, w zamian za co one nas utrzymywały, mogliśmy zatem zwiedzić ten kraj.

To wszystko nas ciągle łączyło i powodowało, że czuliśmy się pewni siebie nawzajem, rozmawiając o Panu Bogu, o człowieku, o powołaniu, o tym, czy jesteśmy na właściwej drodze. Ale w większości każdy z nas czuł, że to jest ta droga i jeśli Kościół potwierdzi tę drogę naszego powołania, to znaczy, że jesteśmy na drodze właściwej. Jeśli do tego dodać świadomość, że wspólnie idziemy dalej, że zdajemy egzaminy, że kształtujemy w taki, a nie inny sposób naszą

formację w seminarium – wszystko to stanowiło elementy potwierdzające, że kierunek, który wybraliśmy, jest dobry.

A koledzy, którzy przekonali się, że tak nie jest, oczywiście pożegnali się z nami. Z niektórymi mamy do tej pory kontakt, tworzą oni fantastyczne rodziny, małżeństwa, są po prostu pięknymi ludźmi. Nawet spośród tych kolegów, którzy po wojsku wrócili do seminarium, dwóch czy trzech wróciło tylko po to, by jeszcze z nami rok w seminarium pobyc. Choć oni już wiedzieli, że nie są powołani do kapłaństwa, że po roku skończą te studia – nie chcieli, by komuniści pomyśleli, że dali się złamać w czasie służby w szeregach wojska. Dlatego zostali: by udowodnić, że tak nie jest. Potem szli na studia świeckie, najczęściej wybierając politechnikę. Byli dyrektorami kopalń, szefami firm, a więc odnaleźli swoje powołanie i teraz są szczęśliwymi małżonkami, dobrymi ojcami rodzin.

Seminarium, można powiedzieć, jest to jak gdyby narzeczeństwo przed małżeństwem. Trwało siedem lat, bo jeszcze wliczał się do tego staż pracy. Wtedy – za czasów biskupa Herberta Bednorza – każdy z nas pracował fizycznie, żebyśmy poznali, jak wygląda praca fizyczna; choć można było w tamtym okresie pracować intelektualnie nawet, jeśli ktoś był po technikum. Każdy z nas zatem pracował gdzieś fizycznie: ksiądz Jerzy na kopalni, a ja z kolegą pracowałem w fabryce samochodów małoditrazowych w Tychach – skręcałem popularne fiaty 126p na linii montażowej. Mieliśmy okazję, by nawiązać kontakt z ludźmi, często naszymi rówieśnikami, żeby wiedzieć, jak wygląda ich zawodowa codzienność. Myśmy tam byli nie tyle ewangelizatorami, ile świadkami Ewangelii, czyli jeżeli nas ktoś o kwestie religijne zapytał, wyjaśnialiśmy je przy jakiejś wyjątkowej okazji, na przykład w kontekście obchodzonego święta. To był główny aspekt, nawiązujący do księży robotników, którzy byli niegdyś we Francji. Później papież widział, że nie tędy droga, jeśli chodzi o rodzaj powołania – żeby kapłan był dokerem w stoczni i proboszczem. Ci księża bowiem nie tyle z czasem zatracali swoje powołanie, ile bardziej sami robotnicy nalegali, żeby oni zajęli się sprawami głównie społecznymi, a mniej religijnymi, więc akcent się przesunął.

G.P.: Studiowaliście w dość trudnych politycznie czasach. Tu i ówdzie jakaś wtyczka prawdopodobnie się pojawiała – słyszałyśmy coś na ten temat... Jak umieliście się w tym znaleźć? Czy może: jak próbowaliście się w tym nie zgubić? W jaki sposób ksiądz Jerzy odnajdywał się w tej

rzeczywistości? Bo na pewno mimo wszystko nie odrzucaliście takiego człowieka...

Myśmy oczywiście nie wiedzieli, kto jest wtyczką, a kto nie. Po jakimś czasie, jak się okazało, jeden z kolegów był wtyczką – został nasłany. Specjalnie wielkim intelektualistą nie był i dlatego często wiele osób mu pomagało, żeby mógł zdać egzaminy. Nikt też się nie dziwił, że i on od Jerzego Szymika brał notatki. Jeżeli się nie mylę, Jerzy musiałby to potwierdzić, nie wszystkie te notatki do niego z powrotem po egzaminie wróciły. Bardzo możliwe, że ktoś je zanościł do Urzędu Bezpieczeństwa, kserował, robił fotokopie czy jeszcze inaczej je dokumentował.

U nas w seminarium nie krzewiliśmy natomiast jakichkolwiek wywrotowych idei antykomunistycznych, bo skupialiśmy się głównie na studiach oraz na formacji intelektualnej i duchowej. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale myślę, że gdyby tamci ludzie przeglądali teksty dostarczane przez naszego kolegę, to oni – czytając nasze notatki z zakresu teologii dogmatycznej, teologii moralnej czy fundamentalnej, z zakresu historii Kościoła lub poznając różne inne elementy teologii – gdyby byli otwarci na Pana Boga, musieliby mieć albo wyrzuty sumienia, albo się wręcz nawrócić. Jeżeli natomiast byli zamknięci na Pana Boga i wykonywali tylko swoją robotę, stali się zwyczajnie zamknięci na Boże światło, nie chcieli wpuszczać Pana Boga do siebie.

Podobnie chyba pani profesor Magdalena Środa mówi: że ona czyta Ewangelię, ale jej to nic nie daje... Bo jeśli człowiek w czasie takiej lektury jest zamknięty i jedynie szuka przysłowiowej dziury w całym, nie jest w stanie otworzyć się na Ewangelię. Pan Jezus mówi: jeśli chcesz, możesz być zbawiony. A jeżeli ludzie z założenia mówią, że zbawienia nie chcą, że rzeczywistość wiary kwestionują, to oczywiście, trzeba pamiętać, Bóg uczynił nas wolnymi. Stąd myślę, że oni by mogli dużo mieć, ale nie chcą chcieć – jak mówił Wyspiański. Oni by naprawdę mogli mieć Pana Boga! Pisał też Mickiewicz mniej więcej tak: wołasz Boga – On często przychodzi po kryjomu i puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu. A oni w domu nie byli, nie otworzyli swojego serca na Pana Boga, Boga nawet nie wołali... Tyle masz z Boga, ile chcesz: „Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera, i każdy z Boga tyle, ile chce, zabiera” – powie w innym miejscu Mickiewicz. Chcesz mało – masz mało, chcesz dużo – masz dużo. Ci ludzie byli na to wszystko zamknięci.

Potem ów kolega został z seminarium wydalony, bo przełożeni wykonali jakieś ruchy, udowodnili mu coś i skończył się kontakt z nim. Nas to jednak za bardzo nie niszczyło, ponieważ wiedzieliśmy, że żyjemy w takim akurat momencie historii. Jeżeli ojciec księdza Jerzego został wyrzucony z pracy, a do naszych domów przychodzili różni panowie, którzy straszili naszych rodziców albo pytali, gdzie to posłali syna, myśmy byli na to odporni. Ale – jako ludzie bardzo młodzi – myśmy albo sobie nie zdawali ze wszystkiego do końca sprawy, albo żeśmy to lekceważyli.

Gdy byłem w Katowicach w domu (byłem wtedy wikarym), a ksiądz Jerzy był wtedy albo jeszcze w Bytkowie, albo już w Chorzowie, pamiętam, że poprosiłem go, żeby pomógł prowadzić rekolekcje chyba na wydziale psychologii Uniwersytetu Śląskiego na Koszutce. Tam moderatorka oazowa prosiła: „Księżę, my tam *momy* strajk okupacyjny i *szukajom* młodych ludzi, żeby te wykłady się odbyły – między innymi księdza profesora Jerzego Szymika” (wtedy, oczywiście, jeszcze nie profesora). I tam portier zdziwiony do nas mówi: „Co wy robicie? Wy się nie boicie???”. A myśmy nie mieli takich lęków.

Wielokrotnie bowiem w podobne sytuacje się angażowaliśmy i czuliśmy się dumni, że możemy reprezentować pewne wartości koloratką właśnie – nawet jadąc pociągiem czy autobusem. Wtedy często ludzie o innych poglądach nas zaczepiali i przekonywali, że szkoda nerwów, czasu szkoda, porobilibyśmy coś innego... Oto w czasie stażu pracy, na przerwie, mojemu koledze taki jeden z pracowników – mistrz od adaptacji się zwał – proponował, że hotel nam załatwią, studia nam załatwią, bo dowiedzieli się, że mój kolega był dobry z historii, teatr dobrze poprowadził w Tychach i tak dalej.

To były oczywiście łakome kąski. Próbowano nas zwerbować albo proponować, żebyśmy zrezygnowali z seminarium, ale myśmy byli zdecydowani, w wyborze swoim utwierdzeni. Nie czuliśmy się zagrożeni. Czuliśmy się pewni w swoim środowisku, byliśmy pewni tego, że to jest jedyna słuszna droga. A komunizm? Trzymaliśmy się zawsze kilka metrów od niego, szanując ludzi, którzy mieli różne poglądy, natomiast co do idei i ideologii zdecydowanie nas komunizm nie przekonał. Potem w pracy duszpasterskiej spotykaliśmy wielu ludzi, którzy na przykład potajemnie chrzcili dzieci albo prosili o uważnienie związku małżeńskiego. Czyli: jedna strona – powiedzmy, wysoko postawiona – nie chciała w ogóle przyjść do kancelarii, ale druga strona, wysyłając dziecko do Komunii Świętej, także chciała przystępować do Stołu Pańskiego, no więc myśmy uważniali te związki tak, jak prawo kościelne nam to umożliwiało.

Ale, podkreślam, nigdy nie czuliśmy ani kompleksu, ani zastrzeżenia. Myśmy się czuli silni w swojej grupie – przede wszystkim tej rocznikowej, ale też ogólnoseminaryjnej. Raczej nie myśleliśmy kategoriami, że może tu czy tam jest „typ”. Wiedzieliśmy, że takie fakty mają miejsce, ale sądziliśmy, że to zdecydowanie jest dalej od nas, niż rzeczywiście było. Zresztą ów wspomniany kolega niespecjalnie mówił, że w seminarium pracuje, że na nas różne opinie zbiera. Pewnie IPN by wiedział, jakie to są opinie, co on tam przemycił, natomiast my nawet nie prosiliśmy, żeby tego szukać...

G.P.: Po tym, co tutaj usłyszałam, mogę stwierdzić, że ksiądz Szymik – i jako duszpasterz, i jako teolog – jest chyba mistrzem dla was jako rocznika. Tak mi się przynajmniej wydaje...

Pamiętam jego rekolekcje dla hipisów, bezdomnych, różnej takiej długowłosej, bananowej młodzieży – jedne w stylu country, inne w stylu flamenco i tak dalej. To się działo w Chorzowie-Batorym, a ja wtedy byłem w Mysłowicach. Co więc robiłem? Wysyłałem młodzież do Chorzowa, żeby chwyciła tę przynętę. Skutek był taki – oczywiście w mniejszym stopniu, na miarę naszych możliwości, z własnym zespołem muzycznym – że to samo, można powiedzieć: przez „pączkowanie”, robiliśmy w Mysłowicach. Witek Wolny tworzył zwykle muzykę do tekstów piosenek napisanych przez księdza Szymika. Te rekolekcje były zupełnie nietypowe. Pamiętam materace, karimaty, śpiwory rozłożone w salkach katechetycznych. W taki właśnie sposób ewangelizowaliśmy. Prowadziliśmy warsztaty religijno-społeczne na różne tematy – od namysłu nad problemem istnienia Pana Boga, przez różne formy modlitwy, formy zaangażowania Kościoła, do spraw związanych z jakimiś kłopotliwymi pytaniami typu: krzyżowcy, problem aborcji czy rozwodów, a przede wszystkim do kwestii relacji między Kościołem i polityką. Mówiąc krótko: było tego sporo.

Pamiętam też, że jeździliśmy do parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa do Niedobczyc na wykłady, których ksiądz Franciszek Otremba był organizatorem. Myśmy tam jechali, żeby wysłuchać cyklu wykładów księdza Jerzego o eschatologii – czyli po naszych zajęciach wieczorem jechaliśmy kawał drogi tylko po to, żeby ładować swój intelekt, wypijając co najwyżej herbatkę i wracając. I myśmy nawet prosili o to, żeby taki temat się pojawił. Później natomiast dopytywaliśmy się regularnie Jerzego tak odnośnie teologii

Benedykta XVI, jak i odnośnie wszystkich spraw związanych z poezją...

Widzę w tej chwili krąg osób, które są duchowymi dziećmi księdza Szymika. To nie tylko dotyczy tych, którzy pisali u niego prace magisterskie czy doktorskie, ale również tych wszystkich, którzy zaczytują się w jego poezji. Byli teraz w górach na granicy słowacko-polskiej harcerze. Na wszystkich przygotowanych przez nich zaproszeniach pojawiły się cytaty z księdza Jerzego, na przykład z wierszy o miłości. To już kolejne pokolenie, które czerpie życiodajne soki z twórczości Szymika! Maciej Szczawiński prowadzi w Polskim Radiu Katowice cykl audycji poświęconych poezji, którą na antenie komentuje. Słuchałem tego w ostatnią niedzielę. Ile ludzi z Chorzowa napisało jakże piękne wiersze, które nie są poszukiwaniem nihilizmu, nie są szukaniem jakichś abstrakcyjnych form, ale stają się dla nich prostym sposobem nawiązania relacji między Bogiem i człowiekiem. Wszak *religio* znaczy „więź” – zatem przez poezję budują ową więź między niebem i ziemią. Mnie się to zawsze bardzo podobało i podoba. A, jak sądzę, to są być może również wnuki tych wszystkich, których Szymik niegdyś katechizował.

Bo jakoś się tak dzieje, że to wszystko pięknie promieniuje, jest przez innych akceptowane i swoście kontynuowane. Podobnie było z pielgrzymkami. Myśmy zawsze z Mysłowic robili jedną rowerową do Częstochowy i jedną pieszą, żeby scalić parafię. Tak samo robił ksiądz Eugeniusz Kurpas z Wodzisławia Śląskiego. Z Chorzowa więc szliśmy w stanie wojennym pieszo do Częstochowy i pieszo wracaliśmy. Dlaczego? Żeby ci ludzie zobaczyli, jak to jest pięknie organizowane, jak są pięknie konferencje zrobione, jak pięknie się modlimy, bo w jedności chrześcijaństwa jest właśnie siła. Ksiądz Jerzy tutaj różne pomysły proponował. Przykładowo do milicjantów, którzy w stanie wojennym kierowali ruchem, wybrało się jakieś piękne dziewczyny, zrywało masę polnych kwiatów i one rzucały się milicjantowi na szyję, obcałowywały go, wręczały mu kwiaty, a on nas przepuszczał w ulicę, którą być może przełożony prosił, żebyśmy nie szli. Pamiętam zaangażowanie osób związanych z piłką nożną. Pan Piechniczek na przykład, kiedy chyba syn jego szedł, też nas witał. To było cudowne, to było piękne. W ten sposób widzieliśmy ludzi, którzy księdza Jerzego otaczają, ludzi dobrze zorganizowanych, dobrze przekazujących Ewangelię, a równocześnie osoby, które nie wstydzą się swej religijności i szanują każdego, kto ma inne

poglądy. Lecz Jerzy, pamiętajmy, zawsze prawdę w miłości potrafił powiedzieć.

I.S.: W pracy naukowej, ale przede wszystkim duszpasterskiej, ksiądz profesor Szymik jest znany jako baczny obserwator oraz doskonały diagnosta współczesnej kultury. Proszę spróbować ocenić, czy ten jego zmysł obserwacyjny, diagnozujący był widoczny już w czasach seminaryjnych lub też potem w waszych pierwszych latach duszpasterskich, czy to jest raczej owoc wieloletniej pracy – w dużej mierze naukowej?

Ja dostrzegałem to od początku. Zawsze był w nim poeta. Jerzego wiersze powstają w jakiejś trattorii albo w jakiejś pizzerii czy w kawiarni. Siedzi, odpoczywając wieczorem, i obserwuje ludzi. I to mu daje pole, źródło do tego, żeby właściwie ponazywać to, co widzi czy też słyszy. Jako że zmysły są trampoliną do tego, byśmy się odbili i wylecieli w eschatologię, jak mówił Święty Tomasz z Akwinu. I on to doskonale rozumie. Sądzę, że ksiądz Szymik ten zmysł obserwacji, poukładania wszystkiego, ponazywania tego, od zawsze – przynajmniej według mnie – posiadał, on ma go chyba we krwi. Nie kryje tego, a wręcz podkreśla, że zmysł obserwacji jest u niego bardzo silny i wyzwala potrzebę owego nazywania, a tym samym porządkowania rzeczywistości. Myślę, że to nie jest nic nowego, że to już było w czasach seminaryjnych, a potem to się rozwijało do takich form, jakie widzimy dzisiaj.

G.P.: Czy spośród opublikowanych przez księdza Jerzego Szymika tekstów wyróżniłby Ksiądz któryś w sposób szczególny – jako ten wyjątkowo zapadający w Księdza pamięć?

Mnie się podoba niezmiernie, gdy w jednym z wierszy (niezwykle odważnym), mówiącym o ocenie tej współczesnej rzeczywistości, pojawia się znak plus i minus¹... Ja, widząc i interpretując rzeczywistość, widzę to dokładnie tak, jak on to ponazywał – czy to w poezji, czy w tekstach, które w „Gościu Niedzielnym” co miesiąc prezentuje. Przeprowadzono z nim też bardzo interesujący wywiad o Miłoszu: zatytułowany *Nie jestem stąd*². To książka, według mnie,

¹ Por. J. Szymik, *W służbie ludzkości*, w: tegoż, *Czułość, siła i drzenie. 50 wierszy z lat 2006–2009*, „Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”, Katowice 2009, s. 14–15.

² *Nie jestem stąd. O chrześcijańskim obliczu twórczości Czesława Miłosza z ks. prof. Jerzym Szymikiem rozmawia Marcin Witan*, post. A. Kosińska, Katowice 2011.

a myślę teraz o polskiej tradycji i kulturze, niezmiernie ważna, bo z niej dowiaduję się wiele rzeczy o Miłoszu, których nigdzie indziej nie znajdę – na przykład o religijności Miłosza, o jego dylematach. Tak ujętej rzeczywistości nigdzie nie mamy, bo cały świat chce widzieć w spuściźnie Miłosza wszystko oprócz Pana Boga. Jakby Pana Boga nie było, jakby Miłosz nic wspólnego z religią, z Panem Bogiem, z chrześcijaństwem, z Kościołem nie miał.

My się zatem cieszymy, że mamy takiego kolegę z roku, który w ten właśnie sposób interpretuje rzeczywistość, tak ją ocenia. Poezja natomiast może nie jest dla niego najważniejszą frazą, ale dla człowieka jest ona zawsze rzeczą ważną. Jerzy zresztą pisze, kto jest jego czytelnikiem: raczej młody, raczej wykształcony, raczej religijny człowiek. Ale już też trochę inaczej wygląda ten odbiorca – Jerzy mówił, że się powoli starzeje, że otaczający go ludzie też są starsi... (*śmiech*) Myślę, że to jest normalne i naturalne. Bo zapewne pojawi się jakiś inny, nowy, młody Szymik, który będzie proponował może w podobny sposób, choć z pewnością inny rodzaj poetyckiego widzenia. To jest również, wydaje mi się, nieuchronne.

I.S.: Spróbujemy spuentować naszą dzisiejszą rozmowę. Pochodzący z Pszowa, z sanktuarium nadziei, Ksiądz Profesor ujmuje ludzi przede wszystkim tym, że sam jest pierwcą nadziei, oczywiście tej chrystokształtnej. Czy można zatem powiedzieć, że od początku swojej drogi życiowej ksiądz Jerzy Szymik, podejmując jakże różnorodne zadania, jest głosicielem prawdy, której na imię Chrystus?

Myślę, że tak, bo to jest pochylnia, po której idzie się ciągle wwyż. Mało tego: on ciągle się wspina. Wspina się i w sensie intelektualnym – w zakresie teologii, swojej pozycji na uniwersytecie, i w sferze poezji. Wystarczy popatrzeć, w jakich nakładach wydaje się jego poezję (a wiadomo, że poezja to nie świeże bułeczki). Oczywiście, proporcje są tutaj kwestią dyskusyjną: zawsze mogłoby być czegoś mniej albo czegoś więcej. Natomiast jego poezja rozchodzi się i jest czytana. Jak wspomniałem, ludzie cytują go przy różnych okazjach, chociażby w zaproszeniach ślubnych albo przy okazji rocznicy ślubu. A ci młodzi to już jest kolejne pokolenie, które to robi, które jest nim zafascynowane.

Przed chwilą pytałem członków naszej Akcji Katolickiej, czy wiedzą, kto to jest Szymik. Oczywiście: wszyscy wiedzieli. Nie o każdym teologu tak się mówi. Większość teologów nie zawędrowała

pod strzechy, pod strzechy umysłów ludzi – on raczej tak. I z tego na pewno należy się cieszyć, że ktoś taki – z jednej strony bardzo uczuciowy, a z drugiej strony logiczny, poprawny ewangelicznie – na naszej śląskiej ziemi ciągle jest obecny.

Co więcej, Jerzy to tak pięknie robi, że potrafi celnie wskazać plusy i minusy naszej śląskości. I za to też jest ceniony. W konferencjach do kapłanów na przykład umie odpowiednio ponazywać to, na co mamy w sobie zwrócić uwagę, żeby nie być ani pyszałkowatym, ani zakompleksionym, żeby mieć to wyważenie.

Muszę więc wyrazić nie tylko własne przekonanie, że ksiądz Jerzy Szymik jest wielkim naszym dobrodziejstwem, a jednocześnie Uśmiechnięta Pani z Pszowa jest zawsze Tą, która nas scala w ukochanym przez nas rejonie pszowsko-wodzisławsko-rybnicko-żorskim. To jest taka część Śląska, która jest już kopalniano-przemysłowa, ale jeszcze bardzo zielona w porównaniu z Chorzowem czy Rudą Śląską. Nawet księża wikarzy, którzy mają dekrety i przychodzą na tę część śląskiej ziemi, widzą tę zieleni...

I.S.: ...i nadzieję. Bo zieleń jest kolorem nadziei.

Z pewnością tak.

Żory, 17 września 2014 roku

Arcybiskup Damian Zimoń

Urodził się 25 października 1934 roku w Rybniku-Niedobczycach. Świecenia kapłańskie przyjął 21 grudnia 1957 roku w Katowicach, święcenia biskupie – 29 czerwca 1985 roku w Katowicach. Od roku 1992 arcybiskup metropolita katowicki. Od roku 2011 arcybiskup senior archidiecezji katowickiej. W latach 1962–1966 był wikariuszem w parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pszowie. Wicerektor Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie w latach 1969–1975. Doktor nauk teologicznych w zakresie liturgiki.

IZABELA SKROBAK: Kiedy Ksiądz Arcybiskup spotkał po raz pierwszy – przyszłego księdza – Jerzego Szymika?

KSIĄDZ ARCYBISKUP DAMIAN ZIMOŃ: Przyszedłem do Pszowa jako wikary w 1962 roku, więc Jurek – wtedy ministrant – miał lat dziewięć. Proboszczem był ksiądz Franciszek Pisula, który sam prowadził ministrantów, co było nietypowe. Chłopcy gromadzili się na probostwie, a Jurek miał już wtedy obowiązek do nich przemawiać. Wspominam i widzę go, jak przemawia; oczywiście, nic nie pamiętam z tego, co on tam mówił, lecz było to wydarzenie charakterystyczne. Był chłopakiem zdolnym, mama go pilnowała, a proboszcz miał tendencję, żeby zdolnych wyłapywać, preferować i przyczyniać się do rozwoju ich talentów. To było moje pierwsze z nim spotkanie.

Choć pamiętam też, jak w piłkę grał na podwórzu z innymi ministrantami. W tym właśnie wieku chętnie gra się w piłkę. To było podwórze między Strażą Pożarną a domem parafialnym. Pamiętam, że grał zawzięcie, ponieważ raz, przypadkowo przechodząc, zauważyłem, że jemu aż pot spływa z czupryny, więc rzeczywiście się angażował. Nie było z nim żadnych kłopotów – zwyczajnie matka go pilnowała, ojciec wtedy żył jeszcze. I pamiętam, że gdzieś tam Bożenka zawsze była koło niego, zawsze spokojna, na drugim planie, ale to było takie uzupełnienie Jurka, który mimo wszystko był

żywy, coś go zawsze interesowało, coś tam zawsze mówił. Chyba nie uczyłem go katechezy; wtedy nie było katechezy w szkole, uczniowie przychodzili do salek parafialnych. Uczyłem klasy starsze. Rocznik 1948 niedawno jeszcze miał spotkanie w Pszowie, to mnie nawet zaprosili.

I.S.: Czy zerwał się kontakt między wami, gdy Ksiądz Arcybiskup trafił na nową parafię?

Z Pszowa przeszedłem do Katowic, do parafii świętych apostołów Piotra i Pawła w 1966 roku, gdzie proboszczem był ksiądz Longin Kozub, pochodzący z Krzyżkowic. Byłem tam chyba około roku. Pewnego dnia przyszedł tam ksiądz biskup Herbert Bednorz i szukał człowieka, który byłby adiutorem starszego, bardzo schorzałego księdza Stanisława Maślińskiego, byłego rektora naszego śląskiego seminarium. Tak zostałem przeniesiony z parafii Piotra i Pawła do parafii mariackiej, w której w latach 1967–1969 byłem adiutorem, zastępcą chorego proboszcza. Po pogrzebie księdza Maślińskiego potrzebowali wicerektora w seminarium – rektorem był wówczas (w roku 1969) ksiądz Stanisław Szymecki. Tam ponownie spotkałem się z Jurkiem.

GABRIELA PARDUBICKA: W tym miejscu chciałabym przywołać wypowiedź księdza Szymika: „Odwołam się do ważnego momentu z własnej biografii. Jest pewien czerwcowy dzień 1972 roku. Jestem świeżo po maturze i zapisuję się właśnie do seminarium duchownego – katowickiego, które wówczas, w latach siedemdziesiątych, znajdowało się jeszcze w Krakowie. Wicerektorem, który mnie przyjmuje, jest ks. Damian Zimoń. Pyta mnie: «Powiedz mi, Jurek (byłem ministrantem, kiedy został wikarym w naszej parafii, stąd mnie już wcześniej znał), dlaczego ty tutaj przyszedłeś?». Moja ówczesna odpowiedź była taka: «Proszę księdza, zastanawiałem się, co mógłbym najlepszego w życiu robić, jak służyć ludziom – i myślę, że właśnie tutaj chcę im służyć». On zadał mi wtedy bardzo ważne pytanie, które do dziś pamiętam: «A co zrobisz z Panem Bogiem? Gdzie tu jest miejsce dla Niego?». Wtedy nie rozumiałem jeszcze tego, ale potem coraz mocniej uświadamiałem sobie, że ta moja motywacja była jakby czysto i wyłącznie humanistyczna, że tam czegoś brakowało, że

*to stało tylko na jednej nodze*¹. Czy później Ksiądz Arcybiskup obserwował, w jaki sposób ksiądz Szymik stawał na tej drugiej nodze?

To rzeczywiście tak musiało być, choć momentu nie pamiętam, bo sporo młodzieńców się przyjmowało wtedy do seminarium. Natomiast rocznik księdza Szymika, czyli rocznik święceń 1979, pamiętam bardzo dobrze. To był rocznik ludzi, którzy mieli pewną indywidualność. W seminarium przebywałem pięć lat (w latach 1969–1975) jako wicerektor, więc niemal całe to przygotowanie Jurka do kapłaństwa obserwowałem.

Nigdy nie stwarzał żadnych problemów, żebyśmy musieli się nad nim zastanawiać, co z nim będzie dalej, czy zostanie i będzie dobrym księdzem, czy nie. Był człowiekiem, który gdzieś tam jakąś poezję uprawiał czy pisał do gazety seminaryjnej – szczegółów też już nie pamiętam. Był bardzo koleżeński, to trzeba przyznać. To się widziało, że się dobrze uczy, że nie stwarza żadnych problemów z kolegami. Gdy był w środku formacji seminaryjnej, w 1975 roku zostałem proboszczem w parafii mariackiej w Katowicach. Musiałem go zatem pierwszy, drugi, trzeci rok formacji seminaryjnej obserwować, widzieć, być z nim. Nigdy nie próbowałem znanych mi chłopców, seminarzystów, jakoś wyróżniać, zresztą nie było takiej potrzeby. Jego natomiast powołanie było bardzo harmonijne, to się wszystko normalnie rozwijało. Jego seminarium więc pozytywnie wspominam.

Koledzy Jurka byli indywidualistami, lecz w dobrym tego słowa znaczeniu. W seminarium jest tak trochę po wojskowemu. Rektorem wówczas był ksiądz Stanisław Szymecki i, owszem, on te zwyczaje francuskie, pełne humanizmu wprowadzał. Na ten czas przypadają także kontakty z kardynałem Karolem Wojtyłą, który czasem przychodził do naszego seminarium, więc myśmy mieli troskę o całość. Tych różnych chłopców, których znałem z parafii, było naturalnie więcej, lecz gdy przeszedłem do parafii mariackiej, kontakty się urwały.

Ale pamiętam już po wyświęceniu Jurka, kiedy był wikarym w Siemianowicach Śląskich-Bytkowie: stał się znanym duszpasterzem młodzieży. Tam w parafii Ducha Świętego miał na pewno bardzo trudne warunki mieszkaniowe – parafia dopiero się tworzyła. A potem przeszedł do starej parafii Wniebowzięcia Najświętszej

¹ *Być dla, czyli myśleć sercem. Z księdzem biskupem Alfonsem Nossolem rozmawia ksiądz Jerzy Szymik, słowo wstępne J. Szymik, Katowice 1999, s. 60.*

Maryi Panny w Chorzowie-Batorym (jej proboszczem był ksiądz Franciszek Gębała). Wtedy wiedziałem, że on się naprawdę dobrze młodzieżą zajmuje. Należałem do komisji diecezjalnej, która opiekowała się seminarium z pozycji diecezji: była to Diecezjalna Rada *Pro Disciplina Seminarii*. Biskup pytał nas czasem, kogo wysłać na studia. Raz, drugi powiedziałem, że – według mnie – na studia mógłby pójść ksiądz Jerzy Szymik. Jakoś wtedy jednak do tego nie doszło. Na parafii więc on był gdzieś sześć, może siedem lat.

Kiedy w 1985 roku zostałem biskupem, był pierwszym księdzem, którego skierowałem na studia specjalistyczne. Był już najwyższy czas na to, bo na studia się posyła po dwóch, trzech latach od święceń. On już był przygotowany w pełni, będąc na parafii lat sześć. Trudno ponadto posyłać na studia specjalistyczne, które dość długo trwają, kogoś, kto ma za sobą 10 czy 15 lat kapłaństwa. Wtedy jeszcze nie myśleliśmy, że nastąpi otwarcie wydziału teologicznego w Katowicach – to był czysty komunizm, minęła epoka Gierka, nie było takich możliwości. Proponowałem mu studiowanie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, bowiem to była podstawowa opcja. Nie było możliwości odbywania studiów za granicą – nie otrzymywaliśmy przecież paszportów.

Najpierw mu proponowałem, skoro był dobrym duszpasterzem, żeby pogłębił temat i żeby poszedł na teologię pastoralną. Ale widziałem, że on nie był tym zachwycony i w końcu wylądował na teologii dogmatycznej. Do końca nie wiem, czy on podpadł pozytywnie u biskupa Alfonsa Nossola, który wtedy był profesorem na KUL-u, czy raczej samemu Jurkowi podobała się dogmatyka albo mu się nie podobała teologia pastoralna, w każdym razie rozpoczął studia z teologii dogmatycznej. Ciekawe jeszcze było to, dlaczego on się zajął Czesławem Miłoszem.

G.P.: Nie obawiał się Ksiądz Arcybiskup tego tematu? Miłosz jednak jest trochę niejednoznaczny...

On miał Miłosza ocenić. Jako wicerektor seminarium prowadziłem niegdyś rekolekcje czy dzień skupienia dla grupy księży, w której Jurek był obecny. Mówiłem wtedy o Miłoszu, ponieważ zupełnie przypadkowo trafiły do mnie – dzięki pewnemu państwu Brygidzie i Tadeuszowi – książki tego poety. Kiedy byłem proboszczem w parafii mariackiej, zostali oni przysłani przez księdza profesora Joachima Kądziele z KUL-u, żebym ich przygotował do sakramentu

małżeństwa. Spotykaliśmy się, bo to była trochę nietypowa sytuacja. A pan Tadeusz miał brata w Nowym Jorku. Oni do Ameryki jeździli i nagle przywieźli mi cały szereg książek Czesława Miłosza, bo to akurat było po Noblu. To, co „Kultura” paryska wydała i co można było kupić w Nowym Jorku, oni przeszwarcowali przez granicę. I to oni mnie zapoznali z Miłoszem.

To było bardzo ciekawe: nikt nie miał wtedy u nas książek Czesława Miłosza, ponieważ były jeszcze nie do zdobycia. Na rekonstrukcjach więc cytowałem alumnom Miłosza, zwłaszcza jego wiersze. Niewiele było w tym czasie literatury religijnej, a okazało się, że Miłosz na ten temat pisał. Szukaliśmy wciąż tych religijnych śladów w literaturze i odczuwaliśmy wielką satysfakcję, kiedy właśnie Czesław Miłosz otrzymał literackiego Nobla. Byliśmy w kraju zamknięci, a nagroda przecież Polskę i literaturę polską w świecie promowała. Sądzę zatem, że jakiś wpływ też miałem na to, że Szymik się zaczął Miłoszem potem interesować. Nie pamiętam, czy mu coś dałem z tych moich książek, w każdym razie wszystkie otrzymane książki mi się rozeszły. Dziś nie mam żadnego egzemplarza z tych kilkunastu подарowanych.

G.P.: Czy często Ksiądz Arcybiskup z księdzem Szymikiem rozmawia i – jeśli może Ksiądz uchylić rąbka tajemnicy – o czym? Nie pytam tu o sprawy jakiegóż bardzo prywatne...

Zawsze z księdzem Jurkiem byłem w dobrych relacjach, ponieważ mnie to interesowało: teologia i literatura. Przede wszystkim on sam starał się literaturę tworzyć, jego książki się stale ukazywały, organizowano spotkania autorskie. Potem, gdy powstał Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego, troską biskupa katowickiego było, by własnych profesorów sprowadzić na ten śląski wydział. Raz, drugi byłem w Lublinie, by spotkać się ze studentami, którzy już po księdzu Szymiku studiowali, gdyż taki miałem obowiązek, a też tam Jurek habilitację robił, dlatego zawsze się z nim jako profesorem spotykałem. Kiedyś zaprosił mnie na prowadzone przez siebie seminarium z dogmatyki. To było naprawdę ciekawe. Studentem był wtedy również Tomek Jaklewicz, inni znani księża i wiele osób świeckich. Kontakt więc zawsze był, to trwało. On zaś się nie mógł wyrwać z tych sytuacji lubelskich, był tam potrzebny. Zresztą księża opolscy nieraz potem pytali, dlaczego ksiądz biskup Nossol swoim następcą nazначzył księdza Szymika, przecież miał także swoich

księży z Opola, którzy w dużej liczbie studiowali, przygotowywani do Uniwersytetu Opolskiego. Potem raz, drugi byłem na kolejnych rocznicach życia czy profesury księdza biskupa Nossola, a gdy tam przemawiałem, zawsze mi Jurek pomagał; on arcybiskupa Nossola bliżej znał, utrzymywali kontakt.

A takim drugim, powiedzmy, śladem kontaktów były odpusty w Pszowie, przy okazji których poznałem jeszcze dokładnie rodzinę Jurka – przede wszystkim mamę, no i rodzinę Bożeny z trojgiem dzieci, czyli Wojtkiem, Michałem i Marysią. Nasze spotkania z okazji odpustów stanowiły taki w pewnym sensie „rumieniec”. I tu mogę powiedzieć o czymś, co bardzo wpłynęło potem na pracę naukową księdza Jurka. Jego rodzina jest bardzo poukładana i bardzo katolicka. To mu też zapewne pomogło być bardzo twórczym poetą, bo miał naturalne środowisko, które staje się w podobnej sytuacji potrzebne. Czasem poeci mają dramatyczne przeżycia, a tutaj u Jurka poezja jest bardzo chrześcijańska, czasem nawet trudna.

G.P.: Może podzielę się refleksją, jak my, świeccy, odbieramy osobę księdza Szymika. Bo wszyscy kochamy księdza Jurka w Pszowie. Dlaczego? Powiedzielibyśmy, że to jest taki ksiądz „nadziejorodny”. On się zawsze uśmiecha, a nawet się śmieje – tak szczerze i szeroko. Sam często powraca do słów księdza Janusza Pasierba: „Jako chrześcijanie jesteśmy odpowiedzialni za poziom nadziei w świecie”², a także przywołuje piękne słowa kardynała Ratzingera: „gdzie nie ma radości, gdzie humor obumiera, tam Ducha Świętego, Ducha Jezusa Chrystusa na pewno nie ma”³. Czy Ksiądz Arcybiskup też go tak postrzega?

W pełni to potwierdzam. Zarówno przy okazji rozmów na tematy teologiczne, jak i ogólne, kiedy jako biskup wiele razy się radziłem księdza Jurka, jak coś rozstrzygnąć: on zawsze jest taki. To jest na pewno łaska Ducha Świętego, ale też wpływ atmosfery rodzinnej. Sądzę, że jest to głównie zasługa jego matki, Salomei. Jemu bardzo także pomogło, że był przez dłuższy czas duszpasterzem – nie poszedł na studia od razu i dzięki temu znalazł personalny kontakt

² J. Szymik, *Teologia w krainie pepsi-coli. Od teologii-nauki do teologii mądrości*, przedm. A. Nossol, Warszawa 1999, s. 65; tenże, *O teologii dzisiaj. Zadania, piękno, przyszłość*, Pelplin 2006, s. 89.

³ J. Ratzinger, *Bóg Jezusa Chrystusa. Medytacje o Bogu Trójjedynym*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 1995, s. 111. Cyt. za: J. Szymik, *Theologia benedicta*, t. 2, Katowice 2012, s. 173.

z młodzieżą. Wiedział, że trzeba rozmawiać, być z nimi, tak humanistycznie – z tą młodzieżą naszą, która nieraz jest dość przygnębiona warunkami życia, trudnościami rodzinnymi, sytuacją polityczną. Pan Bóg nam dał takiego duszpasterza i teologa, i jeszcze poetę. Może go Matka Boża sobie upatrzyła, bo pisze o Niej, a po wtóre, kiedyś teraz ostatnio, gdy śpiewał ksiądz Marcin Wyleżek *Litanie do Matki Boskiej Pszowskiej*⁴, to Jurek, gdyśmy wstali po tej litanii i poszli w procesji do ołtarza przed bazyliką, powiedział: „Przynajmniej tyle na pewno po mnie pozostanie. Ta litania”. I melodia do niej jest bardzo pozytywna. I tego potrzeba. On teologię uśmiechu Matki Boskiej Pszowskiej też wypracował. On przed studiami jako duszpasterz wniknął w tę tożsamość Śląska i tą tożsamością Śląska operuje – w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie tworzy odrębności niewłaściwej, ale tę tożsamość podkreśla.

Pytaniem jest również dla mnie, skąd ma poetycki talent. Bo to jest talent, tego się nie nabywa. Można się nauczyć teologii, można się nauczyć duszpasterstwa, a pisać tyle lat i to takie wiersze na tyle tematów, to jest poważna sprawa. Może te okolice taki właśnie wpływ wywierają? Ksiądz Szymik zaś odkrył nie tylko Czesława Miłosza, lecz także Josepha von Eichendorffa. Gdy teraz czytam jego niektóre tłumaczenia Eichendorffa i chodzę w Kokoszycach po okolicznych polach, to widzę, że tutejsze rejony nastrajają do poezji, do romantyzmu. Eichendorff to romantyk. Krajobraz, atmosfera – mimo kopalnictwa tu jest teren rolniczy – nastrajają człowieka do pewnej romantyczności i cieszymy się, że poezja jeszcze ten akcent naszego życia podnosi.

G.P.: Czy ksiądz Szymik nauczył Księdza Arcybiskupa takiego myślenia o Śląsku, a może Księdzu to myślenie podpowiedział? Bo my wiele wiedzy od niego w tej kwestii nabyliśmy.

No tak, on naprawdę potrafi Śląsk opisać. Przede wszystkim, kiedy pojawiły się pewne przyczyny, dla których poprosiłem jego i panią Alinę Petrową-Wasilewicz, żeby ze mną zrobili wywiad, od razu miałem właśnie księdza Jurka na uwadze. Wiedziałem, że to będzie bardzo serdeczne, że to będzie mądre, że nie będziemy czegoś tam o peryferiach gadali, że dojdziemy do jakichś teologicznych uogólnień. To było dla mnie pewne. Szukałem tylko jeszcze kogoś, kto by

⁴ Zob. J. Szymik, *Litania do Matki Boskiej Pszowskiej*, w: tegoż, *Czułość, siła i drżenie. 50 wierszy z lat 2006–2009*, „Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”, Katowice 2009, s. 119–122.

tę trudną pracę wykonał, bo co innego powiedzieć, pytania dobre postawić, a co innego wszystko uładzić, przygotować dla czytelnika. Tu właśnie pani redaktor Alina się pojawiła.

Poznałem ją, gdy byłem przewodniczącym Komisji Duszpasterskiej Episkopatu Polski, na rokrocznym spotkaniu komisji Episkopatu w Zakopanem. Ona tam kiedyś przyjechała jako wysłanniczka Katolickiej Agencji Informacyjnej, opowiedziała trochę o sobie, skąd się tu wzięła, że jej ojciec pochodzi z Bułgarii, a matka z Polski, że jest po studiach polonistycznych. Oni – ksiądz Jurek i pani Alina – we dwójkę poza tym zrobili dość dobry wywiad-rzekę⁵. Dostałem potem trochę listów i odbyłem nieco rozmów, w których ludzie przekonywali, że ta ich książkowa rozmowa bardzo uspokajała i napawała nadzieją. Widocznie rozmowa ze mną też się im udała, skoro mnie zmobilizowali do tego rodzaju zwierzeń, bo to nie tylko są odpowiedzi na pytania⁶.

Myśmy się kilka razy spotkali, pytań postavili sporo. To było w czasie, kiedy miały miejsce swego rodzaju „napady” na biskupów i próbowano wynajdywać różne o nich rzeczy. Pomyślałem sobie: ja nie mam nic do ukrycia jako biskup i niech diecezja pozna swego biskupa bliżej. Dzieło jest ich wspólną zasługą, lecz przede wszystkim Jurka. On bardzo kładł nacisk na te sprawy Śląska: Henryka Muhlpforta wydobył, Andreasa Gryphiusa, potem mówił o Józefie Eichendorffie, o aktualnych twórcach tutejszej kultury. To Jurek te pytania postawił i na nie się starałem odpowiedzieć. Rzeczywiście z Jurkiem mam jakieś bliższe kontakty.

Tutaj muszę wspomnieć o jeszcze innej, istotnej kwestii. Był chyba rok 2004. Otrzymuję telefon od nuncjusza apostolskiego Józefa Kowalczyka, czy wyrażam zgodę jako ordynariusz diecezji, żeby ksiądz profesor Jerzy Szymik, pracownik wtedy KUL-u, został członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej i to jako jedyny Polak. Na pewno był o to pytany, choć nie rozmawiałem z nim nigdy na ten temat, ksiądz biskup Alfons Nossol, sam jednak chciał dać w to miejsce kogoś młodszego, który by tam coś wniósł.

Iniedawno ksiądz Jurek przesłał mi, już przetłumaczony na język polski, tekst, nad którym w tej Komisji pracował. Szefem Międzynarodowej Komisji był wcześniej kardynał Joseph Ratzinger, potem kardynał William Levada, teraz jest nim arcybiskup Gerhard Ludwig Müller. To było bardzo ważne, że młody Wydział Teologiczny Uniwersytetu

⁵ Mowa o książce: J. Szymik, A. Petrowa-Wasilewicz, *Jak Ślązak z Bułgarem, czyli patchwork prowincjonalny*, Katowice 2005.

⁶ Por. *Ciągle tonę i chwytam Jezusa. Z abp. Damianem Zimoniem rozmawiają Alina Petrowa-Wasilewicz i ks. Jerzy Szymik*, Katowice 2002.

Śląskiego w Katowicach ma w swoich szeregach człowieka, profesora, który pracował w dwóch kadencjach w Międzynarodowej Komisji Teologicznej.

*Teologia dzisiaj. Perspektywy, zasady, kryteria*⁷ – tak brzmi tytuł wspomnianego dokumentu. Został opracowany w dwóch kadencjach Komisji. Naprawdę ciekawa rzecz. Traktuje o tym, czym teologia powinna dzisiaj być, jakie są zasady zajmowania się tą dyscypliną. To rzeczywiście dokument, który nam jest w Polsce potrzebny, bo istnieje tyle wydziałów teologicznych, także na uniwersytetach świeckich, i tę tożsamość teologii trzeba wypracować. Skoro Komisja przygotowywała temat przez tyle lat (a w sekcji Komisji zajmującej się nim był właśnie Jurek), to znaczy, że biskupi z całego świata o to pytali, a teologowie w Komisji formułowali gruntowną odpowiedź.

Pierwszy rozdział to *Słuchanie słowa Bożego*, kolejny – *Trwać w komunii Kościoła*, trzeci – *Zdać sprawę z Bożej prawdy*, w którym chodzi o to, żeby w świecie Boża prawda była w sposób zrozumiały przekazywana. Teologia ma bowiem swoje miejsce wśród tylu nauk, a jest dzisiaj rozbita na wiele nauk pomocniczych. Tutaj jednak jest ukazana jako Boże objawienie, słowo Boże, które należy przekazać ludziom. Trzy tomy Benedykta XVI o Jezusie Chrystusie⁸ są właśnie o tym, co nam Pan Bóg objawia i jak to ma kształtować nasze życie, i to jest na poziomie teologii. Wcześniej w Międzynarodowej Komisji Teologicznej był także kardynał Stanisław Nagy. I rzeczywiście Jurek będzie miał obowiązek, nie tylko wobec naszego Wydziału Teologicznego, ale i wobec teologii polskiej jakoś przedstawić tamte dokonania.

Miał on ponadto przed paroma laty (w roku 2004) rekolekcje dla biskupów. Chodziło o to, żeby wygłosił rekolekcje dla polskich biskupów ktoś z naszej diecezji. Biskupi się gromadzą regularnie – teraz mieliśmy spotkanie w Zakopanem, wówczas odbywało się ono w Częstochowie. Akurat wtedy Jurek wydał *W światłach Wcielenia*⁹ i potem każdemu tę jego książkę wręczyliśmy. Co też zostało dobrze przyjęte, choć jeden biskup zadał pytanie, czy on jako poeta jest ortodoksyjny, i czemu nic nie mówi o Tomaszu z Akwinu... Uwagi przekazałem Jurkowi, ale biskupi byli zadowoleni z jego rekolekcji.

⁷ Międzynarodowa Komisja Teologiczna, *Teologia dzisiaj: perspektywy, zasady, kryteria*, tłum. K. Stopa, Kraków 2012.

⁸ J. Ratzinger/Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu*. Część I: *Od chrztu w Jordanie do Przemienienia*, tłum. W. Szymona, Kraków 2007; tenże, *Jezus z Nazaretu*. Część II: *Od wjazdu do Jerozolimy do Zmartwychwstania*, tłum. W. Szymona, Kraków 2011; tenże, *Jezus z Nazaretu: dzieciństwo*, tłum. W. Szymona, Kraków 2012.

⁹ Zob. J. Szymik, *W światłach Wcielenia. Chrystologia kultury*, Katowice – Zabki 2004.

Ja się bardzo cieszę, że na te specjalistyczne studia go wysłałem. Gdybym go nie wysłał, to by nadal był wikarym, proboszczem, może kimś innym jeszcze, a profesorów wciąż mamy mało. To, że teologia jest obecnie na Wydziale Teologicznym – same panie widzą, co nam to daje. To ma ogromne szanse. Potem jeszcze, gdy byliśmy 13 stycznia 2005 roku z przedstawicielami Uniwersytetu Śląskiego (rektorem, byłem rektorem, prorektorami, prezydentem Katowic) u Jana Pawła II, żeby mu podziękować za teologiczny wydział powołany na Uniwersytecie Śląskim (uczelnia powstała przecież w 1968 roku, więc to jest jeden z młodszych polskich uniwersytetów), papież powiedział, że potrzeba dialogu między teologią a światem i uniwersytet jest właśnie tym terenem, gdzie by ów dialog miał się odbywać. To są, jak mówił Jan Paweł II w swojej encyklice, te tytułowe wiara i rozum – dwa skrzydła, które nas zbliżają do kontemplacji prawdy¹⁰.

Mamy zatem człowieka, profesora, który w skali ogólnokościelnej przepracował temat teologii, jej miejsce i tak dalej. Tak jak wcześniej ksiądz profesor Szymik się zastanawiał, jakie jest miejsce literatury pięknej w teologii, tak tutaj, przez nominację do Międzynarodowej Komisji Teologicznej, poszedł jakby dalej, zastanawiając się, jakie jest miejsce teologii w świecie, wśród nauk. Przedstawił to również bardzo ciekawie, kiedy wygłaszał w roku 2006 wykład inauguracyjny w Uniwersytecie Śląskim¹¹. Powierzenie tego wykładu właśnie Szymikowi to była moja propozycja. Kilka lat wcześniej wykład inauguracyjny wygłosił dziekan Wydziału Teologicznego, ksiądz profesor Wincenty Myszor, a potem padło na Jurka, więc ten wkład teologii w Uniwersytet Śląski jest.

I.S.: Podsumowując naszą rozmowę, musimy stwierdzić, że w pierwszej kolejności zawdzięczamy księdzu Jerzemu owo przełożenie teologii na życie, dzięki któremu same dowiedziałyśmy się wiele o życiu. W tym tkwi wielka wartość profesora Szymika: potrafi ludziom przekazać mądrość – a nie każdy teolog wysokiej rangi to potrafi.

Oczywiście: często takiego słuchamy, a nie wiemy, o czym mówi... To, że Jurek był przez siedem lat wikarym, to mu z pewnością do dziś pomaga.

Wodzisław Śląski-Kokoszyce, 10 grudnia 2012 roku

¹⁰ Por. Jan Paweł II, *Encyklika „Fides et ratio”*, 14 IX 1998.

¹¹ Zob. J. Szymik, *Teologia jako (roz)mowa o Bogu/człowieku*, „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” 2007, t. 40, z. 2, s. 460-465.

Arcybiskup Alfons Nossol

Urodził się 8 sierpnia 1932 roku w Brożcu na Opolszczyźnie. Świecenia kapłańskie przyjął 23 czerwca 1957 roku w Opolu. 25 czerwca 1977 roku mianowany biskupem diecezji opolskiej, 12 listopada 1999 roku – arcybiskupem. Od roku 2009 emerytowany biskup opolski. Profesor nauk teologicznych. W latach 1968–1997 pracownik naukowo-dydaktyczny Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Promotor dysertacji doktorskiej księdza Jerzego Szymika i recenzent jego rozprawy habilitacyjnej. W latach 1977–1997 był kierownikiem II Katedry Teologii Dogmatycznej KUL (przekształconej w Katedrę Chrystologii w 2001 roku), w której ksiądz Szymik pracował od roku 1991 i którą kierował w latach 1997–2005.

GABRIELA PARDUBICKA: Spotkaliśmy się w tym pięknym miejscu – w Kamieniu Śląskim – by porozmawiać o księdzu Szymiku: uczniu Księdza Arcybiskupa. Czy mógłby w takim razie Ksiądz Arcybiskup opowiedzieć o okolicznościach, w jakich doszło do spotkania między dwoma wielkimi kapłanami śląskiej ziemi? Ksiądz Szymik wszak był kapłanem diecezji katowickiej, czyli nie podlegał bezpośrednio Księdzu Arcybiskupowi?

KSIĄDZ ARCYBISKUP ALFONS NOSSOL: Spotkaliśmy się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Ksiądz Jerzy został skierowany przez biskupa Damiana Zimonia na tę uczelnię. Zgodnie z jego życzeniem trafił na moje seminarium i u mnie robił doktorat. Nasze spotkanie było więc konsekwencją decyzji administracyjnych biskupa katowickiego. Ksiądz Szymik miał już magisterium z teologii, by mógł jednak podjąć pracę nad doktoratem, musiał jeszcze zrobić licencjat – wymagany na wydziałach teologicznych stopień pośredni między magisterium a doktoratem. I tenże licencjat, jak i później doktorat, a wreszcie habilitację, zrobił właśnie w Lublinie, pod moim kierunkiem.

Od początku naszej współpracy był wierny badaniom nad związkiem teologii z literaturą. Sam, co od razu zauważyłem, był literacko uzdolniony, stąd nie dziwił mnie obszar jego zainteresowań badawczych. Wręcz bardzo mnie ucieszył, sam bowiem byłem człowiekiem z wielką admiracją odnoszącym się do literatury. Każdą pracę księdza Szymika kończącą kolejny etap naukowy można było określić jako wzorcową, egzemplaryczną wręcz pracę akademicką. Wychodziły one jednak poza ramy czysto akademickich prac, bo odkrywały coraz głębsze pokłady związku teologii z literaturą. Ja to pilnie obserwowałem, współuczestniczyłem w tym i wiele się z tych prac uczyłem.

Swoista, można powiedzieć wyjątkowa, była praca habilitacyjna. Ksiądz Szymik odważył się bowiem podjąć problematykę elementów teologicznych w twórczości Czesława Miłosza. To nie było łatwe zadanie, bo trzeba było całą tę przepastną twórczość przeczytać, zgłębić, wgryźć się w jej pluralizm tematyczny. Było to zadanie niezwykle trudne, jak również nieco ryzykowne z powodu niejednoznacznej identyfikacji światopoglądowej autora. Była to jednocześnie wyjątkowa okazja, ponieważ sam Miłosz mógł się później osobiście ustosunkować do tej pracy. Kiedy noblista odbierał na KUL-u doktorat *honoris causa*, miałem okazję zapytać go o opinię na temat poświęconej mu dysertacji habilitacyjnej mojego ucznia. W czasie tej rozmowy Miłosz nieco wymijająco, a równocześnie radośnie i dowcipnie stwierdził: „Nie wiedziałem, że taki ze mnie teolog”. Stwierdził też, że wiele dowiedział się o teologicznych wymiarach literatury, w tym w swojej twórczości. Muszę dodać, że, jak mi się wydawało, praca poświęcona właśnie teologicznemu wymiarowi jego twórczości sprawiła mu wyraźną przyjemność. Przy okazji tej rozmowy Miłosz wręczył mi kilka swoich książek z autografami.

I tak to – od pierwszego spotkania na KUL-u, poprzez literaturę i teologię – nasza znajomość z księdzem Szymikiem pogłębiała się i przechodziła z wolna w prawdziwą przyjaźń. Jednym z owoców tej relacji był wywiad-rzeka *Być dla, czyli myśleć sercem*, wydany przez Księgarnię Świętego Jacka w 1999 roku¹. Materiał do tej książki zebraliśmy w ciągu trzech dni, w czasie których gościłem księdza Jerzego w Opolu. Rozmawiało nam się bardzo przyjemnie i swobodnie. Później jednak trzeba było nadać tej rozmowie jakąś elegancką formę, czyli wyczelować język i kształt naszych dialogów. Wymagało to sporego nakładu pracy.

¹ Zob. *Być dla, czyli myśleć sercem*. Z księdzem biskupem Alfonsem Nossolem rozmawia ksiądz Jerzy Szymik, słowo wstępne J. Szymik, Katowice 1999.

Dalsze nasze kontakty związane były z moją wizją przyszłej pracy naukowej księdza Szymika. Otóż bardzo mi zależało, by po ukończeniu przeze mnie sześćdziesięciu pięciu lat ksiądz Szymik przejął moją katedrę dogmatyki na KUL-u, ja zaś spokojnie mógłbym wtedy przejść na emeryturę. Wszystko wydawało się sprzyjać moim planom – praca habilitacyjna Szymika była gotowa, została też zatwierdzona przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Wydawało się więc, że spokojniutko mógłbym pożegnać się z KUL-em. W tym miejscu muszę jednak przywołać pewien istotny szczegół.

Otóż ówczesny rektor KUL-u usilnie mnie namawiał, bym jeszcze dwa lata lub chociaż rok pozostał na uczelni. Uświadomiłem mu wtedy, że moje pozostanie na stanowisku wykładowcy, pomimo przekroczenia ustawowego wieku emerytalnego, może wywołać podobne oczekiwania ze strony, będących w podobnym wieku, profesorów innych wydziałów. Zablockowane zostanie w ten sposób miejsce dla młodej generacji naukowej, a to jest niewskazane. Tłumaczyłem, że moja dalsza obecność na stanowisku kierownika II Katedry Teologii Dogmatycznej może nieść niebezpieczne konsekwencje. Powiedziałem rektorowi wprost: „Nie róbmy tego. Wydział Teologiczny musi być dla pozostałych wydziałów swoistego rodzaju przykładem – również w tym ludzkim wymiarze, zwłaszcza że młodzi pracownicy KUL-u to często ludzie mający na utrzymaniu rodziny”. Żeby jednak formalnościom stało się zadość, swoją decyzję dałem mu na piśmie. W uzasadnieniu wskazałem wszystkie te właśnie aspekty. Dodałem też, że Wydział Teologiczny, z powodu przedłużenia mi umowy o pracę, może mieć kłopoty i stać się terenem nagonki. Rektor wszak próbował przekonywać mnie do odwołania decyzji. Lecz ja pozostałem przy swoim, zwłaszcza że musiałem być też czynny na naszym Wydziale Teologicznym w Opolu.

Ale, ciekawy szczegół, o którym muszę koniecznie wspomnieć: ja specjalnie ów list napisałem ręcznie, nie drukiem, po to, by rektora przekonać i by mógł na posiedzeniu Rady Wydziału przeczytać, że jestem zdecydowany odejść. Koniec, kropka. Zaś rektor ów list powielił i rozesłał do wszystkich dziekanów poszczególnych wydziałów. W tym momencie na mnie się strasznie oburzono z powodu stwierdzenia, że po ukończeniu sześćdziesiątego piątego roku życia należy odejść i oddać swoje stanowisko młodym naukowcom, bo tylko w ten sposób nauka może się rozwijać. Mocno też podkreślałem, że sytuacja księdza, który nie ma rodziny, jest inna aniżeli kogoś, kto ma na utrzymaniu dzieci. Ściągnąłem tym ataki na siebie.

Byłem jednak stanowczy w swojej postawie i decyzji o rezygnacji nie odwołałem. Dodatkową motywację stanowił fakt, iż w ostatnim okresie pracy na KUL-u byłem czynny na dwu wydziałach: w Lublinie i w Opolu. Co drugi tydzień dojeżdżałem do Lublina i miałem tam przez dwa dni 14 wykładów. Droga spod katedry opolskiej na dziedziniec KUL-owski to 403 kilometry. Było to niezwykle uciążliwe, szczególnie zimą. Tak więc decyzja o opuszczeniu KUL-u miała swoje liczne uzasadnienia i ostatecznie, zgodnie z moimi planami, nastąpiło rozstanie z lubelską uczelnią po ukończeniu przeze mnie sześćdziesięciu pięciu lat. Przez następne pięć lat skupiłem się na Wydziale Teologicznym naszego Uniwersytetu Opolskiego – pierwszym wydziale teologicznym na państwowym uniwersytecie po 1953 roku.

Natomiast Szymik rzeczywiście objął moje stanowisko – został kierownikiem tej katedry dogmatyki (później przemianowanej na Katedrę Chrystologii). Był pracownikiem KUL-u i równocześnie dojeżdżał do Katowic. Na biskupa Damiana Zimonia naciskano na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego, by Szymika ściągnął tam na stałe. Ksiądz Jerzy z Lublinem jednak był mocno związany. I tam też był niezwykle potrzebny. Ogromnie cenne były jego badania, w których centrum stała teologia rozpowszechniana przez literaturę. Jako wykładowca cieszył się na KUL-u wielkim uznaniem. Miał pośród wszystkich katedr największe seminarium. Kiedy przyjeżdżałem na KUL, to czasem w jego seminarium uczestniczyłem. Pełna sala seminarzystów! I wszyscy chcieli u niego pisać. Oczywiście, przez dłuższy czas nie dało rady być czynnym na obu wydziałach – i w Katowicach, i na KUL-u. Jako że Katowice nalegały, ksiądz Szymik w końcu opuścił lubelską uczelnię i związał się na stałe ze stolicą Górnego Śląska. Jego praca naukowa przyjęła tam jeszcze bardziej intensywny wymiar, nie musiał bowiem tracić czasu na przejazdy. Od tego momentu powstało bardzo dużo jego publikacji, zawsze w jakimś stopniu związanych z literaturą. I w ten sposób teologia „literacko” rozpracowana zatacza coraz szersze kręgi.

W perspektywie naszej nowszej teologii zasługi księdza Szymika są ogromne. Mnie osobiście bardzo na tym zależało, ponieważ ten rodzaj badań naukowych wymaga uzdolnień literackich, a od początku naszej znajomości wiedziałem, że takie ksiądz Jerzy bez wątpienia posiada. Dodać tu należy, że jest to zjawisko dość rzadkie. Teologia bardzo pomaga w tym, co Jan Paweł II zwykł nazywać *Duc in altum!* – „Wypłyn na głębiej”. Literatura była właściwie swoistego

rodzaju łodzią, tratwą, na której teologia systematyczna mogła dojść szerzej do głosu. Szymik w swoich badaniach bardzo ściśle wszystko ujmował, ale ze względu na swoje literackie uzdolnienia potrafił jednocześnie upowszechniać bardzo skomplikowane zagadnienia teologii systematycznej i uczynić je bardziej komunikatywnymi dla szerszego grona odbiorców.

G.P.: Jakie reakcje wzbudził w Księdzu Arcybiskupie wybór Miłosza na materiał badań? Nie targały Księdzem Arcybiskupem wątpliwości? Wszak opcje światopoglądowe noblisty były dość ambiwalentne, często zawłaszczany był też przez środowiska raczej wrogo nastawione do Kościoła. A i sam Miłosz nie krył swojego krytycznego stanowiska wobec polskiego katolicyzmu.

Absolutnie nie obawiałem się tego wyboru. Wręcz przeciwnie – niezmiernie się ucieszyłem, że padło na Miłosza. Oczywiście, zastanawialiśmy się nad wyborem twórczości, która ma zostać poddana analizie naukowej pod kątem jej teologicznego wymiaru. Stwierdziłem jednakowoż, że nie warto szukać w jakichś odległych terenach geografii literackiej, skoro na podorędziu leży dzieło tak głęboko erudycyjne, a przy tym stojące w samym centrum debaty światopoglądowej. Powiedziałem Szymikowi wprost: „Słuchaj, mamy Miłosza, dziś powszechnie znanego, by nie powiedzieć modnego. Ma on specyficzną pozycję, tak na mapie literackiej, jak i politycznej. Skoro teologia ma być bliska człowiekowi, «uziemiona», wybór Miłosza wydaje mi się wręcz potrzebą chwili”.

Mieliśmy świadomość, że jest to dzieło przepastne i będzie wymagało nie lada wysiłku, ale byliśmy przekonani, że trzeba to wyzwanie podjąć. Szymik systematycznie więc zgłębiał Miłosza, robił wypiski, notatki, rozrastające się do potężnych rozmiarów. Było to coś wspaniałego! Zrobił to tak doskonale, że jak już powiedziałem, zadziwił samego Miłosza. W czasie przygotowywania swojej dysertacji gościł kilkakrotnie u Miłoszów w Krakowie. Tam go bardzo radośnie i serdecznie przyjmowali. Z kolei Miłosz – z reguły dumny i obojętny – w czasie rozmowy ze mną okazywał autentyczną radość z faktu, że ktoś tak głęboko wczytał się w niego i „wkopał” w jego myśli zakotwiczone w wymiarze metafizycznym.

Chcę w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że prawdziwego poety, prawdziwego literata bez metafizyki nie ma. Przekonałem się o tym w związku z Tadeuszem Różewiczem. Wiele lat byłem z nim zaprzyjaźniony i on sam zwykł był przez pewien czas twierdzić, że jego

poezja nie ma związków z metafizyką. Potwierdzenie tej deklaracji wydaje się obecne w jego słynnym zdaniu: „Dawniej było życie nie do pomyślenia bez wiary, nadziei i miłości. A dzisiaj człowiek rodzi się bez miłości, żyje bez wiary i umiera bez nadziei”. Kiedy Różewicz na naszym opolskim uniwersytecie został wyróżniony doktoratem *honoris causa*, miał odczyt w bibliotece Muzeum Diecezjalnego. Wygłosiłem wtedy koreferat, w którym wykazałem, że jego twórczość jest bardzo mocno z metafizyką powiązana. Różewicz aż się przeląkł. Powiedziałem: „Drogi panie Tadeuszu, jak ktoś tak integralnie patrzy na życie, musi tę «inność» zauważyć. Zwłaszcza poezja, która jeśli nie idzie w głąb i nie jest zakotwiczona – świadomie czy nieświadomie – w metafizyce, nie jest autentyczną poezją. Nie będzie bowiem w stanie odpowiedzieć na elementarne zagadnienia człowieka – zagadnienia życia i perspektywę przyszłości”.

G.P.: *Ksiądz Szymik wyraźnie mówi: „poezja musi być ciężka, jakaś «ciężarna treścią», gotowa do rodzenia treści ważnych”². Wróćmy jednak do relacji między Arcybiskupem Nossolem – promotorem a księdzem Jerzym Szymikiem – uczniem. Wspomniał Ksiądz Arcybiskup, że relacje wasze stały się nawet przyjacielskie. Czy mógłby Ksiądz Arcybiskup uchylić rąbka tajemnicy, na czym ta przyjaźń polegała? Bo mimo wszystko, z natury rzeczy wpisana musiała być przede wszystkim w relację profesor–uczeń?*

Rzeczywiście, nasze kontakty przerodziły się w przyjaźń. Mocno połączyło nas zamiłowanie do poezji, do literatury. Ja bardzo dużo korzystam z literatury. Nie bez znaczenia był też fakt, że Szymik zna bardzo dobrze języki obce. Od wielu lat przecież on właśnie jest członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej Kongregacji Nauki Wiary. Kiedy zaszła potrzeba, by Episkopat wyznaczył kogoś z polskich teologów, wskazałem właśnie Szymika. Ksiądz Jerzy poznał wtedy bliżej kardynała Ratzingera, zaczął zgłębiać jego myśl teologiczną, którą był zafascynowany. I Ratzinger jego nazwisko zapamiętał. Kardynał się bardzo ucieszył, kiedy mu opowiadałem o naszych pierwszych kontaktach, o tym, co Szymik robił, jak

² J. Szymik, *Wsluchując się w puls swojego czasu. Rozmowa z Katarzyną i Mariuszem Soleckimi, Elvirą Stachovič i Edytą Zarzycką*, w: *Akropol z hołdy, czyli teologia Śląska. 25 rozmów z księdzem Jerzym Szymikiem o Śląsku i teologii, o poezji i kapłaństwie, o Pszowie i podróżach, o życiu i naszym świecie* (rozmówcy: M. Baster, K. Hudzik, A. Jarmusiewicz i in.), wstęp J. Miodek, Katowice 2002, s. 121.

uzdolnionym jest człowiekiem i otwartym na współczesny świat teologiem. To nas łączyło.

Ogromnie mi zawsze zależało na tym, żeby teologia nie była dziedziną w wieży z kości słoniowej, ale by była dostępna szerokiemu i także otwartemu na Boga odbiorcy. Doskonałym przykładem może być tutaj Chesterton, który trudne teologiczne kwestie potrafił tak ubrać w literacki sztafarz, że stały się zrozumiałe dla niewprawionego w teologiczne niuanse czytelnika. Teologia w ten sposób wyrażana staje się atrakcyjniejsza. Dlatego właśnie ludzie posiadający uzdolnienia literackie, a do takich należy nasz ksiądz Szymik, powinni w taki sposób uprawiać teologię, by stała się ona teologią również dla zwykłego, otwartego na prawdę, dobro i miłość człowieka. Bo samo podejście w kluczu hermetycznego języka teologicznego w świecie, który się coraz bardziej sekularyzuje, nie wystarcza. A odpowiednim nośnikiem tych wielkich spraw jest właśnie literatura. I Szymik to świetnie rozumie. Nie ma właściwie żadnego jego tekstu, który by w tej dziedzinie nie miał charakteru – odważam się to jednoznacznie powiedzieć – egzemplarycznego.

G.P.: Przysłuchując się swoistej gawędzie Arcybiskupa, której bohaterem jest ksiądz profesor Jerzy Szymik, nietrudno dostrzec, że spotkanie, które swój początek miało na KUL-u, stało się swego rodzaju przygodą intelektualną. Zaś jej błogosławione owoce splotwały na obydwójga uczestników tego wspólnego wędrowania po ścieżkach teologii.

Szymik był moim uczniem, ale ja – jako jego duchowy i intelektualny przewodnik – również niezmiernie dużo na tej relacji skorzystałem.

G.P.: Czytamy u księdza Szymika: „Jeśli miałbym podać absolutną czołówkę moich osobistych autorytetów, to jednym tchem wymieniłbym: moją Mamę, Jana Pawła II i Arcybiskupa Alfonsa Nossola”³. W innym miejscu o Księdzu Arcybiskupie pisze: „to jest jeden z większych darów, jakie mi było dane w życiu otrzymać”⁴.

Może powodem tej deklaracji jest zaufanie, którym go obdarzyłem? Trzeba mieć świadomość, że habilitacja z zakresu literatury

³ Tenże, *Prolog*, w: tegoż, *Cień rzeczy duchowych*, Wrocław 2005, s. 14.

⁴ Tenże, *Wesoło, czyli smutno. Rozmowa z Kazimierzem Kutzem*, w: *Akropol z hołdy...*, s. 61.

na wydziałach teologicznych jest czymś rzadkim. Teolodzy często obawiają się, że może dojść do jakiegoś literackiego rozwodnienia wielkich treści dotyczących prawd najistotniejszych. Boją się, że odstąpimy od dogmatów, od teologii ściśle systematycznej, że będzie to już taka teologia bardziej ludowa, „ugłaskana”. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że Wydział Teologii w Lublinie zażądał dodatkowego rzeczoznawcę, literaturoznawcę Stefana Sawickiego – prorektora KUL-u, specjalistę od twórczości Norwida, której osobiście również jestem wielkim admiratorem.

Mnie na Norwida naprowadziła poezja biskupa krakowskiego, Karola Wojtyły. On później, jako papież, nie bał się cytować Norwida w swoich encyklikach, mimo iż nie ma zwyczaju, by w tych dokumentach papieskich podawać autora cytacji. Ów talent literacki, jaki charakteryzował Karola Wojtyłę, stał się też darem Szymika. I on ten dar potrafił wyśmienicie wykorzystać. Za to właśnie powinniśmy mu być naprawdę wdzięczni. Ogromnie ważny jest fakt, że w tym kierunku nadal idzie, że nie zakopuje swojego talentu. Szacunek musi też budzić aktywność poetycka księdza Szymika. Wydał już tyle tomików, a ciągle powstają nowe wiersze i to wiersze, które usiłują zgłębić samą istotę współczesnych czasów. Tych czasów zeświecczonych, czasów zsekularyzowanych. Szymik nie boi się wejść w gąszcz dzisiejszego sekularyzmu. Trzeba tu dodać, że sam sekularyzm nie jest niebezpieczny. Niebezpieczny staje się dopiero wtedy, gdy przekształca się w ideologię. Ale sekularyzacja, owo „zeświecczenie”, temu winny jest sam Pan Bóg, skoro odwieczne Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami.

G.P.: Szerokim echem odbiła się książka księdza Szymika „Teologia w krainie pepsi-coli”⁵. On tam wyraźnie mówi tak: „zdecydowanie odradzam obrażanie się na otaczający nas świat”⁶, na tę właśnie tytułową krainę pepsi-coli. Nie gardźmy więc światem pepsi-coli.

W tej właśnie książce wykazana została owa sekularyzacja współczesnego świata. W Szymika pracach naukowych, popularnonaukowych oraz w twórczości literackiej istnieje rozróżnienie między sekularyzacją i sekularyzmem. Sekularyzacja – jak już powiedziałem – to jest coś, co się rozpoczęło wraz z tajemnicą wcielenia. Pan Bóg

⁵ Zob. tenże, *Teologia w krainie pepsi-coli. Od teologii-nauki do teologii mądrości*, przedm. A. Nossol, Warszawa 1999.

⁶ Tamże, s. 13.

Syna swego posyła w świat. Słowo odwieczne staje się ciałem. Bóg się uhistorycznił. Wieczność się uczasowiła. Bóg stał się bliski człowiekowi. I ta bliskość niejako „uziemiła” także chrześcijańską teologię. Na ten fakt zawsze uwrażliwiałem. A Szymik to wszystko przejął i szedł z tym w głąb.

Trzeba podkreślić, że Miłosz bardzo mu w tym pomógł. Niebagatelną rolę w tym względzie odegrała także twórczość naszego górnośląskiego poety Josepha von Eichendorffa. Ta swoistego rodzaju metafizyczna poezja stron rodzinnych, owej małej ojczyzny, ten *Heimat – Dichtung*, one mu również wiele dały. Tutaj zaś należy zaznaczyć, że Szymikowe tłumaczenia Eichendorffa są bardzo oryginalne. Nie jest to przekład dosłowny w sensie werbalnym, ale dosłowny w znaczeniu samej treści, wierny samej istocie, którą w sposób poetycki Eichendorff tak pięknie potrafił wyrazić. Dlatego też tłumaczenia jego wierszy wymagają niezwykle ucha lirycznego i kunsztu poetyckiego. A Szymikowi się to w dużej mierze udaje. Wyakcentuję tutaj raz jeszcze, że mocną stroną jego metody uprawiania teologii – tej naukowej, jak i tej popularnonaukowej – jest właśnie dusza poetycka.

G.P.: Jako naukowiec, badacz ceniący w myśleniu metodyczność i precyzyjność wywodu, nie obawiał się Ksiądz Arcybiskup współpracy z uczniem-poetą?

Absolutnie. I życie pokazało, że miałem dobrą intuicję. Szymik to najkonkretniejszy przykład tego, jak uczeń przewyższa mistrza. Ów uczeń poszedł dalej, mając ku temu sprzyjające warunki. Nie był on bowiem swoją działalnością kapłańską przymusowo ograniczony do sfer codziennej rzeczywistości administracyjnej. Biskup ordynariusz tę codzienność musi mieć stale na uwadze. Wtedy praca naukowa, zwłaszcza ta twórcza, często bywa tylko dodatkiem w wolnych, dostępnych chwilach. Ale nie było wtedy innego wyjścia, bez tego bowiem mojego powiązania pracy naukowej z posługą biskupa ordynariusza nie mielibyśmy najprawdopodobniej tak szybko pierwszego po wojnie wydziału teologicznego na państwowym uniwersytecie.

Obecnie mamy w Polsce siedem takich wydziałów. Wydział Teologiczny Uniwersytetu Opolskiego jednak tę drogę uTOROWAŁ. Jako drugi powstał Wydział Teologiczny na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Opinie na temat powrotu wydziałów teologicznych

na uniwersytety państwowe były podzielone. Niektórzy z arcybiskupów mówili, że „usiłowaliśmy wyzwolić teologię z niewoli babilońskiej. I oto teraz, tworząc wydziały teologiczne na państwowych uniwersytetach, sami teologię w identyczną niewolę znowu wprowadzamy. To jest niebezpieczne. Nie róbmy tego”. Podobne chyba stanowisko przyjmowała kiedyś watykańska Kongregacja Nauczania Katolickiego. Gdyby nie Jan Paweł II, nie mielibyśmy tego wydziału. Kiedy papieżowi przedstawiłem moją wizję uniwersytetu i wkładu, jaki wydział teologiczny może wnieść w działalność uczelni, był nią zachwycony. Rozumiał, jak bardzo taki kształt uniwersytetu jest dla Śląska potrzebny, zwłaszcza dla Śląska Opolskiego.

Musimy tutaj pamiętać, że po wojnie jedyną instancją integracyjną na Śląsku był Kościół. Uniwersytet, z istoty swej – *universitas*, stał się z natury rzeczy drugim ośrodkiem integrującym Śląsk Opolski. Musi on dbać w sposób naukowy o tę integrację. Ale jest też zdany na to, żeby Kościół swoją działalnością przepowiadania słowa Bożego pomagał w tej konkretnej integracji w taki sposób, by oblicze tej ziemi było radośniejsze, bardziej przyszłościowo ukierunkowane, by stawało się miejscem spotkania ludzi rozmaitych poglądów i opcji politycznych. Chodzi po prostu o to, żeby kładł nacisk na tę jedyną „międzynarodówkę”, która po upadku komunizmu nie straciła wartości. Z Listu do Galatów bowiem wiemy, że dla nas chrześcijan już nie ma mężczyzny, kobiety, nie ma Żyda, Greka, wszyscy jesteśmy jedno w Jezusie Chrystusie. W ten właśnie wzorzec myślenia wczuwał się zawsze Szymik, po tej linii szedł. Dlatego też jego poezja i twórczość teologiczna owocują perspektywicznie. A to dlatego, że są one tak mocno zakotwiczone w owej krainie pepsy-coli i tak bardzo zatroskane, by również miała „duszę” i nie zamykała się sama w sobie.

G.P.: Dowodem tego zakotwiczenia jest u księdza Szymika potrzeba bycia na bieżąco z prasą codzienną oraz najnowszą literaturą. Bo, jak twierdzi, jest ona dla niego sejsmografem współczesności. Czy zgodzi się Ksiądz Arcybiskup z tezą, że ksiądz Szymik należy do teologów, kapłanów i duszpasterzy – chyba jednak nie tak licznych – charakteryzujących się słuchem niezmiernie wyczulonym na tę współczesność?

Absolutnie się z tym zgadzam. Do tych sposobów na poznawanie świata przez Szymika dodałbym jeszcze jego zamiłowanie do podróży. On odwiedził różne części świata i wie, co w trawie wspólnego życia piszczy.

G.P.: Ta jego szeroka wiedza o świecie i człowieku współczesnym, głęboka też świadomość pęknięć i lizajów na współczesnym obrazie świata ani przez moment nie rodzą w nim zniecierpliwienia światem czy też pogardy dla niego.

Taką postawę być może przejął od Benedykta XVI, podobnie jak ja ją usiłowałem przejąć. Chodzi o to, by w czasach współczesnej sekularyzacji, owego bezwzględnego zeświecczenia, troska ludzi Kościoła skierowana była przede wszystkim na Bożego człowieka. Musimy bowiem bać się nie o Kościół, ale o człowieka. Bać się o świat. Bo jeśli człowiek się oderwie od Chrystusa – Boga-Człowieka, ztratci swoją godność, a świat może stracić charakter stworzenia. I wtedy ta dalekowzroczna wizja przyszłościowa może właściwie zostać zniweczona. My, ludzie Kościoła, źle rozumiemy, nadmiernie bojąc się o Kościół. A tymczasem jako ludzie głęboko wierzący – a autentyczny teolog musi taki być – mamy przecież zapewnienie, że bramy piekielne go i tak nie przezwyciężą. Ale mogą „przezwyciężyć” człowieka i cały świat. My przede wszystkim musimy się bać nie o Kościół, ale bać się o świat i bać się o człowieka. Teologia, o tym często z Szymikiem rozmawialiśmy, musi być chrystocentryczna, ale zintegrowana antropologicznie. Człowiek jest punktem wyjścia i punktem dojścia. I wtedy ten człowiek, jeśli będzie integralnie ogarniany, zaprowadzi nas do Boga. Wiara wprost prowadzi do Boga, a miłość prowadzi do człowieka. Na tym właśnie polega rozumienie egzystencji jako proegzystencji, „bycia dla”.

IZABELA SKROBAK: Bo, jak mówił Jan Paweł II, człowiek jest drogą Kościoła.

Dlatego też Jan Paweł II, któremu zawsze ekumenizm leżał bardzo na sercu, we wstępnej już części encykliki *Ut unum sit* pisze, że ekumenizm również jest „drogą” Kościoła – tak jak i człowiek nią jest. Ekumenizm jest „imperatywem chrześcijańskiego sumienia”. Szymik od Jana Pawła II przejął także postawę szeroko antropologicznie otwartego chrześcijanina.

I.S.: Ksiądz Jerzy tenże model postugi próbuje wprowadzać w życie. Nasi krajanie, ludzie z Pszowa i okolic, kojarzą go przede wszystkim jako właśnie tego uczonego, który nie boi się wyjść do człowieka i jako ów mądry autorytet przemówić do niego językiem prostym, a jednocześnie głęboko teologicznym. Jest to ogromnie cenne.

Ksiądz Szymik żył tajemnicą teologii esencjalnej Ratzingera, później Benedykta XVI. Obecny Piotr naszych czasów, Franciszek, też musi mu przypaść do gustu, bo usiłuje być bardzo blisko człowieka. Papież Franciszek na każdym kroku pokazuje, co znaczą słowa Jana Pawła II, że człowiek jest drogą Kościoła. Nasz ksiądz Szymik nieustannie zwraca na to uwagę i wszystkie jego prace teologiczne są właśnie dlatego antropologicznie zintegrowane.

G.P.: Czyż nie z takiej wizji teologii bije źródło myślenia Szymika o Heimacie? Mówi on, że „Miłość musi poszerzać serca, otwierać je – nie zawężać”⁷; „Zbawienie dociera do córek i synów «tej ziemi» w kodzie «tej ziemi»”⁸.

Jest to nasza mała ojczyzna. A *Heimat*... No, niestety, nie ma odpowiednika tego słowa w żadnym innym języku. Z powodu braku owego precyzyjnego określenia zmuszeni jesteśmy opisywać pojęcie *Heimatu* jako małą ojczyznę. Prawnicy stwierdzili wręcz, że *Heimat* to pojęcie czysto psychologiczne i nie powinniśmy się nim przejmować, bo nie ma racji bytu. Ale tak nie wolno myśleć, bo nawet Francuzi, chcąc opisać to, co my rozumiemy przez *Heimat*, używają po prostu słowa niemieckiego. Podobnie Anglosasi. I trzeba rzeczywiście mówić o tym *Heimacie*, owej naszej małej ojczyźnie. Trzeba przy tym patrzeć na nią całościowo. Zawsze traktowałem Śląsk jako całość – Górny Śląsk, ten czarny, wiązałem ze Śląskiem Dolnym, zaś klamrę spajającą oba te obszary widziałem w Opolszczyźnie. Ona należała do Górnego Śląska, ale ze względu na usytuowanie historyczno-polityczne była zawsze związana również z Dolnym Śląskiem. W okresie międzywojennym nastąpiła separacja, stąd nie było tego powiązania z częścią katowicką. Do ponownego powiązania Śląska Opolskiego z katowickim doszło dopiero po roku 1945.

Z tą ideą jedności wszystkich części Śląska utożsamia się bardzo mocno Jerzy Szymik w swoich tekstach i wystąpieniach. Dlatego też ją eksponuje w kodzie fenomenu Śląska jako ziemi pogranicza, jako swoistego „trójkąta”, gdzie ścierają się i wzajemnie wzbogacają wpływy polskie, czesko-morawskie i niemieckie. Ja sam doszedłem

⁷ J. Szymik, *Z czego się biorą Ślązacy*, w: tegoż, *Cień rzeczy...*, s. 162.

⁸ Tenże, *Żaba zawsze kałużę znajdzie. O różnicy między Afrykanami a Ślązakami, o farorzech, o słabości gwary i o miasteczku Pszów. Rozmowa w rodzinnym domu w Pszowie z Aleksandrą Matuszczyk-Kotulską, Gabrielą Pindur, Franciszkiem i Przemysławem Kucharczakami*, w: *Akropol z hołdy...*, s. 43.

do takiego właśnie myślenia o Śląsku poprzez literaturę, wielką literaturę dolnośląską. Ona uświadomiła mi, że nasz Śląsk – całościowo wzięty – jest krainą serca myślącego i rozumu kochającego. Andreus Gryphius, poeta z Głogowa, zwykł był mówić: „Przebudź się serce moje i pomyśl”. Zaś nasz podraciborski Eichendorff nakazał swojemu rozumowi uczyć się kochać. A więc Śląsk – kraina serca myślącego i rozumu kochającego. A serce myślące to serce, które uczy nas „bycia dla” i nam podpowiada, że egzystencja człowieka, który mieni się być chrześcijaninem, jest proegzystencją, jest „byciem dla”.

Nasza dzisiejsza rozmowa odbywa się w okresie wielkanocnym, stąd musimy teraz koniecznie zwrócić na to uwagę, że autentyczny chrześcijanin jest właśnie człowiekiem wielkanocnym. Choć w centrum chrześcijaństwa stoi krzyż, na Golgocie się nie mieszka. Krzyż jest drogowskazem ku Wielkanocy. Obok krzyża każdy człowiek żywy przejść musi. Bez krzyża nie ma życia. Krzyż „krzyżuje” wszystkie nasze życiowe plany. Ale krzyżuje po to, byśmy – odbywając trudną, skomplikowaną, po-krzyżowaną czasem pielgrzymkę przez czas do wieczności – o krzyż na Golgocie się oparli. Byśmy nabrali nowych sił, spojrzeli na ten krzyż i zobaczyli, że on wskazuje nam kierunek ku Wielkanocy. I byśmy ku Wielkanocy zawsze szli. Byśmy mogli w końcu tak umocnieni powiedzieć dumnie, troszeczkę kpiąc nawet ze śmierci (co jest niebezpieczne): „Śmierci, nie unos się pychą, bo i ty umrzesz, kiedy my zmartwychwstaniemy”.

I.S.: No i to byłaby owa chrystokształtność, o której ksiądz Jerzy Szymik tyle pisze.

Właśnie, właśnie.

G.P.: W optyce tej chrystokształtności chciałabym powrócić jeszcze do myślenia księdza Szymika o Śląsku. Ksiądz Jerzy – wierny uczeń arcybiskupa Nossola, jednającego kultury przygraniczne, dostrzegającego w Śląsku zwornik między Wschodem i Zachodem – uważa, że „chrześcijaństwo musi być podstawowym kontekstem do myślenia o Śląsku i jest jedyną szansą do uratowania i pomnożenia prawdy o tym fenomenie”⁹. Przed czym chroni takie myślenie?

Przede wszystkim przed izolacjonizmem, przed łzawym sentymentalizmem i małostkową czułościowością. Ale też przed ograniczaniem obrazu Śląska do zwęglonej, hałdowej wizji skupionej w familoku, krupnioku i modrej kapuście.

⁹ Tamże, s. 44.

I.S.: Dlatego ksiądz Jerzy Szymik robi z hołdy Akropol.

G.P.: Ksiądz Arcybiskup w jednej ze swych wypowiedzi wspomina, że mądrość Szymika w myśleniu o Śląsku polega na tym, że nie pozwolił się ukąsić szowinizmowi etniczemu. Czy w takim razie można odczytać Szymikową teologię Śląska jako jasną i jednoznaczną receptę na podnoszące głowę separatyzmy?

Myślę, że jest to właściwy trop rozumienia koncepcji Szymikowej. Musimy być otwarci. Autentyczny Ślązak nie może być szowinistą. Zawsze przecież żyliśmy na kresach, a kresowiaci mają to do siebie, że usiłują rozumieć sąsiadów i wspólnie z nimi czynić świat i człowieka lepszymi.

G.P.: Czy zdaniem Księdza Arcybiskupa można księdza Szymika wpisać w szereg poszerzających horyzonty, mądrych pedagogów śląskich, do których zalicza się między innymi ksiądz Emila Szramka?

Oczywiście. Wpisuje się on jednoznacznie w ten Szramkowy śliczny obraz gruszy zasadzonej na miedzy i owocującej po obu stronach. Tak na Śląsku zawsze było. Dlatego też Ślązak zakapturzony, patrzący na otoczenie przez szowinistyczne okulary, nieznający bądź nieakceptujący skomplikowanych historycznych uwarunkowań nie jest właściwie Ślązakiem. Nie można też powiedzieć, że Ślązak to tylko Polak bądź tylko Niemiec. Tak nie da rady. Ślązak jest kresowakiem. Dlatego zawsze miałem wielką sympatię do kresowiaków ze Wschodu, z którymi doskonale się rozumiałem. Moim nauczycielem tej kresowizny był biskup Adamiuk, lwowiak. On nas uczył prawdziwej historii Polski – nie tej socjalistycznie zacieśnionej, szowinistycznej. On nas uczył otwarcia na drugiego człowieka.

I.S.: Czy można przypuszczać, że tej mądrości kresowej nauczył się również ksiądz Jerzy, szczególnie w Lublinie?

Jak najbardziej. Myśmy tam przecież byli także na „kresach”, a uniwersytet był najbardziej na wschodzie położoną uczelnią. KUL wprowadzał wspaniałą aurę otwartości, którą wszczepiał każdemu, kto tę uczelnię kończył. Taki człowiek nie mógł być człowiekiem zacieśnionym, bo wtedy byłby nieautentyczny. Na ukształtowaniu takiego człowieka bardzo KUL-wi zależało. To był uniwersytet katolicki, a słowo „katolicki” pochodzi od greckiego *kat holon* –

wszechobjęcie. Antynomicznym określeniem byłoby tu pojęcie herezji, a herezja to od greckiego *haireo* – wyciągam cząstkę i ogłaszam ją za całość. To jest herezja. I tak nie wolno na Śląsku robić, bo wtedy stajemy się „szowinistami”. I wypaczamy integralną wizję Śląska.

G.P.: Ślązaków katowickich określił kiedyś Ksiądz Arcybiskup jako większych realistów niż mieszkańców Opolszczyzny. Jak Ksiądz Arcybiskup postrzega w takim razie księdza Szymika, katowickiego Ślązaka, a przy tym poetę, deklarującego swą bliskość ze światoodczuciem Eichendorffa – romantycznego wszak piewcy podraciborskiego krajobrazu?

Szymika cechuje integralne, chrześcijańskie myślenie o Śląsku. Jest w nim miejsce na popularną tradycyjną wizję, jak również na ściśle naukowo-historycznie i zarazem egzystencjalnie ujętą rzeczywistość. Myślę, iż on przejął w pewnym stopniu mój niejako wrodzony zachwyt Eichendorffem i jego rodzajem wrażliwości. Potem jednak poszedł dalej, poszedł głębiej i potrafił to *prioprium silesiacum* wyrazić w języku poezji. Tego ja nie byłem w stanie uczynić. Jego ponadto bardzo ubogacił KUL. Szymik miał głębokie wykształcenie krakowskie, ale na KUL-u zyskało ono uniwersalne otwarcie. I tam właśnie ukochał ten lud śląski i świat pepsy-coli. On wiele podróżował i zawsze, gdziekolwiek jechał, czynił notatki do powstających później wierszy. W czasie tych podróży jego wizja stworzenia w dużej mierze poszerzała się, pogłębiała i w pewnym sensie artystycznie petryfikowała, ale pozostawała zawsze otwartą.

I.S.: W takim razie przybycie księdza Szymika ze wschodu na Śląsk musiało być dla niego równie ważnym etapem życia jak wcześniej związanie się z Lublinem? Nastąpił wszak powrót do korzeni.

I katowicki wydział teologiczny – właśnie w oparciu o ten jego integralizm spojrzenia na współczesną rzeczywistość – bardzo na jego powrocie skorzystał. Szymik nie pozwolił się zacieśnić, zwłaszcza w tym regionalnym wymiarze. Nie każdy jednak jest zdolny obronić się przed lokalnym zacieśnieniem. Bo nie każdy jest uniwersalistą... Być uniwersalistą to znaczy być „obywatelem świata”. Nie każdego na to stać.

G.P.: Ksiądz Szymik nie pozwolił się wciągnąć we wspomniane już ruchy separatystyczne na Śląsku. Czy zgadza się Ksiądz Arcybiskup, że doskonale sobie z tą „chorobą” współczesnego Śląska radzi?

Sprostował doskonale temu zadaniu, a wiemy, że zakusy „separatystów” wobec niego były. Byłby im potrzebny tego kalibru autorytet. Koncepcje Ruchu Autonomii Śląska – autonomia ekonomiczna, owszem, miała miejsce w okresie międzywojennym i była wtedy potrzebna. Teraz, wydaje się, żądanie autonomii Śląska jest posunięciem błędnym. Śląsk nie może być autonomiczny, bo wtedy przestaje być Śląskiem, przestaje być tą częścią Europy, która scala Wschód z Zachodem.

Podkreślałem już, że my jesteśmy takim ogniwem spajającym te dwa sposoby myślenia. Dlatego też w Unii Europejskiej jako wspólnocie ducha, wspólnocie kultury i wartości my, Ślązacy, pełnimy bardzo ważną funkcję: spajamy zracjonalizowany Zachód z rozemocjonalizowanym Wschodem. Stanowimy rodzaj pomostu, na którym te dwa światy się spotykają, a każdy pomost służy łączeniu. By jednak odgrywać tę rolę, musimy po prostu istnieć jako „kładka” zakotwiczona na obu brzegach. Inaczej pomost runie. Wtedy Śląsk – jako taki – rozmyje się. Szymik jako wierny syn śląskiej ziemi uczy jednania ludzi, kultur, regionów. Nie popada przy tym we wschodni emocjonalizm ani nie absolutyzuje zachodniego racjonalizmu. Potrafi właściwie myśleć sercem i umiejętność tę wykorzystuje egzystencjalnie, ucząc swoimi tekstami i postawą, na czym polega „bycie dla”, dla drugiego człowieka, właśnie – proegzystencja.

G.P.: W czasie naszej rozmowy zaakcentował Ksiądz Arcybiskup więź księdza Szymika z kardynałem Ratzingerem, z jego myśleniem teologicznym. Jak przyjął Ksiądz Arcybiskup decyzję księdza Jerzego o tym, że myśl Josepha Ratzingera/Benedykta XVI staje się jego głównym przedmiotem badań?

Bardzo głęboko mnie ta decyzja ucieszyła. Już jest powoli gotowy III tom błogosławionej teologii – *Theologia benedicta*. Szkoda, że sam Ratzinger właśnie jako papież Benedykt XVI już tego dzieła całościowo nie otrzyma. Ale fakt, że Szymik postanowił zgłębić tę myśl, jest bardzo wielką sprawą, bo teologia Ratzingera jest teologią równocześnie esencjalną i egzystencjalną. Jan Paweł II był bardziej fenomenologiem, a Benedykt właśnie jest takim swoistego rodzaju

„oświeconym racjonalistą”. Prezentuje taki esencjalny racjonalizm „oświecony” przez Ducha Bożego. Benedykt wszystko usiłuje esencjalnie określić, to znaczy samą istotę rzeczy. Bez wielkiego opowiadania, bez fenomenologicznego opisu wchodzi w samo sedno rzeczy, określa samą istotę w sposób bardzo zrozumiały i „bliski”. I to właśnie udaje się też Szymikowi – jasnym, a przy tym czytelnym dla szerszego odbiorcy językiem ukazuje głębię refleksji teologicznej Benedykta XVI. Sam Szymik bardzo wiele z tej „błogosławionej” teologii przejął, dlatego może na jej temat pisać i mieć prawo do integralnego, całościowego ujęcia jej istoty.

G.P.: Ksiądz Szymik zachęca nas do czytania samego Ratzingera, który przecież nie teologa może zwyczajnie przestraszyć. A jednak sięgamy i się zachwycamy. To jest wieka zasługa księdza Szymika.

Rzeczywiście, teologia Ratzingera nie jest łatwa. By, jak to robi ksiądz Szymik, pisać o esencjalnych ujęciach Ratzingera, trzeba się zdobyć na swoistego rodzaju megaesencjalność. I stąd *Theologia benedicta* nie jest dziełem popularnonaukowym. To jest dzieło ściśle naukowe, systematyczno-teologiczne. Kiedy Ratzinger napisał swoje *Wprowadzenie do chrześcijaństwa*, my, teologowie, zmuszeni byliśmy wejść w nurt i tajemnicę tych jego ujęć esencjalnych. I takie zadanie stanęło również przed zajmującym się już całym dziełem Ratzingera Szymikiem. Doskonale temu zadaniu sprostał.

G.P.: Na zakończenie chciałabym zapytać o szczególnie piękny, zdaniem Księdza Arcybiskupa, rys osobowości księdza Szymika – o to coś, co spowodowało, że tak mocno zbliżyliście się do siebie, że wzajemnie się inspirujecie?

Mamy chyba podobną wrażliwość. Zawsze widziałem w nim kogoś, kto żyje tą nadzieją, która widzi dalej, miłością, która widzi głębiej, wiarą, która widzi inaczej. I stąd płynie niesłychana radość życia. Bo nic nam się nie zamyka, tylko wszystko się otwiera w kierunku nieskończoności. I choć człowiek staje się coraz to mniejszy, jest coraz bardziej ważny. Taka wizja ma przyszłość, jako że nie zacieśnia, ale człowieka poszerza, otwiera. Ten humanizm, na który stale wskazywał Ratzinger, u Szymika dochodzi do głosu we wszystkich uprawianych dziedzinach teologii. I na tym chyba polegała więź, która się między nami rodziła.

I.S.: U księdza Jerzego widać konsekwencję we wszystkim, w co się angażuje.

On się niemal we wszystko angażuje. Z każdej podróży przyjechał nieco inaczej ukierunkowany, ale to nie było nowe ukierunkowanie, odprowadzające go od istoty wspomnianej już wiary, widzącej inaczej, nadziei, widzącej dalej i miłości, widzącej głębiej. To wszystko mu pomagało tworzyć teologię bardzo dalekowzroczną i przekładać ją na codzienną radość życia. Bo, podkreślmy mocno, smutnego chrześcijaństwa nie ma, byłoby bowiem nieautentyczne. Wszakże krzyż to drogowskaz ku zmartwychwstaniu. Dla nas, chrześcijan, śmierć umarła – żyje Życie.

Kamień Śląski, 2 kwietnia 2013 roku

Ksiądz Tomasz Jaklewicz

Urodził się 14 czerwca 1967 roku w Katowicach. Jest kapłanem archidiecezji katowickiej od 1992 roku. W latach 1995–1998 był wikariuszem i katechetą w parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pszowie. Przyjaciół księdza profesora Jerzego Szymika. Pod jego kierunkiem na seminarium przy Katedrze Chrystologii w Instytucie Teologii Dogmatycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przygotowywał rozprawę doktorską zatytułowaną *Formuła Marcina Lutra simul iustus et peccator jako problem teologiczny w kontekście ekumenicznym*, obronioną 15 grudnia 2003 roku. Od roku 2004 pracuje w redakcji „Gościa Niedzielnego”, od 2010 jako zastępca redaktora naczelnego.

IZABELA SKROBAK: Księżę Redaktorze, bohaterem naszej dzisiejszej rozmowy jest ksiądz profesor Jerzy Szymik. Proszę nam powiedzieć, jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie? Było to spotkanie osobiste – relacja bezpośrednia, czy też może Ksiądz wpierw poznał jego osobę ze słyszenia?

KSIĄDZ TOMASZ JAKLEWICZ: Znałem najpierw księdza Szymika z legendy. Można tak chyba powiedzieć, bowiem w czasach mojej młodości, czyli w latach licealnych, ksiądz Jerzy Szymik był otoczony legendą wyjątkowego duszpasterza, oazowicza. Miał swoją ksywkę: „Bazyl”. Skąd się wziął ten przydomek? Od Bazyliszka, którego siłą był wzrok. Ksiądz Jurek zaś rzekomo mocno się wpatrywał w człowieka. Pierwszy raz zobaczyłem go na żywo podczas rekolekcji ewangelizacyjnych dla mojej szkoły, Liceum imienia Adama Mickiewicza w Katowicach, które odbywały się w krypcie katedry.

Były to rekolekcje ze słynnej serii, kiedy ksiądz Szymik razem z Witkiem Wolnym przygotowywał ich program w różnych rytmach muzycznych: samby, flamenco, reggae czy innych. Zasada była następująca: formułowano jakiś temat i wybierano rodzaj muzyki, który stanowił motyw wiodący, stąd wszystkie rekolekcyjne piosenki śpiewano też w tym stylu. Nie pamiętam, czy on całe rekolekcje

prowadził, ale chyba tak. Wtedy go poznałem – jako uczeń liceum. Pierwszy raz się wówczas zetknąłem z legendą księdza Szymika (*śmiech*).

I.S.: Jakie wrażenia pozostały?

Spodziewałem się – jak to z legendą bywa – czegoś nadzwyczajnego. A to było spokojne kazanie! Tak je pamiętam do dziś: kazanie bez żadnych fajerwerków, biegania z mikrofonem po kościele i tak dalej – tylko spokojny przekaz, bardzo, powiedziałbym, mało ekspresyjny. Taki wówczas obraz księdza Szymika w mojej świadomości pozostał.

Potem słuch o nim zaginął w moim życiu. Po raz drugi się z nim spotkałem, kiedy zostałem skierowany do Pszowa jako wikary w roku 1995: po trzech latach spędzonych w Rybniku. On wtedy bodajże przygotowywał habilitację i miał rok wolny od zajęć na uczelni po perturbacjach zdrowotnych. W Pszowie u mamy mieszkał i pisał, odprawiał także msze, i myśmy się często spotykali – właśnie na mszach w bazylice.

Po mszy ksiądz Jerzy często przychodził na farę na kawę, co stanowiło okazję do ciekawych rozmów na różne tematy. Wtenczas poznaliśmy się bliżej. Wtedy usłyszałem słynne zdanie, że istnieje łaska większa i łaska mniejsza. Większą łaską jest pochodzenie z Pszowa, a mniejszą – praca w Pszowie... (*śmiech*) Kiedyś też zaprosiłem księdza Szymika na oazę modlitwy, którą organizowałem, prosząc go o wygłoszenie konferencji. Pamiętam, że miałem podobne jak niegdyś wrażenie, że to, co mówi, jest takie zwyczajne. Ja tu czekam znowu na jakieś wystrzałowe kazanie słynnego księdza Szymika, a słyszę słowo bardzo przemyślane, krótkie, konkretne. Było o różańcu.

Następnie ważnym etapem był wyjazd na wspólne wakacje. Po roku, gdy do księżowskiego składu w Pszowie dołączył Tomek Wuwer, pojechaliśmy razem na wakacje. Wcześniej troszkę z głupia frant wspomniałem księdzu Jerzemu, że wybieramy się na Sycylię z braćmi Wuwerami. Mówię: „Może by Ksiądz Profesor się wybrał razem z nami?”. A on, ku mojemu zdziwieniu, odpowiada: „Bardzo chętnie. W jakim terminie?”. No i tak się to zaczęło. Jechaliśmy na Sycylię, autobusem do Wenecji, po drodze przeszliśmy „na ty”, dalej samolotem. Tak wyglądały początki naszej przyjaźni. Myślę, że

właśnie tamta wyprawa na wszystkim bardzo zaważyła, bo to była taka podróż...

I.S.: ...inicjacyjna?

Inicjacyjna, jeśli chodzi o naszą relację. Na Sycylii kwaterowaliśmy u znajomych księdza Arka Wuwera. Był rok 1997, rok wielkich powodzi w Polsce i, zwiedzając Sycylię, zastanawialiśmy się, czy możemy tam tak sobie spokojnie siedzieć... Podróż była rzeczywiście piękna, zresztą Tomek Wuwer, świętej pamięci, bardzo nam wszystko zachwalał: i Sycylię, i spotkanie z Morzem Śródziemnym, z kulturą tej części Europy. On bardzo kochał ten świat i to się nam udzielało. Jurek natomiast, jeśli chodzi o wakacje, jest znakomitym człowiekiem. Wszystkim bym polecał takiego kompana! (*śmiech*) Chodzi o charakterystyczny rodzaj humoru, jakiegoś specyficznego luzu, ale też nie brakowało nigdy prowadzonych z nim rozmów głębszych. Takie były początki.

GABRIELA PARDUBICKA: A czego ksiądz Szymik nauczył was w myśleniu o podróży jako rodzaju doświadczenia? Jakiego patrzenia na świat – ten trochę egzotyczny, mimo wszystko?

Pamiętam takie stwierdzenie, choć być może ono nie pochodzi od niego: „podróż kształcą wykształconych”. Jurek w czasie naszych podróży, bo wojaży wakacyjnych było wiele, notował. Zawsze miał swój *heft* i w tym *hefcie* notował różne rzeczy. Zdawało się to dziwne, bo notował nazwy knajp albo ulic, zbierał bilety do muzeum i tak dalej. A z tego, jak się okazało, powstawały później reportaże, które ukazywały się w „Gościu Niedzielnym”, potem te teksty złożyły się na jedną czy drugą książkę, jak chociażby na znany zbiór *Między ziemią a niebem*¹.

W tym akurat tomie znalazły się reportaże ze wspomnianej podróży na Sycylię oraz wiersze – bo zawsze powstawało kilka wierszy, wśród nich jeden dedykowany kompanom podróży, czyli braciom Wuwerom i mnie. Po śmierci Tomka Wuwera w 2000 roku pojawił się ksiądz Marek Gancarczyk jako uzupełnienie składu tych czterech muszkieterów. Teraz zaś zostało nas właściwie trzech. Jeździmy

¹ Por. J. Szymik, *Między ziemią a niebem. Notatki i wiersze z podróży do Ameryki i Francji, do Portugalii i Niemiec, do Grecji i Hiszpanii, na Sycylię, do Borowej Wsi...*, wstęp K. Solecka, Katowice 2001.

zatem we trójkę: z Markiem i z Jurkiem, który od początku uczył takiego patrzenia na świat, że żeby coś zobaczyć, trzeba trochę wiedzieć; że do owocnych obserwacji niezbędna jest pewna wiedza.

Myślę, że ów Szymikowy sposób widzenia łączy się również bardzo z Tomkiem Wuwerem. Oni obaj fascynowali się kulturą śródziemnomorską szeroko pojętą, czyli całym światem kultury, w którym przeplatają się elementy kultury greckiej, rzymskiej i chrześcijańskiej, a to wszystko zanurzone we włoskich klimatach kuchni i krajobrazu – ciepła, słońca, morza... Wszystko to razem stanowi wyjątkową dawkę piękna: piękna architektury, przyrody, ludzi, lecz też piękna Kościoła, bo cała ta kultura jest ochrzczona, przeniknięta chrześcijaństwem: kościoły, obrazy, freski, zabytki, muzea...

W wierszach księdza Jerzego pojawiało się czasem coś, o czym tam żeśmy rozmawiali, co nas dotknęło, co poruszyło, ale nieraz także coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Podziwiam zdolność Jurka do obserwowania świata i wychwytywania zeń różnych niedostrzeżonych przez resztę szczegółów, drobnych zdarzeń, postaci, które potem w jego poezji były obecne.

Książd Szymik nie był moim profesorem w seminarium. Na studiach doktoranckich był promotorem mojej pracy i wykładowcą, lecz wówczas nasza relacja wyglądała już nieco inaczej. Opierała się na przyjaźni (dojrzałej, męskiej), chociaż on jest starszy ode mnie o pokolenie.

G.P.: To pomaga czy przeszkadza?

Jest taka Jurka teoria, że człowiek powinien w młodszy wieku kolegować się ze starszymi, a w starszym z młodszymi. Do mniej więcej czterdziestki powinien się przyjaźnić z człowiekiem troszkę starszym (*śmiech*). Cieszyłem się, że mam takiego promotora, z którym mogę się normalnie przyjaźnić i jednocześnie się od niego uczyć.

Tutaj należałoby powiedzieć o jego wyjątkowej teologicznej wrażliwości, o – jemu właściwym – sposobie przyglądania się światu oczami teologa. Wszystko bowiem jest (może być) inspirujące dla naszego myślenia o Panu Bogu i naszej wierze: to, co dzieje się w świecie, na co patrzymy, co przeżywamy, nawet na wakacjach. Zawsze na naszych wakacjach była obecna nuta, powiedziałbym, zwykła, rozrywkowa, wesoła, jak to na wakacjach. Wytworzyliśmy w naszej grupie swoisty język, mamy wspólne punkty odniesienia,

w jakichś kontekstach używamy słów, które rozumiemy tylko my... Ale też zawsze prowadziliśmy dużo rozmów poważnych: o Kościele, o Panu Bogu, o celibacie, o różnych sprawach, które po prostu sami przeżywamy jako ludzie, jako księża.

G.P.: Dotykaliście spraw, które przeżywał Ksiądz jako człowiek czy jako kapłan?

Tego nie można rozdzielić. Ja tego w ogóle nie rozdzielam, bo kapłaństwo jest przede wszystkim wyborem pewnego sposobu życia, jest czymś więcej niż zawód.

Na urlopie zawsze odprawialiśmy msze, razem odmawialiśmy brewiarz i różaniec w samochodzie, to jest oczywiste. Myślę zresztą, że owo podejsście do kapłaństwa „na sto procent” wszystkich nas, tę właśnie grupę, cechuje. Ja nie mówię, że nie jestem grzesznikiem. Wielkim grzesznikiem naturalnie jestem, ale myślenie o życiu, dojrzwaniu – ono się odbywa w kontekście bycia księdzem. Podobnie, przypuszczam, mężczyzna dojrzewa w małżeństwie (do bycia mężem, do bycia ojcem) przez odpowiedzialność. Również ksiądz: przez swoje doświadczenie (bycie wikarym, proboszczem, doktorantem, profesorem) dojrzewa.

Jurek jest człowiekiem, który bardzo mi pomógł i nadal pomaga – jako człowiek głęboko wierzący i ksiądz w głęboki sposób przeżywający swoje kapłaństwo. Nieraz mi pomógł w momentach moich wahań, trudności czy kryzysów. To on zawsze dodawał i dodaje mi ducha, to znaczy mobilizuje mnie, pokazuje jasną stronę życia, w krytycznych chwilach jest podporą, skałą. Wiem, że gdyby coś się działo, pójde właśnie do niego.

G.P.: Czyli jest jakaś łaska w Księdza życiu?

Oj, zdecydowanie. Ja w ogóle myślę o ludziach w kategoriach łaski. To jest jedna z najpiękniejszych rzeczy w kapłaństwie. Nie wiem, czy w życiu świeckim też tak jest – to zależy od zawodu pewnie. Gdy ktoś jest pielęgniarką czy lekarzem także mu się tysiące ludzi przewija przez życie. Z kolei gdy my, księża, zmieniamy parafie, miejsca posługi, owa wędrówka staje się zawsze, przynajmniej dla mnie, doświadczeniem piękna ludzi, których spotkałem.

I.S.: To jest swoista podróż chyba?

Można tak powiedzieć. Nieustanne zmiany mają też, oczywiście, swoje minusy, gdyż człowiek nie jest w stanie ciągle zaczynać od nowa.

Dla mnie było to szczególnie trudne w szkołach. Tylko przez siedem lat katechizowałem w szkole. Ale w pierwszym roku uczyłem w trzech szkołach, potem w Pszowie tylko w jednej – zawodowej, lecz w Bogucicach znowu w dwóch, czyli razem pracowałem w sześciu szkołach przez siedem lat. To nie jest łatwe, bo za każdym razem trzeba zaczynać od zera, niczego się nie zna i to jest męczące.

Natomiast ludzie są dla mnie łaską. Mam kilka osób bardzo bliskich, dosłownie można ich policzyć na palcach jednej ręki, które silnie wpłynęły na moje życie w sposób bardzo pozytywny, uformowały mnie. Wśród nich Jurek znajduje się zdecydowanie w czołówce, jeśli nie na pierwszym miejscu.

G.P.: Proszę nam jeszcze odświeżyć swoją historię pisania doktoratu. Czy Ksiądz sam wybierał promotora i temat, czy odwrotnie – Ksiądz wybrał ksiądz Szymik?

Kiedy byłem w Pszowie, dużo rozmawialiśmy o teologii. Zapamiętałem to jako swego rodzaju zderzenie. W dyskusji bywałem nawet agresywny. Mocno działałem w oazie, więc do pewnych „nieortodoksyjnych” postaw oazowych miałem krytyczne nastawienie. Tak mi się zaś kojarzył Szymik, że kiedy on swoją oazę tworzył w Chorzowie i w Bytkowie, odchodził troszkę od, nazwijmy to, ściślej ortodoksji oazowej, od pewnych zasad. O tym żeśmy dyskutowali, lecz w tle była również kwestia samej teologii: czym ona w ogóle jest.

Jurek ukazał mi problem z innej strony, a mianowicie tłumaczył, że teologia ma służyć duszpasterstwu. Bo, trzeba pamiętać, funkcjonuje obraz teologów jako ludzi, którzy coś piszą i mówią, jednak nie wiadomo dokładnie co... (*śmiech*) On natomiast mi pokazał, że ważna i potrzebna jest tylko taka teologia, z której inspiracje płyną do duszpasterstwa i która sama jest duszpasterstwem.

Zresztą sam zawsze chciałem jeszcze postudiować, gdyż lubiłem się uczyć. Ale byłem trzy lata w Rybniku, trzy lata w Pszowie, a potem trafiłem do Bogucic. Tam ostatecznie powiedziałem sobie: „Właściwie co mi szkodzi? Pójdę do biskupa i powiem, że chcę studiować”. Fama księżowska głosiła wprawdzie, że nie wolno tak robić,

bo na studia posyła biskup. Pomyślałem: „A co mi szkodzi: jak mnie biskup nie pośle, to mnie nie pośle, ale spróbować można”.

Zebrałem się na odwagę i poszedłem do arcybiskupa Damiana Zimonia, który był moim dawnym proboszczem, a na dodatek znał Jurka. A Jurka i arcybiskupa Zimonia wiążą specjalne wręcz relacje... (*śmiech*) Ponadto dochodziła jeszcze kwestia powstawania wydziału teologicznego w Katowicach – biskup miał na uwadze wzmocnienie kadry profesorskiej. No i biskup się zgodził. Ja chciałem iść na dogmatykę, a on wołał ekumenizm... Ostatecznie poženiliśmy wszystko: ekumenizm z dogmatyką. To było dla mnie zwyczajnie też piękne: czułem, jakbym prezent dostał od Pana Boga, bo poznałem Jurka w Pszowie, tam żeśmy się zaprzyjaźnili, a kiedy zaproponowałem, abym studiował u niego, on się na wszystko zgodził.

G.P.: Wiemy, że pewną rolę w tej sprawie odegrała Profesora mama, pani Salomea Szymik. Opowiadała nam, że po prostu zwróciła w Pszowie uwagę na księdza Jaklewicza (brała udział w katechezie dorosłych) i podzieliła się tym spostrzeżeniem ze swoim synem...

(*śmiech*) A to muszę jej dodatkowo podziękować. Bardzo cenię panią Salomeę.

Decyzja biskupa była dla mnie naprawdę dobra, bo po siedmiu latach pracy w katechezie i na parafii byłem nieco wypalony. Zaś cztery lata w Lublinie pamiętam jako bardzo piękny czas. Mogłem przeżyć swego rodzaju drugą młodość. Pamiętam spotkanie z Czesławem Miłoszem zaraz w pierwszych dniach pobytu – to był inny świat. Bo z frontowego duszpasterstwa, ciągłych zmagających i walk z ósmoklasistami, wszedłem w świat nauki.

Lublin na duchowej mapie Polski jest pięknym miejscem. Na KUL-u studiuje dużo ludzi ze ściany wschodniej, ludzi prostych, głęboko wierzących, co stanowi idealne połączenie: i nauka, i wiara, i autorytety – wszystko jest tam w bardzo dobrych proporcjach. Zaangażowałem się w Lublinie w oazę. Prowadziłem wspólnotę oazową, do której należeli ludzie z całej Polski. Dla mnie to było zupełnie nowe doświadczenie, bo ze studentami nie pracowałem nigdy wcześniej.

Przyjaźń z Jurkiem też tam mocno owocowała. On prowadził słynne seminarium naukowe. Myślę, że to kolejna ważna cecha Księdza Profesora, naszego bohatera: jego seminarium jest, powiedziałbym, wielowymiarowe. Opiera się nie tylko na samej pracy naukowej, lecz

dla niego jest zawsze związane z prowadzeniem ludzi, którzy go tworzą. A ponieważ ja, będąc doktorantem, uczestniczyłem w seminarium jako ksiądz z pewnym doświadczeniem, myśmy na tej samej fali nadawali wobec studentów. Były wspólne naukowo-integracyjne wyjazdy raz w roku w różne miejsca, swoiste dni skupienia – i w nie się angażowałem.

Spotkałem tam wielu bardzo sympatycznych ludzi. Bo Jurek przyciąga do siebie ludzi pięknych. Te znajomości, przyjaźnie przetrwały i to też bardzo istotne. Podobnie jak samo studiowanie, słuchanie Jurka-wykładowcy, zrozumienie jego sposobu patrzenia. Myślę, że ono jest bardzo oryginalne na tle innych wykładowców czy profesorów. To Szymikowe podejście stanowi połączenie poezji, piękna, ale i nastawienia duszpasterskiego, nie stając się tylko nauką dla nauki. Albowiem to taka teologia, która zawsze dotyka życia i odpowiada na egzystencjalne pytania ludzi. To jest bardzo ważne – to łączenie.

G.P.: Czy podziela Ksiądz naszą opinię, iż przyjaźń z Profesorem jest wymagająca? Że to nie tylko wypicie wspólnej kawki, ale też dzielenie się ciekawą lekturą, humor, dyscyplina czasowa...

Tak. Dyscyplina Profesora jest podziwu godna. Sam pochodzę z rodziny *krojcowanej*, czyli tata *gorol*, a mama *Śląaczka* – taka *echt*, zresztą Bednorz z domu (*śmiech*). Dlatego mówię, że mam domieszkę gorolskiej krwi; zawsze jestem pięć minut po terminie, nie strasznie dramatycznie, ale bywa, że się pięć minut spóźnię. U Jurka to wszystko jest rzeczywiście dopracowane.

Wracając do pytania: czy przyjaźń z nim jest wymagająca? Pamiętam, że raz przeżyłem moment trudny. Zwrócił mi uwagę na moje niestosowne słowa, co było dla mnie trudne, ale też cenię to sobie. Istnieje bowiem delikatna granica dla Profesora: choć jesteśmy przyjaciółmi, ważne jest, żeby nie zburzyć połączenia bliskości i autorytetu. Dla mnie każde spotkanie z Jurkiem jest niezwykle twórcze. Zresztą, dziś wszystko rozgrywa się już na innym etapie życia. Między mężczyznami (u kobiet wygląda rzecz chyba inaczej) generalnie jest tak, myślę, że ważna jest wspólnota poglądów. Mamy podobne, a nawet wspólne fascynacje – związane na przykład z Benedyktem XVI, odznaczamy się pokrewną wrażliwością w sprawach relacji do płci pięknej. W wierszach Jurka jest obecna nuta fascynacji kobietą i niespełnienia związanego z celibatem, i akurat tu odnajdujemy także porozumienie.

Celibat jest sprawą trudną. Mówi się, że księża nie mają rodziny po to, by mieć więcej czasu, by móc wszystkich kochać. Myślę, że rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Z celibatem ksiądz ma całe życie jakiś kłopot, coś go uwiera, ciągle się go uczy, dojrzewa... I z tym wiąże się jakiś rodzaj cierpienia. W tym sensie, że mężczyzna-ksiądz ma jakiś brak i różnie z tym sobie radzi. Generalnie celibat służy temu, żeby kochać bardziej Kościół, Pana Boga. Ale łatwiej to powiedzieć (może zbyt łatwo), trudniej realizować... I ten temat bardzo nas zbliża. Bardzo dużo w tym zakresie nauczyłem się od Jurka i ciągle się od niego uczę. To jest dla mnie wzruszające: że istnieje między nami wspólnota w spojrzeniu na wiele spraw, że my się rozumiemy bez słów. Czytamy na przykład gazety i kiedy rozmawiamy, okazuje się, że tak samo oceniamy tekst, który się nam podoba i taki, który krytykujemy. Mamy podobne odczucia.

G.P.: Nawet piszecie podobnie. Czytając Księdza artykuły, często dostrzegam frazy z Szymika...

Nie przeczę. W swoich artykułach, zwłaszcza na początku mojej pracy w „Gościu Niedzielnym”, cytowałem wiele myśli Jurka – i z jego wierszy, i z esejów, i z teologii. Tak jest zresztą do dziś i się tego nie wypieram.

Nigdy nie przypuszczałem, że będę pracował w gazecie. Plan był bowiem taki, i to już zaawansowany (pojawił się na pewnym etapie naszej lubelskiej współpracy), że ja miałem zostać na KUL-u i pracować jako asystent...

G.P.: U księdza profesora Szymika właśnie?

Tak. To znaczy pierwotnie miał się na tym miejscu pojawić ktoś inny, o czym Jurek od razu mi powiedział. On jest bardzo przejrzysty w relacjach z ludźmi, unika niedomówień. Szybko odpowiada na maile, pamięta o tym, co obiecał, szanuje studenta i tak dalej. Podziwiam tę rzetelność, słowność, punktualność w relacjach z ludźmi.

Od niego uczę się poważania dla każdej sprawy, choć tych spraw są tysiące i ciągle ich przybywa. Jest tak chociażby w pracy dziennikarskiej. Ludzie piszą listy na papierze, listy mailowe, wciąż jakieś terminy, sprawy, teksty do napisania. Dużo tego. Ale człowiek, który się do mnie zwraca, nie wie tego, on ma tę swoją ważną sprawę. Czasami trzeba komuś odmówić. Jurek nauczył mnie, że nawet kiedy się odmawia, to trzeba pamiętać, żeby nikogo nie potraktować nonszalancko,

w sposób raniący. Zawsze trzeba uwzględnić wrażliwość drugiego człowieka, a jednocześnie mówić prosto o swoich przekonaniach.

G.P.: Ksiądz zwyczajnie czuje się wciąż jego uczniem?

(śmiech) Tak, zdecydowanie.

G.P.: Czy mógłby Ksiądz wskazać zatem specyficzną cechę czy wartość, którą podarował Księdzu ksiądz Szymik – w wymiarze czysto ludzkim, ale i w wymiarze ściśle teologicznym, myśląc o teologii jako o nauce? Pytając, mam naturalnie świadomość, że nie można tego zdecydowanie i jednoznacznie oddzielić.

W wymiarze czysto ludzkim to zwracanie uwagi na wspomniane szczegóły (odpowiadanie na telefony, maile, terminowość), bo w tych drobiazgach kryje się miłość. Jest taki wczesny wiersz Jurka, odwołujący się do jego ojca, notującego sobie na małych karteczkach – gdzieś one były regularnie przyczepiane: naprawić rynny, kupić kurczęta... Właśnie w tym wyraża się miłość. Tego mnie nauczył na pewno.

Druga rzecz jest też chyba bardziej ludzka. Pamiętam, że jako wikary, taki nieopierzony jeszcze, przeczytałem jego wiersz w „Gościu Niedzielnym”, wiersz chyba z Portugalii. I po lekturze mówię (nie wiem dokładnie, czy wówczas zwracaliśmy się do siebie po imieniu): „Jurek, ale o czym jest ten wiersz? Tu jakaś woda chlupocze, tu coś płynie... O co tu chodzi?”. A on na to: „Zaproś mnie na kawę, to pogadamy”. I zaczął mi opowiadać. To był wiersz chyba o opactwie: tam był jakiś ciek wodny, rzeka płynęła przez kuchnię, a mnisi ryby łowili prosto do kuchni... Ów obraz wprowadził mi się zacierą, lecz nigdy nie zapomnę, że gdy mi poezję sam poeta zaczął wyjaśniać, dopiero wówczas nauczyłem się wrażliwości na słowo i w jakimś sensie rozumienia poezji, procesu czytania.

Sprawa wygląda tak, że człowiek w szkole, kiedy w ogóle niewiele wie, uczy się różnych rzeczy, czyta wiersze, arcydzieła (*Romeo i Julia* czy *Pana Tadeusza*) i tak dalej. Niewiele jednak wtedy do niego dociera, gdyż przyswaja treści, o których nie ma kompletnie pojęcia, bo nie ma tych życiowych doświadczeń: ani miłości, ani cierpienia, ani konkretnego zawodu czy czegośkolwiek, o czym ta wielka literatura opowiada. Jurek mnie wtenczas nakierował i cierpliwie tłumaczył, że trzeba czytać cały czas. Zaszczepił więc we mnie pewną miłość do książki, aczkolwiek ja sam zawsze lubiłem się uczyć. Ale

on wprowadził to specyficzne rozumienie lektury jako wydobywania z niej sensów, łączenie tego, co czytam, z życiem, z wiarą – jako szukanie syntezy po prostu.

Od strony zaś teologicznej to, co Jurek powtarzał, rzeczywiście się jakoś we mnie zsyntetyzowało. Na pierwszej parafii moim ideałem był ksiądz Franciszek Blachnicki, który stanowił moje główne odkrycie. Tam doświadczyłem oazy w praktyce. Później zacząłem czytać teksty Blachnickiego i wszystko mi się złożyło w całość. Blachnicki był genialnym pastoralistą (czyli teologiem pastoralnym – teologiem duszpasterstwa), który świetnie diagnozował pewne sytuacje i dawał wskazówki. Co więcej, był człowiekiem, który to również realizował, zakładając Ruch Światło-Życie. To był gigant. Czytałem zatem jego teoretyczne rzeczy. To mnie przekonało, że najbardziej praktyczną rzeczą jest teoria, dobra teoria. Potem spotkałem księdza Szymika, który – jak początkowo myślałem – zdradza ideały Blachnickiego. Jurek pokazał mi, że teologia musi służyć duszpasterstwu, że to jest z założenia teoria służąca praktyce Kościoła. Myśmy w seminarium nieraz podejrzanie patrzyli na różnych księży naukowców, gdyż nam się wydawało, że oni nie są prawdziwymi księżmi: bo nie spowiadają, nie robią tego, co ksiądz powinien robić – siedzą tylko w jakichś księgach. A tu pojawia się Jurek, który był świetnym duszpasterzem i świetnym teologiem.

I.S.: Na początku naszej rozmowy użył Ksiądz w odniesieniu do księdza Szymika słowa „legenda”. Czy on był tak widziany także w Lublinie?

To są zupełnie inne konteksty. Ksiądz Jerzy Szymik tutaj był legendą w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych. Ewidentnie tu na Śląsku był duszpasterską legendą. Natomiast w Lublinie zawsze bardzo go na KUL-u ceniono. Spędził tam chyba 18 lat i bardzo mocno się zżył z tym środowiskiem. Czuł się w Lublinie jak ryba w wodzie. Jeszcze gdy studiował, zajmował się tam, czego długo nie wiedziałem, oazą – również tutaj nasze życiowe drogi są więc podobne. W Lublinie Jurek lubił zajęcia ze studentami, był niezwykle lubiany i ceniony przez studentów. Niektórzy mu zresztą zarzucali to nadmierne „ojcowanie”. Uważali, że się za bardzo angażuje, że nie ma być duszpasterzem, lecz profesorem. A Jurek to zawsze łączył. To nie tak, że on rezygnuje z rygorów nauki, ale wie, że jest zawsze księdzem dla tych ludzi. Młodzi ludzie, którzy studiują teologię, nie przyszli tylko po tytuł naukowy. Najważniejsze

dla nich nie są sprawy naukowe czy samo studiowanie. Chodzi im o znalezienie miejsca w życiu.

Ksiądz Szymik ma ten rodzaj myślenia, który wcale nie jest popularny u wielu profesorów, nawet bez złej woli. Ma świadomość, że temat pracy magisterskiej czy doktorskiej ukształtuje człowieka, wpłynie na jego życie. Przykładowo, jeśli człowiek ma jakieś trudności z zakorzeniem w Kościeł – nie można mu dawać tematów na obrzeżach teologii, ale lepszy dla niego będzie temat z jakiegoś ortodoksyjnego pisarza kościelnego, żeby ów student głębiej wszedł w Kościół, żeby odkrył jego piękno.

Pisanie bardzo człowieka angażuje, zarazem kształtując go. Dotyczy to zwłaszcza człowieka młodego, który jest poddany różnorodnym wpływom. Zatem to, co zaczyna czytać i zgłębiać, go formuje. Ksiądz Szymik oczywiście nie miesza roli profesora i ojca duchownego, ale nigdy nie przestaje być pasterzem odpowiedzialnym za swoje „owce”, a nie tylko belfrem troszczącym się o napisanie magisterki czy doktoratu. Jurek nauczył mnie, że duszpasterstwo, czyli – najszerzej rzecz ujmując – prowadzenie ludzi do Boga, jest podstawowym zadaniem księdza, kimkolwiek on jest: czy redaktorem gazety, czy proboszczem, wikarym, czy katechetą, profesorem, czy też biskupem. I wszystko, co dany ksiądz robi, musi być ostatecznie podporządkowane temu celowi: człowiekowi, jego zbawieniu. Księdzu Profesorowi naturalnie ogromnie zależy, by student zarówno napisał dobrą magisterkę, jak i był bliżej Pana Jezusa.

Jurek jest człowiekiem bardzo ciepłym. Kiedyś powiedziano o Benedykcie XVI, że jest on wielce kochliwy. To naprawdę ważna cecha. Organem najważniejszym w byciu księdzem, w byciu człowiekiem w ogóle, jest serce – serce zdolne do miłości, do budowania trwałych relacji. Jurek ma dosyć cienką skórę, to znaczy jest bardzo wrażliwym człowiekiem, jak każdy poeta, czyli łatwo go zranić. Ale to cena, jaką się płaci za bycie człowiekiem, który nie kryje emocji, ma serce. Serce ma każdy z nas, tylko różna jest grubość warstwy ochronnej. On ma tę warstwę cieńszą, dlatego łatwiej mu budować z ludźmi przyjaźń, więzi.

I.S.: A jakie miał znaczenie powrót na Śląsk? Bo wasze dalsze losy znowu się na tej ziemi spotkały.

Biskup ściągnął tu Profesora ze względu na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego. To był bardzo trudny moment dla Jurka

i jego życia, myślę, że wręcz jeden z najtrudniejszych: rozstanie się z Lublinem. Tam miał swoje miejsce, tam po ludzku miał się bardzo dobrze, tam się cieszył autorytetem, tam robił studia, doktorat, habilitację. Tam też spotkał swojego mistrza, którym był arcybiskup Alfons Nossol: osoba wyjątkowo dla niego ważna, od niego wiele (w różnych sferach życia) się nauczył. Tam poznał w ogóle wielu wybitnych profesorów (choćby księdza profesora Czesława Bartnika) – to były wielkie postaci, których słuchał. Dla Jurka więc okazało się to bardzo trudnym doświadczeniem, co zresztą jest widoczne w jego wierszach. Jest sporo jego wierszy o Lublinie. W tych wierszach lubelskich czuje się tę miłość i nostalgię.

Powrót na Śląsk był dla Profesora niełatwy z wielu powodów. Z jednej strony, on bardzo kocha Śląsk. Z drugiej strony, będąc w Lublinie, tę swoją małą ojczyznę intensywniej kochał z pewnej perspektywy. To, co dla niego jest na Śląsku trudne, to jest pewien rodzaj szorstkości w relacjach, zwłaszcza u mężczyzn – to co nazywamy *soroństwem* czasami, czyli skrajna postać szorstkości. Jest także taki rodzaj *soroństwa* wśród księży: rodzaj twardego traktowania siebie nawzajem troszkę z buta. Myślę, że to mu przeszkadza na Śląsku. W Lublinie jest tego mniej, tam jest więcej ciepła w relacjach między ludźmi. Ludzie ze wschodu łatwiej mówią o swoich uczuciach, okazują sobie więcej szacunku, nierzadko aż z przesadą. Gdy tam jest obrona doktoratu, to co chwilę pojawiają się przemówienia pełne różnych retorycznych popisów, ale w tym jest też jakiś rodzaj życzliwości, ciepła. U nas na Śląsku w podobnych okolicznościach to nie do pomyślenia.

Powrót Jurka na Śląsk i z innych przyczyn nie był zbyt prosty. Nasz wydział jest jednak innym bytem niż KUL, stąd nie było łatwo wejść w to środowisko – z różnych powodów, również osobistych. Myślę, że to wszystko stanowiło w jego życiu ogromnie ważny moment: jak Abraham musiał opuścić ziemię oswojoną i iść do ziemi obiecanej, która nie zawsze okazywała się gościnną.

Ja natomiast rozpocząłem pracę w „Gościu Niedzielnym” i to jest już inny etap naszej przyjaźni. Ksiądz Szymik jest takim naszym – moim i księdza Marka Gancarczyka oraz całego „Gościa Niedzielnego” – dobrym duchem, także w sensie wskazywania linii programowej. Wiem, że możemy na niego zawsze liczyć, nawet w trudnych sprawach, on nam doradza. Raz na miesiąc ma w tygodniku swoje okienko zatytułowane *Poezja i teologia*, ale jego rola jest o wiele większa. My zwyczajnie nadajemy na jednej fali,

mamy jednakowy ogląd rzeczywistości – zwłaszcza na temat współczesnych problemów, różnych wojen kulturowych, które się toczą w Polsce i w świecie. Bardzo podobnie postrzegamy wiele rzeczy. Moje pisanie ma już nie tylko cechy jego stylu, ale pokrewieństwa sięgają głęboko: do spraw ideowych, podobnego spojrzenia na świat, do współmyślenia w jednej przestrzeni wartości.

Podam przykład: rezygnacja Benedykta XVI. Pierwsza myśl, która się pojawiła: Jurek! Pierwszy telefon na ten temat otrzymał ode mnie, potem otrzymał jeszcze sto takich telefonów – można się łatwo domyślić. Ale było dla mnie jasne, że potrzebny jest on. Jego refleksja w tym trudnym momencie.

Jest taki wiersz Jurka o śląskich księżach z charakterystycznym werselem „Szedł skrajem familoków”². Tam wymienione są cztery marzenia śląskich chłopców idących do kapłaństwa. Argumentami, którymi się oni kierowali, wybierając drogę kapłańskiego stanu, są: „mieć mocne życie, / nie dać się *bele czymu*, / chronić bezbronnych, / wybierać Boga”³. Z tych rzeczy, myślę, chronienie słabszych staje się coraz częściej celem przyświecającym naszemu pisaniu, jako że ludzie dzisiaj są nazbyt często bezbronni wobec tej potwornej agresji, którą stanowią dla nich współczesne media.

I.S.: Ksiądz Profesor powtarza, żeby w kapłaństwie być sługą cudzej radości...

Ale to się dzieje przez służbę prawdzie. Coraz ważniejsze wydaje mi się to ochranianie bezbronnych, pokazywanie drogi. Tą drogą jednak trzeba iść samemu. Dzięki naszej rozmowie mogłem zobaczyć, ile na mojej drodze zawdzięczam Księdzu Profesorowi Jerzemu Szymikowi... A rzeczywiście: zawdzięczam mu wiele.

Katowice, 28 stycznia 2014 roku

² Tenże, *Być śląskim księdzem*, w: tegoż, *Czułość, siła i drzenie. 50 wierszy z lat 2006–2009, „Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”*, Katowice 2009, s. 92–93.

³ Tamże.

Ksiądz Marek Gancarczyk

Urodził się 1 stycznia 1966 roku w Paniówkach. Prezbiter archidiecezji katowickiej od 1992 roku, prałat, kanonik. Przyjaciel księdza Jerzego Szymika. Od 2003 roku redaktor naczelny tygodnika „Gość Niedzielny”.

IZABELA SKROBAK: Księżę Redaktorze, bohaterem naszej dzisiejszej rozmowy jest ksiądz profesor Jerzy Szymik, osoba bardzo związana z redakcją „Gościa Niedzielnego”, ważna pewnie dla całego tutejszego środowiska. Kiedy Ksiądz po raz pierwszy spotkał na swojej drodze Księdza Profesora, jak ta wasza relacja, znajomość się rozwijała?

KSIĄDZ MAREK GANCARCZYK: Nie pamiętam dokładnie momentu naszego pierwszego spotkania. Bliżej zetknąłem się z księdzem Jurkiem na parafii w Rybniku-Niedobczycach. Na początku lat dziewięćdziesiątych byłem tam wikarym. Ówczesny proboszcz z Niedobczyc, ksiądz Hubert Wieczorke, wspólnie z proboszczem z Niewiadomia, księdzem Franciszkiem Otrembą, zorganizowali coś, co dzisiaj może się wydawać rzeczą niezwykłą: cykliczne, comiesięczne wykłady, na które ksiądz Szymik przyjeżdżał, ponieważ miał wtedy urlop zdrowotny i przebywał w Pszowie. Były to wykłady z dogmatyki. Wydarzenie to można określić jako dość niezwykłe, bowiem nietypową jest sytuacja, kiedy na parafii organizowane są wykłady dla kilku bądź kilkunastu księży. A dodać trzeba, że i pora była nietuzinkowa – wieczór po wszystkich zajęciach, również w okresie kolędowym...

I.S.: Czy ksiądz Jerzy jakoś szczególnie zainteresował Księdza tym, co mówił, czy raczej chodziło o samą wyjątkowość tamtych spotkań?

Ważne było jedno i drugie. Wiedziałem, że dla księży Wieczorke i nieżyjącego już Otremby ksiądz Jurek był ważną osobą. Zaufałem więc ich intuicji i za ich pośrednictwem ksiądz Szymik i dla mnie

stawiał się osobą ważną. Natomiast to, co mówił i jak mówił, było dla mnie bardzo interesujące.

GABRIELA PARDUBICKA: Czy jako przyszły redaktor pisma katolickiego terminował Ksiądz w szkole dziennikarstwa profesora Jerzego Szymika?

Nie. Ksiądz Jurek pracował w redakcji „Gościa Niedzielnego”, zanim ja się w niej znalazłem – kiedy jeszcze zupełnie nie myślałem o pracy dziennikarskiej ani w żaden sposób nie współpracowałem z tygodnikiem. Zatem bezpośredniego przełożenia na moją pracę redakcyjną Jurek nie miał.

I.S.: Ksiądz Tomasz Jaklewicz wspomniał nam o przyjaźni – braci księży Wuwerów, księdza Jaklewicza i księdza Gancarczyka – której ksiądz Szymik był jakby zwornikiem. Czy mógłby Ksiądz ze swojej strony opisać, jak wyglądały początki tej relacji i jak ona się rozwijała?

Zacząłem się od tego, że byłem ich kierowcą. Ksiądz Tomek razem z księdzem Jurkiem oraz z dwoma braćmi Wuwerami – nieżyjącym już Tomkiem i Arkiem – mieli zwyczaj jeździć na wspólne wakacje. Ja w tym czasie mogłem co najwyżej ich odwozić autem na lotnisko i na tym polegała moja rola (*śmiech*). Chyba dwa lata z rzędu pełniłem funkcję tegoż kierowcy. Kiedyś, wracając z Warszawy, przekroczyłem prędkość i zapłaciłem mandat. Tak więc oni już sobie gdzieś tam lecieli, a ja doświadczałem mniej przyjemnych wrażeń.

Po owych dwu latach doszło do nieszczęśliwego zdarzenia: nagłą śmiercią umiera ksiądz Tomek Wuwer. Rok czy dwa, dokładnie już nie pamiętam, po śmierci księdza Tomka moi przyjaciele proponowali, żebym z nimi pojechał na wakacje. Zatem we czwórkę – księża: Jurek Szymik, Tomek Jaklewicz, Arek Wuwer i ja – wspólnie wypoczywaliśmy.

Od tej pory ta forma wakacji przerodziła się (z małymi przerwami wymuszonymi przez nasze obowiązki) w pewną tradycję. I właśnie owe wakacje stały się początkiem naszej przyjaźni, szczególnie te pierwsze w Chorwacji. Ich owocem było kilka wierszy Jurka o tym pobycie, wierszy również o przyjaźni.

Muszę przyznać, że tekst poetycki, zainspirowany wydarzeniami, w których się uczestniczyło, czyta się inaczej, z jakimś drżeniem serca. Szczególnie utkwiło mi w pamięci jedno takie zdarzenie. Chorwacja to, jak wiadomo, nie tylko morze, lecz także góry. Otóż

pamiętam, że któregoś dnia zorganizowaliśmy sobie wycieczkę na górę Święty Jur. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na chwilę. Zapadał już zmrok, ale było jeszcze na tyle jasno, by z platformy widokowej umiejscowionej na zboczu obserwować spokojne morze oraz unoszące się na jego tafli niczym łupinki małe, kolorowe stateczki. Taka wyjątkowa chwila. W powstałych później wierszach księdza Jurka te właśnie wyjątkowe mgnienia zachwyty znalazły swoje odbicie.

W taki oto sposób – w aurze wakacyjnych olśnień – rodziła się nasza przyjaźń. I potem okazało się, jak bardzo podobnie myślimy, jak bardzo podobnie na wiele spraw patrzymy. Do doświadczeń wakacyjnego sposobu przeżywania piękna świata doszła następnie współpraca w „Gościu Niedzielnym”. Zaproponowaliśmy Jurkowi, żeby pisał o poezji do „Gościa Niedzielnego”. Ta współpraca trwa już wiele lat, a jej owocem są dwa tomy esejów *Poezja i teologia*¹.

G.P.: Skoro już przywołaliśmy temat „Gościa Niedzielnego”, to proszę powiedzieć, kim dla tego najpoczytniejszego tygodnika katolickiego w Polsce jest ksiądz Jerzy Szymik?

Na pewno bardzo ważną osobą. Brzmi to może dość dziwnie wobec faktu, że ksiądz Jerzy pisze raz na miesiąc jeden zaledwie tekst. Ale w tym, co pisze, znajduję argument dla mojego widzenia świata, jak również potwierdzenie, że nie jesteśmy – jako zespół „Gościa Niedzielnego” – w tym osamotnieni. Ksiądz Szymik daje mi teoretyczny fundament naszej pracy.

Stąd też, kiedy w ubiegłym roku obchodziliśmy dziewięćdziesięciolecie „Gościa Niedzielnego”, poprosiłem właśnie księdza Jurka, by wygłosił konferencję w czasie tych uroczystości. Powiedziałem wtedy do niego: „Doprecyzuj, jak potrafisz najlepiej, cel naszej pracy, pokaż nam raz jeszcze, po co my to robimy. Jako zespołowi bowiem wciąż na nowo potrzebna jest motywacja sięgająca najgłębszej istoty podejmowanych przez nas inicjatyw”. I ksiądz Jurek to uczynił. W swoim wystąpieniu² dotknął samego jądra misji, jaką ma pełnić „Gość Niedzielny”.

¹ Zob. J. Szymik, *Poezja i teologia*, Katowice 2009; tenże, *Poezja i teologia*, t. 2, Katowice 2013.

² Por. tenże, *Służba prawdzie. Z okazji 90. urodzin „Gościa Niedzielnego”*, w: tegoż, *Poezja i teologia*, t. 2, s. 268-278.

I.S.: Czy w takim razie rolę księdza Szymika w „Gościu Niedzielnym” można określić słowami: „nauczyciel”, „mistrz”, „przewodnik duchowy”?

Nie potrafię znaleźć takiego jednego słowa, które byłoby właściwe i obejmowałoby wszystkie wspomniane wcześniej sprawy. Na pewno bardzo blisko – intelektem, ale także i sercem – towarzyszy nam w naszej dziennikarskiej drodze.

G.P.: Ksiądz Szymik często podkreśla, że czyta prasę, czyta literaturę współczesną, ponieważ one są swego rodzaju sejsmografem, rejestrującym to, co dzieje się w świecie. I sam ma wyczulony ów słuch. Czy wy jako redakcja „Gościa Niedzielnego” korzystacie z tego słuchu? Czy Profesor podpowiada wam, jakich tematów i komentarzy oczekuje czytelnik waszej gazety?

Takiej bieżącej konsultacji nie ma i nigdy nie było. Zresztą ksiądz Jurek jest aż nadto delikatnym człowiekiem, żeby miał zatelefonować – nawet do swojego przyjaciela – i powiedzieć: „Zróbcie to” albo „Zróbcie tamto”. Nie jest tego rodzaju człowiekiem, więc ta sytuacja, nazwijmy ją: doradztwa czy sugestii, nie ma miejsca w naszej współpracy. Spotykamy się natomiast towarzysko, choć niezbyt często, bo każdy ma przecież swoje obowiązki, a poza tym – jak panie zapewne wiedzą – z księdzem Jurkiem wyznaczyć sobie jakiś wspólny termin nie jest tak prosto. Kiedy jednak znajdziemy chwilę czasu na spotkanie, generalnie nie rozmawiamy o pogodzie, chociaż też (*śmiech*), ale bardzo szybko przechodzimy na tematy dotyczące Kościoła, świata, życia. Te właśnie spotkania wyznaczają, myślę, swoisty kierunek pracy. Sugestie owe nigdy nie dotyczą szczegółowych kwestii, a jedynie pewnego ogólnego kierunku, w którym chcemy iść.

I.S.: Pytałyśmy dotąd o relacje księdza Jerzego Szymika ze środowiskiem redakcji „Gościa Niedzielnego”. Czy mógłby Ksiądz spróbować przyjrzeć się jego osobie w szerszej perspektywie: jego miejsca w topografii Śląska? W jaki sposób ksiądz Szymik wpisuje się w tę przestrzeń na co dzień, jaki ma wpływ na kształt śląskiego Kościoła?

Na pewno jest osobą bardzo wyrazistą i ważną – zarówno dla Kościoła na Śląsku, jak i dla samego Śląska. Zresztą w wielu wypowiedziach, jak również w tym, co robi, bardzo mocno podkreśla swój związek ze Śląskiem, z tą ziemią, z tym Kościołem. Potrafi dostrzec i dowartościować wszystkie zalety tego miejsca, Kościoła i Śląska. Nie uchyla się jednak przed wytknięciem swoim krajanom wad, spośród których

wylicza na przykład *soroństwo* śląskie czy brak czułości, charakterystyczne dla pewnej części śląskich rodzin. Ksiądz Jerzy jest na tyle znaczącą postacią, że – mówiąc o współczesnym krajobrazie religijnym, intelektualnym i kulturalnym Śląska – nie można go pominąć. Nie można w sposób pełny opowiedzieć o Śląsku, wyrzucając księdza Jurka poza nawias takiej narracji. Otrzymalibyśmy bowiem obraz niepełny i zafałszowany.

G.P.: Wróćmy jeszcze do „Gościa Niedzielnego”, w którym co miesiąc pojawia się esej księdza Szymika, sygnowany tytułem „Poezja i teologia”. Nie dziwi nas, że akurat ksiądz Szymik łączy w swoich tekstach te właśnie dziedziny. Czy opowiedziałby Ksiądz Redaktor, w jakich okolicznościach zrodził się pomysł całego cyklu?

Wcześniej w „Gościu Niedzielnym” przez wiele lat publikowana była poezja nadsyłana przez czytelników – poezja różnego lotu, często niezbyt wysokiego. Chcieliśmy tę rubrykę zastąpić czymś innym i stąd pojawiła się propozycja skierowana do księdza Jurka. Wiedziałem, że on nie tylko czyta poezję i smakuje ją, ale i sam również pisze wiersze. Rubrykę wyobrażałem sobie początkowo nieco inaczej. Myślałem, że będzie przede wszystkim próbą przybliżania, tłumaczenia tekstów poetyckich.

Ksiądz Jurek od samego początku łączył jednak poezję z teologią. Przez kolejne lata obecności cyklu na łamach naszego tygodnika teksty księdza Jurka coraz wyraźniej ewoluowały w kierunku esejów teologicznych, w których poezja nieustannie wszak powraca. I to w sposób częstokroć zaskakujący – bądź jako perełka twórczości amatorskiej, bądź też jako szczególnie poetycki fragment Pisma Świętego, a innym jeszcze razem jako piękny tekst Zbigniewa Herberta lub innego twórcy z okolic poetyckiego Parnasu.

Ogromnie zależało mi na tym, żeby poezja była jakoś obecna w „Gościu”, bo poza niszowymi tytułami już prawie nikt jej nie prezentuje. Mój zamysł i marzenie się spełniły, na dodatek ze skutkiem w postaci trzech już tomów gromadzących Szymikowe eseje³.

G.P.: W takim razie, w którym miejscu plejady polskich księży-poetów widzi Ksiądz twórczość księdza Jerzego Szymika?

³ Por. tenże, *Między ziemią a niebem. Notatki i wiersze z podróży do Ameryki i Francji, do Portugalii i Niemiec, do Grecji i Hiszpanii, na Sycylię, do Borowej Wsi...*, wstęp K. Solecka, Katowice 2001; tenże, *Poezja i teologia*; tenże, *Poezja i teologia*, t. 2.

Na to pytanie trudno mi udzielić odpowiedzi, bo słabo znam się na poezji innych księży. Ale jedną rzecz dla mnie ważną powiedzieć mogę: właściwie czytając tylko wiersze księdza Jurka, żadnego innego poety, dzieje się za mną coś takiego, że po przeczytaniu któregośkolwiek z nich chcę być lepszym. To jest przedziwne.

Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, lecz lektura Szymikowych liryków rodzi we mnie potrzebę pracy nad sobą. Nawet jeśli są to wiersze o przemijaniu, a więc teksty z pewną nutą nostalgii, zawsze przebija z nich wiele dobroci, mającej swoje źródło ostatecznie w Bogu. Na przykład wiersz, który lubię cytować na ambonie: *Dziewczynka w żółtych rajstopach, w śląskim kościele*⁴. Jest w nim wszystko – to opis życia człowieka od radości po cierpienie, a przy tym życia spełnionego, bo zamkniętego w chrześcijaństwie. I jeszcze słynny zwrot: „najpiękniejsze, co mogło się przydarzyć tej ziemi, to chrześcijaństwo”⁵. Do mnie trafia w stu procentach.

Mnie więc wiersze księdza Szymika mobilizują, jakoś wewnętrznie rozpalają. Nawet znane wszystkim wiersze księdza Twardowskiego, bardzo pogodne przecież, nigdy nie wywoływały we mnie podobnego stanu. Wiersze księdza Jurka trącają takie struny we mnie, że – powiem nieco metaforycznie – człowiek chciałby brzmieć lepiej.

Katowice, 28 stycznia 2014 roku

⁴ Tenże, *Dziewczynka w żółtych rajstopach, w śląskim kościele*, w: tegoż, *Błękit. 50 wierszy z lat 2000–2002*, wstęp A. Szostek, posł. K. Najman, Katowice 2003, s. 30.

⁵ Tamże.

Ksiądz Michał Anderko

Urodził się 3 stycznia 1972 roku w Siemianowicach Śląskich. Kapłan archidiecezji katowickiej od roku 2001. Przyjaciel księdza profesora Jerzego Szymika. Uczestnik prowadzonego przez Profesora seminarium doktorskiego w Katowicach. Od 2013 roku redaktor naczelny Radia eM.

GABRIELA PARDUBICKA: Michale, jak to się stało, że na twojej drodze znalazł się ksiądz Jerzy Szymik?

KSIĄDZ MICHAŁ ANDERKO: Z księdzem Szymikiem spotkałem się po raz pierwszy, kiedy miałem właściwie kilka lat, ponieważ pojawił się on w mojej rodzinnej parafii w Bytkowie – jako neoprezbiter – w 1979 roku. Była to nowo budująca się parafia, której proboszczował ksiądz Konrad Zubel. Ksiądz Jerzy przebywał w Bytkowie przez trzy lata – od 1979 do 1982 roku.

Pamiętam, że grał na gitarze. Mam przed sobą taką scenę: roraty, jeszcze w prowizorycznym zadaszeniu kościoła, młodziutki wtedy wikary Jerzy Szymik przygrywa na gitarze. I piosenka: „*Dico si, si, si. Dico si sinior*”, czyli „Mówię «tak» Panu”. To jeden obraz księdza Szymika, jaki utkwiał w mojej pamięci. Inne wspomnienie to ksiądz Jerzy grający z młodymi w piłkę na osiedlowym boisku. W takiej formie realizował on swoją wizję duszpasterstwa, w której kapłan jest zawsze blisko ludzi.

A teraz kolejna odsłona w moim schowku pamięci: jest druga sobota lutego 1982 roku – zostaję wtedy ministrantem. W salce ministranckiej ubieramy się i wychodzimy do mszy świętej. Towarzyszy nam wikary: ksiądz Jerzy Szymik. W pewnej chwili zatrzymuje się przed grupą nastoletnich dziewcząt i zaprasza je do udziału we mszy. Podobne gesty czynił ksiądz Szymik, zapraszając tę młodzież na spotkania oazowe, które prowadził w naszej parafii.

W moją pamięć – ośmio-, dziesięciolatka – ksiądz Jurek wpisał się więc przede wszystkim poprzez ten skierowany do młodych,

zapraszający gest. Odczytywałem go już zawsze w sposób, w jaki w czasie prezentacji parafii na łamach „Gościa Niedzielnego” opisał to ksiądz Konrad Zubel: „Tak jak to Szymik rozhuśtał, tak to się do tej pory huśta”. I prawdą jest, że to nadanie pewnego dynamizmu pracy duszpasterskiej z młodzieżą na Bytkowie zainicjował właśnie ksiądz profesor Jerzy Szymik jako młodziutki wikary.

G.P.: A ciebie też „rozhuśtał” w kierunku kapłaństwa?

Tak, rzeczywiście ksiądz Jerzy zdecydowanie przyczynił się do odkrycia mojej drogi życiowej. Bowiem jako młody chłopak, ministrant, zachwyciłem się życiem kapłańskim. W naszej parafii duszpasterzowali wtedy: proboszcz Konrad Zubel i wikarzy – Jerzy Szymik, Krzysztof Spyra i Jerzy Pająk. Stanowili oni wspaniały team, którym my, młodzi chłopcy, byliśmy oczarowani.

Ja jako dziecko, jako taki chłopiec, który stał przy ołtarzu, widziałem, że oni, czyli nasi duszpasterze, śmieją się, wygłupiają, żartują, ale przede wszystkim się modlą i głoszą wspaniałe kazania, które jako dziecko – i to było dla mnie ogromnie ważne – rozumiałem. Takim kapłaństwem byłem po prostu zachwycony i kiedy zdecydowałem się zostać ministrantem, to właśnie ze względu na te relacje, jakie tworzyli obserwowani przeze mnie kapłani.

Pamiętam też, że kiedy ksiądz Jerzy Szymik przeszedł do parafii w Chorzowie-Batorym, to do nas, do Bytkowa docierały wiadomości o czuwaniach nocnych, o wieczorach muzycznych i poetyckich, cudownych spotkaniach młodzieżowych animowanych przez księdza Jerzego. Pamiętam, że echo tego ciągle docierało na Bytków. Zresztą ci ludzie tworzyli taką wspólnotę: oaza bytkowska, oaza chorzowska i oaza katowicka. Prowadzili je wówczas księża Antoni Klemens, Jerzy Szymik i Jerzy Pająk. Wydaje mi się, że sercem tego ówczesnego fenomenu duszpasterskiego był właśnie ksiądz Jerzy Szymik. Wokół niego gromadzili się zarówno młodzi księża, jak i młodzież oazowa. Razem tworzyli swego rodzaju formację pokoleniową.

IZABELA SKROBAK: Czy w owych bytkowsko-chorzowskich czasach ksiądz Jerzy Szymik funkcjonował już – w świadomości twojej i pozostałych uczestników wydarzeń – również jako poeta?

Już w Bytkowie pojawiły się śpiewniki zawierające teksty księdza Szymika. Do nich później tworzona była muzyka. Głęboko na przykład zapadła mi w pamięć fraza: „Tam się z nadziei urodzi w nas /

modlitw podniebnych spełniony czas”. Były to krótkie teksty-modlitwy, krążące między Chorzowem a Bytkowem. Wiedzieliśmy więc, że ksiądz Jerzy pisze wiersze. Do wydania tej poezji przekonali go – jak zresztą sam Profesor wspomina – uczestniczący w chorzowskich spotkaniach poeci i krytycy literaccy. Pamiętam, że na oazie bytkowskiej – już w czasie, kiedy księdza Szymika u nas nie było – zawsze w sobotę po mszy świętej wieczornej spotykaliśmy się na wspólnej adoracji Najświętszego Sakramentu. I wtedy właśnie często sięgaliśmy do śpiewnika z tekstami modlitewnymi księdza Szymika. Także wiele tych tekstów funkcjonowało wśród bytkowskiej wspólnoty. W ten sposób stykałem się z księdzem Jerzym poprzez słowo.

Miałem okazję przyglądać się Profesorowi również jako starszy ministrant, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do swojej siostry Bożenki. Mieszkała ona wtedy – wraz ze swoim mężem Tadeuszem Iwaneckim, już świętej pamięci – w Bytkowie, jego rodzinnej parafii. Widziałem więc księdza Jerzego nieraz przy ołtarzu odprawiającego mszę świętą z jakiejś rodzinnej okazji. Dostrzegałem na jego twarzy delikatny upływ czasu. Zawsze jednak był uśmiechnięty, wesoły, zawsze się „chichrał”. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wprowadzał radość. I taki jego obraz nieustannie nosiłem w sercu, takim go pamiętam z czasów mej młodości. Poprzez Tadeusza, z którym się przyjaźniłem, w jakiś sposób zbliżyłem się też do Profesora.

Ksiądz Jerzy bliski więc mi był od czasów dzieciństwa, a pośrednio – poprzez wspólnych znajomych – towarzyszył mojemu dorastaniu i dojrzewaniu w czasach licealnych. Jako młody człowiek dostrzegałem ponadto plony tych ziaren, które w parafii zasiał ksiądz Jerzy jako duszpasterz, poeta, jako człowiek.

G.P.: Czy ksiądz Jerzy Szymik był twoim wykładowcą w czasach seminaryjnych?

Miałem z Profesorem zajęcia z trynitologii. Przyjeżdżał do Katowic z Lublina i prowadził wykłady w dwudniowych blokach – w piątek i w sobotę (środy były dla nas dniem wolnym). Mieliśmy wtedy z nim cztery wykłady pod rząd. Pamiętam, że w czasie przerwy zawsze stawiał pytanie: „No to gdzie pijemy kawę?”. Dla nas to było niesamowite, że Profesor chciał z klerykami, takimi „brzdącami”, siadać do wspólnej kawy.

Pamiętam, jak na trzecim roku tę kawę piliśmy w infirmerii (miejscu, z którego dwóch kleryków posługuje swoim chorym kolegom),

gdzie akurat posługiwali dwaj koledzy z naszego roku. I mam przed oczyma całą naszą grupę, siedzącą wokół Profesora i rozmawiającą z nim jak z najbliższym przyjacielem. Profesor mnie po prostu wtedy zachwycił sposobem patrzenia na teologię od strony bardzo egzystencjalnej.

Teologia w jego wydaniu była tak bliska życiu, dotykała najbardziej podstawowych dla człowieka spraw. Ogromnie pasjonowało mnie to, że można o tych wielkich tajemnicach mówić w prosty sposób, można te wielkie sprawy odnosić do życia. To właśnie u Profesora pierwszy raz słyszałem, że Pan Jezus szedł w krzaki, że się pociał... Profesor przybliżał nam Boga, uczynił Go bliskim człowiekowi.

G.P.: Czy w takim razie było między wami – klerykami, studentami – a Księdzem Profesorem coś takiego jak dystans, respekt?

Oczywiście dystans był, bo był mistrz. To nie były spotkania kumpelskie, w czasie których popija się kawę i opowiada dowcipy. To były właśnie przyjacielskie spotkania z mistrzem. Pytaliśmy go o Pana Boga, o teologów, o kształt Kościoła. Profesor cierpliwie słuchał i odpowiadał najbardziej wyczerpująco, jak potrafił i na ile czas pozwalał. Był mistrzem, ale mistrzem bardzo dostępnym i to budziło jeszcze większy szacunek. Bo podjąć Księdza Profesora w swoim pokoju, to była jakaś „szpana”, a z drugiej strony on był tak bezpośredni w kontakcie z nami, że absolutnie nie odczuwaliśmy, jakoby przyszedł ktoś, komu do pięt nie sięgamy.

Myślę, że na tym między innymi polega wielkość Profesora. Pamiętam, że mówił kiedyś, iż po swoim doświadczeniu kleryckim bardzo chciał, żeby się go nie bano. Oczywiście, umiał też postawić ocenę niedostateczną, chociaż przychodziło mu to z wielkim trudem. Księdzu Profesorowi bardzo zależało, by strach nie towarzyszył relacji „mistrz–uczeń”.

G.P.: Profesor więc nie traktował owych wspólnych „kaw” jako chwil oddechu od zajęć ze studentami. Była to jedynie inna forma pracy dydaktycznej?

Powiem tak: zajęcia z Profesorem to były spotkania z życzliwym, serdecznym człowiekiem, kimś, kto dość dobrze zna się na życiu i kto po prostu w takiej życzliwej atmosferze o życiu tym opowiada. Taka forma zajęć – łączenie wykładu z rozmową – na pewno wymagała od Profesora wielkiej koncentracji, zapewne była dość męcząca,

bo pozbawiała prowadzącego chwili na tak zwany oddech. Mam jednak wrażenie, że u Profesora wyglądało to nieco inaczej.

Otóż zawsze postrzegałem go jako człowieka głębokiej wiary, dla którego Pan Bóg jest miłością, jest prawdą, jest pięknem, jest dobrem. A jeżeli tak widzi się Boga, to o miłości, o prawdzie, o pięknie, o dobru mówi się z zachwytem, ze zdumieniem, z pasją i to nie kosztuje nie wiadomo ile wysiłku. I takie wrażenie robił ksiądz Szymik. Oczywiście jest to moja interpretacja jego postawy, a jak było naprawdę, należałoby zapytać jego samego.

G.P.: Czy fascynacja Profesorem przełożyła się na szukanie w nim właśnie promotora twojej pracy magisterskiej?

Nie. Pisałem pracę magisterską z pedagogiki – jej temat brzmiał: *Wychowanie w świetle kultu miłosierdzia Bożego na podstawie dzieł służby Bożego księdza Michała Sopočki*. Pisałem ją u biskupa Zimniaka. Zaprosiłem potem Profesora na prymicje, ale akurat on był zaproszony z kazaniem prymicyjnym do kogoś innego. Nie mógł więc być obecny na mojej mszy prymicyjnej. Natomiast niejako wróciłem do Profesora, kiedy byłem duszpasterzem akademickim w Rybniku.

Działo się to w latach 2002–2005. W związku z powstałym w tym mieście kampusem zrodziła się potrzeba zorganizowania nowego ośrodka duszpasterstwa akademickiego, które swoją siedzibę znalazło w budynku parafialnym parafii Matki Boskiej Bolesnej. W roku natomiast 2005, kiedy umierał papież, ośrodek już dość dobrze funkcjonował – był chór, były grupy duszpasterskie. Ja zaś coraz wyraźniej widziałem potrzebę, żeby duszpasterz akademicki był doktorem teologii.

I wtedy poprosiłem arcybiskupa Damiana Zimonia o możliwość podjęcia studiów doktoranckich. Arcybiskup na to: „No to się rozejrzyj”. I oto na Jasnej Górze, w ramach pielgrzymki świata akademickiego w 2005 roku, wykład wygłaszał właśnie ksiądz profesor Jerzy Szymik. Spotkaliśmy się w jakiejś kolejce. Od razu mnie rozpoznał. Jak się okazało, pamiętał mnie jeszcze z Bytkowa. Wówczas zapytałem go, czy mógłbym u niego pisać doktorat. Profesor oczywiście się zgodził. Oficjalnie nie zostałem skierowany na studia, ale powiedziano mi, że mogę je podjąć. Przestałem więc być duszpasterzem akademickim, a zostałem wikarym w parafii Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku – czyli tej, w której tworzyłem duszpasterstwo akademickie.

Był rok akademicki 2005/2006, ksiądz Szymik wrócił już na stałe do Katowic i pracował w katedrze dogmatyki Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Zostałem wtedy studentem seminarium doktorskiego księdza Szymika jako wikary parafii Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku. Po roku zostałem przeniesiony – najpierw do Tychów, a później do Katowic jako drugi, obok księdza Marka Spyry, duszpasterz akademicki. I wtenczas pomyślałem: „No to teraz będzie świetnie, będę blisko Profesora, będę pisał doktorat i będę się zajmował studentami”. Stało się jednak inaczej.

Na początku września 2006 zostałem wikarym parafii katedralnej. Zastąpiłem na tym miejscu kapłana, który zajmował się grupami dziecięcymi. I w ten oto sposób z duszpasterstwa akademickiego przestawiłem się na duszpasterstwo dzieci pierwszokomunijnych. Oczywiście, dalej byłem uczestnikiem seminarium Profesora. Po dwóch latach duszpasterzowania w katedrze zaczęliśmy ustalać z Profesorem pewien plan działania i terminy oddania poszczególnych etapów pracy doktorskiej. Wtedy stwierdziłem, że nie jestem w stanie pogodzić pracy duszpasterskiej z rytmem, jaki narzuca pisanie pracy doktorskiej. Tym bardziej u kogoś tak poukładanego i precyzyjnie przestrzegającego terminów jak Ksiądz Profesor. Zebrałem się więc w sobie i pojechałem do Profesora do Pszowa, by porozmawiać z nim o tej sprawie.

Tłumaczyłem wówczas Księdzu Profesorowi, że zmuszony jestem podjąć trudną decyzję. Że nie potrafię łączyć pracy duszpasterskiej – z takim wychyleniem duszpasterskim, jakie mam ze względu na swoją osobowość, na swoje zaangażowanie się w wiele rzeczy – z pracą naukową. Profesor naturalnie uszanował moją decyzję, lecz i powiedział: „Michał, ale zostań, nie odchodź, nie rezygnuj ostatecznie, w każdej chwili możesz przecież wrócić i kontynuować swoją pracę”. Na tym też polega wielkość Profesora. Z jednej strony – w kwestii doktoratu – jest bardzo wymagający, trzeba rozliczyć się z tego, co się robi, z drugiej zaś strony sprawy doktoratu nie stawia na ostrzu noża.

Przez rok zatem chodziłem jeszcze czasem na wykłady i seminarium, wiedziałem już jednak, że nie jestem w stanie pracować naukowo i uczyć w trzech szkołach, prowadzić ponadto dzieci Maryi, scholi, ochronki, dzieci pierwszokomunijnych, kręgu biblijnego i bierzmowańców. I doszło jeszcze Radio Katowice – komentarze do Ewangelii dla audycji *U progu dnia*, pojawiającej się na antenie co dwa tygodnie; a potem dodatkowo Radio eM. W takich

okolicznościach nie umiałem pisać doktoratu. No i tak właściwie nie tyle rozstaliśmy się z Profesorem, co ja przestałem być studentem jego seminarium naukowego. Ale cały czas pozostawaliśmy w serdecznych, przyjacielskich relacjach, z otwartą furtką ze strony Profesora, że jeśli kiedyś przyjdzie czas, że dojrzeję do decyzji, to wrócimy do tematu.

I przyszedł taki czas w roku 2012. Wówczas arcybiskup Wiktor Skworec postawił mi pytanie o to, jak ewentualnie widzę swoją przyszłość. Powiedziałem mu wtedy, że chętnie wróciłbym do pracy naukowej. Arcybiskup poinformował mnie, że w takim razie zostaną wysłany do Wiednia na dwuletni kurs języka niemieckiego, później zaś dostanę trzy lata na napisanie doktoratu. Bardzo się z tego faktu ucieszyłem. Jak najszybciej umówiłem się na rozmowę z Profesorem, by podzielić się tą radosną wiadomością. Profesor potwierdził trafność wyboru kolejnych etapów mojej drogi do doktoratu. Pojechałem więc do Wiednia i sumiennie przyłożyłem się do nauki języka niemieckiego, by po powrocie móc zgłębiać chrystologię egzystencjalną Romana Guardiniego, który to teolog miał być tematem mojej pracy doktorskiej.

Czas pobytu w stolicy Austrii przypadł na przeżywany w Kościele Rok Wiary. Mówiłem wtedy siostrze, u których mieszkalem i posługiwałem jako kapłan, o niezwyklej fantazji Pana Boga. I oto pewnego kwietniowego popołudnia odbieram telefon od księdza Marka Gancarczyka. Ksiądz Marek mówi, że mnie przeprasza bardzo, że wie, ile miałem już różnych zmian w życiu kapłańskim, ale jemu bardzo by zależało, żebym został redaktorem naczelnym Radia eM. Oświadczyłem Markowi, że obiecałem Panu Bogu: „Panie, ja nie będę nic majstrował przy swoim życiu”. Przyjmę wszystko, tylko muszę wiedzieć, że Pan Bóg tego ode mnie chce. Okazało się, że biskup pobłogosławił ten pomysł, a ja przyjąłem to jako wolę Pana Boga.

Zadzwoiłem czym prędzej do księdza profesora Jerzego Szymika, mówiąc mu oczywiście o tym, jaka jest sytuacja. I po raz kolejny przekonałem się, jakiego formatu człowiekiem jest ksiądz Jerzy: „Michał – mówi do mnie – to dobrze, zajmij się teraz radiem. Kiedy już wszystko zorganizujesz, wtedy pomyślimy nad doktoratem, drzwi są zawsze otwarte”. Profesor znowuż nie stwarzał żadnych problemów, nie czynił z doktoratu sprawy życia i śmierci...

Jestem teraz redaktorem naczelnym Radia eM, a moim bezpośrednim przełożonym jest ksiądz Marek Gancarczyk. Moja natomiast

więz z Profesorem nie tylko nie uległa rozluźnieniu, ale wręcz się zacieśniła.

G.P.: Twój kontakt z Profesorem nazwałbyś w takim razie przyjaźnią czy też wpisuje się on raczej w relacje typu „mistrz–uczeń”?

W naszej relacji jest wiele ciepła, życzliwości, nie jest to jednak relacja kumpelska. Nie jestem z Profesorem „na ty” i cieszę się z tego powodu, bo jeżeli on będzie w przyszłości moim promotorem, niech raczej komunikacja między nami pozostaje w formule „mistrz–uczeń”. Wydaje mi się, że będzie to rozwiązanie wygodniejsze dla każdej ze stron. Ja mam po prostu wielki szacunek do Profesora, a z tym wiąże się i swego rodzaju dystans. Czuję się raczej uczniem mistrza, studentem Profesora.

Chcę wszelako dodać, że nie ma takiego tematu, który bałbym się poruszyć z Księdzem Profesorem. Omawiałem z nim moje różne perturbacje związane z życiem kapłańskim (w czasie jednych wakacji miałem na przykład trzy dekrety), wymagające podejmowania trudnych nieraz decyzji, ale i dystansu emocjonalnego. Rozmawiał wtedy ze mną z perspektywy wielkiej, kapłańskiej życzliwości. Od strony duszpasterskiej też mi niejednokrotnie towarzyszył i podpowiadał. Moje relacje z Profesorem, mimo wspomnianego dystansu wobec mistrza, mają więc bardzo ludzki, serdeczny wymiar.

G.P.: A jak wygląda twoja relacja z tekstami Księdza Profesora? Bo myślę, że to jest jednak istotny element daru, któremu na imię ksiądz Jerzy Szymik. Czy jesteś stałym, regularnym czytelnikiem książek sygnowanych nazwiskiem Profesora?

Skłamałbym, gdybym powiedział, że czytam wszystko, co Ksiądz Profesor publikuje, nie śledzę też wszystkich jego wystąpień. Staram się jednak być obecny na wykładach rekomendowanych przez nasz Wydział Teologiczny. Zdarza się także, że poproszę Profesora o tekst jakiegoś jego wystąpienia, na którym nie byłem obecny, a z którym chciałbym się zapoznać. Wtedy Profesor tekst taki mi przysyła. Śledzę rzecz jasna teksty Profesora ukazujące się w „Gościu Niedzielnym”. Muszę poza tym mocno podkreślić, że dzięki Profesorowi zakochałem się w Benedykcie XVI i jego teologii, i zacząłem pilnie wnikać w katechezę ówczesnego papieża. Oczywiście dokładnie zapoznałem

się też z cyklem audycji radiowych wydanych później w formie książki zatytułowanej *Chodzi o Boga*¹.

G.P.: Możemy więc żywić nadzieję, że w Radiu eM powstanie kolejny taki cykl rozmów z księdzem Szymikiem?

Bardzo bym się cieszył, gdyby do czegoś takiego doszło. Wiem natomiast, że Profesor jest tak eksploatowany w wielu przestrzeniach naszego życia duchowego, że zablokowanie mu jakiegoś terminu cyklicznie raz w tygodniu uważam trochę za nietakt. Jednak może Pan Bóg pozwoli i dojdzie do emisji podobnego cyklu audycji – z Profesorem jako mistrzem i tłumaczem.

G.P.: Co więc – twoim zdaniem – mogłoby stać się tematem takiego cyklu audycji? Czy widzisz obszar bieżącego życia, wymagający pilnej potrzeby komentarza autorytetu tej miary, co właśnie Ksiądz Profesor?

Wydaje mi się, że wielkim zainteresowaniem cieszyłyby się audycje, których pojęciem-kluczem byłoby słowo „sejsmograf” – na pewno sejsmograf kultury, sejsmograf w teologii, sejsmograf literatury chrześcijańskiej, sejsmograf literatury w ogóle, sejsmograf życia po prostu. Myślę, że Profesor miałby wiele do powiedzenia, a przede wszystkim wiele do naprostowania w myśleniu współczesnego człowieka o świecie oglądanym i przeżywanym z perspektywy chrześcijańskiej.

I.S.: W twojej opowieści śledziliśmy między innymi losy księdza – profesora. Czy spróbowałbyś wobec tego ocenić, jak zmieniał się obraz księdza profesora Szymika w naszym śląskim Kościele? Czy ewoluował twój sposób postrzegania jego osoby, kiedy byłeś ministrantem, klerykiem, duszpasterzem, studentem, wreszcie dziennikarzem? Czy to jest jednak spójna całość?

Dla mnie ksiądz Szymik to spójna całość. Bez względu na to, w jak szacownym gremium zasiada, postrzegam go zawsze jako kogoś, kto pracuje ze studentami, pisze książki teologiczne, wydaje tomiki poezji, bierze udział w życiu ludzi, wśród których żyje i pracuje. Jest on zawsze dla mnie kimś, kto w fenomenalny sposób potrafi żyć

¹ Zob. *Chodzi o Boga*. Ks. prof. Jerzy Szymik w rozmowie z Dominiką Szczawińską-Ziembą o teologii Benedykta XVI, Katowice 2011.

otaczającym go światem, a z drugiej strony – dzięki głębokiej relacji z Bogiem – nie jest tego świata zakładnikiem.

G.P.: Nie jest zakładnikiem też siebie samego, swojego talentu, wiedzy, umiejętności. Mówiąc o teologii jako poszukiwaniu Mistrza, podkreśla: „Początkujący w teologicznych naukach, czy jakkolwiek poszukiwacz sensu nie potrzebuje reflektora, który «dawałby po oczach». Potrzebuje lampy i ognia. Światła i ciepła. W ten sposób pukamy do wrót mądrości”².

I na tym polega jego fenomen. Wybrzmiało to w mojej wypowiedzi w związku z perturbacjami dotyczącymi doktoratu. Profesor zawsze, z jednej strony, dba o swego rodzaju planowość działania, a z drugiej strony – zostawia otwarte drzwi i wie, że życie jest większe niż zaplanowany doktorat albo cokolwiek innego. To mnie właśnie w tym człowieku zachwyca.

I.S.: A wracając jeszcze do stricte duchowej strony twojej relacji z księdzem Jurkiem: czy jako mistrz i kapłan uczył on was – studentów, później kapłanów – również relacji z Bogiem? Wielu bowiem naszych rozmówców podkreślało, że profesor Szymik, rzecz dlań bardzo charakterystyczna, uprawia nie tylko teologię uniwersytecką, ale prowadzi i swego rodzaju szkołę pasterską. A może wciąż was, kapłanów, tej więzi z Bogiem uczy?

U niego codzienność zatopiona jest w relacji do Boga, nie rozdziela tych dwu sfer. Kiedy na przykład przychodziliśmy raz w miesiącu na seminarium do jego mieszkania, były: kawa, ciastko, serdeczna rozmowa, zawsze jednak poprzedzona modlitwą. Podobnie wyglądało podróżowanie z Profesorem – zawsze po pierwszych przejechanych metrach Profesor intonował modlitwę. Dostrzegałem wtedy, że była to prawdziwa rozmowa z Bogiem: ten sam tembr głosu, żadnego patosu. To jest właśnie u niego cudowne. To, co ja mówię o jego teologii wyraźnie nachylonej egzystencjalnie, przejawiało się w taki właśnie sposób – siedzimy, rozmawiamy, wstajemy: „W imię Ojca i Syna...”, czyli modlimy się, teraz siadamy i rozmowa dalej się toczy. Wszystko płynie, tu nie tworzą się jakieś oddzielne działki – duchowość, religijność, naukowość... U Profesora jest to jednością.

² J. Szymik, *O teologii dzisiaj. Zadania, piękno, przyszłość*, Pelplin 2006, s. 132.

G.P.: Co wobec tego jest największym darem, jaki otrzymałeś od Profesora, a którym chciałbyś dzielić się jako kapłan, jako człowiek?

Bliskość Pana Boga, człowieczy obraz Boga w Jezusie Chrystusie – owa teologia egzystencjalna. To, że studiowanie teologii musi mieć wpływ na życie, że studiowanie teologii nie może być oderwane od wiary, a wiara z życiem jest ściśle związana. To, że jak myślimy, tak też żyjemy, że to moje myślenie i sposób poznawania świata i Boga wpływa na to, jak blisko jestem Boga. Jeszcze raz więc podkreślę: największym darem, jaki otrzymałem od Profesora jest ludzkie oblicze Boga w Jezusie Chrystusie.

Inna ważna wartość, którą podarował mi Profesor, to umiejętność łączenia ludzi, światów. Ci jego uczniowie, studenci, wychowankowie, absolwenci, którzy tworzyli środowisko lubelskie, byli zapoznawani ze środowiskiem katowickim, katowickie poznawało to, co lubelskie. Tworzyły się znajomości, przyjaźnie, po prostu więzi. On budował wokół siebie taką rodzinę ludzi zaprzyjaźnionych, którzy przez niego wchodzili w trwałe, nieraz bardzo głębokie relacje. Ksiądz Szymik jest dla mnie wzorem wielkiego uczonego, ale także wspaniałego pedagoga, który kocha swoich uczniów i jest blisko nich.

Tym, co szczególnie mocno cenię też u Profesora, jest fakt, iż on z takim samym szacunkiem odnosi się do profesora, jak i do portiera, do bliskiego kolegi i do studenta. Dla każdego jest tak samo serdeczny, życzliwy, w każdym widzi kochanego przez Boga człowieka. Powiem szczerze, że ja tego jeszcze nie umiem, ale tego właśnie uczę się, podpatrując Profesora. Jakże wymowny w tej kwestii jest sposób prowadzenia przez niego korespondencji elektronicznej – on odpisuje na wszystkie e-maile. Nieważne, z jakim tematem się w e-mailu do niego zwracałem, zawsze serdecznie i życzliwie odpowiada. Zawsze na jego e-maile czekam z takim wielkim przejęciem.

G.P.: Profesor niejednokrotnie podkreśla, że mistrz pozwala wyfrunąć ptaszkowi po to, żeby się nauczył latać, ale od mistrza uczeń ma prawo dowiedzieć się, czy w tę stronę warto lecieć. Z tego, co mówiłeś do tej pory, wynika, że szukałeś u Profesora odpowiedzi w zakresie kierunku obranego lotu. On jest zatem dla ciebie chyba nie tylko mistrzem, ale i ojcem?

Rzeczywiście, moje relacje z Profesorem ewoluowały w tym właśnie kierunku. Fundamentem ich wydaje mi się być to, o czym dość szeroko tu mówiłem: Profesor nie przywiązywał mnie do siebie, nie zawłaszczał. A to dlatego, że on patrzy szerzej, widzi człowieka i jego drogę życiową w perspektywie Kościoła, nie zaś w kontekście jego indywidualnego sukcesu. A tak przecież patrzy troskliwy ojciec.

Jeszcze raz przywołam tu moment lekkich zawirowań wokół mojego doktoratu. Ktoś zaproponował, bym pisał pracę doktorską w czasie mojego pobytu w Wiedniu. Wtedy Profesor zaproponował: „Michał, nie! Ja się nie godzę na to, że ty jesteś tam, a ja tu i bez uczestnictwa w seminariach naukowych i systematycznych spotkaniach ty piszesz u mnie doktorat. Tak nie”. No i zapytałem arcybiskupa, który powiedział jasno: dwa lata niemiecki, trzy lata doktorat. Przekazałem to Profesorowi, który stwierdził: „Świetnie, jedź na naukę języka, a potem będziemy pracować konkretnie nad doktoratem”.

Z jednej więc strony uporządkowanie, konkretność, a z drugiej strony – otwartość, nieprzywiązywanie, obdarzanie odpowiedzialną wolnością.

G.P.: Gdzie swoje źródło ma fenomen księdza Szymika polegający na tym, że potrafi on stanąć w samym środku współczesnych areopagów, a przy tym zachować swoją tożsamość – nie ulegając modom, naciskom, nie wpisując się w jakże powszechną dzisiaj tendencję do „szydlerczego chichotu maskującego rozpacz, [...] bezradności ukrytej za fasadą różnych odmian cynizmu”³?

Bo jemu chodzi o Boga. To jest to! Profesor mówi, że jeżeli jakkolwiek odpowiedź nie sięga Boga, jest odpowiedzią niepełną – a to ma z Ratznigera.

Kiedy ze stanu kapłańskiego odszedł Tomasz Węclawski, Profesor bardzo to przeżywał. Siedzieliśmy wtedy w jego pokoju, rozmawiając. Profesor wypowiedział wówczas niezwykle cenną myśl. „Michał, tak sobie siedzę, rozmyślając o Tomku, i mówię do siebie, patrząc na te wszystkie książki: Juruś, to cię nie zbawi. Choćby nie wiadomo ile tych książek napisać, ile języków umieć, choćby napisać najmądrzejsze traktaty teologiczne i w jak najbardziej szacownych gremiach zasiadać – to cię nie zbawi. Zbawi cię

³ Tenże, *Wszystko zjednoczyć w Chrystusie (Ef 1,10). Teologia, poezja, życie*, Wrocław 2003, s. 91.

Bóg”. I myślę, że na tym polega jego fenomen: jemu chodzi o Boga, to znaczy, że ufa, że się modli, że jest księdzem wierzącym po prostu.

G.P.: Byłam świadkiem takiej oto sceny. Rok 2014, początek pięknej wiosny, Profesor siedzi w ogrodzie, w ręku książka Ratzingera, na stolyczku kawa, brewiarz i stare, dość sfatygowane już modlitewniki – jak mi tłumaczy: jeden od babci, jeden z czasów młodości. Ma w nich ulubione modlitwy, którymi przeplata swoją „robotę”, czyli przygotowuje ostatnią część tryptyku poświęconego teologii Josepha Ratzingera/Benedykta XVI.

Tak. On to wszystko łączy w sobie, on nie jest fragmentaryczny. W nim jest Kościół i to Kościół zakorzeniony. A im bardziej Kościół jest zakorzeniony, tym bardziej może rosnąć w górę jak drzewo. Tak jest z Kościołem, tak samo jest i z Profesorem.

Kiedyś biskup Janusz Zimniak opowiadał, że był nad morzem. Piękna pogoda, wchodzi do pustego kościoła i nagle patrzy – klęczy tam jakiś młodzieniec. Trwało to dość długo, w końcu ów młodzieniec odwraca się i wychodzi. Ksiądz biskup przygląda mu się bliżej i w tym momencie dostrzega, że to Jerzy Szymik.

Profesor potrafi więc spędzać wakacje i z przyjaciółmi, i z Panem Bogiem, i nie żałuje dla Pana Boga czasu. To jest jego siła. Jego siłą jest Bóg, jestem głęboko przekonany. Z tego właśnie źródła – moim zdaniem – wypływa fraza wypowiedziana w czasie rozmowy przy kawie: „To wszystko mnie nie zbawi, zbawi mnie tylko Chrystus”.

G.P.: Było o relacjach, o sposobie myślenia, zapytam teraz o język. Czy język księdza Szymika wpływa na twój język duszpasterski? Czy zdarza ci się „mówić Szymikiem”?

Mam świadomość tego, że w moim języku pojawiają się frazy będące dosłownym cytatem z Profesora bądź też ich parafrazą. Myślę jednak, że to nieunikniony efekt przebywania w obszarze promieniowania słowa mistrza. Profesor mówił wszelako, że cieszy się, kiedy w wypowiedziach swoich uczniów słyszy „kawałek” swojej myśli, znaczy to bowiem, że myśl owa zapadła w serce i umysł słuchacza, że zawierała coś ważnego w zakresie prawdy o Bogu i człowieku.

Na pewno ten jego styl mówienia o Panu Bogu – taki pokorny i taki wnikliwy – mnie bardzo urzeka. Wydaje mi się, że to właśnie

dusza wrażliwego artysty, jaką ma ksiądz profesor Jerzy Szymik, ona sprawia, że potrafi nam przybliżyć taką wrażliwą stronę Pana Boga, z Jego „czułością niezrównaną”⁴. I za to jestem mu głęboko wdzięczny.

Rydułtowy, 15 czerwca 2014 roku

⁴ Por. tenże, *Czułość, siła i drżenie. 50 wierszy z lat 2006–2009*, „Missa de spe” i „Litania do Matki Boskiej Pszowskiej”, Katowice 2009, s. 5.

Piotr Skowronek¹

Urodził się 19 maja 1968 roku w Pszowie, mieszka w Rydułtowach. Mąż Małgorzaty Brząkalik-Skowronek, ojciec Pauliny i Emilii. Doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Pismom księdza Jerzego Szymika poświęcił dysertację *Twórczość ks. Jerzego Szymika. Idee – dzieło – recepcja*; przygotowaną pod kierunkiem prof. dr hab. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, obronioną 29 lutego 2008 roku w Katowicach, a opublikowaną pod tytułem *„Spotkać się w słowach...” O twórczości literackiej ks. Jerzego Szymika* (Kraków 2008). Jego praca stanowi jedną z pierwszych prób monograficznego opracowania literackiej części dorobku księdza Szymika. Autor kilkudziesięciu artykułów, z których znaczna część dotyczy Szymikowej twórczości. Od 2009 roku dyrektor Liceum imienia Noblistów Polskich w Rydułtowach, którego absolwentem jest ksiądz Jerzy Szymik.

IZABELA SKROBAK: Czy Dyrektor rydułtowskiego Liceum na Górcie jest jego absolwentem?

PIOTR SKOWRONEK: Tak, to jest moje liceum, do którego chodziłem 25 lat temu. Bardzo miłe je wspominam, a gdy rozpoczynałem tutaj pracę, powiedziałem nauczycielom, że trzeba bardzo uważać na uczniów, bo nigdy nie wiadomo, czy jeden z nich nie zostanie w przyszłości dyrektorem (*śmiech*).

Kiedy nastąpił Pana powrót w te mury?

W 2009 roku.

Proszę opowiedzieć o początkach swojej pracy w Liceum imienia Noblistów Polskich w Rydułtowach, podzielić się pierwszymi wrażeniami

¹ Zapis rozmowy ukazał się pierwotnie w kalendarzu *Z tej ziemi* (por. „Zwykły, a przecież niezwykły”. O fenomenie księdza Jerzego Szymika na granicy intymności. Z Piotrem Skowronkiem rozmawia Izabela Skrobak, w: *Z tej ziemi. Śląski kalendarz katolicki na rok 2014*, red. I. Jańczak, Katowice 2013, s. 66-74 [cz. 1], 84-93 [cz. 2]). Na potrzeby niniejszej książki tekst został powtórnie zredagowany.

z tamtego czasu. Z pewnością chwile te pozostały dość wyraźnie w Pana pamięci?

Kiedy się zostaje dyrektorem swojej niegdyś szkoły, to dziwne uczucie, bo pracują jeszcze nauczyciele, których się pamięta ze szkolnych lat. Z pewną więc nieśmiałością zaczynałem pracę. To był dość trudny okres i jest nadal: niż demograficzny, zwolnienia. Praca dyrektora znacznie różni się od pracy nauczyciela – pojawiają się zupełnie inne obowiązki, zwłaszcza urzędnicze. Poprzednio pełniłem funkcję doradcy metodycznego i nauczyciela. Miałem o wiele więcej czasu na różne sprawy dydaktyczne, naukowe i tak dalej. Natomiast tutaj opanowała mnie biurokracja; zwykle osiem, dziewięć, czasami dziesięć godzin dziennie poświęcam na – mówiąc popularnie – papiery. Szkoda, chociaż w pewnym sensie porządek jest potrzebny...

Czy doświadczenia poprzednio zdobyte w pracy nauczyciela pomagają w codziennych trudach?

Myślę, że na pewno. Nie wyobrażam sobie, żeby funkcję dyrektora mógł pełnić nienauczyciel, urzędnik albo menadżer. Jeżeli ktoś siada z drugiej strony, to jest zawsze łatwiej.

Niebawem rozpocznie się nowy rok szkolny 2012/1013, za pasem obchody sześćdziesięciopięciolecia liceum. Jak wasza społeczność przygotowuje się do tego wydarzenia?

Nauczyciele już mi zgłaszali, że taką uroczystość sobie zorganizujemy. Pewnie będzie o wiele bardziej skromna niż obchody sześćdziesięciolecia. Myślę, że nastąpi odsłonięcie jakiejś tablicy pamiątkowej i kilka towarzyszących uroczystości wydarzeń, związanych z uczczeniem naszych najlepszych absolwentów.

Oczywiście data jubileuszu jest w pewnym sensie umowna, bo szkoła zaczęła funkcjonować 4 września 1937 roku. Wówczas była to podstawówka, a potem różne typy szkół. Gdybyśmy chcieli liczyć od tamtego okresu, to szkoła ma już ponad 70 lat, a samo liceum wkracza już w okres powojenny. Pierwszy rocznik to matura 1951 – wśród absolwentów był między innymi Henryk Mikołaj Górecki, światowej sławy kompozytor! Nie tak dawno odsłanialiśmy tablicę poświęconą jego pamięci.

W roku 2013 przypadnie także piąta rocznica wyboru patronów szkoły. Jak to się stało, że liceum otrzymało imię Noblistów Polskich?

Znam okoliczności tylko z opowiadań nauczycieli. Odbyla się wprawdzie ogólnoszkolna debata i konkurencję wobec Noblistów Polskich stanowiło imię księdza Franciszka Blachnickiego, założyciela Ruchu Światło-Życie, postaci wybitnej i z Rydułtowami związanej. Widocznie jednak w głosowaniu stwierdzono, że imię Noblistów Polskich będzie z jakichś powodów lepsze.

Czy po pięciu latach uważa Pan tę decyzję za słuszną?

Imię szkoły zawsze kształtuje uczniów, nauczycieli, pracowników. Myślę, że sama idea działania dla dobra ludzkości to dobry cel, a Nobliści są takimi osobami, które zasłużyły na szacunek świata. W związku z tym mamy do kogo się porównywać, znamy drogę, którą warto podążać.

Wspomniał Pan o dziesiątkach lat odbywającej się w tych murach edukacji na różnych szczeblach. Czy dotąd szkoła nie miała patrona?

Pierwszym był doktor Michał Grażyński. Pozostała z tamtych czasów wspaniała kronika, dokumentująca dzieje szkoły samego początku. Kolejnym patronem, ze względów politycznych, został generał Karol Świerczewski – ikona komunistycznej propagandy. Można więc powiedzieć, że „Nobliści” przywrócili szkole dobre imię, chociaż to ogromne uproszczenia.

Jubileusz nieodłącznie wiąże się ze spotkaniami absolwentów. W celu uczczenia pamięci tych najznakomitszych rozpoczęto już cykl ciekawych spotkań...

Tu nie tyle chodzi o jubileusz, co o pewien system wartości. Chcieliśmy, aby uczniowie poznali historię szkoły i żeby zostali zachęcani do nauki dobrymi przykładami. Skalna, zwana dawniej Gimplem, zawsze miała wysoki poziom nauczania, oddanych pracowników i znakomitych uczniów. Kwestia ta często pojawia się we wspomnieniach absolwentów, z którymi organizujemy regularne spotkania. Do udziału w spotkaniach z cyklu „Wybitni Absolwenci Skalnej” zapraszamy osoby, które coś w życiu „osiągnęły”, rozumiejąc to pojęcie bardzo szeroko. Był pan Augustyn Kubik z Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, była pani burmistrz Kornelia Newy, bo tak się składa, że burmistrzowie okolicznych miast – również pani Barbara Magiera z Radlina i pan Marek Hawel z Pszowa –

to nasi absolwenci. Był też ksiądz profesor Jerzy Szymik. W ogóle cały ten cykl rozpoczęliśmy od upamiętnienia profesora Henryka Mikołaja Góreckiego popiersiem, które wisi na korytarzu przy sekretariacie oraz nadaniem klasie matematycznej imienia profesora Józefa Dudka – twórcy „wrocławskiego salonu matematycznego” – znakomitego humanisty. Jego „dobrym duchem” na Skalnej był profesor Alfons Hajok.

Spotkania, jak sądzę, cieszą się sporą popularnością wśród uczniów?

Stwierdziliśmy, że to mają być spotkania kameralne, raczej dla zainteresowanych uczniów. Nie robimy „masówek” w sali gimnastycznej, bo to nie sprzyja autentycznemu spotkaniu, wymianie poglądów, przywoływaniu wspomnień. Ich miejscem jest biblioteka – zawsze wtedy pełna! Uczniowie naprawdę to sobie cenią. Zresztą sami spotkania przygotowują. Zadają naszemu absolwentowi pytania. Oczywiście wspólnie je redagujemy, ale wtedy są bardzo zaangażowani. Czasami nawet udaje się coś z tych spotkań opublikować². Teraz czekamy na przyjazd Jana Wincentego Hawla – dyrygenta, kompozytora, pedagoga – rektora katowickiej Akademii Muzycznej, kierownika Orkiestry Kameralnej Filharmonii Śląskiej, absolwenta Skalnej. Profesor jest jednak bardzo zapracowany i ciągle przekłada odwiedziny!

Spośród licznego grona absolwentów Liceum imienia Noblistów Polskich w Rydułtowach wyjątkowe miejsce w Pana życiu zajmuje, jak się domyślam, zwłaszcza jedna osoba. Postaci tej poświęcił Pan swoje badania, których zwieńczeniem była rozprawa doktorska opublikowana w 2008 roku pod znamienitym tytułem „Spotkać się w słowach”³. Czy zechciałby Pan przedstawić towarzyszące temu kierunkowi studiów motywacje? Skąd wybór akurat księdza Jerzego Szymika?

Historia ta jest bardzo interesująca nawet dla mnie i podejrzewam, że tu wyraźnie opatrność Boża czuwała. Tak się bowiem składa, że moja babcia mieszkała niedaleko rodziny państwa Szymików. A ponieważ większość czasu w dzieciństwie spędzałem u babci, więc siłą rzeczy często mijałem dom państwa Szymików. Najpierw

² Zob. J. Szymik, *Mów na wysokości tej góry. Rozmowę przeprowadzili Łukasz Olszowski i Karolina Gregorek*, „Śląsk” 2012, nr 9, s. 56-58.

³ Por. P. Skowronek, *„Spotkać się w słowach...” O twórczości literackiej ks. Jerzego Szymika*, Kraków 2008.

chodziłem do pobliskich Maksów (ich sąsiadów) po mleko i kasztany, które spadały lawiną z dwóch rosnących drzew. Wtedy jeszcze nic o Księdzu Profesorze nie wiedziałem.

Trzeba chyba dodać, że pan doktor Piotr Skowronek wywodzi się z Pszowa...

Tak – jestem pszowikiem, jak najbardziej. W domu Szymików fascynowało mnie natomiast jedno. Kiedy tak przechodziłem, z dziecięcą ciekawością oglądając sobie różne rzeczy na tym świecie, za najciekawszy uznawałem ich ogródek: bardzo wypielęgnowany, fantastyczny. Zawsze patrzyłem przez płot na róże – na to, jak ojciec Profesora przycina to wszystko i dba, by było piękne. Wydaje mi się, że jakoś ten ogródek mnie zafascynował.

I potem po wielu latach, był koniec lat osiemdziesiątych, mój kolega Marek Hawel, obecny burmistrz Pszowa, poprosił mnie o przysługę: ksiądz Szymik był w rodzinnym domu i trzeba było opał zrzucić do piwnicy (konkretnie to się *po naszymu nazywa* „ściepać szlyma”). Razem z Markiem żeśmy zrzucali, a Ksiądz Profesor przyszedł i w piwnicy, pod kuchnią chyba czy pod takim gankiem, zgarniał *szlyma* do środka. I nie była to wcale banalna czynność, gdyż przy okazji krótkich przerw (Ksiądz Profesor wtedy jeszcze palił, a my jeszcze nie! *śmiech*) – co pamiętam dokładnie, ponieważ miał w paczce papierosy różnych marek powtykane) nam mówił o śląskich powiedzonkach, języku, systemie wartości. Pamiętam, że uzasadniał filozofią powiedzonko świadczące o pozytywnym nastawieniu Ślązaków do świata. „Kiedy *Ślązok* wychodzi na *dwor* – tłumaczył nam Profesor – i jest chłodno, to *godo*: «o, dzisiaj ni ma nic ciepłego», czyli nie używa negatywnych pojęć, a tylko te pozytywne («nic ciepłego»). Czujecie w tym Leibniza?” – pytał. A myśmy, muszę przyznać, słabo czuli! *śmiech*) I to zapamiętałem ze spotkania z końca lat osiemdziesiątych; mógł być rok 1988 lub 1989.

Mniej więcej w tym samym czasie ukazał się w Księgarni Świętego Jacka pierwszy tomik poezji księdza Szymika *Uczę się chodzić*⁴. To też zapamiętałem, ponieważ już wtedy, nawiązując do tytułu, „chodziłem” ze swoją przyszłą żoną, Małgorzatą. Pojechaliśmy po ten właśnie tomik do Księgarni Świętego Jacka w Wodzisławiu Śląskim. I tak się pięknie stało, że ja dostałem dobry egzemplarz, a moja żona wybrakowany – bez druku niektórych wierszy. Oczywiście jako

⁴ J. Szymik, *Uczę się chodzić*, Katowice 1988.

dżentelmen wymieniał egzemplarze, a ona wpisała mi za to od ręcznie brakujące wiersze księdza Szymika w moim! Mam ten tomik do dzisiaj!

Nie byłoby zatem przesadą stwierdzenie, że Ksiądz Profesor patronuje waszemu małżeństwu?

Tak, zwłaszcza że poprosiliśmy księdza Szymika, żeby był obecny przy samym zawieraniu sakramentu małżeństwa. Jak to się mówi popularnie, ksiądz Szymik „udzielał nam ślubu”. Ale w naszej rodzinie był obecny już od dawna. Przypominam sobie jakieś historie mojej kuzynki Marysi Zganiacz, że skakał z książkami przez płot, bo nasz sąsiad pracował w księgarni, a czasy były siermiężne i dystrybucja ciekawszych publikacji odbywała się wyłącznie „spod lady”!

Wracając zaś do Szymikowej twórczości, ów tomik na tyle mnie zainspirował, że postanowiłem napisać pewien tekst. Okoliczność stanowiły, zdaje się, zajęcia z poetyki na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, które prowadził wówczas doktor Józef Olejniczak. Napisałem artykuł zatytułowany *Paradygmat Boga i miłości w twórczości księdza Jerzego Szymika*⁵ jako recenzję tomiku *Uczę się chodzić*. Moja koleżanka, Ania Chruśnik (obecnie Popek – znana dziennikarka), stwierdziła, że ma przyjaciół w kwartalniku literackim „Fa-art”. To był w zasadzie mój pierwszy „szymikowy” tekst. Jeszcze zanim go złożyłem do redakcji, napisałem ankietę-kwestionariusz i wysłałem do Lublina. Ksiądz Profesor był wówczas pracownikiem KUL-u. Bardzo szybko odpowiedział na różne zadane wtedy przeze mnie pytania. Kiedy teraz czytam ten tekst, wydaje mi się, że w ogóle się nie zestarzał i te dwie tytułowe rzeczy, mianowicie Bóg i miłość, są w poezji księdza Jerzego Szymika na pierwszym miejscu, w takiej kolejności właśnie: Bóg i miłość.

W Pana natomiast przypadku zadecydowała ostatecznie młodzięncza fascynacja?

Młodzięncza fascynacja – zdecydowanie. Tym bardziej że nas przygotowywała do matury pani profesor Maria Firut, co się wiązało z udziałem w teatrze szkolnym, w którym panowały poetyckie klimaty. Uczestniczyliśmy nawet w jakimś przeglądzie we Wrocławiu.

⁵ P. Skowronek, *Paradygmat Boga i miłości*, „Fa-art” 4 (1991), nr 2/3, s. 40-41.

Byliśmy bardzo uwrażliwieni na poezję, w związku z tym studia stanowiły wyraźną kontynuację zainteresowań.

Proszę sobie wyobrazić, że ja nie od razu wybrałem polonistykę. Po maturze w roku 1987 najpierw była fizyka; otrzymałem z wyróżnieniem indeks we Wrocławiu, w Auli Leopoldina i parę miesięcy trwał romans z fizyką, po czym stwierdziłem, że to jednak nie jest to, że nie robię tego, co lubię, więc – żeby uspokoić rodzinę – przeniósłem się do Katowic, a potem, zdaje się, że już w okolicach Bożego Narodzenia, postanowiłem całkowicie zrezygnować z fizyki i przystąpić do egzaminów na polonistykę w następnym roku.

Proszę jeszcze powiedzieć, w jaki sposób z biegiem lat dojrzała Pana recepcja twórczości księdza Jerzego Szymika?

Ten pierwszy artykuł był w ogóle dość znaczący. Myśmy się potem z Księdzem Profesorem spotkali i on mi zaproponował, że mam recenzować pierwszy numer czasopisma seminaryjnego Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Katowicach „Nasza Myśl” (wydawanego zresztą do dzisiaj). Kiedy teraz to czytam, okazuje się, że byłem wtedy bardzo, bardzo krytyczny – na zasadzie drzazgi i belki, z całą przerysowaną ambicją studenta polonistyki, który pozjadał wszystkie rozumy (*śmiech*). Redaktor naczelny odpisał mi w równie zaczepnym tonie i z ambicjami „dojrzałego księdza i literata”, a pamiętam, że w tej recenzji napisałem: „jeśli nie musicie, to nie piszcie”. Ale chłopcy się nie obrazili i oczywiście pisali dalej.

Moje obcowanie (bo przecież nie tylko lektura, ale również poznawanie postaci twórcy) z poezją Szymika nabierało z biegiem czasu, jak to mawiała świętej pamięci doktor Marianna Czubalina, „rumieńców”. Rozpocząłem już pracę jako polonista i zaprzyjaźniłem się z Krystyną Glencową, która była wielką miłośniczką poezji autora *Błękitu*, zbierała wszystkie publikowane tomiki z wpisami, dedykacjami. Ona właśnie podsunęła mi pomysł, żebym napisał pracę doktorską – ale nie z twórczości księdza Szymika, tylko dotyczącą zjawiska „twórczości poetów w koloratkach”, zwanej również „poezją kapłańską”.

Ja się z pomysłem bardzo długo nosiłem, bo pracę magisterską pisałem u profesora Stefana Zabierowskiego na temat *Szkice z podróży Waldemara Łysiaka*. Byłem nawet u profesora kilka razy, lecz los tak sprawił, że jeszcze nie przyszła właściwa pora... Potem jako doradca metodyczny spotkałem się z panią doktor Danutą Krzyżyk,

która powiedziała: „A to pani profesor Helena Synowiec kogoś poleci, skoro pan jest tak bardzo zainteresowany tym tematem. Tylko nie wiem, czy to nie jest za szerokie pojęcie”. Profesor Synowiec poleciła mi zaś fantastyczną osobę – panią profesor Krystynę Heska-Kwaśniewicz.

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Przyjechałem, ona wysłuchała tego, co mam do powiedzenia na temat poezji kapłańskiej. Wymieniłem kilka nazwisk. A Pani Profesor na to: „Wie pan co, może by... ksiądz Szymik. Pan zna?”. Ja mówię: „No, tak...”. Pani Profesor: „No to widzi pan, zrobmy monografię twórczości literackiej księdza profesora Szymika. Jeżeli pan oczywiście chce?”. Pamiętam, że na drugie spotkanie seminaryjne (ono się jeszcze odbywało w uniwersytecie, w budynku polonistyki, później spotykaliśmy się w domu Pani Profesor) postanowiłem wszystkich doktorantów i habilitantów przekonać do poezji Szymika i w ogóle – do jego twórczości. Wziąłem plecak, zapakowałem wszystkie książki, które posiadałem, a gdy wyłożyłem je i zacząłem omawiać, jedna z pań zapytała: „Pan to wszystko przeczytał?!”. Na co pani profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz popatrzyła uważnie, z iskrą w oku i powiedziała: „Jak znam pana Piotra, przeczytał na pewno znacznie, znacznie więcej”.

Tak rozpocząłem przygodę z pisanem doktoratu. Temat ustaliliśmy w szpitalu – Promotorka była chora, ale nie przeszkadzało jej to w pracy (*śmiech*). Był 2005 rok. Temat taki, żeby Rada Wydziału mogła go zaakceptować: *Twórczość ks. Jerzego Szymika. Idee – dzieło – recepcja*. No, a potem już była mozolna praca, czytanie, pisanie, po kilka godzin dziennie, zawsze z rana, konferencje naukowe, na które Pani Profesor, często bez mojej wiedzy (*śmiech*), mnie zgłaszała, seminarium doktoranckie, wymiana poglądów, publikacje i tak dalej. A przy tym niezwykła życzliwość, wsparcie i pracowitość Promotorki, która powtarzała nieustannie: „Widzicie Państwo, ja piszę kilkanaście zdań dziennie, ale jak przyjdzie koniec miesiąca, to mam kilkaset”. Bez wątpienia to było bardzo interesujące doświadczenie.

Jaką część życia poświęcił Pan na realizację tak ambitnego przedsięwzięcia? Czy jakieś konkretne liczby można tutaj wskazać?

Obrona była w 2008 roku, oficjalny początek miał miejsce w 2005. Natomiast kontakty z Szymikową twórczością cały czas się nasilały.

Przy szlymie się zaczęło, a potem już w różnych okolicznościach żeśmy się spotykali. Muszę powiedzieć, że to jest tak: gdy się pisze pracę, cały czas się o niej myśli, nie można się ani na chwilę od niej uwolnić. Człowiek pisze, ale potem ilekroć jakąś inną czynność wykonuje, myśli o tym, co napisał albo co napisze i w jakim kontekście. To kwestia nie tyle spotkania z twórczością i studiowania jej, co również, a może przede wszystkim spotkania z osobą autora ukrytego w narracji, w świecie przedstawionym, w podmiocie literackim. I wtedy się jest cały czas z nim, z jego sposobem myślenia, systemem wartości i z jego wrażliwością, estetyką, językiem. Wszystko widzi się przez ten pryzmat. Z niecierpliwością czeka się na każdy nowy wiersz. Jaki będzie i co nam będzie mieć do powiedzenia.

Przypuszczam, że nawet już po zamknięciu pracy...

Tak. Praca to jest tylko etap. Pani Profesor mnie zawsze mitygowała, parafrazując anegdotę o Styce, że mam pisać dobrze, a nie pisać na kolanach. To ustawiało człowieka do pionu (*śmiech*). Myśmy zresztą nasze seminarium mieli w dość ciekawych okolicznościach. Odbywało się u Pani Profesor w domu. Wszyscy zaproszeni (a byli tam różni goście, profesorowie i tak dalej) mogli się wypowiedzieć na temat fragmentu pracy, który akurat się czytało. To było bardzo pouczające i twórcze, a przy tym uczyło pokory wobec własnego „dzieła”.

Przy okazji poruszonych wątków chciałam jeszcze zadać dwa pytania. Pierwsze: co, Pana zdaniem, robi z człowiekiem, bez względu na wiek, przygotowanie doktoratu – życiowo patrząc na to wydarzenie?

Tak bardzo praktycznie: człowiek się rozpisuje, jak mówiła profesor Heska-Kwaśniewicz. To jest raz. A przy okazji pisania porządkuje swoje myśli. Szlifuje też swój warsztat pracy, język się na pewno wzbogaca. No i akurat ten rodzaj twórczości porządkuje również całą przestrzeń aksjologiczną.

Właśnie wyprzedził Pan moje drugie pytanie, w tym kierunku idące: co robi z człowiekiem pisanie doktoratu z twórczości księdza Jerzego Szymika?

Jego twórczość jest bardzo ciekawa właśnie pod względem aksjologicznym. Uparłem się, żeby wykazać, że każdy utwór księdza

profesora Szymika – lecz proszę tutaj wziąć poprawkę, że ja pisałem z twórczości literackiej, nie czując się specjalistą w twórczości teologicznej ani w tej, która popularyzuje teologię; ominąłem również (choć całe życie miałem ją na oku) twórczość eseistyczną, bowiem poezja była mi najbliższa – zostaje podszyty przestrzenią aksjologiczną, w której najważniejszy jest Bóg. To się może wydawać (próbuję znaleźć właściwe słowo), powiedzmy, nieco nie na miejscu wobec współczesnej poezji, która jest raczej ciemna..., bez „pozytywnego” celu!

Czyli, jak by powiedział ksiądz Szymik, „metafizycznie pusta”?

„Metafizycznie pusta”... – tego bym do końca nie mógł potwierdzić. Przywołane sformułowanie Księdza Profesora dotyczyło akurat twórczości Szymborskiej, która i mnie generalnie napawa lękiem. Natomiast poezja Księdza Profesora napędza mnie pewną otuchą, że moje życie – jak on to wielokrotnie powtarza – ma sens, że nie jestem powołany do istnienia z ironii Boga, lecz Jego miłości. „Widać w tkaninie wszechświata brakowało [także mojego] ściegu”⁶ (*śmiech*). To bardzo wpływa potem na zwyczajne, codzienne życie. Zresztą mój ulubiony wiersz, który nazywa się *Miłość* z tomu *Cierpliwość Boga*⁷, proszę zauważyć, mimo tego ważnego słowa na początku, schodzi od razu w codzienność, nawet w jej konkretną, męską odmianę: „Opłukuję twarz z żelowej pianki. / Odpalam windows xp. / Wiozę fiolkę z moczem do laboratorium”⁸. Pokazuje, że możemy Boga szukać, odnaleźć Go, z Nim rozmawiać, trwać w takiej codzienności.

Jeszcze na jeden aspekt chciałem zwrócić uwagę – niezmiernie ważny, jeżeli chodzi o kontakt z podmiotem lirycznym czy szerzej: z podmiotem czynności twórczych – aspekt kreacji „ja” lirycznego. Pani doktor habilitowana Aleksandra Pethe opublikowała niedawno książkę *Ars, fides et ratio. Esej teologiczny?* (*Tischner, Pasierb, Szymik*)⁹. To jej habilitacja, w której, powołując się też na moje słowa, napisała: „W tym miejscu rozważań szczególną uwagę trzeba zwrócić na intymność widzenia «ja» eseistycznego [ale też, moim zdaniem,

⁶ J. Szymik, *Fotografia*, w: tegoż, *Błękit. 50 wierszy z lat 2000–2002*, wstęp A. Szostek, posł. K. Najman, Katowice 2003, s. 13.

⁷ Tenże, *Miłość*, w: tegoż, *Cierpliwość Boga. 66 wierszy z lat 2003–2006*, Katowice 2006, s. 14.

⁸ Tamże.

⁹ Zob. A. Pethe, *Ars, fides et ratio. Esej teologiczny?* (*Tischner, Pasierb, Szymik*), Siedlce 2012.

poetyckiego], na którego kształt i treść wpływają doświadczenie biograficzne autora. Piotr Skowronek pisał o łączeniu przez Szymika dwu porządków – porządku autorskiego i porządku dzieła literackiego. Tak pojmowane dążenie do identyfikowania osoby twórcy i jego kreacji odautorskiej miałoby prowadzić do uzyskania «wrażenia tożsamości» czy «bycia wyłącznie sobą», aby tą metodą, dyskretną, oferować odbiorcy chrześcijański świat wartości. I to wrażenie tożsamości stanowiłoby walor subiektywizmu eseistycznego J. Szymika. Wydaje się, że w swej pisarskiej intencji Szymik posuwa się jeszcze o krok dalej, i dąży nie tylko do wywołania tegoż wrażenia identyfikacji, ale chce wręcz uwiarygodnić i zagwarantować prawdziwościowy wymiar wypowiedzi «ja»¹⁰. Stąd wrażenie, że biorąc do ręki wiersz księdza Szymika, spotykamy się za każdym razem z autorem. Następuje tam identyfikacja „ja” lirycznego z „ja” autorskim. Pytam: „Dzień dobry, Księżu Profesorze. Gdzie mnie Ksiądz teraz zabiera?”. Używam tutaj słowa „teraz” z premedytacją, gdyż 99 procent tych wierszy pisanych jest w czasie teraźniejszym.

Także spotkanie ma miejsce tu i teraz – kiedy odbywa się lektura wiersza. To pogłębia autentyzm i jest też pewnego rodzaju doświadczeniem, które uwalnia wiersze Szymika od takiego, wydawałoby się, łatwego dydaktyzmu w wymiarze aksjologicznym. Chociażby wracając do wiersza, który przeczytałem: on nie narzuca niczego odbiorcy, ale mówi: „jeżeli jesteś ze mną, to znaczy, jeżeli czytasz, jeżeli to cię interesuje, to ja mam ci do przekazania taki, a nie inny system wartości. To, a nie co innego, jest dla mnie ważne. W związku z tym zastanów się, czy chcesz go poznać. Skoro tu jesteś, to pewnie tak właśnie jest”.

Utwór kończą słowa: „Prawie nigdy wówczas nie myślę o Tobie. / Ale jesteś zawsze najbliżej, / w najczulszym kręgu mojej niepamięci”¹¹. Metafora „najczulszego kręgu mojej niepamięci”, moim zdaniem, odnosi się zarówno do Boga, jak i do odbiorcy, do tego, kto czyta wiersz. To jak gdyby rodzaj świadectwa (choć nie lubię słowa „świadectwo”, bo kojarzy mi się jednostronnie), ale i pewien rodzaj doświadczenia nieustannej obecności Boga, nieustannej obecności wiary – wcale nie taki różowy w sensie złożoności, często skrajnych emocji. Im człowiek starszy, tym te doświadczenia są ciemniejsze, z pogranicza płaczu, smutku, pożegnania i tak dalej; jednak cały czas przesiąknięte autentyzmem, prawdziwe i prowadzące ku Bogu – jak tytuł najobszerniejszej antologii księdza Szymika *Z każdą*

¹⁰ Tamże, s. 204.

¹¹ J. Szymik, *Miłość...*, s. 14.

*sekundą jestem bliżej Domu*¹². Tak przeżywane doświadczenie ma dla mnie nawet posmak Ewangelii.

Twórczość księdza Szymika potwierdza zarazem, że w procesie lektury nie następuje autentyczna identyfikacja bez wolności, to znaczy: bez wolnego wyboru nie ma możliwości głębokiego kontaktu czytelnika z literackim dziełem – nie ma szans na owo „spotkanie”. Nie można narzucić komuś miłowania tej czy innej poezji.

Trzeba się bardzo starać, żeby tego nie robić – po prostu.

Na Pana „spotkania” z autorem rzutują jednak – jak sądzę – także spotkania osobiste, których nie mało było w Pana życiu?

Osobiste spotkania również, ale tutaj trzeba dodać, że my omawiamy, i to bardzo powierzchownie, tylko jeden wycinek twórczości księdza Jerzego Szymika, mianowicie system wartości zawarty w twórczości literackiej. Natomiast ona jest przebogata i można o niej w różnych aspektach dyskutować.

Jest na przykład taki aspekt, który nazywałbym pewną „wspólnotą doświadczeń”. Często mi się zdarza, że czytam wiersze współczesnych autorów, zwłaszcza młodych, lecz ich język i sytuacja liryczna są mi na tyle obce, że nie mogę się z nimi identyfikować. To jest pewien rodzaj obcości nie tylko aksjologicznej – rodzaj obcości do świadczenia świata i tak dalej.

Choć nas z Księdzem Profesorem dzieli spora przestrzeń (on jest z rocznika 1953, ja z 1968), myślę, że świat przez ten czas nie zmienił się aż tak bardzo i postrzegamy go podobnie. Na pewno w dużej mierze to moja osobista recepcja, doświadczenie. Kiedy mam różnego rodzaju zastępstwa w szkole, biorę teksty Księdza Profesora i świadomie kseruję je bez imienia i nazwiska autora. Sporo uczniów rozpoznaje wiersze Szymika, ale zanim powiemy to sobie głośno, w podmiocie lirycznym odnajdujemy kapłana, Ślązaka, człowieka z krwi i kości, bardzo nam bliskiego!

Ksiądz Profesor wielokrotnie zauważał (pewnie znane Panu są te słowa), że czytelnikiem jego książek jest bardzo określona postać: człowiek zwykle młody, zawsze inteligentny, erudyta. Czy – w Pana ocenie – ów model wraz z upływem czasu jednak się zmienia?

¹² Tenże, *Z każdą sekundą jestem bliżej Domu. Wiersze z lat 1976–2000*, Kraków 2001.

Myślę, że już mamy do czynienia z co najmniej dwoma, jeżeli nie trzema pokoleniami odbiorców jego poezji. Wystarczy rozejrzeć się uważnie na spotkaniach autorskich. Zresztą pojęcie „młody” zależy od tego, ile lat sami mamy.

Ale młodzież wciąż pozostaje?

Młodzież wciąż pozostaje. Sądzę, że jest to pokolenie czterdziesto-, pięćdziesięciolatków, które na tej twórczości „wyrośło” i młodzież, której cały czas przybysza.

Czego zatem ci młodzi ludzie mogą szukać w tekstach księdza Szymika? Czego szuka młode pokolenie na Skalnej dzisiaj?

Myślę, że tego, o czym już wspomnieliśmy – jasności, poczucia sensu istnienia, tego, że „ktoś nas tu wszystkich kocha”¹³. Może powiedziałem zbyt ostro, że jest tylko ciemna strona współczesnej poezji, ale ta wersja wrażliwości w jakiś sposób góruje, usuwając nam spod nóg sprawy fundamentalne – prawdę, sens, zaufanie, miłość. To się wiąże pewnie ze światopoglądem postmodernistycznym, w którym lansuje się tezę o braku pewnych wartości, o rozmydleniu i relatywizmie prawdy, o tym, że niczego i nikogo nie możemy być pewni. Ten pogląd nie stanowi dla młodego człowieka żadnego oparcia. To, że mogę wszystko wybrać – nawet własną pleć, że „rzeczywistość jest płynna”, rodzi raczej lęk przed utonięciem, niż daje powody do radości.

Zresztą jakiś czas temu mówił już o tym Mrozek w *Tangu*. Młody człowiek traci grunt pod nogami, dlatego szuka klarownych wartości, nawet jeżeli się z nimi nie zgadza. Nawet jeżeli budzą w nim one jakiś opór, szuka czegoś, co byłoby jasne w sensie „poukładanego” aksjologicznie świata bez „widzimisizmu”. Myślę, że młodzi ludzie tego u Szymika szukają. Dobrze jest też, jeżeli znajdują również odpowiedni, bliski im i nieodarty ze znaczenia język. A znajdą u autora *Cierpliwości Boga* frazy i dykcję Miłosa, Herberta, Pasierba, Zagajewskiego... śmietankę literatury. Młodzi ludzie mogą tam odkryć trochę siebie, muszą też mieć wspólne doświadczenia związane z tą poezją i nimi się dzielić.

¹³ Cytat jest ostatnim wersem wiersza *Stacja benzynowa* autorstwa Elizabeth Bishop. J. Szymik, *Miłość*, wstęp A. Wuwer, wprowadzenie B. Szymik-Kozaczko, Katowice 2007, s. 14.

Wydaje mi się, że akurat dla młodego człowieka opór, jakaś forma buntu czy przekory młodzieńczej są stanami dość naturalnymi. Lecz też każdy uważny czytelnik Szymikowej twórczości wie, że niemal na każdej stronie dostrzeże ślad podstawowych chrześcijańskich wartości: prawdy, wolności, także radości – bo chrześcijaństwo, o czym nieraz się zapomina, nie jest religią cierpienia tylko i wyłącznie. Powiedział Pan niezwykle ciekawe rzeczy, wskazując na wiersz „Miłość”, który zresztą ma zajmować w Pana życiu istotne miejsce. Stąd pytanie: czy twórczość Księdza Profesora stanowi dla Pana również potwierdzenie tezy, że najważniejsza jest w życiu miłość? Niemalże tak brzmi tytuł jednej z antologii wierszy księdza Szymika „Największa jest”¹⁴.

Zacznę od pierwszej części Pani pytania i powrócę na moment do przywołanego *Tanga*. To znaczy, świat współczesny może być takim bałaganem, trzeba więc będzie go uporządkować przez dorosłych, a właśnie przez młodego człowieka, bo do niego, mówiąc kolokwialnie, należy przyszłość. I wydaje mi się, że trochę docieramy do tego momentu.

Obserwuję to u swoich uczniów. Jeżeli jest się wobec ucznia uczciwym, pokazuje mu się klarowne zasady, to uczeń przyjmuje ze spokojem krytykę! Ten przysłowiowy bunt nie idzie w gwizdek dla samego buntu, a jest bardzo konstruktywny. Uczeń wówczas chce pokazać, że coś potrafi, że sobie coś przemyślał, że to jest jego. I jeszcze rzecz bardzo ważna, którą wiersze Szymika dają czytelnikowi w trakcie lektury (pamiętajmy o czasie teraźniejszym i o osobie „ja”): trzeba z młodym człowiekiem być. To jest istotne – słuchać go i być z nim, z pełnym szacunkiem, mimo że to, co mówi, nie jest przez niego przemyślane do końca i tak dalej. Ale samo bycie z nim, jakaś taka, na to zresztą Ksiądz Profesor zwraca uwagę, czułość, relacje, mówienie po imieniu są niezwykle istotne i potrzebne.

Bardzo się staram znać wszystkich uczniów z imienia, mimo że jest nas na Skalnej około 300. Widzę, że to sprawia ogromne wrażenie. Na mnie również. Kiedy jadę samochodem, macham przez okno uczniowi lub pozdrawiam go, jeżeli on nie widzi pierwszy, i to buduje zupełnie inne relacje. Trochę jak z Szymikowych wierszy – w których jesteśmy bardzo blisko, na granicy, nawet pewnej intymności. Natomiast odnośnie drugiej części pytania: miłość zaraz po Bogu jest najważniejsza.

¹⁴ Tenże, *Największa jest* (1 Kor 13,13). 50 wierszy o miłości, Katowice 2005.

Ale Bóg jest miłością...

Tak, ale miłość nie jest Bogiem, jak często mówi ksiądz Szymik, żeby poukładać tę drabinę aksjologiczną: najpierw Bóg, a potem miłość. Zresztą tu trzeba oddać bardzo duży szacunek pracy translatorskiej. W Szymikowych tłumaczeniach najbardziej podoba mi się zakończenie *Modlitwy porannej* Josepha von Eichendorffa (te słowa też noszę w sercu): „A gdybym miał za marne grosze / Śpiewać nie Tobie... To choć drzę: / Roztrzaskaj moją lutnię, proszę, / Wiecznie przed Tobą milczeć chcę”¹⁵. Myślę, że rzecz dotyczy nie tylko twórczości, ale także pracy. Bo to nie jest tak, że wykonujemy jakieś swoje czynności rutynowo. Wykonujemy je dla ludzi, a celem naszym jest to, żeby i siebie, i ludzi zaprowadzić do Boga.

Czy spróbowałby Pan zatem, w ramach podsumowania tego wątku naszej rozmowy, wymienić podstawowe wartości, które dostrzega Pan w literackiej twórczości księdza Szymika?

Na pewno Bóg na pierwszym miejscu. Na drugim miejscu miłość i potem wszystkie rzeczy, które się z miłością wiążą, a więc będzie to przyjaźń, będzie czułość, bliskość, będzie intymność i zaufanie...

...czyli wartości wskazujące na esencję naszego człowieczeństwa. Odejdźmy teraz na chwilę od twórczości literackiej księdza Jerzego Szymika. Spójrzmy na całość dorobku – zróżnicowanego, bogatego. Który z obszarów aktywności tego śląskiego twórcy, Pana zdaniem, w szczególności zasługuje na uwagę współczesnych?

Ksiądz Szymik zwróciłby pewnie uwagę na swoją pracę teologiczną. Mnie się wydaje, że jeśli ktoś zacznie lekturę jego twórczości od poezji, to pewnie sięgnie do książek eseistycznych i tych popularyzujących teologię, takich jak *Teologia w krainie pepsy-coli*¹⁶ czy *Kocham teologię*¹⁷, a potem do twórczości stricte naukowej. Chociaż

¹⁵ J. von Eichendorff, *Modlitwa poranna*, w: J. Szymik, *Dotyk źrenicy. Wiersze z lat 1993–1996. Tłumaczenia wierszy Josepha von Eichendorffa, poetów Andaluzji, Jacques’a Préverta. Esej o miłości do książki*, wstęp J. Sochoń, A. Nossol, Lublin 1997, s. 155.

¹⁶ J. Szymik, *Teologia w krainie pepsy-coli. Od teologii-nauki do teologii-mądrości*, przedm. A. Nossol, Warszawa 1999.

¹⁷ Tenże, *Kocham teologię! Dlaczego? Wybór publicystyki*, słowo wstępne J. Salij, Katowice 1998.

może być zupełnie inaczej. Dla mnie jako literaturoznawcy, polonisty, aspekt literacki jest ważny, dla teologa będzie istotny aspekt teologiczny, dla kogoś, kto się zajmuje eseistyką – ten właśnie.

Czy w takim razie literaturoznawca i Dyrektor Liceum imienia Noblistów Polskich w Rydułtowach pokusiłby się o odpowiedź na pytanie, czy mamy podstawę, by czekać na kolejnego literackiego Nobla w Polsce? Mam na myśli, oczywiście, osobę Księdza Profesora.

Teraz się poczułem jak Szwedzka Akademia Królewska. Bardzo życzę Księdzu Profesorowi, by dostał literackiego Nobla i stał się również naszym patronem. Jego portret zawisłby wówczas koło wizerunku Wisławy Szymborskiej! (*śmiech*) A mówiąc całkiem poważnie i słowami Księdza Profesora: cała nasza twórczość literacka, zwłaszcza poezja, ma bardzo wysokie notowania w świecie, jest bardzo dobra, więc dlaczego nie?

Czy twórczość księdza Szymika staje się wciąż jeszcze przedmiotem Pana prac badawczych? Czy Dyrektor prężnie rozwijającego się liceum ma w ogóle czas na uprawianie nauki?

Bardzo się staram i coś tam piszę, lecz jest tego zdecydowanie mniej niż wtedy, kiedy pisałem doktorat. Administrowanie pochłania zdecydowanie za dużo czasu. Niemniej cały czas coś skrobię, a co ważniejsze od skrobienia: cały czas staram się czytać i myśleć (*śmiech*).

I pasja pozostaje, przypuszczam?

Pasja pozostaje, tak. Czekam na nowe wiersze, następne tomiki, szukam, kto i co napisał o Księdzu Profesorze...

Zwieńczeniem rozmowy na temat księdza profesora Jerzego Szymika niech będzie osobista refleksja. Przypomniał Pan, że postać tego pszowskiego kapłana od lat jest w sposób naturalny obecna w Pana rodzinie. W takim razie proszę spróbować opisać, jaki obraz księdza Szymika przechowują w pamięci Pana bliscy?

Gdybym sięgnął do pamięci mojej nieżyjącej babci Maryjki, która dożyła 99 lat, powiedziałbym: „bardzo porządny synek i kapłan”. W bezpośrednich kontaktach, czy to z moimi rodzicami, czy z siostrą

mojego ojca, która pozostała na ojcowiznie, ujmuje szczególną radość życia Księdza Profesora. On zawsze jest radosny, pełen pozytywnej energii (nie podoba mi się to określenie, ale nie wiem, jak inaczej to ująć). Po prostu: pełen życia, humoru, optymizmu. Zresztą pamiętam, gdy świętej pamięci Krystyna Glencowa spotykała księdza Szymika, przeżywała bardzo te chwile, bowiem – jak to mówiła – dodawały jej „słońca w sercu”.

Znajomym opowiadałam o niesamowitej pracowitości i skrupulatnym planowaniu czasu. Kiedy spotykam się z Księdzem Profesorem po uprzednim zaanonsowaniu telefonicznym, on mi mówi, że ma dla mnie czas od 23.15 do północy – na przykład (to nie jest żart, właśnie tak pracuje). A to oznacza, że będzie wtedy całkowicie dla mnie i będzie uważnie słuchał, a ja czuję ten kontakt, żadna sekunda nie jest stracona. Umawiamy się i wszystko jest dograne perfekcyjnie. A przy tym jest jedyną chyba znaną mi osobą, która odpowiada na maile czasami już po kilkunastu minutach i odpowiada na pewno! Jeżeli się tak zdarzy, że milczy dłuższy okres, to podejrzewam, że jest gdzieś za granicą, gdzie nie ma dostępu do Internetu, albo zaczynam się niepokoić i wtedy robię wywiad u jego rodziny, czy wszystko w porządku, czy nie jest czasem chory i tak dalej. Pod tym względem jest perfekcjonistą, zresztą znane jest jego powiedzenie, że jaki jest porządek na biurku, taki jest porządek w głowie i w sercu.

Nasza rozmowa stanowi doskonały dowód na to, że mamy mnóstwo powodów, aby o księdzu Jerzym Szymiku myśleć ciepło. Jesteśmy jednak w rydułtowskim liceum, w gabinecie dyrektora szkoły, zamknijmy zatem naszą duchową podróż konkretem życia. Ksiądz Profesor – jak sam podkreśla: nade wszystko kapłan i duszpasterz; ale także światowej klasy i sławy uczony oraz znany i ceniony poeta – nie ukrywa, że były czasy, w których wybór drogi kapłańskiej nie następował w tych murach łatwo: był nie tylko decyzją trudną, lecz i wysoce ryzykowną. Czy ponad sześćdziesięcioletnia historia liceum w Rydułtowach jest bogata w kapłańskie powołania?

Tak. Muszę powiedzieć, że z każdego rocznika mamy dwóch, trzech, a czasami nawet więcej osób, które tę drogę wybierają i to niekoniecznie jest kapłaństwo diecezjalne. Sporo mamy powołań zakonnych (ostatnio Błażej Gawliczek związał się z oblatami). Mamy z tymi osobami sporą (choć teraz, po remoncie, gdzieś zawieruszoną) korespondencję; piszą do mnie, proszą o przekazanie pozdrowień wychowawcy, nauczycielom, odwiedzają nas, mówią o swoich doświadczeniach – czy to w seminarium, czy to w zakonach. Wtedy też staramy

się, żeby uczestniczyli w lekcjach religii i opowiedzieli młodzieży, jak to jest, kiedy człowiek decyduje się na taką drogę. Dziś już nie ma problemu z ukrywaniem takiej decyzji, jak to było dawniej. Także to jest pozytywne. W czasie obchodów sześćdziesięciolecia szkoły cały duży fragment poświęcono kapłanom celebrującym Mszę.

Na szczęście trudne czasy mamy już za sobą.

I dobrze. Czasami jest tak, jak w przypadku Księdza Profesora – trudny wybór: polonistyka czy teologia lub ktoś się decyduje, a potem znów wybiera... różnie.

I wtedy wybór się utwierdza...

Zdecydowanie.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Dziękuję bardzo.

Rydułtowy, 23 sierpnia 2012 roku

Postscriptum

Śladów księdza profesora Jerzego Szymika w rydułtowskim liceum znajduje się wiele. Na tablicy upamiętniającej spotkanie z absolwentem-Szymikiem przywołano opinię profesora Jana Miodka z przedmowy do książki *Akropol z hołdy*¹⁸:

„[...] obcowanie ze światem myśli i przeżyć ks. Jerzego Szymika przywraca wiarę, nadzieję i miłość. Czuję się po ludzku szczęśliwy, że mogłem takie słowa wypowiedzieć. Jestem też dumny, że z pszowskiej ziemi Matki Bożej Uśmiechniętej, a więc rodzinnej śląskiej ziemi, wyszedł w świat ksiądz taki po śląsku zwykły, a przecież niezwykły”.

Pszów, 1 września 2013 roku

¹⁸ J. Miodek, *Duchowe powinowactwa. Przedmowa*, w: *Akropol z hołdy, czyli teologia Śląska. 25 rozmów z księdzem Jerzym Szymikiem o Śląsku i teologii, o poezji i kapłaństwie, o Pszowie i podróżach, o życiu i naszym świecie* (rozmówcy: M. Baster, K. Hudzik, A. Jarmusiewicz i in.), wstęp J. Miodek, Katowice 2002, s. 9.

Ewa i Jan Kaintochowie

Ewa (urodzona 22 marca 1960 roku w Rydułtowach) i Jan (urodzony 20 lipca 1960 roku w Tychach) są małżeństwem z trzydziesto-jednoletnim stażem i rodzicami Tomasza. Inżynierowie budowlani, mieszkają w Pszowie. Przyjaciele księdza Jerzego Szymika. Współzałożyciele i członkowie Pszowskiego Ogniska Cudownie Ocalonych (Grupy „PoCo”) przy parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pszowie. Od roku 2005 corocznie współorganizują Rekolekcje Pszowskie z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem.

IZABELA SKROBAK: Jak długo można rozmawiać o księdzu profesorze Jerzym Szymiku?

JAN KAINTOCH: Gdy Gabrysia do mnie zadzwoniła, zmobilizowałem się i uzupełniłem wydruki (*Jan trzyma w ręku opasty skoroszyt*). To jest moja korespondencja z Księdzem Profesorem od pierwszego maila – od grudnia 2001 roku. Myślę, że gdybyśmy to przeczytali, a pewne listy byłyby jeszcze do omówienia i rozszerzenia, to tydzień by zszedł.

Kiedys zacząłem drukować nasze maile, potem zaś przy wymianie każdego komputera dochodziłem do wniosku, że tego materiału nie wolno utracić – jest bardzo cenny, a jakże interesujący! Może przyjdzie czas, żeby to zaprezentować szerszemu gronu odbiorców.

I.S.: To tylko twoje listy czy Ewy też?

JAN: Tylko moje. Ewa ma swoje, tu ich nie ma.

EWA KAINTOCH: Mam swoje, ale dopiero od niedawna. To są w zasadzie nasze wspólne maile, nie takie osobiste – wyłącznie Jasia. Ja nie miałam wtedy komputera, nie miałam adresu e-mail, więc wszystko szło przez Jasia.

JAN: Ja się czasem konsultowałem...

EWA: No, jedno jesteśmy przecież!

JAN: My jesteśmy bardzo jedno.

(śmiech)

GABRIELA PARDUBICKA: Na pewno nie jest naturalną sytuacją przeprowadzania wywiadu z wami – bardzo bliskimi kolegami. I to jest stresujące. Czemu się zgodziliście i to bez problemu?

EWA: A miałaś taki przypadek, że ktoś się nie zgodził???

JAN: Ja nie miałem wątpliwości...

EWA: Wiedzieliśmy, że w sprawie „Ksiądz Profesor” nie możemy odmawiać.

JAN: Bardzo kochamy Profesora. Niezwykły jest ten wywiad, który zrobiliście z mamą Salomeą.

EWA: Dlatego dzisiejsze spotkanie jest tym bardziej stresujące. Tamten wywiad jest tak mocny...

JAN: Pani Salomea podarowała nam jego wydrukowaną wersję w twardej oprawie i to jest cudna pamiątka.

EWA: Są to bardzo mocne treści, chociaż wydawało się, że pewne wątki już znamy, ale pojawiło się także wiele nowych szczegółów.

JAN: Najmocniejszy jest fragment o Turzy i tej pani z kwiatami.

I.S.: To bardzo cenny dokument dotyczący samej istoty kapłaństwa.

EWA: O modlitwie powiedziano też wiele.

JAN: Przede wszystkim, gdy zacząłem się przygotowywać do dzisiejszego spotkania, uświadomiłem sobie, że te prawie 15 lat to dla nas cudowne lata.

G.P.: Jaki był kluczowy moment tej znajomości? W którym momencie ona się rozpoczęła? Ewa знаła Profesora...

EWA: Znać znałam, lecz w pewnym momencie odeszłam od tujszego środowiska – przestałam być obecna w rówieśniczej grupie. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo Szymika bardzo słabo pamiętam z tego czasu. Znałam go, ale nie osobiście. A zaczęło się między piekarzem a pocztą...

JAN: Przed pocztą w Pszowie beczelnie podszedłem do Księdza Profesora...

EWA: To znaczy powiedziałeś: „Jestem Jaś z Tychów, chodzimy z Ewą w niedzielę do kościoła na 12.00”.

JAN: ...myśmy się nie znali, co najwyżej z widzenia z kościoła – na tyle, że ja jestem gdzieś w kościele i widzę Profesora przy ołtarzu. Podszedłem więc do niego i, jako jemu zupełnie nieznana

osoba, mówię: „Chcielibyśmy z żoną Księdza do domu do siebie zaprosić”.

EWA: Bo Profesor oczywiście nie wiedział, kto to jest Jasiu.

G.P.: Ale czemu chciałeś go do siebie zaprosić? Przecież nie zapraszasz każdego, kto wydaje ci się fajnym człowiekiem?

EWA: Podobały nam się: ta modlitwa Anioł Pański, która jest przed mszą o 12.00, te jego słowa zwykle przed mszą czy też podsumowujące po mszy – bez względu na to, kto by miał akurat w niedzielę kazanie, Profesor zawsze musi dwa zdania dopowiedzieć.

Tak było i kiedyś na odpuscie w Pszowie. Biskup Józef Kupny wygłaszał dwudziestominutową homilię, później arcybiskup Damian Zimoń poprosił księdza Szymika, który akurat również uczestniczył w tej sumie odpustowej, o parę zdań komentarza. No i Szymik powiedział parę zdań – nie trwało to dłużej niż dwie minuty. Po czym arcybiskup Zimoń wstał i powiedział: „No, co profesor, to profesor”.

I.S.: Tak, tak, pamiętam...

EWA: Byłaś wtedy? (*śmiech*)

JAN: Jakoś nas słowa księdza Szymika bardzo dotykały i czułem potrzebę, żeby zaprosić go na pogawędkę, na prywatne spotkanie.

EWA: My wtedy nie mieliśmy zwyczaju zapraszać do domu księży – nie było czegoś takiego.

G.P.: Nie byliście wtedy jeszcze tak blisko tego środowiska?

JAN: Nie byliśmy blisko.

Piosenki pisałem już od technikum. Chciałem Profesora ugościć u siebie w domu, pośpiewać z nim, nacieszyć się nim. Więc spontanicznie podszedłem. A on zareagował momentalnie, bez pytania: „dlaczego?”, „po co?”, „kim ja jestem?”. Odparł tylko: „Jak najbardziej, ustalmy termin”.

EWA: Na kartce z bykiem z Hiszpanii pozostał numer telefonu, który ty zapisałeś. I tam był kontakt: numer telefonu, żeby się zdzwonić.

JAN: Prawdopodobnie to była nasza kartka, ale czemu ją miałem w torbie, nie wiem...

Bo myśmy byli w Hiszpanii w 1999 roku. Mogłem ją więc nosić w torbie i może na niej napisałem numer telefonu. Ustaliliśmy, że Profesor sprawdzi w swoim kalendarzu – mocno zapisanym, napiętym – kiedy ma wolny wieczór. Później zadzwoniłem, umówiliśmy się. I wiem, że spotkaliśmy się na tarasie. Ja się spóźniłem na to spotkanie, ponieważ...

EWA: Ale to już było spotkanie chyba któreś z kolei...

JAN: Tak? W każdym razie wiem, że chyba na to pierwsze albo drugie spotkanie się spóźniłem, bo pojechałem na budowę do Nowej Wsi i złamała mi się zardzewiała kierownica w starym rowerze. I tak ze strachem wracałem – trzymając kierownicę tylko jedną ręką, musiałem jechać wolniej. Wiedziałem, że oni (Profesor ze swoją mamą) przyjdą na konkretną godzinę, że Profesor się nie spóźnia...

G.P.: A skąd wiedziałeś, że Profesor się nie spóźnia?

JAN: Potem się tego dowiadywałem.

EWA: Przypuszczam, że byliśmy raczej pierwszy raz umówieni...

JAN: ...i nam zależało, żeby się nie spóźnić. A spóźniłem się na to właśnie pierwsze spotkanie.

I.S.: Co z tego spotkania zapamiętaliście?

EWA: Wiszące majtki u sąsiada (*śmiech*).

JAN: Siedzieliśmy na tarasie na pewno, było piękne lato...

EWA: Tu Profesor, a tam sąsiadka wiesza majtki (*śmiech*).

JAN: Grillowaliśmy. Było tak sympatycznie i tak naturalnie, jakbyśmy się od lat znali.

EWA: Chyba o urlopie opowiadaliśmy, o Hiszpanii.

JAN: Dużo żeśmy się chichrali. Ja pewnie coś śpiewałem i grałem na gitarze (jakieś poezje śpiewane, które od lat sobie piszę). Profesor jest poetą, więc przypuszczałem, że to się mu będzie podobało. Tak też było.

EWA: Takie rzeczy pamiętasz? Trzeba było ten wywiad zrobić 15 lat temu.

I.S.: O te 15 lat chodzi!

EWA: To nie są głęboko teologiczne rozmowy przy takich okazjach, gdy się spotykamy towarzysko, tylko przeważnie luźne, łatwe, przyjemne rozmowy o...

JAN: Myślę, że Profesor ma więcej pytań do nas – czym się zajmujemy, co robimy...

I.S.: To jest właśnie ciekawe, że on lubi słuchać i potrafi słuchać. Prawda?

JAN: Potrafi uważnie słuchać. A po paru latach przypomni ci jakiś fakt, który znakomicie podkreśla jego wyczulenie na słuchacza.

EWA: Pamiętam, że był bardzo radosny, że się śmiał głośno. Ta jego bezpośredniość bardzo nas uderzyła.

G.P.: Nie było skrępowania...

JAN: Nie, było bardzo naturalnie, kapitalnie od samego początku.

EWA: Właśnie: w jego obecności człowiek się czuje bardzo dobrze. Zresztą wicie doskonale, że tak jest. Żadnego skrępowania.

JAN: Z rozmowy natomiast wynikało, że ja się trochę znam na komputerach, więc Profesor od razu mnie poprosił, żeby tam coś u niego zrobić na komputerze – raz, drugi, trzeci...

Później zaproponowałem, że stronę internetową autorską Księdza Profesora¹ Tomek, nasz syn, zrobi. Tomek dość szybko się z zadaniem uporał, Profesor się bardzo z tego cieszył... Ja skanowałem wiersze, bo zamieściliśmy tam wiele wierszy, starszych zwłaszcza. Zeskanowałem je, Tomek to opublikował. Profesor zaś dodał resztę: całą bibliografię, swój życiorys, które Tomek opracował graficznie. Strona ta wydaje mi się bardzo ważna, ponieważ ludzie mają przez nią kontakt z Profesorem – jest na niej adres mailowy, z którego wiele osób już skorzystało.

W tamtym czasie pisałem w „Śląskim Beraniu”: śląskiej skrzynce internetowej. Polegało to na tym, że ktokolwiek się zapisał, to dostawał od wszystkich zapisanych maile. One były po śląsku pisane, ale – co najbardziej interesujące – te *Ślązoki*-internauci mieszkali w Kanadzie, w Nowej Zelandii, w Chicago, w Paryżu, w Niemczech, część była tu ze Śląska. Ci emigranci byli bardzo ciekawi tego, co się dzieje tu u nas, tęsknili za swoją ojcowizną, a myśmy poznawali zwyczaje bożonarodzeniowe, wielkanocne, sposoby spędzania wolnego czasu w świecie. Dowiadywaliśmy się po prostu, jak żyją *Ślązoki* w świecie.

¹ Por. <http://www.jerszym.katowice.opoka.org.pl/>.

I gdy powstała strona Księdza Profesora, to ja oczywiście *Ślązokom-internautom* przekazałem jej adres. Mogli więc wiersze Profesora poczytać, lecz też sam Profesor został przez nich zasypany mailami – nawet z prośbą o jakieś spotkanie autorskie. Przeglądając te maile ostatnio, zwróciłem uwagę, że Profesor bardzo dziękował, że Ślązacy internauci go zasypali mailami, ale on już nie daje rady, że już dodatkowe działania z jego strony nie wchodzą w grę. Poprosił także nas o pomoc, żeby – gdy ktoś chciałby dotrzeć do jego tekstów czy książek, czy o cokolwiek prosił – on mógł to do nas przekierować.

I.S.: Można powiedzieć, Jasiu, że stałeś się sekretarzem pszowskim Księdza Profesora?

JAN: Nie, no co ty?! Na pewno nie. Połączyła nas od razu ta przyjaźń, sympatia ogromna. A ponieważ Profesor wiedział, że mam zdolności techniczne i komputerowe, poprosił mnie, żebym pojechał do Lublina i pomógł mu w przeprowadzce z jednego mieszkania do drugiego.

I.S.: Z mieszkania na razie w Lublinie?

JAN: Tak: miałem pomóc w przeprowadzce z Lublina do Lublina.

Ksiądz Jerzy wymyślił, że skoro jest przeprowadzka, to trzeba zmienić sprzęt komputerowy, czym ja się zajmę, bo się na tym znam. Kupiłem więc nowy komputer, drukarkę, Tadeusz kupił nowy telewizor i całe auto sprzętu wiozłem z Pszowa do Lublina. Tam siedziałem trzy dni i tam razem ze studentami przeprowadzaliśmy Księdza.

Byłem, można powiedzieć, odpowiedzialny za całość od strony technicznej i starałem się rozdzielać robotę. To znaczy wpadali studenci, magistranci, doktoranci i mówili: „Mam dwie godziny wolnego”, „Dobra – zdecydowałem – pakuj te książki do tych kartonów” albo „Mam trzy godziny wolnego”, „OK. Tę szafę rozkręć”. W ten sposób dbałem o podział pracy. Wieczorem zawsze była Eucharystia. Byliśmy totalnie wykończeni, od rana do nocy pracując i przenosząc, ale to był bardzo niezwykle czas.

Narzekałem jednak, że nie wziąłem sobie nic do czytania. Ksiądz Jerzy dał mi wtedy *Szaloną miłość Boga* Paula Evdokimova, prawosławnego teologa. Pamiętam, że to był niezwykle trudny tekst i jeszcze nigdy książki tak popisanej na marginesie przez Profesora nie

widziałem. Po prostu tam była notatka na notatce, podkreślone, wykrzykniki – „cudne”, „rewelacyjne” i tak dalej. Pamiętam, że otwarłem i zdębiałem momentalnie.

EWA: Różne też anegdoty krążą na temat tamtych wydarzeń: o księdzu Tomku i śrubokręcie, o zamawianiu pizzy, po szczypior podobno Profesor posłał kogoś... (*śmiech*)

JAN: (*śmiech*) Tam się naprawdę dużo działo.

EWA: Ja tylko czekałam, żeby Jasiu zadzwonił i coś ciekawego opowiedział (*śmiech*).

JAN: Dużo się działo. Raz księdzu Jaklewiczowi kazałem przykręcić świetlówkę do wiszących szafek kuchennych. Zajęło mu to chyba dwie godziny – cztery śrubki! On jest po prostu antytechniczny (*śmiech*). Dużo mieliśmy ubawu, ale podjął się zadania, wykonał je, choć ciężko mu to szło.

Pamiętam natomiast dużo towarzyszącej nam radości. Niesamowite było to, że należało wszystko w określonym czasie zrobić, ale wieczorem zawsze była Eucharystia i koniec pracy, bo jutro też jest dzień. Nie pracowaliśmy do północy czy do drugiej, czy do oporu... Nie. Wieczorem Eucharystia, kolacja, kończymy.

I.S.: Była to przeprowadzka ważna, choć jeszcze nie najważniejsza. Opowiedz nam jednak, jaką rolę w całym tym działaniu odgrywał sam Profesor. Opisz nam go, proszę, w akcji.

JAN: (*śmiech*) Profesor dbał o rzeczy najcenniejsze. On cały czas z nami intensywnie pracował.

To była zima, okropna pogoda. Mieliśmy bardzo męczącą podróż, bo na drogach ślisko. Nie wiem, czy to nie był okres jakiejś przerwy międzysemestralnej – w każdym razie styczeń.

EWA: Ale na pewno to nie było organizowane jak przy tej drugiej przeprowadzce, gdy Profesorowi pomagali studenci, prawda?

JAN: Profesor nie chodził na zajęcia. On cały czas z nami pracował, bardzo dbał o to, żeby potem się odnaleźć w tych swoich książkach, papierach, bo tego było mnóstwo.

EWA: Każda książka miała swoje miejsce.

G.P.: Metodyczność jak zawsze.

JAN: Głównie o to chodziło. Zawsze przygotowywaliśmy sobie plan dnia. Na przykład zrobiliśmy listę zakupów: klamka do kuchni, półka do łazienki, jakiś stojak, jakaś firanka. Z tą listą pojechaliśmy

razem do OBI na zakupy. Świetnie się kupowało. Profesor: „Jasiu, a jak ci się ta lampa podoba?”. Ja mówię: „*Trocha kiczowato*”. „Dobra. A ta jak ci się podoba?” „Ta mi się bardzo podoba. Kupujemy?” „Kupujemy.” I do koszyka. Tak wyglądały zakupy.

W ogóle fajna była ta przeprowadzka. Męcząca ogromnie, ale wspominam to niezwykle, bo tam tyle ludzi się przewinęło i tyle radości... Finiszowaliśmy oczywiście imprezą – wszyscy, którzy pomagali, mogli przyjść. Odbyła się ona w Lublinie, już w nowym mieszkaniu. Mieszkanie poprzednie dostał po kardynale Stanisławie Nagym. To nowe, po którymś ze zmarłych profesorów, było dużo większe. Profesor nie wiedział jednak, że pobędzie w nim tak krótko – ledwie rok chyba...

I.S.: W którym roku miała miejsce ta przeprowadzka – 2004?

JAN: Raczej w 2005. Dlatego że ja nagrałem płytę w 2004 z okazji 20 lat święceń kapłańskich i jej zaszkłony egzemplarz wisiał już u niego na ścianie w tamtym mieszkaniu. Był więc chyba styczeń 2005 roku.

EWA: On tam był ledwie pół roku – miał urlop naukowy, po którym wrócił, we wrześniu zdaje się, do Katowic.

G.P.: Uporządkujmy fakty. Wasza bliższa znajomość z Profesorem swój początek miała kiedy?

JAN: Rok 2000, lato.

EWA: Między piekarzem a pocztą.

G.P.: Należałoby odnotować tak: Jan – sekretarz, pomocnik w kwestii Ślązoków, główny koordynator: organizator mieszkanka, pomoc techniczna... I co dalej?

JAN: Przeczytam dwuwiersz – postscriptum do pierwszego mojego maila do Profesora. Jest grudzień 2001:

„Jak mi Ksiądz w zakrystii *pedzioł* swoja ksywa Jerszym,
piyrszy ymil, jo to wiedzioł, pójdzie z Pszowa wierszym.

Śła ze Śląska do Lublina wiyniec adwyntowy.

Janek, *Pszow, Staro Maszyna*, poeta ludowy”.

Tak było w tym pierwszym mailu, od którego zaczęliśmy regularną już korespondencję.

EWA: Skoro przy przeprowadzkach jesteśmy, to – przyznam – przechowuję podobne wspomnienia.

Mnie nie było wtedy z Jasiem w Lublinie, ale uczestniczyłam w drugiej przeprowadzce do Katowic. Pojechaliśmy też do Lublina. W pakowaniu brały udział jego studentki-doktorantki: Kasia, przede wszystkim, Monika, które teraz przyjeżdżają na nasze Rekolekcje Pszowskie. Tam się wciąż przewijali studenci: jedni przyszli, potem poszli, a jak poszli, to przyszli następni. Przychodzili dwójkami. Zatem przypuszczam, że też to było dobrze zorganizowane. Wszystkie książki pakowano do precyzyjnie opisanych skrzyń – przy ich układaniu pomagali właśnie studenci.

Pamiętam, że gdy już książki dotarły do Katowic, pomyślałam: „O, może znajdę jakąś książkę nie-szymikową?”. Wzięłam pierwszą z brzegu, której autorem nie był Jerzy Szymik. Otworzyłam na losowo wybranej stronie, a tam – cytat z Szymika. Śmialiśmy się długo, że w każdej książce jest Szymik.

Natomiast pod kątem organizacyjnym to było niesamowite przeżycie. Pamiętam sznur studentów ładujących pudła do ciężarówki z Lublina. Paczki podawaliśmy sobie, bo one były bardzo ciężkie, kilkukilogramowe. Mówiłam nawet, że gdy ksiądz Jerzy papieżem zostanie, to czarno widzę tę przeprowadzkę... (*śmiech*) To był *pakiet* za *pakiety* – wszystko opisane...

Na każdej skrzynce był opis zawartości. Potem w Katowicach patrzyło się najpierw na ten opis. Zajmowały się tym dziewczyny, które wiedziały, co gdzie rozmieścić. Profesor tylko chodził i doglądał, czy jest w porządku.

I.S.: W nowym mieszkaniu Profesor mieszkał – z urlopem licząc – chyba półtora roku: od stycznia 2004.

EWA: Ja pamiętam styczeń 2005. Kiedy byliśmy z grupą Pocoków u Profesora?

I.S.: To było jeszcze w Lublinie, ale już w nowym mieszkaniu.

EWA: To na pewno było już nowe mieszkanie, on w nim był dopiero parę miesięcy.

JAN: Czyli rok 2005.

I.S.: Maj. Po was przyjechaliśmy do Lublina z grupą studentów z Katowic.

JAN: Może więc rzeczywiście półtora roku tam mieszkał?

EWA: Ja pamiętam, że to pół roku było...

I.S.: Czy po przeprowadzce Profesora do Katowic odczuwaliście jakąś zmianę klimatu, atmosfery wokół niego?

EWA: Myśmy się przede wszystkim cieszyli, że jest bliżej nas.

JAN: Ta przeprowadzka katowicka to była wielka akcja. Pojechaliśmy do Lublina we czwórkę naszym autem: Ewcia, Michał Iwanecki, Wojtuś Iwanecki. Przygotowałem dla wszystkich koszulki z napisem: „Przeprowadzki profesorów teologii dogmatycznej. Firma Jorguś”. Dotarliśmy na miejsce o 22.00 – Profesor musiał nam otworzyć bramę, żebyśmy mogli wjechać na teren konwikt. W tych koszulkach pakowaliśmy później Profesora do samochodu: obserwowano nas na korytarzach i wszyscy profesorowie widzieli, że Profesora obsługuje specjalna firma, która przeprowadza profesorów teologii dogmatycznej. To był przebój niesamowity. Warto było.

EWA: I po całych Katowicach żeśmy w nich chodzili, czego Profesor do dzisiaj nie zapomni.

JAN: Ksiądz Jaklewicz nam zdjęcia zrobił – fajne trzy wielbłądy: firma Jorguś. Nie chodzimy w tych koszulkach, tylko trzymamy je na pamiątkę, bo by się sprząły napisy. Chałupnicza to była robota (wydruk na atramentowej drukarce na specjalnym papierze i prasowane żelazkiem), ale efekt niesamowity i dużo radości z tego powodu.

Po przyjeździe do Katowic walczyliśmy tam kolejne dwa dni, żeby cały ten majdan doprowadzić do porządku. Mieszkanie było nowe, ale lampy, dodatkowe wieszaczki, firanki przygotowywaliśmy tam my, już we czworo. Stolarz zrobił półki. W Lublinie pomagali studenci lubelscy, a tu – katowiccy.

G.P.: Profesor zamieszkał więc na Śląsku. W jakim kierunku rozwijała się wasza znajomość od tego momentu?

JAN: Spotkań było zdecydowanie więcej...

EWA: Pocoki też się wtedy zaczęły chyba?

JAN: Bo zaczęło się od wyjazdu grupy do Lublina... Zanim jeszcze Profesor się stamtąd wyprowadził, chciał pokazać mamie Lublin i całą grupą przyjaciół pojechaliśmy do tego pięknego miasta.

EWA: Pocoków formalnie jeszcze nie było.

JAN: Był majowy weekend. Grupa „PoCo” nie istniała, ale wyjazd okazał się cudowny. Można powiedzieć, że Grupa „PoCo” tam powstała – mieliśmy pierwszy integracyjny wyjazd.

EWA: Spędziliśmy bardzo wyjątkowy czas. Studenci, posługując się formułą kabaretu, przedstawili Profesora jako wykładowcę, co było miłe i sympatyczne. Byłam zaskoczona, że poświęcili swój czas i tak bardzo się zaangażowali – z sympatii dla Profesora pewnie, ale nie dlatego, że musieli, tylko dlatego, że chcieli. Profesor chciał nam po prostu przedstawić swoje środowisko pracy, uczelnię pokazać, na obiad wszystkich zaprosił, po zamku lubelskim nas oprowadzał, zobaczyliśmy słynną kaplicę Świętej Trójcy. Ksiądz Profesor w ogóle dużo czasu nam poświęcił i to był przesympatyczny wyjazd. A nocowaliśmy u sióstr boromeuszek pod Lublinem.

Później w Pszowie spotkaliśmy się u Wilhelmów (naszych znajomych), żeby zobaczyć zdjęcia z tego wyjazdu. To był czas, kiedy ksiądz Jerzy otrzymywał profesurę z rąk prezydenta. I właśnie wtedy, przy okazji polubelskiego spotkania, Profesor mówił, że przyszło mu do głowy, żeby coś z tymi wszystkimi ludźmi zrobić.

To był też czas w 2005 roku, gdy wikarym w naszej parafii był ksiądz Michał Kuś, który Profesorowi, powiedzmy, wpadł w ucho. Ksiądz Profesor zaczął zatem Michała i powiedział mu, żeby się z nami skontaktował. Nam również mówił: „Jest tu fajny Michał. *Jo go tyż obserwowoł* już *pora* niedziel. Skontaktujcie się”. Kiedy więc mijaliśmy się z tym Michałem na placu przy kościele czy przy zakrystii, zagadnęliśmy go: „Szczęść Boże. *To my som te Kaintochy* i Ksiądz Profesor *nom powiedział*, że się *momy z Ksiyndzym* skontaktować”. On na to: „Szczęść Boże. No mnie też tak mówił, tylko... o co chodzi?”. My przytakujemy: „No właśnie, o co chodzi? My też nie wiemy. Ale jakoś się musimy umówić, zapraszamy Księdza do nas”.

Wszystko trwało parę tygodni, a może miesięcy nawet, bo nikt nie wiedział, o co chodzi. Aż pewnego dnia Michał był u naszego syna, nas nie było wtedy, i gdy już wychodził, Tomek mu przekazał, że mamy dla niego płyty przygotowane. Od tych płyt się zaczęło, aż wreszcie ustaliliśmy, że coś z tym musimy zrobić, bo Ksiądz Profesor nam mówił, że trzeba ustalić spotkanie i umówić się z tą grupą. I wyraźnie pamiętam Michała Kusia, który siedział tu na tapczanie, dość wystraszonego.

EWA: Były też Pośpiechy... Tak się rodziła ta grupa. Potem odbyło się pierwsze spotkanie, też u nas. I tak to się zaczęło. Inicjatywa należała do Profesora i potem zaczęliśmy się regularnie spotykać z Michałem Kusiem. To był, uważam, bardzo fajny czas. Michał, mocny ksiądz, bardzo się z nim polubiliśmy, grupa się mocno zintegrowała.

I.S.: Skąd nazwa grupy: „Pszowskie Ognisko Cudownie Ocalonych”?

EWA: Specjalistą od wymyślania nazw jest Jasiu.

G.P.: A Ksiądz Profesor wyrażał akceptację dla nazwy?

EWA: Najpierw Jasiu wymyślił „Kusiki”. To się chyba Profesorowi podobało, bo do tej pory na nasz adres, jeżeli jest w Katowicach jakaś promocja Szymikowej książki, Księgarnia Świętego Jacka przysyła zaproszenie z adresem „Grupa PoCo” i pod spodem „Kusiki”.

JAN: Czytam mail od Profesora z 7 grudnia 2005: „Ruszyliśmy ze spotkaniami pszowskiego środowiska. Bardzo się z tego cieszę. Jak się okazało na tym pierwszym spotkaniu, wielu z nas zostało cudownie ocalonych: Ewa, Gabrysia, Józio i inni. A wszyscy jesteśmy w jakiś sposób nadzwyczajnie ocaleni od zła. Myślę, że świecimy wszyscy w naszym otoczeniu albo staramy się świecić Chrystusowym światłem, stąd w nazwie grupy ognisko. Pszowskie Ognisko Cudownie Ocalonych, skrót POCO, zadaje pytanie o sens istnienia i tworzenia. Nieoficjalna nazwa grupy to «Kusiki» – nazwa związana z miłością i ze Śląskiem, można ją też rozszyfrować jako «Kuś i Katolicka Inteligencja». Przesyłam wstępny program spotkań, ustalony na pierwszym spotkaniu. Ksiądz Michał, jak nam sam powiedział, był zażenowany i spięty przed tym pierwszym u nas spotkaniem, ale z każdą minutą mijającego wieczoru byłem pewny, że pomysł spotkań był trafiony”.

I.S.: Kiedy były pierwsze rekolekcje?

EWA: 10 lat temu, bo teraz będą dziesiąte.

JAN: W roku 2005. To był ten przełom, że był wyjazd grupy do Lublina, we wrześniu były konferencje o Abrahamie, Mojżeszu, Dawidzie, Jezusie. Cudowne konferencje...

G.P.: I wy jakoś szczególnie zaangażowaliście się i w organizację rekolekcji, i w organizowanie życia Grupy „PoCo”. To się jakoś wszystko z księdzem Szymikiem wiąże?

JAN: No bardzo: przez sympatię do Profesora, przez to, że poznaliśmy takich kapitalnych ludzi tu w Pszowie... *My się tam nie ciśli* tak specjalnie, że my tym musimy kierować. Sam nie wiem, jak to się potoczyło. Profesor nas nigdy nie prosił, żebyśmy tym kierowali ani myśmy się nie zgłaszali. Sygnalizowaliśmy tylko, że chętnie pomożemy, jedną czy drugą sprawę załatwiliśmy i dalej już poszło jak z automatu...

EWA: W ogóle na te pierwsze rekolekcje bardzo dużo ludzi przyjechało, nauczyciele z Zabrza i ktoś tam jeszcze – ludzie, którzy go prosili od iluś tam lat o rekolekcje i on ich wszystkich ściągnął do Pszowa. Wcześniej z tą grupą z Siemianowic-Bytkowa i Chorzowa Profesor się w Pszowie regularnie spotykał. Ale to się tak skomasowało, że ludzi wszystkich na rekolekcjach (zlokalizowanych u pszowskich siostr boromeuszek) było około setki. Pojawił się więc problem z noclegami, częściowo Pocoki pomagały przenocować ludzi...

JAN: Poza tym myśmy się starali zawsze jeździć na promocje, kiedy Profesor wydawał nowe książki.

W maju 2003 roku w Katowicach w Teatrze Korez odbywała się promocja *Błękitu*. Przygotowaliśmy z Ewą happening: koszulki z błękitem i transparenty z hasłami „Więcej błękitu”, „Błękit górą”. Było to bardzo miłe, nawet ktoś wywiad z nami przeprowadzał.

EWA: A te transparenty ksiądz Szymik chciał też w Lublinie wykorzystać, pamiętasz? Te *sztyle* z łopaty...

JAN: ...jemu się tak podobały, że wysyłałem je do Lublina, żeby tam na promocji studenci je prezentowali. I kiedy dotarły do konwiku, portier powiedział: „Do księdza jakaś łopata przyszła!”. Tak to zapakowałem i to poszło. Potem przy przeprowadzce jakoś się te transparenty odnalazły w jego mieszkaniu...

G.P.: Teraz też zawsze aktywnie uczestniczycie w promocjach, pomagacie w ich przygotowaniu, Ewunia obsługuje stoisko z książkami Księdza Profesora...

EWA: Tylko wtedy, gdy Księgarnia Świętego Jacka poprosi, tak z rozpędu. Ale gdy jest promocja w Towarzystwie Przyjaciół Pszowa, to mniej się angażuję.

JAN: Najbardziej aktywny byłem na promocji Szymikowych tłumaczeń *Dwunastu wierszy* Josepha von Eichendorffa² – dlatego że na tej swojej płycie nagranej na dwudziestopięciolecie kapłaństwa Profesora były trzy utwory do wierszy Eichendorffa. Pasowało więc, żeby je zagrać na promocji.

EWA: I również z Kucharczakiem prowadziłeś jakieś spotkanie...

JAN: Z Frankiem Kucharczakiem prowadziliśmy promocję książki Oli Matuszczyk-Kotulskiej. Tam żeśmy taki quiz – konkurs robili...

EWA: Ola napisała książkę o Pszowie.

I.S.: „Pszów. Sanktuarium nadziei”.

JAN: Tak. Była promocja tej książki i Profesor był też obecny. Zadając pytania z tej książki, zrobiliśmy mu quiz, czy on zna Pszów i jego historię.

G.P.: *A wspomniane kwestie śląskie – czy nadal pomagasz Profesorowi, pośredniczysz w kontaktach między nim a owymi Ślązakami rozproszonymi po świecie?*

JAN: Skrzynka „Śląskie Beranie” rozpadła się na kilka mniejszych skrzynek, bo zrodziły się wokół niej straszne awantury. Dwie podstawowe kwestie były takie: który jest lepszy *Ślązok – tyń*, co *został* tu czy *tyń*, co *wyjechał* do *Niymiec*; a druga to awantury o sprawy religijne. Gdy główny autor, który wrzucał teksty czy wiersze do Internetu, posłał swoje zdjęcie z oczekiwania na księdza i kołędę (na stole były świeczki, krzyż), niektórzy polscy Niemcy uznali, że nie życzą sobie kółka różańcowego... Zasada była taka, że gdy mnie się coś nie podoba, to piszę prywatnie: „proszę cię, nie rób tak albo nie zgadzam się z tobą”. Natomiast najgorsze było to, że gdy wrzucało się na skrzynkę, informację dostawali wszyscy. Potem zaczęły się tak agresywne, wulgarne maile, że ludzie się powypisywali. I to się rozpadło. Z tego powstała tak zwana *Lauba* i dalej funkcjonuje, a ja im czasem posyłam swoje wiersze.

² J. von Eichendorff, *Dwanaście wierszy w przekładzie ks. Jerzego Szymika*, wstęp A. Nossol, eseje J. Szymik, Katowice 2007.

G.P.: Jak w takim razie obecnie wyglądają wasze prywatne relacje z księdzem Szymikiem (o ile oczywiście chcecie podzielić się tym doświadczeniem)? Spotykacie się prywatnie, zapraszacie wzajemnie?

JAN: W zeszłym roku na wiosnę, w zasadzie kończyła się zima, był jeszcze karnawał, obiecaliśmy sobie, że się spotkamy prywatnie. I kiedyś po mszy w bazylice zabraliśmy o 19.00 Profesora ze sobą. Ewunia wymyśliła knajpę, pojechaliśmy do miejscowości Piece za Orłowcem i tam żeśmy spędzili cudowny z nim wieczór.

G.P.: Dlaczego cudowny właśnie?

JAN: Byliśmy sami na wielkiej sali, bo to był dzień roboczy. Po prostu zamówiliśmy kolację, zamówiliśmy wino, żeby się sobą nacieszyć.

EWA: Bo Profesor, często z mamą, przychodził też na kawę do naszego domu, siedzieliśmy na tarasie na jakimś grillu. Ale równie często pojawiały się różne ograniczenia czasowe...

JAN: Ty to wymyśliłaś, że „*nic, yno robimy, a ni mamy sie czasu sobą nacieszyć*”.

EWA: I Profesor uznał, że to będzie takie nie-robocze spotkanie, bo zawsze jakoś przed rekolekcjami jesteśmy u Szymika. Zbierają się ludzie, którzy organizują rekolekcje i zawsze z kajecikiem ustalamy, co komu się przydziela. Na maile Profesor wysyła tematy...

JAN: Głównie mailowo, ale...

EWA: Zawsze jest spotkanie u niego też.

JAN: Gdy żeśmy zostali poproszeni, żeby współprowadzić konferencje, to odbywały się takie półrobocze spotkania. A tu sami porwaliś Profesora na cały wieczór. Bardzo było fajnie.

G.P.: A na czym ta fajność polegała?

EWA: Ta fajność polega na tym, że z Profesorem można rozmawiać na wszystkie tematy, na każdym poziomie – czy z humorem, czy nie z humorem, poważne, niepoważne. Uwielbiam jego słowne przekomarzania się... Przede wszystkim w jego obecności jest niesamowicie sympatycznie, przyjemnie. Myślę, że nie tylko ja jestem osobą, która lubi przebywać w jego towarzystwie, bo osobowość, charakter, natura Profesora przyciągają po prostu jak magnes.

G.P.: *A gdybyście mieli go scharakteryzować, podać kilka cech specyficznych, wspomniałych... Co czyni Profesora wyjątkowym?*

EWA: Przede wszystkim jest człowiekiem niesamowicie pogodnym. Nie wiem, czy widziałam go w sytuacji, w której byłby zdenerwowany, nerwowy – ja go nie widziałam takiego. Może mam to szczęście... Zdarzały się również rozmowy poważne, kiedy był poważny, smutny, zatroskany, ale nie widziałam go w sytuacji, żeby był zdenerwowany, nie panował nad sobą. Opanowany jest zawsze. Jest wyciszony, potrafi słuchać, jak mówiła Iza, ale to, że się lubi z nim przebywać, to – wydaje mi się – istotna jego cecha: przez niego przebija nadzieja. I ta nadzieja także bardzo przyciąga. Poczucie humoru jest dla mnie osobiście bardzo ważne – z poczuciem humoru, z dystansem on z siebie nawet żartuje. Czasem jestem zaskoczona taką jego bezpośredniością.

G.P.: *Pamiętasz może jakiś ciekawy żart lub wesołą historyjkę, którą usłyszałaś od Profesora?*

EWA: Opowiadał na przykład, jak spowiadał, gdy był jeszcze wikarym. Spowiada, spowiada, a tu *klupie* babcia z drugiej strony konfesjonału. Ksiądz Szymik zwraca się więc do penitenta: „Przepraszam, chwileczkę”, z drugiej zaś strony: „Babciu, z *drugiej strony spowiadom!*”. I spowiada dalej, a babcia przeszła na drugą stronę, wyrzuciła tę osobę, która się tam spowiadała i zaczyna się spowiadać Szymikowi. To jedna z takich fajnych historyjek.

Inna: był okres przed świętami Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Do konfesjonałów ustawiały się jak zwykle kolejki. I mówi: „Już *siedza* na jednym półdupku, *siedza* na drugim półdupku...”. I *potym* tak *se siod* na końcu tej ławy, że kolanami *wypchnoł* furtka i *wyjechoł* z konfesjonału dosłownie jak ryba z puszeki. A tu ludzie z jednej i drugiej strony – na niego. Staął, *otrzepoł się*...

Albo opowiadał o Wielkim Czwartku i myciu nóg. Siedział w ogrodzie, przed tym Wielkim Czwartkiem był w domu i coś tam czytał. Było ciepło, słońeczko i Marysia, jeszcze mała, czerwonym lakierem pomalowała mu paznokcie u stóp, bo on był w laczkach. Czy jeden, czy dwa, czy więcej, na jednej nodze czy na dwóch – już teraz nie pamiętam. I mówi, że w ostatnim momencie zorientował się i to umył, bo by z taką nogą poszedł. I już widzimy scenę, jak *farorz ściągo skarpetka*, a tam noga z czerwonymi paznokciami... Chichramy się wszyscy.

Więcej sobie na szybko nie przypomnę, ale Profesor lubi takie historie o sobie opowiadać. Ma poczucie humoru. Przede wszystkim też imponujące jest jego zorganizowanie – z tym kajetem, z tymi terminami to *mo tak obcykane*... Znamy jego opowieści, że jego tata był taki zorganizowany: *pilynta kupić na torgu*... Takie rzeczy należałoby podkreślić.

I.S.: Czy to się da ująć w jednym zdaniu?

EWA: Ja w jednym zdaniu tego nie umiem powiedzieć.

Byliśmy przykładowo odwiedzić księdza Piotra Gaworskiego w Domu Księży Emerytów w Katowicach, a on miał chyba okno naprzeciwko Szymika. Były pierwsze słoneczne dni... W każdym razie klóciliśmy się, które okna są oknami Profesora, bo zapomnieliśmy. Mówię więc: napiszemy maila do Szymika, żeby nam pomachał z okna i już będziemy wiedzieć. Odpowiedź przychodzi wieczorem: z daty i godziny wynikało, że był jeszcze w Warszawie, ale co do okien, to „Pamiętajcie, że moje to są te najczystsze”. Mnie bardzo pozytywnie zaskoczyła ta jego odpowiedź.

Samo korespondowanie z nim urzeka, o czym pewnie same wiecie. Na listy czy maile – przy jego zapracowaniu – zawsze dostaje się odpowiedź. Jeśli jest nieobecny albo poza zasięgiem komputera i Internetu, to i listu nie ma, wtedy jednak pisze (najwyżej po dwóch dniach), że nie mógł odpisać i to jest natychmiastowa reakcja. Zawsze jest odpowiedź – choćby jednozdaniowa, obojętnie w jakiej sprawie.

G.P.: Profesor poważnie traktuje drugiego człowieka, co jest rzadkością przy mailowej korespondencji.

EWA: To jest właśnie niesamowite, że znajduje na to czas. Zresztą ten jego kontakt z drugim człowiekiem sam w sobie jest wart uwagi.

Na przykład w trakcie pszowskiej promocji jednej z książek – nie pamiętam już której, ale jakiejś poważnej – ktoś zadał mądre pytanie. Padały tam *Baltazary*, *Ranery*... I Szymik odpowiedział, oczywiście, tymi *Baltazarami*, *Ranerami* i tak dalej. Cała też wypowiedź trwała dłużej. Później zaś pytanie zadała taka „prosta” kobiecina po sześćdziesiątce – postawiła proste, zwyczajne pytanie. W odpowiedzi Profesor momentalnie potrafi złapać odpowiedni poziom. Tu odpowiadał tak, a tu tak.

Nie wiem, czy znam drugą osobę, która by tak szybko umiała nawiązywać z kimś kontakt, porozumienie wręcz. Według mnie, Profesor jest bardzo inteligentny, mądry, lecz się z tym nie afiszuje. Mądrość jego chyba na tym również polega, że potrafi odpowiedzieć na takim poziomie, że każdy człowiek go zrozumie.

I.S.: Nie jest też tak, że my z tej jego prostoty czerpiemy siłę?

JAN: Z pewnością bardzo się nią budujemy. Wiele było takich sytuacji...

EWA: Gdy Tomek robił stronę internetową Profesora, wszędzie wokół leżało pełno książek księdza Szymika. Zwróciłam uwagę na wywiad z arcybiskupem Nossolem³ i postanowiłam go przeczytać. Początkowo było dobrze: biskup opowiadał o swoim dzieciństwie, rodzinie... Ale gdy przyszły tematy teologiczno-filozoficzne, zwłaszcza dogmatyczne, zrobiło się trudniej. Nie poddałam się jednak. Trafiłam w końcu na zdanie, w którym było 10 wyrazów, a ja z tego zdania zrozumiałam tylko spójniki „i” oraz „lub”. Nawet miałam zapisane to zdanie i kiedyś w zakrystii po mszy je Profesorowi odczytałam. I mówię: „Żadnego z tych wyrazów nie rozumiem”. I oczywiście Profesor się ze mnie śmiał.

I.S.: Jak zniosłaś ten śmiech?

EWA: Ach... (*śmiech*) To jest taki śmiech bardzo akceptujący twoją niewiedzę.

JAN: My w ogóle bardzo nadajemy na tych samych falach. Wyraźnie to wyczuwam, może moja wrażliwość...

G.P.: Dwóch poetów...

JAN: Ale przeżyłem sytuację niezwykłą bardzo. Trzy lata temu przygotowywałem rekolekcje 2011. Przepadł ich termin, to znaczy byłem pewien, że u siostr termin rekolekcji jest już ustalony, a okazało się, że to nie było do końca dograne. Gdy przyszedłem w czerwcu do siostry przełożonej potwierdzić wybrany wcześniej weekend październikowy, przełożona powiedziała: „Przepraszam bardzo, ale ja tu mam grupę z Jastrzębia, neokatechumenat, i mamy zajęte”.

³ *Być dla, czyli myśleć sercem. Z księdzem biskupem Alfonsem Nossolem rozmawia ksiądz Jerzy Szymik, słowo wstępne: J. Szymik, Katowice 1999.*

Przerażony własnym niedopatrzaniem od razu napisałem do Profesora z myślą, że uda się załatwić tak, żeby ich gdzieś przenieść – Profesor zna różne osoby, ma przyjaciół w kościołach, wie, gdzie są w okolicy domy rekolekcyjne. Oni więc by się gdzieś przenieśli, myślałem, a my u sióstr jak zawsze moglibyśmy zostać. Profesor powiedział: „Nie, jeśli oni mają u sióstr wszystko załatwione, nie ruszamy tego. Teraz my musimy się dostosować. Pierwszy wolny termin mam 10-12 grudnia. Przesuwamy to na grudzień. Sprawdź, czy siostry mają wolne”. Byłem zszokowany tą pokorą: że to nie my jesteśmy najważniejsi i nie my decydujemy, lecz to my właśnie się przesuwamy o dwa miesiące. Bardzo mi się to podobało.

Albo gdy zdarzały się jakieś sytuacje trudne, konfliktowe, Profesor reagował: „Ale kim ja jestem?”. Pokora zawsze na pierwszym miejscu.

Osobowość to niezwykła. Z żyjących w Pszowie osób jest na pewno największą postacią, osobowością niesamowitą. Dla mnie jego wielkość wyraża się właśnie w tej skromności, pokorze...

EWA: I jeśli czegoś nie rozumie, to potrafi powiedzieć, że nie rozumie.

Były sytuacje, że pisałam o czymś, o trudnych dla mnie sprawach, było tego dużo... Profesor odpisuje, mówi to i to, ale stwierdza: „pewnych rzeczy nie rozumiem, choć wcale rozumieć nie muszę, bo żeby pewne rzeczy rozumieć, trzeba w nich uczestniczyć”. Nie ma u niego czegoś takiego, że na siłę nadrabia, wymyśla coś... Jeśli nie rozumie, mówi o tym. Zresztą nawet na rekolekcjach tłumaczy czasem, że pewnych rzeczy nie rozumie i koniec. Nie wysila się, żeby koniecznie znaleźć jakieś wyjaśnienie.

G.P.: Czy dacie się namówić na zwierzenia na temat tego, jak Profesor wpływa na wasze życie? Na razie rozmawiamy o rzeczach cudownych – zabawa, jest i żart, ale myślę, że wszystko to ma jednak głębsze pokłady. Czy były takie momenty, sytuacje, chwile, które w wyniku podszeptów Profesora lub promieniowania jego osobowości, zmieniły wasze życie?

JAN: (do Ewy) Masz maila, którego dostaliśmy po tym wypadku?

EWA: Przypomniałaś mi to, co sama mi chyba powiedziałaś jakieś kilka lat temu. W pewnych okolicznościach mówisz: „Ja w takich sytuacjach przywołuję sobie Profesora i myślę: co by na to powiedział Szymik”. To mi jakoś mocno utknęło w głowie. Dla mnie Szymik również jest niesamowitym autorytetem.

I mieliśmy takie ciężkie sytuacje parę lat temu czy parę miesięcy temu... Chociażby wypadek księdza Piotra (ciężki wypadek w czasie naszej wspólnej wycieczki rowerowej), który ściął nas dosłownie z nóg. Dostaliśmy wówczas list od Profesora. Sam od siebie go napisał...

JAN: ...myśmy nie prosili o wsparcie.

EWA: Prosiłiśmy oczywiście o modlitwę... Natomiast on nas listem zaskoczył.

JAN: Informowaliśmy tylko, że Piotr był nieprzytomny, potem, że stan jest ciężki, że nie wiadomo, czy będzie mówił, że lewa strona (lewa ręka, noga, oko) jest sparaliżowana, że nie wiadomo, czy będzie potrafił nią ruszać... Jeździliśmy prawie codziennie do szpitala. Gdy Piotr przebywał trzy tygodnie w szpitalu w Ostrawie, u nas mieszkała jego siostra, Basia. Łatwiej jej było jeździć do Ostrawy z Pszowa niż z Katowic. I nagle, po najtrudniejszym okresie (półtora miesiąca), taki mail od Profesora otrzymujemy:

„Ewo i Jasiu, w tych tygodniach ostatnich wiele o Was myślę, modłę się za Was, ogromnie mi jesteście bliscy w Waszym cierpieniu jako jedni z najserdeczniejszych przyjaciół mojego życia. Medytuję nad tym krzyżem, który z jakimś ogromnym do Was zaufaniem dał Wam Pan. Wielkie cierpienie zostało Wam podarowane w samo serce. Widzę to i rozumiem z przejęciem. Wielki krzyż spotkał Waszą miłość do naszych pszowskich wikarych. Ile dobra im już daliście w tych latach. Przyglądam się temu z zachwytem. Wielki krzyż spotkał Wasz ulubiony sposób wypoczynku – rowery. Ile dobra daliście sobie, innym w ten sposób. Też się tym zawsze zachwycam. Ewo i Jasiu, nie znajduję innego wytłumaczenia, jak potężne zaufanie Boga do Was, do Waszej wiary, do Waszego miejsca w Jego sercu. Jakieś równie potężne dobro z tego Waszego cierpienia Pan chce wywieść. Bez wątpienia. Trzymajcie Go za rękę. W każdym razie macie we mnie mocne wsparcie modlitwą, dobrymi myślami, miłością. Współodczuwam z Wami, błogosławię, jestem blisko”.

EWA: Nosiliśmy taki kamień na sercu i to tak ciągnęło w dół...

JAN: I oto mail o takiej treści... Ja to odebrałem, jakby sam Pan Jezus do nas przemówił w tym liście. Niesamowicie nas tamte słowa uspokoiły.

G.P.: Słowa te zostały do was skierowane, chociaż sami ich nie szukaliście. Stanowią więc dowód, jak blisko z Profesorem jesteście, mimo że nie spędzacie z naturalnych powodów z sobą zbyt wiele czasu.

EWA: Oczywiście. I te słowa – ze świadomością, że prosto od Profesora płyną – bardzo mnie uspokoiły. Dalej było lżej na pewno...

Ale o naszej relacji świadczą też inne sytuacje z naszego życia czy ważne słowa, poszczególne listy do nas, do mnie. Nie chcę tu o konkretach mówić. Chociażby coś takiego: „Z jakichś powodów są nam potrzebne trudy, krzyże, kłopoty na życiowej drodze. Bóg nas oczyszcza i prowadzi ku sobie, przytula do serca”.

Te zdania z listów czy z rozmów, ze spotkań z Pocokami czy z rekolekcji, wracają potem w różnych życiowych chwilach. Profesor często mówił, żeby się trzymać Pana Boga rękami, zębami, nogami, dosłownie wszystkim... Żeby się do Niego przykleić – jak kropelka być przyklejonym do Pana Boga.

Hiobowe sprawy mocniej nam niegdyś tłumaczył: że trzeba przylgnąć do Pana Boga mimo wszystko, że Pan Bóg przecież nie do przyjaciół Hioba, ale do niego samego się zwrócił, dźwignął go potem. I że to nie jest tak: „O, fajnie, cierpienie teraz mnie uszlachetni”, tylko żeby powiedzieć: „Panie Boże, co jest grane? Nie rozumiem tego”.

W innym momencie usłyszeliśmy, że *pukiel* każdy *mo* taki, jaki *mo* i Pan Bóg wie, jaki każdy *mo* *pukiel* i tyle na ten *pukiel* ci położy. To też fajne słowa: tyle ci Pan Bóg da i to masz udźwignąć, unieść – na tym swoim *puklu*, oczywiście. Pan Bóg granice twoje gdzieś tam zna. Oczywiście, można się poskarżyć jak Hiob, ale ważne jest to przylgnięcie do Pana Boga. Potem zaś trzeba słuchać, co On mówi, dać sobie czas i cały czas myśleć o Panu Bogu, czytać Jego słowo, o cierpieniu także. Porównuję to do Google: są kamerki, masz na przykład jakiś rynecek i możesz go sobie objeżdżać z różnych stron. W tym momencie można na cierpienie z innej perspektywy spojrzeć. To taka bardzo pomocna jego refleksja.

Albo na przykład taki jego list: „Kapitalne jest, jak Wy (Ty) dbacie o codzienną Eucharystię. To jest niesamowita łaska, w tym jest wszystko, to Was wszystkich uratuje, przeniesie nad przepaściami, uszczęśliwi. Bóg jest wierny i może wszystko. To jest źródło mojego spokoju w myśleniu o tym wszystkim, co Wam się przydarza”.

Teraz przypomniała mi się historia, którą kiedyś chyba Szymik opowiadał nam na pocokowych spotkaniach – dotyczyła papieża Jana Pawła II i Półtawskiej. Wanda Półtawska była w obozie koncentracyjnym i nie mogła się z tych przeżyć otrząsnąć. Nie mogła iść na Eucharystię. Była pogrążona w totalnej depresji. Jan Paweł II,

wtedy jeszcze kardynał Wojtyła, miał do niej tylko tyle powiedzieć, żeby była na Eucharystii, żeby chodziła codziennie na Eucharystię, choćby nie wiadomo jak miała walczyć ze sobą i ile by ją to miało kosztować. I to jej pomogło wtedy. To ją w zasadzie uratowało – tylko to: że poszła mimo wszystko na Eucharystię po tych wszystkich wydarzeniach, po których nie umiała wejść do kościoła.

Na tej historii się „zawiesiłam” i to mi niezwykle pomogło: staram się chodzić codziennie na Eucharystię, co w życiu bardzo pomaga i Profesor też to podkreśla – że Eucharystia jest ważna, że przede wszystkim modlitwa. Zresztą w tym liście jest ciekawe jeszcze następne zdanie: „Najważniejsze, myślę, żeby cały czas w tym był Bóg, wtedy nic się nikomu złego nie stanie. Do tego jest potrzebna modlitwa, pokora, czyste serce, szczera miłość – w takich warunkach On może działać, a zawsze działa skutecznie”. Nawet warunki podał, co trzeba robić. Wszystko.

G.P.: Na wasze myślenie o Bogu ksiądz Szymik wpływa – co podkreślacie – głównie poprzez słowo komunikowane w czasie rekolekcji, okazjonalnych spotkań bądź wspólnego biesiadowania. Czyli po „ciężkie teologie” raczej nie sięgacie.

EWA: Raczej nie – jest tyle „lekkiej teologii”, że na nasze techniczne umysły wystarczy (*śmiech*). Między tym są jeszcze jakieś jego opinie na temat danej sytuacji, które też są uspokajające – że można iść w tym, a nie w innym kierunku... Bywa, że się pytamy wręcz, czy zrobić tak, czy inaczej.

G.P.: A o co wy go pytacie?

EWA: To nie są częste sytuacje, to nie jest regularny kontakt... Chociaż miałam taki czas, że nawet napisałam, myśląc o teczce Jasia właśnie: „To teraz *jo se założa swoja teczka*. Trudno, *mo* Profesor pecha, że odpisuje na listy”.

Miałam więc taki krótki czas, że pisałam długie listy do niego na temat swoich sytuacji. Odpisywał zawsze i odpisywał dłużej. To mi się też bardzo u niego podoba, że zazwyczaj wycina z jakiegoś mojego listu pewien wątek, wkleja go i odpisuje: tu odpowiedź na to, potem na coś innego... Byłam w takim ciężkim okresie, że nie myślałam o jego możliwościach czasowych, fizycznych – po prostu pisałam. Zawsze odpisał.

I.S.: Jak widzisz sprawę teraz? Bo gdy człowiek myśli w sercu cierpienia, wydaje mu się, że mu się pomoc należy, bo jej potrzebuje, bardzo czeka na pomoc drugiego...

EWA: Czułam wtedy, że Profesor robi to naprawdę z serca. Nie chcę powiedzieć, że się z mojej potrzeby kontaktu ucieszysz – wiele go to w końcu kosztuje, ale że pomoże i pomoże naprawdę z serca.

I.S.: Że to nie będzie z obowiązku?

EWA: Że to na pewno nie będzie z obowiązku.

G.P.: Ksiądz Szymik jest niewątpliwie człowiekiem zaufania.

EWA: Bardzo. Wiem, że zawsze, jak go poprosimy o coś – oczywiście, jeśli może coś w danej sprawie, nawet delikatnej zrobić – na pewno nam pomoże. Na pewno jest w stanie w każdej dosłownie chwili, mogę to powiedzieć otwarcie, nam pomóc, gdybym była w takiej potrzebie.

JAN: Ja myślę, że z tych jego maili wyjmujemy takie małe cegiełki, wydobywamy jakieś ważne myśli. Myśmy sporo książek Profesora przeczytali.

Niezwykłe są zresztą promocje jego książek. A zawsze jest kapitalnie, zawsze Profesor czymś zaskoczy. Zawsze pojawia się jakaś nowa myśl albo dotknięcie szczególne...

Pamiętam takie katowickie spotkanie, na wszystkich rzecz jasna nie byłem, dotyczące książki *Chodzi o Boga*⁴. Prowadził je chyba Sylwester Strzałkowski. Byliśmy razem, Gabrysiu, prawda? Pamiętasz, jakie to było niesamowite spotkanie? Niby tylko zwykła rozmowa, a tyle uwag (w związku z sensem istnienia, obecnością Boga w naszym życiu) – tak to odczułem – dotyczyło moich problemów, że moje rozterki na tym spotkaniu zostały rozwiązane. Wielokrotnie tak to właśnie wygląda.

G.P.: A jak kontakt z księdzem Szymikiem wpływa na wasze małżeństwo? Czy imponuje on tobie jako męski autorytet? Bo często o takiej mądrej męskości mówi. W jakim sensie wpływa na twoje myślenie o Ewuni, o świecie?

⁴ *Chodzi o Boga. Ks. prof. Jerzy Szymik w rozmowie z Dominiką Szczawińską-Ziembą o teologii Benedykta XVI, Katowice 2011.*

JAN: Nad tym się nigdy nie zastanawiałem. Jako wzór mężczyzny, ojca – nad tym się nie zastanawiałem...

G.P.: Nie jako typ ojca, lecz jako typ mężczyzny, bo sam wciela w życie inny jednak typ ojcostwa...

EWA: Wczoraj miałam taką ciekawą z Profesorem rozmowę – ładnie to było z humorem powiedziane. Rozmawialiśmy, żartując, lecz temat był dość poważny. Chodziło o kobietę, którą on przekonał, żeby czegoś nie zrobiła. Profesor spuentował to następująco: „Wiesz, bo *jo* bardzo *się znom* na tym, jak z kobietami postępować...”.

I.S.: Dopowiedzmy jeszcze, że kobiety gęsto otaczają Księdza Profesora i on często zwraca na to uwagę.

EWA: Zwraca uwagę, piękno kobiety również potrafi dostrzec, wcale się z tym nie kryje jako ksiądz. Często też podkreśla, że nie jest ślepy. W jednym z maili powiedział à propos kobiety: „*Pon Boczku, jo już głuchna, ale nie ślepna – dyc widza, że to jest szwarno dziotcha*”.

JAN: Poza tym Profesorowi się nie odmawia, a myśmy mu jeden raz odmówili. Kiedy w naszej parafii ruszały dla licealistów spotkania w ramach kursu przedmałżeńskiego, prowadzone przez małżeństwa, najpierw nas o to zaangażowanie poprosił ksiądz Piotr. Myśmy odmówili, sądząc, że się nie nadajemy. Ja utrzymywałem, że nie jesteśmy idealnym małżeństwem, że nie mamy przygotowania pedagogicznego ani czasu za bardzo i co my w ogóle tym młodym powiemy... Ksiądz Piotr natomiast, nie mogąc sobie z nami poradzić, poprosił Profesora o pomoc, żeby nas jednak przekonał, żebyśmy się tym zajęli.

EWA: I to właśnie doceniam u Profesora: uszanowanie naszej decyzji. Do niczego nas nie przymuszał. On to rozumie i koniec. Nie było jakichś wielkich dyskusji, przekonywań, że się nadajecie...

JAN: I choć Profesor doszedł do wniosku, że my się idealnie do tego nadajemy, myśmy mu odmówili i dopiero ksiądz Karol Pukocz nas przekonał przy okazji jakiegoś spotkania. Ja się w końcu zgodziłem, a Karol wtedy powiedział: „Jeszcze mi będziecie za to dziękować”. I tak rzeczywiście jest, bo piąty rok to prowadzimy i to nam niezmiernie dużo dało – przygotowanie tych spotkań z młodzieżą. Inaczej żeśmy spojrzeli na swoje małżeństwo, dużo żeśmy doczytali, dużo żeśmy w Internecie mądrych ludzi posłuchali.

EWA: Podobnie z propozycją spotkań i zawiązaniem Grupy „PoCo” – przecież to jest inicjatywa księdza profesora Szymika! Mnie osobiście ta wspólnota bardzo buduje i rozwija. Były spotkania o świętości, dowiedziałam się, że małżeństwo jest świętością, że to jeden drugiego ciągnie, że bez chłopa nie idziesz do nieba... Choć niektórzy by na to liczyli (*śmiech*).

Pytałaś, co zbliżyło nas do Boga. To zbliża do Boga przede wszystkim.

Pamiętam, kiedy całkiem niedawno Profesor mówił o PoCo – rok temu chyba na styczniowym, kolędowym spotkaniu: „I «po co» my się tu spotykamy, jaki mamy cel? Cel mamy skromny”. Ja to nawet napisałam, bo mi się to bardzo podobało. Celem jest „pomoc wzajemna w drodze do Boga i pomoc Panu Bogu w walce o każdego z nas”. On to tak powiedział mimochodem, nawet jakby do siebie. Ja to usłyszałam, bo siedziałam obok niego i szybko zapisałam, tak mi się to spodobało. Niezmiernie się cieszę, że mamy taką grupę. I zauważyłam, że niesamowicie się też Profesor cieszy z nas.

JAN: W mailach ten wątek pojawia się wielokrotnie.

EWA: Czasami miałam wrażenie, że to radość przesadna, ale nie – to było naturalne, autentyczne... Podobnie było na ostatnim spotkaniu. Mieliliśmy wykład, a Profesor został z nami dłużej, wyjątkowo długo. Obserwował nas milcząco, patrzył na wszystkich. W pewnym momencie usiadłam obok niego z kawą. A ludzie rozmawiali jedni z drugimi, nie potrafili się nagadać ze sobą, grupki się tworzyły. Siedzi więc i mówi: „Zobacz sobie, niesamowite, nie? Przecież to jest genialne”. Tak żeśmy żartowali, ale on naprawdę nie umiał się napatrzyć. Jego to ogromnie wręcz fascynuje, że ludzie potrzebują takiej rozmowy, bo dużo jest ludzi, którzy potrzebują ze sobą rozmawiać. On się tym niesamowicie cieszy.

G.P.: Profesor ma też genialny słuch świata. Widzi, że ludzie ze sobą na co dzień nie rozmawiają i że w najgłębszych swoich pokładach odczuwają potrzebę rozmowy, że chcą sobie pogadać i to nie o pierdołach...

I.S.: W moim przekonaniu, on się po prostu tym karmi – waszymi spotkaniami i rozmowami. I wielką jest dla niego radością, że może patrzeć i słuchać tak zwyczajnie po ludzku, a może i „po kapłańsku” nawet, bo dla księdza to stanowi z pewnością bezcenną pożywkę....

EWA: On zresztą widzi również w sobie taką potrzebę rozmowy, osobowego kontaktu z drugim człowiekiem.

G.P.: O właśnie: jak w takim razie postrzegacie kształt jego duszpasterstwa? Bo w odniesieniu do księdza Szymika możemy mówić o całym wachlarzu aktywności.

EWA: W czasie przygotowywania kolejnych rekolekcji mieliśmy sytuację, że zgłaszało się 120 osób i wtedy siostry miały problem z obiadami. Najpierw byłam zaskoczona, ale bardzo mi się to u niego podoba, że on nie widział jakichś przeszkód organizacyjnych, związanych chociażby z ilością uczestników tych pszowskich rekolekcji. On z nas się wręcz śmieje, że zamartwiamy się jakimiś noclegami, obiadami... Uważa, że zawsze się coś wymyśli, że zawsze znajdzie się jakiś plan awaryjny. Dla Profesora to nie problem – mówi: „Ja jestem przede wszystkim ewangelizatorem”. I jest szczęśliwy, kiedy pojawia się tylu ludzi. Też jest zaskoczony, że tyle osób przyjeżdża z różnych stron, i to nie na specjalne zaproszenia, tylko zgłaszają się sami. Dla niego jest zatem najważniejsze, że ludzie chcą przyjechać i posłuchać, chcą być na rekolekcjach.

JAN: Ostatnio okazało się, że ksiądz Marcin nie może pojechać z nami na coroczne rekolekcje majowe Grupy „Po Co”. Od razu pojechałem do Profesora po pomoc, sam też chciałem poszukać jakiegoś kapłana. Uznałem jednak, że najwyżej odmówimy ten dom rekolekcyjny, bo bez kapłana wyjazd nie ma sensu. Ale Profesor stwierdził zdecydowanie: „Nie, tego nie możemy zmarnować. Trzeba ufać, zawierzyć Panu Bogu”. I to było w Wielkanoc w porze obiadowej, u Szymików wszyscy siadali do obiadu, a ja głowę zawracałem. Przepraszałem, przepraszałem, a Profesor mówi: „Nie, bardzo dobrze, że przyszedłeś. To jest ważna rzecz. Za dwa tygodnie wyjeżdżacie, czasu mało, trzeba znaleźć księdza”.

Po dwóch czy trzech dniach pojechałem na budowę i mówię: „No tak, ale jak ja chcę kapłana na rekolekcje, to powinienem się też pomodlić za to”. No i *przerzykotech* różaniec w intencji kapłana na nasze rekolekcje. Gdy kończyłem piątą dziesiątkę, zadzwonił Profesor i powiedział: „*Mom dlo wos* księdza”. To był podobno trzeci, do którego uderzył – dwaj pierwsi zapytani mieli już coś wcześniej zaplanowane. Ale udało się i pojedzie ksiądz Piotr.

EWA: A propos tych rekolekcji dużych naszych, pszowskich, ostatnio dziękowaliśmy jemu, on nam – my utrzymywaliśmy, że nie trzeba, bo wszyscy tylko z powodu Profesora przyjeżdżają... Powiedział wtedy mniej więcej coś takiego: „To jest sprawa Boża, Boga samego – tylko On może nawrócić ludzkie serce, to nie jest w mocy człowieka.

I jest to też kwestia współpracy dobrych i mądrych ludzi – z moim fajnym wkładem, owszem, ale *som to sie* człowiek może opalać, nic więcej (a i tak go przedtem *kieryś* musi po plecach *poszmarować*)”. Także w sumie chodzi o tę wzajemną współpracę.

G.P.: Gdybyście mieli teraz sprecyzować, jakie sfery doczesności i nadprzyrodzoności odkrył przed wami ksiądz Jerzy? Czy otworzył wam oczy na nowe przestrzenie? Czy umiecie je nazwać?

JAN: Mnie się wydaje, że byłem za bardzo letni i jakoś dotarło do mnie, że muszę przestać być letni. A żeby przestać być letnim, to trzeba wyjść w stronę Pana Boga na całość.

I.S.: To się zmieniło?

JAN: Zdecydowanie. Przestałem być letnim i nie boję się stawać w obronie wiary, bo dawniej, gdy ktoś mówił przeciw, w ogóle się nie odzywałem. A miałem takie sytuacje z przyjaciółmi na wakacjach, żeśmy się aż poprztykali w sprawach Kościoła. Akurat chodziło o księdza Bonieckiego, który dostał zakaz wypowiadania się w mediach. I ktoś mówi: „Jaki to był dobry ksiądz, a nie wolno mu się wypowiadać”. Stałem akurat w obronie Kościoła – skoro biskup tak zarządził, to Kościół jest mądrzejszy i trzeba go słuchać. Pomyślałem wtedy, że kiedyś nie byłoby mnie stać, żeby tak stanowczo bronić Kościoła. A Profesor już kilkakrotnie mówił, że na większych forach musiał stanąć w obronie Kościoła. Zapamiętałem to. To zdarzyło się niby tylko wśród przyjaciół, ale uważam, że powinno się w takich sytuacjach reagować.

G.P.: A jak Profesor wpływa na twoją aktywność, wrażliwość poetycką?

JAN: Niezwykłe. Ksiądz Profesor sam jest poetą i potrafi ocenić, czy tekst jest dobry, czy niedobry. Myślę, że szczerze by mi napisał, że coś jest niedobre...

EWA: Zacytuje księdza Jerzego na temat pisania śląskich wierszy przez Jasia: „Dzisiaj na wykładzie na uniwersytecie w Katowicach czytółżech «Potracone go barana». Najwiynkszy problem mioletżech z kauszalami, ale wszystko żech wyjaśnił i było entuzjastyczne przyjyn-ci tego wiersza”.

JAN: Mnie to buduje bardzo, gdy Ksiądz Profesor mi coś pozytywnego napisze.

A ostatnio to już było superpozytywnie. Ten mój ostatni tekst wielkanocny *Asyż na Ślonsku* w wielkim przejęciu pisałem.

Asyż na Ślonsku

*We Popielcowo Strzoda, we śniku
Prziszło żeś ku mje Świynty Franciku.
Tak żeś mi pedzioł: Pomocy Janie!
Stawiomy kościół na Zmartwychwstanie!*

*Zaroz chycili my się roboty.
Oblyk żech arbaj, chrube galoty,
Sztychowkom kopoł jo fundamynty,
Kible przynosił zaś Francek Świynty.*

*Łon mulorz wartki, piwska niy ściepie,
Rajbetkom malta w gipsdeka ciepie,
Puc mo gładziuski – no piyrso klasa,
Już niy nadonżom miyszać w kalfasach.*

*A jak żech kuloł przez bauplac kara,
Prziciongła ku nom Nojświyntszo Klara.
Tym budowanym chwoły my Boga.
Klara nos sprawdzo – mo waserwoga!*

*Z Franckiy m robota mom se fest w zocy,
Muszymy zdonżyć do Wielkij Nocy.
Tyj naszymy Ślonskij Porcjunkuli
Dioboł nom nigdy niy łobuli!!!*

Wielkanoc 2014

Janek, *baumajster* – *Staro Maszyna*

Gdy siadałem do tego, pomyślałem: „Niczego już więcej nie wymyślę. Napisałem już chyba piętnaście tych wierszy wielkanocnych... Ile można pisać o baranach, o zajaczkach, o jajcach, nawet wpłatając w to Zmartwychwstanie?”. Bo tak się staram, żeby puenta zawsze się pojawiła. A ostatecznie poszło błyskawicznie i cieszyłem

się wielce z tego tekstu. Tym bardziej nie przypuszczałem, że reakcja Profesora będzie aż tak mocna.

Posłuchajcie: „Jasiu drogi, tekst jest znakomity. Jasiu, to jest wielka literatura, wiedz o tym. To jest wielopiętrowa, wysmakowana metafora, zrobiona dobrze, zrytmizowana, symboliczna, bardzo głęboka, teologicznie wielka sprawa. Bardzo ci dziękuję także w imieniu wszystkich *Ślązoków*”. Po takiej recenzji... Wiem, że to jest tylko moje skromne pisanie, ale jeżeli Profesor – autorytet i w sprawach gwary, i w sprawach poezji – tak mi pisze, to aż łezki poleciały, gdy tego maila przeczytałem. Także to bardzo wielka zachęta.

EWA: Chociaż mówił ci ostatnio, że *mosz* nie liczyć na jakieś szerokie wody, bo on sobie zdaje sprawę, że...

JAN: Gdy w Wielki Czwartek pierwszy raz ześmy się spotkali po tym mailu, Profesor powiedział, że bardzo, ogromnie – naprawdę – mu się wiersz podoba, ale muszę mieć świadomość, że nie wypłynę z tym na szerokie wody, bo tam jest za dużo Boga. I nawet gdyby trafiło to do jakiegoś krytyka, to nie mam szans, bo Pan Bóg się w poezji nie przebije – on to wie po sobie.

EWA: Fantastyczne jest to jego zachwycanie się śląskimi wątkami, w ogóle Pszowem: Profesora zakochanie w Pszowie.

G.P.: *Po co Pan Bóg wymyślił Szymika dla Pszowa?*

EWA: Żeby się mogli z nim spotkać i ponawracać ludzie (*śmiech*).

Zachwyca mnie jego miłość do Pszowa, miłość do mamy. Zawsze mnie to uderza na promocjach, że każdorazowo o mamie mówi, dziękuje mamie w swoich wierszach czy w innych swoich tekstach. Zawsze gdzieś tam ta mama jest i jest otoczona wielkim szacunkiem.

JAN: Ja myślę, że Pan Bóg to tak wymyślił, że ci najwięksi wyrażą właśnie w małych środowiskach, w biednych środowiskach.

Wczoraj oglądaliśmy film o Janie XXIII – taką trzygodzinną wersję zatytułowaną *Papież pokoju*, specjalnie kolega nam pożyczył. Co chwila miałem łzy w oczach. To jest cudowny film. I papież cały czas w nim mówi: „Ja jestem tylko zwykłym wiejskim proboszczem. Jestem zwykłym wiejskim kapłanem. Ja jestem prosty i ze wsi”.

EWA: Po to został księdzem.

G.P.: *A może Pan Bóg wymyślił księdza Szymika również po to, żeby dowartościować taką prowincję jak Pszów?*

EWA: Ja nie mam nic przeciwko temu (*śmiech*).

JAN: *Slązoki* są bardzo mocno zakompleksione.

EWA: Ale kompleksów się człowiek może wyżyć przy Szymiku.

Taki mail księdza Jerzego wam przeczytam z wiosny roku 2012: „Dzisiaj o 16.02 (dokładna godzina święceń sprzed 33 lat) byłem w katedrze – w tym miejscu, gdzie leżałem krzyżem wtedy, w tamtym kwietniu. Podeszła do mnie nieznana kobieta (to był chyba anioł przebrany za kobietę) i mówiła mi, że dziękuje Bogu za mnie, za moje kapłaństwo i różne przenikliwe szczegóły z mojego życia i pracy. A widziałem ją pierwszy raz w życiu”.

I to by nie był nasz Ksiądz Profesor, gdyby jeszcze nie dodał czegoś anegdotycznego... Właśnie uwielbiam go za to, że choćby nawet poważnie pisał, zawsze jakieś postscriptum ciekawe się znajdzie – choćby jedno zdanie tylko, dosłownie trzy wyrazy. Czytam: „Moja mama dzisiaj mi powiedziała, że podczas tych święceń 33 lata temu, jak ją zauważyłem w katedrze, to jej pokazałem (jakimś gestem wymyślnym), że ma fajną fryzurę na tę okazję. Nie pamiętam tego, ale to fajne, co?”.

I.S.: W październiku 2012, czyli pół roku później pani Szymikowa też nam o tym mówiła.

EWA: O, proszę. I często Profesor kończy: „Niech żyje *Staro Maszyna*”.

JAN: Największy wpływ Profesor ma chyba na naszą wiarę, myślę. Bo sam przez siedem lat w ogóle nie chodziłem do kościoła, całe technikum i pierwsze dwa lata na studiach. Potem bardziej Tomek, nasz syn, nas ciągnął. On był w oazie, on był bliżej Kościoła i on był bardziej związany z życiem naszej parafii. A myśmy oczywiście do kościoła chodzili, nie rozumiejąc jednak za bardzo, o co w tym wszystkim chodzi. A przyjaźń z Profesorem... Myślę, że Pan Bóg jakoś te nasze drogi skrzyżował po to, żebyśmy i my byli bliżej Pana Boga. A przy tym i nasze małżeństwo zostało uratowane.

EWA: Profesor nauczył nas (powtarza to chyba za Świętym Augustynem), że jak Pan Bóg jest w życiu na pierwszym miejscu, to wtedy wszystko inne znajdzie się na miejscu właściwym. Ciekawe jest też jego zdanie: „Wszystkie odpowiedzi, które nie sięgają Boga...”

JAN: ...są zbyt płytkie”.

Przeczytam coś jeszcze, bo to u nas wisi na ścianie. To trzy fragmenty z Profesorowych maili – uznaliśmy, że są szczególne. A tutaj: zdjęcia robione z naszego okna i wszystkie w kierunku kopalni...

EWA: Bo tu niedaleko nas jest to słynne Szymikowe pole, ta łąka, na której siedział i oglądał czołgi jadące na Czechosłowację, o czym mówi w jednym z wierszy⁵.

JAN: ...czyli: zamglony wschód słońca, jesienny pejzaż, wszystko w kolorach złoto-brązowych. I tęcza nad kopalnią. Wszystko przez to okno. Trzy zdjęcia. Aparat leży w domu i gdy coś ciekawego zobaczę, po prostu ocalam obraz.

Czytam więc. To jakieś fragmenty z Profesorowych maili: „Chce się żyć po takim wieczorze i dla takich chwil. Takie chwile są dla mnie jak księżyc, odbijają światło. Nie mam do Niego bezpośredniego dostępu, jedynie przez wiarę, ale dzięki takim odbiciom wiem na pewno, że jest, bo gdyby Go nie było, to księżyc by nie świecił. I rozjaśniają mrok”.

EWA: To chyba po jakimś ognisku było czy po wieczorze wspólnym, jakimś spotkaniu...

JAN: W mailach łatwo to znaleźć: 16 maja 2003.

Dalej: „To jest ów cud godny wiersza, cierpienia, miłości. Życie w swoim narwanym tempie, mieszaninie, w której jest miejsce na antybiotyk, smutek i zachwyt, a w tle wielki błękit, jak w czerwcowe popołudnie nad Starą Maszyną, nieprawdaż?”. Fragment maila, ale jakby wiersz. Data: 19 stycznia 2003.

I trzeci cytat: „Wiesz dobrze, takie rzeczy, słowa, gesty nadają życiu smak – gesty, jedyny. Przyjaźń jest zawsze darem i nie da się jej kupić. I Bogu dzięki”. I takie mamy trzy fajne obrazki.

Przyniosłem coś jeszcze. To jedyny wiersz, jaki nam Profesor zadeedykował – w roku 2002, czyli na samym początku przyjaźni. *Kairos*⁶. „*Erwie, Janowi, Tomaszowi Kaintochom*”. O Trogirze i o Kairosie, greckim bogu szczęścia. On ma grzywkę z przodu, a łysinę z tyłu, że jak przeleci koło ciebie, a szczęścia nie złapiesz w odpowiednim momencie, to za tę łysinę już go nie możesz złapać. Grecki bóg szczęścia. A wiersz jest o tym, że właściwe nie zawsze musi znaczyć szczęśliwe, że w cierpieniu też można znaleźć sens i szczęście. Taki jest sens tego wiersza.

Wisi to u nas na ścianie, bo z Profesorową dedykacją dostaliśmy. Profesor wiedział, że jedziemy do Trogiru, zadeedykował nam więc wiersz i powiedział: „Idźcie do tej Trattorii *The End*. W centrum,

⁵ J. Szymik, *Czerwiec 1968 roku*, w: tegoż, *Śmiech i płacz*, postł. A. Pethe, Katowice 2000, s. 43.

⁶ Tenże, *Kairos*, w: tegoż, *Błękit. 50 wierszy z lat 2000–2002*, wstęp A. Szostek, postł. K. Najman, Katowice 2003, s. 66.

na starym mieście w Trogirze jest knajpka o nazwie *The End* i tam na ścianie wisi popiersie Kairosa”. Myśmy oczywiście knajpkę znaleźli, byliśmy tam na jakimś winie, a potem się okazało, że u sióstr w klasztorze w muzeum wisi oryginał sprzed dwóch tysięcy lat. Więc poszliśmy i kupiliśmy sobie gipsową pamiątkę w Trogirze. Trogir bardzo pięknie wspominamy przez Kairosa, przez ten wiersz i przez obraz, który nam Bogna namalowała.

G.P.: Czy są takie książki – może jedna wyjątkowa, czy jakiś tekst Szymika, który szczególnie lubicie, pamiętacie, do którego chętnie wracacie?

EWA: Książka *Chodzi o Boga* jakoś niebywale mnie poruszyła. Może dlatego, że rozmowy o Benedykcie XVI emitowano w pierw w radiu. Potem byliśmy na jej ciekawej promocji. Tam jest tyle ważnych treści, mam w niej wiele zakreśleń – jedno za drugim. Ona właśnie wyjątkowo mi przypadła do serca.

I jeszcze jedna, którą kiedyś czytałam. Przy pierwszej lekturze zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie: o mamie, o perypetiach z urodzeniem mamy, o babci Luizie, o Profesora ojcu⁷...

JAN: Dla mnie najpiękniejszy i najmocniejszy jest zbiór *Akropol z hołdy, czyli teologia Śląska*⁸.

EWA: Mnie uderzyło, że Profesor ma niesamowitą rodzinną historię.

JAN: U Szymika znajdujemy pochwałę rodzinnej miłości – że jeśli zaniedbamy rodzinę... Wszystko inne (kasa, kariera i tak dalej) nie jest nic warte. Tylko rodzinność.

EWA: Ostatnio Profesor opowiadał, że w Poniedziałek Wielkanocny przyjeżdża do nich, to już tradycja, 40 ludzi z Siemianowic – rodzina Tadeusza. Co roku przyjeżdżają zawsze w śmigus-dyngus. Teraz to chyba wszyscy byli na cmentarzu u Tadeusza.

I.S.: Janku, a czy któraś z promocji zapadła ci szczególnie w pamięci? Czy one zawsze są wyjątkowe, czy była jednak jakaś szczególnie ciekawa?

⁷ Por. tenże, *Zapachy, obrazy, dźwięki. Wybór esejów i rozmów*, Katowice 1999.

⁸ *Akropol z hołdy czyli teologia Śląska. 25 rozmów z księdzem Jerzym Szymikiem o Śląsku i teologii, o poezji i kapłaństwie, o Pszowie i podróżach, o życiu i naszym świecie* (rozmówcy: M. Baster, K. Hudzik, A. Jarmusiewicz i in.), wstęp J. Miodek, Katowice 2002.

JAN: Musiałbym sięgnąć głębiej...

EWA: Ta ostatnia była ciekawa. I jedna w Katowicach, ale której książki?

I.S.: To może pomyślicie, odpowiadając na kolejne pytanie. Promocje książek Profesora zawsze wpierv odbywają się w dużych centrach – Katowice, kiedyś Lublin – i potem nagle „lądują” w Pszowie. Najczęściej w takim porządku się to odbywa. Jasiu: jesteś zwykle prawą ręką...

EWA: Ale one były też na długo przed nami...

I.S.: Owszem, ale rozmawiamy teraz o „waszych” czasach, więc powiedz, proszę, jak ty to widzisz? Dlaczego one są zawsze takie niesamowite?

JAN: Osobowość Profesora...

I.S.: Czy on wybiera prowadzących? Ma pomysł na każde spotkanie?

JAN: Wszystkie promocje książek Profesora w Pszowie organizuje Towarzystwo Przyjaciół Pszowa. Towarzystwo Przyjaciół Pszowa, zarząd – wszyscy są blisko Kościoła. To jest bardzo ważne, bo gdyby w zarządzie na przykład połowa była niewierząca, przeciwna Kościołowi, to by nie dążono do tego, żeby te promocje odbywały się regularnie. Najczęściej to się dzieje w styczniu: przedstawiamy książki, które ukazały się w poprzednim roku, jest promocja.

Jadzia Baron, będąca prezesem Towarzystwa Przyjaciół Pszowa, jest sąsiadką Profesora i zna księdza Szymika od dzieciństwa. Jadzia dba, żeby zawsze spotkaniu z nim towarzyszyła oprawa muzyczna. Ona była dyrektorem szkoły muzycznej w Raciborzu. Mamy więc świadomość, że samo słowo mówione to za mało, stąd lepiej, gdy pojawiają się przerywniki muzyczne. Z doświadczenia wiemy, że Profesor uciągnie każde spotkanie, nawet ze słabo prowadzącym.

Profesor jednak zawsze chce, żeby to było przygotowane. Wiecie, o czym mówię – prowadziłyście już niejedną, Marek Kolorz prowadził... Ludziom się wydaje, że to jest improwizowane, a to jest każdorazowo przepracowany scenariusz, to są przeczytane książki – te, o których ma być rozmowa, to jest wszystko z Profesorem konsultowane. No i frekwencja zwykle dopisuje. Ostatnio w styczniu była tak nabita sala, nasza izba pamięci, że się bałem, aby się strop

nie zawalił... Wykorzystaliśmy chyba wszystkie krzesła. Dużo było o miłości też.

EWA: Właśnie. Nasz Tomek z Martą się kopali pod stołem, bo coś tam im pasowało. Takie miałyście akurat pytania...

JAN: Bardzo trafione. To była tematyka dla naszych nowożeńców, a oni po tym spotkaniu poprosili Profesora, żeby im „udzielił ślubu” i cały czas się kopali pod stołem.

EWA: Do młodych, jak się okazuje, Profesor trafia również bardzo skutecznie.

JAN: Już wiem! Znam odpowiedź na pytanie Izy. Najbardziej niesamowity był *abraham* Profesora w sali widowiskowej naszego domu kultury.

I.S.: W 2003 roku.

JAN: To było zorganizowane z wielką pompą. Alosza Awdiejew został jako gwiazda zaproszony i nam śpiewał. Franek Kucharczak przygotował specjalny numer „Gościa Niedzielnego” tylko o Profesorze – „Biuletyn Kanonizacyjny” wydany z datą 30 września 2003 roku. Nie wiem, czy to pamiętacie. Opublikowano tam różne zdjęcia z dzieciństwa... Nawet nie pamiętam, kto to wówczas organizował, ale to było niesamowite. Miałem ogromną wtedy radość, bo napisałem kilkanaście zwrotek po śląsku do tych zdjęć z dzieciństwa. Wiersz się nazywał *Zakochanie*.

Zakochanie

*Nie siedziot przy ciepłyj bratrurze,
Od bajtla pokochot podróże,
Nie siedziot jak klipa na stolku,
Wandrowot na śwyntym osiolku.*

*Samtukej miyszkali dziadkowie,
Samtukej zakochot sie w Pszowie,
Sam poszoł do Piyrwszyj Komunii,
Sam wionzot szczewiki babuni.*

*Dziynki krupniokom, siymiyniotce,
Zakochot sie tyż w ślonskij godce,
Na cołki szczynści, bo jo wola
Jurka hanysa niż gorola.*

*Źureczek już od malyńkości
Zakochał się w słonskiej prawości
Dycki poprzeczka miot wysoko
Obejrzcie się jak piyknie skoko.*

*Prziszło na świat Źurek – maluch,
Zaraz zakochał się we fuzbalu
Poradził kopnąć bal nojdali
Choby Euzebio z Portugalii.*

*Młodzińcze prziszły walki, burze
Zakochał się w literaturze
Poznał Kordiana i Konrada
Wygroł index i olimpiada.*

*No ale wybroł inkszo droga
Zakochał się w miłości Boga
Łoblyk sutanna farorzyczka
I zbiyroł drobne do koszyczka.*

*Ponboczek wzion go w swoje progi
Zakochał Źurka w teologii:
Został habitym i dochtorym
A można nawet profesorym.*

*Coś Wom poklachom o Źerzyku:
Zakochał się w polskim jynzyku.
No a że ni ma zawalaty
Szkryflo wierszyki, poematy.*

*W nagroda za to zakochanie,
Zgodnijcie co Źurek dostanie.
Źo wiym co godom, ni mom jobla:
Literacko Nagroda Nobla.*

EWA: (przeszukuje pamiętki) „Raz jeszcze z wielką radością dziękuję firmie «Jorguś». Wiemy dzięki sobie, że w życiu jest możliwe dobro, prawda? Bóg z Wami” – takie podziękowanie.

Błękit: „Nad Europą błękit / znieruchomiał jak jastrząb”⁹. Spotkanie autorskie, Kraków 10 czerwca 2006 roku. Myśmy byli w Krakowie, pamiętasz?

JAN: Pamiętam, w salkach katechetycznych...

EWA: O, tu jest ten byk! I numer telefonu: 4558953.

JAN: Profesor miał kartkę albo ja miałem kartkę, a Profesor napisał numer telefonu.

EWA: Takie jedno zdanie pamiętam: „warto tę strunę trącać” albo „wysokokaloryczne sprawy, które odłożą się cholesterolem duchowym”...

JAN: Na *abrahamie* tak to było zrobione, że odtwarzano zdjęcia z dzieciństwa i odczytywano tych 10 zwrotek w gwarze śląskiej.

EWA: O! „Ewie i Jankowi na pamiątkę...”. Tu nam dał z Porto tę kartkę. Potem Bogna namalowała obraz na podstawie tego. Wisiał w Lublinie, a teraz chyba w Katowicach, prawda? „Ewie i Jankowi na pamiątkę pięknego mroźnego wieczoru na Starej Maszynie, 15 kwietnia 2004. Bądźcie dobrzy i szczęśliwi”.

JAN: To był taki okres, żeśmy się spotykali po domach: u Adamczyków, u Mamaków, u nas – w takim mniejszym gronie tylko. Formalnie Grupa „PoCo” jeszcze nie istniała...

EWA: Mnie się też bardzo podoba, gdy on się zachwycą różnymi szczegółami, które człowiekowi zwyczajnie gdzieś by umknęły. Zaraz znajdę takiego maila fajnego, też dotyczącego rekolekcji, kiedy pisałam mu, że siostrę Rut spotkałam w kościele i spytałam ją nieśmiało, czy mogę przynieść listę uczestników, bo już mamy powyżej setki... A musiałam jej spojrzeć w oczy:

„Wczoraj byłąch w kościele i *jo sie jom pytom*, kiedy *mogymy przyniść lista* na rekolekcje. Rut na to: «możecie od jutra spać». *Jo trocha ze strachym*: «*dobijomy do setki...*». I *opowōżyłach sie* zajrzeć Rut w oczy, i to był błąd. Żeby nie *tyń filor*, co był w kościele *ze zadku*, *coch sie* o niego zdążyła *oprzyć*, *toch jest obulono*. I *gzulach pryndko porzykać*, *co by sie spaminytać*.” I tak dalej.

Profesor mi odpisuje: „Ewo droga bardzo, *wiysz*, że Rut *mo* groźne *wejrzyni*. I nawet jakby *my dobijali* do dwudziestki, *tobyś sie* też bez *filora obułyła*. Tak, że się nie przejmuj i spokojnie idź *z listom do szwesterów*. Westchnij do duszyczek. I tu patrz załącznik. Właśnie *zech skończył* robić autoryzacja tej rozmowy (*pisoł* coś tam na 1 listopada).

⁹ Tenże, *Błękit*, w: tegoż, *Błękit...*, s. 26.

Nie zostawiom was same. *Trzimejcie sie, nie bójcie się, jo Was prosza.* PS. Czasownik «gzułach» jest prześliczny”.

Postscriptum po prostu rozkłada na łopatki.

JAN: Przepiękna jest jeszcze historia z Martą. Marta śpiewała w Restauracji „Słoneczna” na naszych „pięćdziesiątkach”. Zaprosiłem ją na prywatny koncert. Przyjechała z pianistą, zagrała nam. Tomka wtedy nie było – był w Stanach, akurat dzień wcześniej poleciał do pracy do Ameryki.

I.S.: Jeszcze trzeba powiedzieć, kim jest Marta, bo nie wszyscy wiedzą.

EWA: Będę od sierpnia jej teściową.

JAN: Tomka wtedy nie było. Profesor miał dla nas tę mszę z okazji „pięćdziesiątek”, więc był też na tym koncercie. Z kościoła pojechaliśmy do knajpy. Marta Król przyjechała i przed obiadem był koncert. Później chciałem Marcie podziękować, że przyjechała tu do Pszowa i nam zaśpiewała. Poprosiłem Profesora o dedykację, kupiłem jego książkę i posłałem Marcie. Marta się bardzo ucieszyła. I mailowaliśmy, zaprosiłem ją także na te grudniowe rekolekcje.

Właśnie dlatego przegapiłem wtedy ten termin – żeby one nie odbyły się w październiku, tylko w grudniu. Teraz już wiem, że to nie był przypadek, że przegapiłem, tylko tak miało być. Bo Marta przyjechała na te rekolekcje pierwszy raz do Pszowa w grudniu. Na dzień przed rekolekcjami zadzwoniła, że jest chora i nie da rady, ja mówię: „Pani Marto, no szkoda, może uda się za rok”. Ale na godzinę przed rekolekcjami, pomimo że była straszna zawierucha i ślisko, powiedziała, że jednak przyjedzie, że już się lepiej czuje – gardło ją boli, lecz przyjedzie.

I przyjechała do Pszowa na rekolekcje z Profesorem. Tomek w nich nie uczestniczył, ale przyszedł na ostatni obiad i siedział razem z nami. Tam się z Martą poznał. Marta potem, po tych rekolekcjach, jechała do Rybnika na warsztaty gospel, choć z rozmowy wynikało, że ma je dopiero wieczorem. Powiedzieliśmy więc: „W życiu nie będziesz chodziła po mieście i marzła, tylko przyjeżdżasz do nas na kawę”.

Tak Marta trafiła do nas na kawę, przeprowadziliśmy niezwykle rozmowy też wtedy, a Tomek siedział z nami. Nawet jej wydrukował mapkę, jak dojechać stąd do Rybnika. I pojechał na mszę na 18.00. On wsiadł za kierownicę do Marty samochodu i jechali razem pod

kościół. To jest ważne, ponieważ gdy on wsiadł za kierownicę – a to była zima, ślisko – i ruszył, to Marta do niego mówi: „Może byś dwójkę wrzucił?”. Co dla faceta, który jeździ znakomicie i wchodzi na zakrętach na ręcznym, było obelgą prawie... Wysiadł więc przy kościele, pożegnał się. Ale potem Marta miała jakiś koncert kolędowy w Bytomiu i Tomek pojechał na niego, choć cały czas myślał, że ona ma chłopaka.

EWA: Bo wysiadł z auta, a ona mówi „cześć” i jedzie do Rybnika, bo tam „taki chłopak ma koncert”. Tomek zrozumiał, że ona ma chłopaka, że powiedziała „mój chłopak”, a ona powiedziała „taki chłopak”, cały czas myślał zatem, że Marta ma chłopaka. Jeszcze na tym koncercie zobaczył, jak ją ten szef zespołu za plecy przytrzymał i się uklonili. Utwierdził się w przekonaniu, że to jest ten chłopak...

JAN: Ale napisał jej w mailu czy na Facebooku: „Ładne rękawiczki” – na koncercie je miała ubrane. Ona się *kapła*, że on był na tym koncercie. No i to ją dotknęło, że Tomek był na tym koncercie i że coś się zaczęło. Ale on nie umiał jej na kawę zaprosić, ponieważ cały czas myślał, że Marta ma chłopaka.

Zaprosił ją w końcu na jakieś czuwanie do Rydułtów. Marta wtedy przyjechała – ksiądz Rek organizował czuwania. I po tym czuwaniu Pan Bóg musiał na nich wpłynąć, że w końcu się dogadali, że ona chłopaka nie ma i Tomek ją przywiózł do domu. Mówię: „Marta, co ty tu robisz? Nigdy bym nie pomyślał, że my się jeszcze spotkamy, a co dopiero w naszym domu”. Ona odpowiada: „To jest owoc tych państwa rekolekcji”.

EWA: Bo na rekolekcjach się poznali...

JAN: Marta przyjechała w zasadzie na Szymikowe rekolekcje, modliła się też intensywnie. Natomiast ja nigdy w czynach ani w myślach nie zrobiłem nic, żeby...

EWA: Oni się spotykali, myśmy nawet nie wiedzieli o tym...

JAN: Marta z Tomkiem. Nie było mojego kombinowania najmniejszego: „Tomek, *fajno dziotcha*” albo: „Pani Marto, ja mam fajnego syna”.

EWA: Oni się spotykali, mailowali. Chyba Duch Święty im zaświecił w tych Rydułtowach.

JAN: Piękną klamrą się historia zamyka, że akurat Profesor w sierpniu jest w Polsce i że może im tego ślubu udzielić.

EWA: I można powiedzieć, że dzięki rekolekcjom, czyli dzięki Profesorowi, Tomek *mo fajno narzeczono*, bo Marta naprawdę jest bardzo fajną osobą.

I.S.: Mnie się wydaje, że ta aura cała wokół Profesora wynika po prostu z tajemnicy kapłaństwa i tajemnicy świętości tego akurat kapłana. Czy nie o to tutaj chodzi? Jasiu mówił sporo o wierze, że Profesor umacnia waszą i naszą wiarę, na spotkaniach autorskich zawsze trafia w sedno w kwestiach wiary i naszej relacji z Bogiem. Bo to są sprawy najważniejsze przecież...

EWA: Tak. Ksiądz Profesor często powtarza, że przede wszystkim jest kapłanem.

Mam przed sobą taki obraz: w zeszłym roku Profesor miał sześćdziesiątkę, wybieraliśmy więc dla niego ikonę. Zdecydowaliśmy bowiem, że Bogna nam ją napisze, a miała takich ikon akurat trzy. Nie mogliśmy się zdecydować. Były głosowania, każdy wybierał inną. Między innymi ikona z Duchem Świętym, potem taka Martiniego... i trzecia z Panem Jezusem przytulającym się do Maryi (Eleusa). W końcu zdecydowaliśmy: niech sobie wybierze sam, lubi takie rzeczy. No i Jasiu pojechał z tymi trzema ikonami do Profesora. Jaki był jego komentarz do sytuacji? Śliczne wszystko, on jest rzeczywiście poetą, ale przede wszystkim jest kapłanem, więc wybiera tę z Jezusem – wybiera, jak zawsze, Pana Jezusa.

JAN: A ja miałem taki obraz wczoraj: Ksiądz Profesor jest jak polano w kominku – chce się spalić całkowicie. Chce dać światło i ciepło wszystkim, spalając się. Czyli jest jak polano w kominku. I w tym kierunku powinienem iść: żeby go naśladować, żeby służyć innym.

Pszów, 24 kwietnia 2014 roku

Grupa „PoCo”

Pszowskie Ognisko Cudownie Ocalonych powstało w 2005 roku. Pierwszym opiekunem duchowym Grupy „PoCo” był ksiądz profesor Jerzy Szymik, który do dziś z wielkim zaangażowaniem wspiera jej aktywność. Następnie opiekę nad Grupą sprawowali kolejni pszowscy wikarzy: ksiądz Michał Kuś, ksiądz Karol Pukocz, ksiądz Piotr Gaworski i (obecnie) ksiądz dr Marcin Niesporek. Grupa zbiera się regularnie w każdą pierwszą sobotę miesiąca na spotkaniach ewangelizacyjnych. Program spotkań ustalany jest zawsze na styczniowym kolędowaniu. Od dziesięciu lat w weekend majowy Grupa „PoCo” wyjeżdża na trzydniowe rekolekcje do różnych miejsc świętych. Kolejno były to: Lublin, Kalwaria Zebrzydowska, Olsztyn, Ząb, Wambierzyce, Bystra Krakowska, Kraliki (Czechy), Rycerka, Stryżawa – Siwcówka, Krnov-Cvilin. Od dziesięciu lat Grupa „PoCo” organizuje jesienią w klasztorze sióstr boromeuszek w Pszowie Rekolekcje Pszowskie z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem. Co roku bierze w nich udział ponad sto osób z całego Śląska i nie tylko. Wszyscy członkowie Grupy „PoCo” są w jakiś cudowny sposób ocaleni od zła.

Bogna i Arkadiusz Adamczykowie

Bogna (urodzona 11 lipca 1965 roku w Pszowie) i Arek (urodzony 18 maja 1965 roku również w Pszowie) z zawodu są architektami, absolwentami Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Mają dwoje dzieci. Bogna z zamiłowania i potrzeby serca jest ikonopisarką – obecnie kończy studia podyplomowe „Ikonopisarstwo. Studium chrześcijańskiego Wschodu” na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego (nie byłoby ich, gdyby nie informacja od księdza profesora Jerzego Szymika!). Członkowie Grupy „Poco” od czasów jej powstania.

Bliższą znajomość z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem nawiązaliśmy w okresie pomiędzy Pierwszą Komunią Świętą córki a Pierwszą Komunią Świętą syna. Jest to chyba taki czas w życiu

każdego z rodziców, że nie tylko dziecko zbliża się do Jezusa. Spotkanie księdza Jerzego w tym momencie naszego życia nie było na pewno przypadkiem, gdyż w Bożych planach nie ma przypadków. Pamiętamy natomiast, jak zawsze wcześniej (jeszcze przed nawiązaniem bliższej znajomości z Profesorem) oczekiwaliśmy na każde kazanie głoszone przez księdza Jerzego w pszowskiej bazylice i jak one były nam bliskie.

Tymczasem nasze drogi na tyle się zbliżyły, że zaczęliśmy uczestniczyć w spotkaniach z Księdzem Profesorem oraz grupą przyjaciół i znajomych. Poruszaliśmy w rozmowach tematy dotyczące rodziny, wiary, Kościoła. Byliśmy niczym uczniowie z Emaus i śmiało do osoby księdza Jerzego mogliśmy odnieść – aktualne zresztą do dziś – ich słowa: „Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?” (Łk 24,32).

Mija już dziesiąty rok naszych wspólnych spotkań oraz Rekolekcji Pszowskich, a ksiądz Jerzy nieustannie przybliża nam Boga jako Ojca przepełnionego miłością, przybliża Jezusa, który jest drogą do Ojca oraz Maryję, która na Jezusa nam wskazuje. Profesor podkreśla przy tym głęboką radość płynącą z faktu bycia chrześcijaninem. W chwilach, gdy na naszej drodze pojawiają się wyboje, bardzo nam to wszystko pomaga. Pamiętamy wtedy również o powtarzanych często przez księdza Jerzego za Świętym Augustynem słowach: „Jeżeli Bóg jest na pierwszym miejscu, wszystko inne jest na właściwym miejscu”.

W ciągu tych dziesięciu lat przeżywaliśmy też wiele chwil osobistych wzruszeń – gdy na przykład jedną z mszy świętych podczas Rekolekcji Pszowskich ksiądz Jerzy odprawił, modląc się w intencji naszego syna z okazji jego urodzin. Niezwykłym doświadczeniem była dla nas na pewno Eucharystia odprawiona w naszym domu. Za wszystkie te lata i dobro z serca dziękujemy.

Ilona Mamak

Urodziła się 3 września 1969 roku w Częstochowie. Ukończyła Wydział Lekarski Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze. Obecnie jest pracownikiem Oddziału Anestezjologii i Intensywnej Terapii w Jastrzębiu-Zdroju. Żona Jarka Mamaka, matka dwojga dzieci. Od 1992 roku mieszkanka Pszowa. Z pszowską Grupą „PoCo” związana od jej początków.

Pochodzę z Koniecpola, byłam więc obca. Śląsk – trudny dla mnie temat, uświadomione w Pszowie zderzenie dwu światów. Gdy miałam cztery lata, moja ciocia wyszła za mąż za Ślązaka z Rudy Śląskiej. To wesele było dla mnie bajkowym przeżyciem. Przyjechała do nas liczna rodzina wujka, w większości mówiąca po śląsku. Było cudownie. Uwielbiałam później do nich jeździć i może dlatego wybrałam Zabrze na miejsce nauki. Spędziłam tam sześć lat i nigdy nie odczułam, że jestem gorsza. Dopiero w Pszowie spotkałam się z „kultem tubylców”.

Na początku było mi bardzo ciężko. Oddalenie od rodziny i przyjaciół znosiłam bardzo źle, mimo iż Jarek (mój mąż) robił, co mógł, abym poczuła się tutaj u siebie. Pocięgę znajdowałam u stóp Pani Uśmiechniętej, zwłaszcza że od dziecka związana byłam z Jasną Górą. Gdy tylko dowiedziałam się o profesorze Jerzym Szymiku i usłyszałam jego kazanie w kościele, zapragnęłam go poznać. Pojechaliśmy z Jarkiem na spotkanie z nim, które zorganizowano w graniczących z Pszowem Rydułtowach.

Od razu zafascynowała mnie osobowość księdza Jerzego. Chłonełam każde jego słowo. Szczęśliwy los sprawił, że poznaliśmy Ewę i Jasia Kaintochów, dobrych znajomych Księdza Profesora. Zaprośiliśmy ich razem do nas... i tak się zaczęło – spotkania w grupie przyjaciół, wyprawa do Lublina, Grupa „PoCo”. Znajac przywiązanie Księdza Jerzego do ludzi, nie dziwiłam się, że tak trudno mu pożegnać się z Lublinem. Ja z kolei, nieco egoistycznie, cieszyłam się, ponieważ przeczuwałam, że będzie mógł częściej przebywać w naszym gronie, dając nam możliwość czerpania ze swojej głębokiej wiedzy.

Pod jego kierunkiem uczymy się teraz kochać Boga, zawierzyć Mu wszystko i jeszcze więcej. Chociaż darzymy się głęboką sympatią, nasze relacje z Księdzem Jerzym nie zawsze bywają łatwe. Jednym z punktów spornych jest właśnie kwestia „Śląsk versus reszta Polski”. Zastanawiam się, dlaczego – kiedy mówię o pobożności i pracowitości *goroli* – grzecznie milczy? Jednak te drobne różnice zdań nie zmieniają faktu, że bardzo księdza Jerzego cenię i szanuję. Po latach tu spędzonych mogę spokojnie powiedzieć, że chociaż początkowo odbierałam Pszów jako cenę, którą muszę zapłacić za Jarka, Pani Uśmiechniętą, Ksiądz Profesor i Grupa „PoCo” spowodowali, że jest to moje miejsce na ziemi.

Ksiądz Szymik jest dla mnie dużym wsparciem w ciężkich chwilach. Cierpienie – wrażenie, że przebywa się w mrocznej otchłani

bez dna. Jedynym pragnieniem jest w ogóle nie istnieć, nigdy się nie narodzić. Chciałoby się zasnąć i już nigdy się nie obudzić, zapaść w nicość. Ból fizyczny wydaje się być niczym w porównaniu z tym, co się przeżywa. I wtedy potrzebny jest ktoś, kto przynajmniej próbuje zrozumieć, pomóc. Taką osobą był dla mnie Ksiądz Profesor. Tłumaczy, że czasem cierpienia nie trzeba próbować zrozumieć – najlepiej oddać je Bogu, On daje nadzieję. Profesor zawsze stara się nam uświadomić, że Pan do końca nas umiłował i nie mógłby pozostawić nas bez pomocy – wystarczy tylko uznać swą słabość i oddać się z ufnością w ręce Ojca.

Ksiądz Jerzy niestrudzenie pomaga nam rozwijać się duchowo, szukać prawdy, w każdej chwili swego życia odczuwać obecność Boga. Daje nam przykład, że można się Nim zachwycić. Niewątpliwie w osobie Księdza Profesora dał nam Pan możliwość obcowania z wielkim człowiekiem.

Mirela i Kazimierz Pośpiechowie

Małżeństwo z dwudziestodwuletnim stażem i rodzice trojga dzieci. Członkowie Grupy „PoCo” od czasu jej powstania. Mirela (urodzona 9 sierpnia 1965 roku w Wodzisławiu Śląskim) ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Śląskim, aktualnie pełni funkcję zastępcy dyrektora szkoły w Szkole Podstawowej nr 1 w Pszowie. Kazimierz (urodzony 20 lutego 1957 roku w Pszowie) – były pracownik działu szybowego Kopalni Węgla Kamiennego „Anna” w Pszowie, obecnie emeryt.

Kazimierz:

Z Jurkiem po raz pierwszy spotkałem się przed Bożym Narodzeniem, przy przygotowaniu stajenki, na początku lat siedemdziesiątych. Potem były wspólne pielgrzymki organizowane przez księdza Janka Przybyłoka. Niezapomniane chwile! Jurek szedł razem z Bożenką. Fajnie się z nim szło: był wesoły, lubił pożartować, pośpiewać. Wygłupy wygłupami, ale kiedy przyszedł czas na modlitwę – to było wszystko bardzo na poważnie, żarliwie, w skupieniu. Taki Jurek jest do dziś. Wszyscy znają jego zaraźliwy śmiech. Potem zaprosił przyjaciół na prymicje, wcześniej – gdy był jeszcze w Krakowie –

zaprosił kolegów (Lucka, Piotra i mnie) do siebie. Musiało to być ciekawe spotkanie, skoro o nim pamiętam. Jurek, jako przyszły ksiądz, brał udział w spotkaniach grupy przyjaciół i były one niezwykle cenne ze względu na prowadzone tam dyskusje. Głos przyszłego teologa bardzo się liczył i cenię to sobie bardzo, że miał dla nas czas, że dyskutował z nami na nurtujące nas, religijne tematy. Na Dołach (dzielnica Pszowa) organizowałem ogniska dla przyjaciół, a kiedy Jurek przyjechał z Krakowa, to też przychodził i uczył nas nowych, religijnych piosenek młodzieżowych. Po prymicjach widywaliśmy się raczej rzadko. Zaprosił nas na pierwszą placówkę w Bytkowie, by pokazać, jak się zadomowił. Po wielu latach spotkania te odrodziły się wraz z Grupą „PoCo”.

Mirela:

Mój chłop zna Jurka wiele lat, ja – ponad dwadzieścia. Poważny – kiedy tego wymaga sytuacja. Wyrozumiały, ale nie pobłażliwy. Bardzo wesoły – śmiech słysząc zawsze i to jest znak rozpoznawczy Szymika. Jak się umówi – to dotrzyma terminu i godziny (jest bardzo punktualny). Pomimo ogromu wiedzy – docenia zdanie innych, słucha. Nie ma sytuacji, że ktoś o coś prosi, chce porozmawiać, a Jurek odkłada to na później lub ignoruje. Zawsze zatrzyma się, wysłucha, doradzi. Jest przy tym niezwykle taktowny i dyskretny, ale niczego nie owija w bawełnę. Nie słodzi rozmówcy. Pomimo wielkiego zapracowania, na spotkania Pocoków przychodzi zawsze tak przygotowany, że tylko można być mu za to wdzięcznym – i my jesteśmy.

Ewelina Sokół-Galwas

Urodziła się 21 marca 1967 roku w Rybniku. Ukończyła Akademię Rolniczą w Krakowie. Żona Jerzego Galwasa. Matka sześciorga dzieci – urodzonych w latach: 1994, 1996, 1999, 2004, 2006, 2009. Od urodzenia mieszka na Wilchwach (dzielnica Wodzisławia Śląskiego). W roku 2013 zdobyła tytuł Ślązaczki Roku 2013 w Konkursie Radia Katowice „Po naszymu, czyli po ślonsku”.

Ksiondz profesor Jerzy Szymik – z urodzynio pszownik i Ślonzok, z namaszczynio kapłan, kerymu zadano z miłościom kludzić do Bożej prowdy wszystkich, do kerych je ona najważniejszo.

Człowiek, kery zwykłym ludziom objaśnio teologia tak, że jom widzom ni przez hołda chrubych, mondrych ksionżek, yno przełożono na życi Ślonzoka, Gorola i inakszego dziecka Bożego tak, jako tymu je.

Prosto ryczka może być do niego natchniyniym do poważnych teologicznych rozważowań, a szpacyr miyndzy lichymi brzozkami rodzi nowe wiersze, w kerych chodzi sie po śladach Bożego porzondku nasyzych starzikow.

Rozumi ślonsko godka, przaje nij, a w roztozańtych opowieściach młodych i starych Ślonzokow widzi wiynicy, niż oni sami we swoich słowach poradzom pedzieć.

Tłumaczy Ślonzokom, że nie som mało ważni, że z Bożom pomocom duzo poradzom bez rozgłosu i chwołynio sie zrobić, bo żyjom we świecie „po coś”, a nie yno, żeby jeść śliszki, rolady i chalatać, jako sie to inksi dobrze majom.

Dobrze sie znojduje ze sztydyntami na wykładzie, abo na miynkim stołku w mondrej godce miyndzy profesorami i uczonymi tego świata, ale też w laubie, na stołku we ciepły wieczor. Piecze woszt przy fojerze i słocho, co też Pocoki ciekawego przeżyły na swoich placach i w dalekim świecie. A zdrowy śmiych przywraco proporcyrjo miyndzy roztozańtym małym człowieczym przedeptowanym w miejscu, a wielkimi dziełami Bożymi.

Grzegorz Wąsik

Urodzony 1 marca 1963 roku w Oświęcimiu – między uruchomieniem rurociągu „Przyjaźń” a premierą „Noża w wodzie” Romana Polańskiego. Magister inżynier, absolwent Politechniki Wrocławskiej. Największy życiowy kapitał: żona Renata i dzieci – Magdalena i Stanisław. Kapitał to wielki, bo cały czas, jak podkreśla, czerpie z ich mądrości.

Dzięki Bożemu miłosierdziu pojawił się w moim życiu ksiądz Jerzy Szymik i wpłynął na nie poprzez swoje powołanie i talenty,

których mu Bóg nie skąpił. Jako ksiądz wspólnie modlił się ze mną w intencji bliskiej mi osoby w czasie Eucharystii, którą dla mnie odprawił. Dzięki modlitwie uzyskałem spokój i pewność opieki i miłosierdzia Bożego. Skutki modlitwy wkrótce odczułem ja i najbliższa rodzina. Było to największe dobro, które przez niego od Boga otrzymałem.

Jako nauczyciel nieustannie poszerza moje horyzonty. Spotkanie ze słowem, które głosi przy różnych okazjach (rekolekcje, spotkania modlitewne, rozmowa), to analiza tego, co aktualnie najważniejsze w świecie, w Polsce, w rodzinie. To sprawy, które bez przemyślenia, pущzone na żywioł, prowadzą do katastrofy jednostki, ale też społeczeństwa. Wiara, chrześcijaństwo (w tym Kościół), człowieczeństwo – na tych wartościach skupia się uwaga Profesora. Łączy je w całość, pokazując godność dziecka Bożego. Pokazuje też drugą stronę medalu – do czego prowadzi antyteizm i jaki chichot Mefistofelesa (taki był tytuł jednego z profesorskich wykładów) wywołuje. Dla mnie ważne były tegoroczne rekolekcje poświęcone Maryi i Jej roli w Kościele.

Profesor nie potępia ludzi, potrafi spojrzeć z miłosierdziem na każdego grzesznika, ale jednocześnie obnaża prawdę o grzechu w człowieku. W moich oczach ksiądz Szymik jest więc prorokiem Boga. Głosi Jego wolę, obnaża grzech i pokazuje ludziom, w jaki sposób nad sobą pracować, żeby odzyskać godność dziecka Bożego. Szkoda tylko, że świat jest tak mało zainteresowany tym, co najważniejsze.

Gabriela Pardubicka

Urodzona 26 marca 1960 roku w Pszowie, mieszka w Rydułtowach. Żona Józefa Pardubickiego, matka Zuzanny i babcia Hani. Ukończyła filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Dorobkowi księdza Jerzego Szymika poświęciła dysertację *Śląsk oglądany światłością. Idea ziemi rodzinnej w twórczości księdza Jerzego Szymika*, obronioną 17 listopada 2009 roku w Opolu pod kierunkiem prof. dr hab. Krystyny Kossakowskiej-Jarosz. Wraz z mężem członkini Pszowskiego Ogniska Cudownie Ocalonych (Grupy „PoCo”) przy parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pszowie od czasu jego powstania. Pracuje jako nauczyciel języka polskiego w Gimnazjum nr 1 w Rydułtowach.

Izabela Skrobak

Urodziła się 8 października 1980 roku w Rydułtowach, z Pszowa pochodzi i w Pszowie mieszka. Żona Adama Skrobaka, matka Alicji i Anny. Od kilkunastu lat pasjonatka oraz – jako filolog polski i teolog – badaczka całokształtu twórczości księdza Jerzego Szymika, z którą związała tematy prac magisterskich (*Chrystologia „literacka” w twórczości ks. Jerzego Szymika z lat 1976–2003*; *Postulat społecznej realizacji chrystostylowej nadziei w „Programie duszpasterskim na rok 2004/2005” Konferencji Episkopatu Polski*), a także problematykę kilku interdyscyplinarnych artykułów naukowych. Członkini Koła Współpracowników Zespołu Języka Religijnego Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Przygotowuje rozprawę doktorską w zakresie językoznawstwa w oparciu o pisma Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Stała uczestniczka Rekolekcji Pszowskich z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem. Katecheta i nauczyciel wiedzy o kulturze w I Liceum Ogólnokształcącym im. 14 Pułku Powstańców Śląskich w Wodzisławiu Śląskim.

Małgorzata Musińska

Urodziła się 23 sierpnia 1984 roku w Wodzisławiu Śląskim. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Opolskim. Od urodzenia mieszka w Gołkowicach (gmina Godów). Pracowała jako nauczyciel języka polskiego w szkołach podstawowych w Łaziskach i Jastrzębiu-Zdroju. Żona Mariusza Musińskiego. Obecnie wychowuje córki Zosię i Hanię oraz zajmuje się korektą językową miesięcznika gminy Gorzyce „U Nas”.

Małgorzata Tytko

Urodziła się 21 lutego 1985 roku w Wodzisławiu Śląskim. Absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Współpracuje z „Gazetą Rybnicką” i półrocznikiem misjologiczno-religioznawczym „Nurt SVD”. Mieszka w Pstrążnej.

Myśl ścigająca serce

Pokłosie Wielkiego Złotu Seminarzystów

Katowice, 5–6 kwietnia 2013 roku

zebrała i opracowała

Gabriela Seifert-Knopik

(z pomocą Justyny Sprutty i Joli Kubik-Migoń)

Autorzy:

ks. Jerzy Szymik

Danuta Borkowska

ks. Janusz Chyła

Agnieszka Dudek-Kowalska

s. Ksenia Kalemba ZSAPU

ks. Szymon Kiera

Maja Kiermacz

kl. Jacek Kijas

Jola Kubik-Migoń

s. Sara Ewa Łakoma OP

Aleksandra Pethe

Ewa Porada

Tomasz Samulnik OP

Gabriela Seifert-Knopik

Justyna Sprutta

Anna Szoltysek-Grzesikiewicz

„Bo to właśnie
pójdzie rozumu za poruszeniem serca przez Boga nazywamy teologią.
Jest ona głębią myślenia,
które próbuje doścignąć przyzwolenie,
które się dokonało w głębi duszy.
Jest myślą ścigającą serce”

J. Szymik, *Teologia i my* (Wykład wygłoszony w auli
Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego
w Katowicach podczas Wielkiego Zlotu Seminarzystów
z okazji 60. urodzin Profesora)

O wędrówce z teologią

Pomysł napisania zbioru *Myśl ścigająca serce. Pokłosie Wielkiego Zlotu Seminarzystów (Katowice, 5–6 kwietnia 2013 roku)* zrodził się tuż po tytułowym wydarzeniu. Będąc pod wrażeniem naszego Wielkiego Zlotu, zaraz następnego dnia odczułam potrzebę podzielenia się wrażeniami „na gorąco” z Księdzem Profesorem. Nie uczestniczyłam w całym Zlocie. Niemniej cieszyłam się ogromnie, że było mi dane dosłownie „wyrwać się” chociaż na drugą jego (sobotnią) część. Mój przyjazd nie był wcale taki pewny, bo zaistniało wiele przeszkód i musiałam pokonać (razem z mężem) liczne przeciwności. Dotychczasowe doświadczenie jednak mówiło mi, iż zwykle tam, gdzie chodzi o jakąś dobrą sprawę, ktoś chce temu przeszkodzić i mnie zniechęcić, podsuwając różne problemy...

W głównym wykładzie Księdza Profesora Jerzego Szymika (nosił tytuł *Teologia i my*) bardzo ciekawą sprawą wydała mi się propozycja Prelegenta, aby samemu sobie uświadomić osobistą wędrówkę z teologią i „ocalić” ją słowem (na piśmie). Być może wielu innych seminarzystów chciałoby i mogło opisać własną „wędrówkę z teologią” – tak wówczas pomyślałam – i mogłaby powstać jakaś pozycja książkowa: pomnik-pamiętnik tego, co najgłębsze pozostało z naszych spotkań, z inspiracji teologicznych, które zaszczerpił w nas między innymi Promotor. Może chociaż odrobinę przyczyniłoby się to do „przywrócenia teologii swojego miejsca” choćby w naszym śląskim środowisku (ale i w wielu innych miejscach, bo jesteśmy wszak z całej Polski i dalej). A byłaby to teologia „przeżywana”, „bliska życiu”, „wcielana w życie”. We wspomnianej korespondencji przedstawiłam ówczesną „burzę mojego mózgu” z zapytaniem: „Co Ksiądz Profesor na to?”.

W odpowiedzi (jeszcze tego samego dnia) wyczytałam między innymi słowa: „Gabrysiu droga, Twój list przeczytałem z wypiekami na twarzy i sercu... bardzo dziękuję! Wiesz, ten dzień był absolutnie cudowny, dany przez Boga – Który Jest Wielki. Twoje refleksje czytałem ze wzruszeniem i ogromnym zainteresowaniem. Gabrysiu: pomysł z książką uważam za bardzo dobry i możliwy do zrealizowania. Jeśli masz siły i ochotę, posłuchaj...”.

Nie mogłam odmówić, nie „kuć żelaza póki gorące” po otrzymaniu takiego „zielonego światła”. Wówczas jeszcze nie zrodziła się myśl o przygotowaniu jakiejś książki pamiątkowej. Na razie myślałam o „ocaleniu” dla teologii tego, co teolodzy, uczniowie teologów i ich sympatycy (między innymi Księdza Profesora Jerzego Szymika) doświadczyli i jak przekuwają to doświadczenie w życie. W większości udało mi się dotrzeć do potencjalnych autorów dzięki liście adresowej udostępnionej mi przez doktor

Monikę Sztajner. Niektóre dane adresowe znalazłam w Internecie. Na zaproszenie do napisania tekstu odpowiedziało kilkanaście osób. Okazało się, iż zadanie nie było wcale takie łatwe. Oprócz wiedzy trzeba było otworzyć przede wszystkim swoje wnętrze, w jakiś sposób „obnażyć się”, aby odważyć się i dać świadectwo, jak to jest być teologiem albo przynajmniej z teologią sympatyzować – tu przede wszystkim dzięki spotkaniu na swojej drodze jednego z Teologów, którym jest Ksiądz Profesor Jerzy Szymik.

Do tytułu pierwotnego: *Pokłosie Wielkiego Złotu Seminarzystów* dodane zostało hasło: *Mysł ścigająca serce*, pochodzące – jak i całe motto niniejszej części Księgi – z pamiętnego wykładu Profesora. Teologia oraz spotkania z Księdzem Jerzym są bowiem głęboko naznaczone nie tylko wiedzą naukową; przebija z nich również serdeczność, egzystencjalne zaangażowanie, odwaga osobistego przeżywania teologii. Nikt, kto spotkał Księdza Jerzego Szymika, nie pozostał taki sam – to najciekawsze i o tym świadczą teksty naszych Autorów. Pan Bóg w swojej Opatrzności dał nam Księdza Profesora, wielkiego naukowca, ale też i człowieka o wielkim sercu. I to jest w teologii chyba najcenniejsze.

Dziękuję wszystkim Autorom i każdemu z osobna za piękną współpracę, dobre słowa, życzliwość, modlitwę, za otwartość serca i umysłu. Gratuluję nam wszystkim odwagi, bez której nie powstałaby ta książka. Słowa serdecznego podziękowania kieruję w pierwszej kolejności do mojego męża Roberta Knopika za wspieranie mnie, począwszy od wspólnego wyjazdu na Wielki Złot Seminarzystów, za techniczną obróbkę zdjęć oraz za cierpliwe towarzyszenie mi i wyrozumiałość szczególnie w końcowej fazie redagowania tekstu. W szczególny sposób dziękuję Justynce Sprutcie za pomoc w wyborze zdjęć, za mądre podpowiedzi i wszelką pracę przede wszystkim nad ujednoliceniem tekstu. Słowa podziękowania kieruję także do Joli Kubik (od niedawna Kubik-Migoń) za pierwszą korektę polonistyczną. Dziękuję w tym miejscu również Księdzu Profesorowi za obiecanie wsparcie modlitewne podczas całego okresu zbierania nadsyłanych mi artykułów, za zachętę do pracy nad nimi oraz za wszelkie dobre sugestie. Dziękuję za tekst wykładu *Teologia i my*, który jako pierwszy w poniższym zbiorze otwiera nasze wypowiedzi. Wszystkie pozostałe prace zostały zamieszczone alfabetycznie według nazwisk Autorów. Jedna z nich, wzbogacona zdjęciami, zapewne jeszcze bardziej wzmacnia wspomnieniowy wymiar niniejszej Księgi.

Mam nadzieję, że ku radości i pożytkowi nas wszystkich: Autorów i Czytelników.

Gabriela Seifert-Knopik

Opole, 1 stycznia 2015 roku

Ks. Jerzy Szymik

Teologia i my

Teologia zafascynowała mnie prawie pięćdziesiąt lat temu, około dwunastego roku życia, w piątej klasie szkoły podstawowej. Mniej więcej w tym samym czasie zakochałem się w portugalskiej piłce nożnej i cymbergaju. Miłość do literatury i kobiet przyszły później, w nastoletniej licealności. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że nie każda z nich okazała się równie trwała (mam na myśli cymbergaj, rzecz jasna).

Dwanaście lat to czas przełomu w teologicznych sprawach, co wiadomo z życia Pana Jezusa, który, Dwunastoletni, „w świątyni [...] siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania” (Łk 2,46). Podobnie wielu z nas. I ja, na moją skromną skalę i miarę, moją, mojego Pszowa i tamtego czasu, odkryłem wówczas piękno świątyni i religijnych pytań.

Nie wiedziałem wtedy, oczywiście, że moja fascynacja zwie się „teologia” (dopiero dzisiaj próbuję rzecz zrozumieć, dookreślić i nazwać), ale jednak dość wcześnie zdałem sobie sprawę z tego, że chodzi tu – w tym nagłym porywie serca do świątyni i wielkich pytań – o powołanie do kapłaństwa. Że również do roli nauczyciela, któremu „przysłuchiwać się będą” kolejni młodzi, miało okazać się później.

Właśnie trwał i kończył się Sobór Watykański II i nasz wikary wyklejał wszystkie gablotki wokół kościoła i duże plansze ustawione w samym kościele świeżo tłumaczonymi konstytucjami i deklaracjami. Wikary nazywał się Damian Zimoń, z soborowych dokumentów nie rozumiałem prawdopodobnie nic, ale słowa takie jak *Lumen gentium* czy *Gaudium et spes* brzmiały dla mnie niczym śpiew aniołów i zapowiedź niebieskich rozkoszy.

Zapach starych modlitewników i mszałów pamiętam do dziś. Radość po spowiedzi, prawie fizyczna. Nieznany ze szkoły rodzaj piękna słowa, na które zaczynałem być superwrażliwy: odmawianych po komunii modlitw Ignacego Loyoli („Duszo Chrystusowa, uświęć mnie...”) i Tomasza z Akwinu („Oto ja, o dobry i najśłodszy Jezu...”). Zagłębienie do pierwszych poważnych teologicznych książek (*Modlitwa i kontemplacja* von Balthasara, *Listy do przyjaciela*

Gołubiewa, *Paweł z Tarsu* Steinmanna). To wszystko przemieszane z przygodami ministranta, zdartą do krwi skórą na kolanach i łokciach po zażartych meczach, nieokreśloną bliżej tęsknotą ostatnich lat dzieciństwa.

Ale chodziło – jak dziś rozumiem – o teologię. Intuicyjnie to czułem, choć nie umiałem zapewne tego nazwać. Chodziło o niezwykle odkrycie: że o wierze można myśleć i marzyć jak o meczu Benfiki Lizbona. Że to, co najbardziej wewnętrzne, tajemnicze – jest zarazem rozumne, mądre, poddane logice. Że da się o tym czytać, myśleć, mówić.

To dar niezasłużony, Łaska. Wiem i jestem wdzięczny.

A sięgam tak daleko, tak prywatnie i tak intymnie tylko w jednym celu. Żeby tą opowieścią sprowokować waszą, moich Uczniów i Przyjaciół, wędrówkę ku korzeniom waszej osobistej przygody z teologią.

★ ★ ★

Trzydzieści lat później.

Jest połowa lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Przekroczyłem płynnie czterdziestkę, wykładam na KUL-u i w katowickim seminarium duchownym, spotykam wielu z tu obecnych. Wykładam różne teologiczne subdyscypliny szczegółowe – trynitologię i eklezjologię, traktat o Bogu Jedynym i filozofię Boga, eschatologię i chrystologię. Interesuję się Wcieleniem i topiką, literaturą i kulturą. Ale pod spodem tego wszystkiego, cały czas żarzy się fascynacja metateologią dwunastoletniego ministranta, zachwyt samą istotą teologii i jej związku z moim losem: czym ona właściwie jest? Po co jest? Dla czego i dla kogo jest? Jaka ma być? Co znaczy dobra teologia? Kim jest teolog? W imię czego mam się nią zajmować i uczyć jej innych? Bo przecież twarzą w twarz i na kartach ksiąg spotykam Nossola i Bartnika, Hryniewicza i Lefebre'a, Węclawskiego i Guardiniego, Hansa Kuenga i Josepha Ratzingera. Jakież ogromne rozwarcie nożyc... I myślę o swojej wierze, czuję ogromny ciężar odpowiedzialności za bezbronnych dwudziestolatków, których ucze o Bogu. Czy również Boga?

Dlatego piszę *Kocham teologię! Dlaczego?*, potem *Teologię w krainie pepsy-coli*, potem *Teologię na początek wieku*, *O teologii dzisiaj*, *Teologia. Rozmowa o Bogu i człowieku* (już w Katowicach) aż do współautorstwa

dokumentu Międzynarodowej Komisji Teologicznej, nad którym pracujemy osiem lat, a który nosi tytuł *Teologia dzisiaj. Perspektywy, zasady i kryteria*. To jest ta właśnie zasadnicza linia mojego życia/twórczości: metateologicznego namysłu z egzystencjalnym punktem ciężkości.

Przywiązuję się po drodze do różnych określeń i definicji teologii: słowo i nauka o Bogu zrodzone ze Słowa samego Boga; rozum, który pozostaje na obszarze wiary i wyjaśnia jej strukturę; „mowa o Bogu” prawdziwym i dlatego też „roz-mowa o Bogu i człowieku”; nauka i sztuka; doksologia i terapia; mądrość i szukanie Mistrza.

Ale o najważniejszym dla mnie jej rozumieniu, powiem teraz. Jest to synteza moich dotychczasowych poszukiwań, inspirowana wpływami Augustyna, Tomasza z Akwinu i Benedykta XVI.

★ ★ ★

Otóż początkiem teologii jest filozofia. Człowiek, zanurzony całkowicie, „bez reszty”, w swoim życiu z tego właśnie wnętrza swojej egzystencji pyta rozum o sens życia i w ten sposób kładzie filozoficzny fundament pod teologię. A pytać o życie „z wnętrza swojej egzystencji”, to pytać o śmierć – pytanie o śmierć jest „właściwym” i najważniejszym pytaniem życiowym człowieka¹. Bo też teolog, kimkolwiek jest – jest człowiekiem. Więc teologowi pierwszorzędnie nie chodzi o „uczone teorie”. Pyta, myśli, wierzy, „«bo śmierć siedzi mu na karku». Nie szuka hipotez, ale sposobu sprostania życiu poprzez przezwyciężenie umierania”².

To właśnie wspólne dla filozofii i teologii pole widzenia, w którym życie spotyka śmierć, pomaga zobaczyć i pojąć, że egzystencjalnie zakorzenione pytania filozoficzne (nie istnieją zresztą w dobrej filozofii pytania niezakorzenione egzystencjalnie) są początkiem teologicznego aktu poznania. Tego zawsze spodziewano się po filozofie/teologu – „odpowiedzi na pytanie: na czym właściwie polega bycie człowiekiem? Jak je przeżywać, by się powiodło?”³. Pytanie to nabiera jedynej w swoim rodzaju ostrości w kontekście pytania

¹ J. Ratzinger, *Prawda w teologii*, tłum. M. Mijalska, Kraków 2001, s. 23.

² Tamże, s. 12. J. Ratzinger cytuje tu zdanie z książki F. Gerke, *Christus in der spätantiken Plastik*, Mainz 1948, s. 6.

³ J. Ratzinger, *Prawda...*, s. 14. Por. tenże, *Kościół. Pielgrzymująca wspólnota wiary*, tłum. W. Szymona, Kraków 2005, s. 26.

o śmierć (na własnym karku...), pytania najbardziej pierwotnego, najradzykalniejszej postaci pytania „o to, skąd pochodzi i dokąd zdąża człowiek? [...] o początek i cel. Śmierć jest pytaniem, którego ostatecznie nie sposób zagłuszyć, tkwiącym w człowieku jak metafizyczna zadra”⁴. Pytanie o śmierć jest w gruncie rzeczy pytaniem o trwałość szczęścia: jak żyć, by być szczęśliwym i jak to (z)robić, by śmierć temu nie przeszkodziła? Oto fundator wszelkiej teologii, samo jej egzystencjalne źródło.

Wielkie egzystencjalne pytania są konieczne dla aktu/procesu autentycznej teologii, dla jej tożsamości. Ani rzemiosło egzegetyczno-historyczne, ani erudycja nie wystarczają, by zaistniała prawdziwa teologia. A pytania, które ją fundują, umieszczają ją w sferze nauki i zarazem poza jej (nauki) ścisłą przestrzenią. I pytania te – o śmierć, miłość i szczęście – prowadzą nieuchronnie do zasadniczego pytania: o Boga⁵. Od tego, czy Bóg jest i jaki jest, zależy wartość *ratio spei* obecna w odpowiedziach na największe pytania ludzkiego życia.

★ ★ ★

W tym „miejsu” kończy się filozofia, a zaczyna nadprzyrodzona droga teologicznej przygody; przekraczamy próg Łaski. Bóg misteryjnie (Łaska działa jako Łaska, nigdy inaczej) „porusza serce”, „dotyka” najgłębszego punktu człowieczeństwa, odpowiadając na pytania o śmierć, o miłość, o szczęście – czyli ostatecznie o siebie Samego (bo są to pytania o Boga):

„Kiedy Boski Logos, wcielone Słowo porusza serce, dotyka wtedy tego najgłębszego punktu egzystencji człowieka [pragnienia nieutralnego szczęścia, nieśmiertelnej miłości – *przyp. J. Sz.*]. Wtedy człowiek nie tylko odczuwa, wtedy w swym wnętrzu widzi: To jest właśnie to; to ON, na to czekałem. Jest to pewnego rodzaju rozpoznanie. Bo ku Bogu, ku Logosowi, zostaliśmy stworzeni i nasze serce jest niespokojne, jak długo nie znajdzie [Boga – *J. Sz.*]”⁶.

Wiara jest ludzką odpowiedzią na to Boskie poruszenie człowieczego serca. Wiara jest decyzją, pewnością, przekonaniem, że „tak jest, tak się rzeczy mają”, jest ona *hypostasis* – „poręką (mocnym

⁴ Tenże, *Prawda...*, s. 23-24.

⁵ Por. tamże, s. 13, 29-30.

⁶ Tenże, *Kościół. Pielgrzymująca...*, s. 20.

trzymaniem się, pewną ufnością) tych dóbr, których się spodziewamy” (Hbr 11,1).

Wiara jest *przy-zwoleniem*, czyli aktem woli – w języku biblijnym synonimem „woli” byłoby „serce”, w duchowości – „głębia duszy”. Dokonuje się ono w akcie wiary nie tak, jak w akcie i porządku „czystej wiedzy” (tu decydująca jest oczywistość rzeczy, argumentatywność postrzegana jako bezwarunkowo słuszna etc.), ale dlatego, że wola-serce-dusza zostały „poruszone” przez Boga (Słowo Boże). Dzięki temu poruszeniu serce (wola, głębia duszy) wie, że prawdziwe jest także to, czego rozum nie widzi i nie wie (jeszcze – jak pokaże następny krok naszej refleksji i co będzie właśnie zadaniem teologii). *Le coeur a ses raisons, que la raison ne connaît point* (serce ma swoje racje, których rozum nie zna), słynne zdanie z *Myśli* Pascala, jest trafnym komentarzem do tej kwestii⁷. Serce ma swój „własny rozum”, który się wznosi ponad „zwykły rozum” (*ses raisons* = we franc. i „racje”, i l.mn. od „rozum”). Ratzinger: „w tym sensie «wola» wyprzedza poznanie, jest jego warunkiem i to tym bardziej, im wznioślejsza i powszechniejsza jest poznawana rzeczywistość”⁸. Bóg, którego „poznaje” wiara (a na jej kanwie teologia), jest „poznawaną rzeczywistością” poza zwykłą skalą „wzniosłości i powszechności”. Poznanie, miłość, poruszenie serca służą poznaniu Boga w przestrzeni (środowisku życiowym) wiary nierozdzielnie. Raz jeszcze z pomocą przychodzi tu głęboka intuicja Pascala, mistrzowsko wyrażona: „Bóg nakłania (zapisane po łacinie *Deus inclinat*) serce tych, których kocha” i „tych, którzy go kochają”⁹.

Zatem poruszone przez Boga serce (wola) oświeca rozum i skłania go do wyrażenia zgody (akceptacji) na „zobaczone sercem”¹⁰. Ale proces myślenia bynajmniej się nie zakończył, wręcz przeciwnie: jego największa intensywność dopiero się rozpoczęła. A to z tej przyczyny, że „myślenie wyraziło przyzwolenie nie na właściwy sobie sposób, lecz przez poruszenie woli, dlatego nie znalazło spokoju”¹¹.

⁷ B. Pascal, *Myśli*, tłum. T. Żeleński (Boy), red. J. Chevalier, Warszawa 1977, s. 196. Por. J. Ratzinger, *Kościół. Pielgrzymująca...*, s. 18.

⁸ Tamże, s. 19.

⁹ B. Pascal, *Myśli*, s. 349, 397.

¹⁰ J. Ratzinger, *Kościół. Pielgrzymująca...*, s. 20. Św. Bonawentura twierdzi, że światło Boga może nie tylko oświecać umysł (*intellectum illuminare*), ale i stabilizować uczucia (*affectum stabilire*). S. Bonaventurae, *Opera omnia*, t. 3, Quaracchi 1887, s. 484 (cyt. za: J. Ratzinger, *Prawda, wartości, władza. Kiedy społeczeństwo można uznać za pluralistyczne*, tłum. G. Sowiński, Kraków 1999, s. 16).

¹¹ J. Ratzinger, *Kościół. Pielgrzymująca...*, s. 20.

Tomasz wyraża owo napięcie między zgodą a szukaniem formułą: *in fide est assensus et cogitatio ex aequo* – w wierze przyzwolenie i proces myślenia są w stanie równowagi¹². To „zbalansowanie” jest, by tak rzec, „chwilowe”, czeka ono na rozstrzygnięcie. „Teologicznie” jest to moment kluczowy dla opisywanego procesu.

Bo to właśnie pójście rozumu za poruszeniem serca przez Boga nazywamy teologią. Jest ona głębią myślenia, które próbuje doścignąć przyzwolenie, które się dokonało w głębi duszy. Jest myślą ściągającą serce.

W taki właśnie sposób wiara chrześcijańska rodzi teologię i – więcej – z tego samego powodu ciągle ją rodzić musi¹³. Akt wiary rodzi akt poznania teologicznego, który wiarę umacnia w sposób rozumny, czyli właściwy (przyrodzony) człowiekowi. Prawdziwie ludzkie poznanie to poznanie przez zrozumienie. Na skrzydłach „tak” wiary (przyzwolenia serca) jest więc niesione myślenie teologiczne – w ten sposób się rodzi, rozwija, doskonali. Myśl szukająca Boga ściga serce już wcześniej dotknięte przez Niego. Teologia powstaje w ten właśnie sposób: jest intelektualnym projektem, który próbuje sprostać wyzwaniom wiary. Myśl ściga serce – po śladach obecności Poruszydela.

Cóż to za łaska: mieć pracę, która jest współpracą z Łaską, móc przyłapywać Boga na gorącym uczynku...

★ ★ ★

Qui m'y a mis? To jeszcze raz Pascal: Kto mnie tu postawił? W tym a nie innym miejscu życia? Jak to się stało, że wylądowaliśmy na tym tak egzotycznym kierunku studiów, na którym rozum ściga serce? Kto nam to życie tak ustawił?

W starym rycie święceń kapłańskich biskup mówił do neoprezbitera: *sat periculosum est hoc* – to, co teraz zaczynasz jest rzeczą wielce niebezpieczną. Z zachowaniem proporcji można to zapewne powiedzieć o studiowaniu teologii. Jest w niej bowiem ogień, który może spalić wiarę. I wiemy, że tak bywało, bywa. Ale wiemy też, że choć „płomień ognia zabił tych mężów, którzy wrzucili Szadraka, Mészaka i Abed-Nega” do rozpalonego pieca, to jednak nie ich samych. Oni bowiem służyli nie bożkom, ale z całą pokorą prawdzie

¹² Tamże, s. 18-21.

¹³ Por. tamże, s. 17.

o Bogu, Wybawicielu (Dn 3,8-24). Gorejący krzak obecności Boga prawdziwego nie ulega spaleniu (Wj 3,1-6). Parzy i niszczy człowieka jedynie ogień prometejski, „wydarty” Bogu. Natomiast ogień Ducha (Dz 2,3), prawdziwie Chrystusowy, ten przez Niego rzucony na ziemię (por. Łk 12,49) – nie spala, ale ocala. Człowieka i jego teologię.

Która nie może się kończyć na akademickiej dyskusji¹⁴, dyscyplinowaniu dzieci czy rejestracji dobrych wspomnień. Tak jak pływania nie da się uczyć bez wody, na sucho, „na symulatorach”, tak teologia nie jest możliwa bez duchowego doświadczenia, z którego się poczęła i żyje.

Nie można mieć stale 12 lub 19 lat. Ani 24, to jasne. Ale „miłości można się nauczyć” – taki jest tytuł najnowszej książki Benedykta XVI, książki, która ukazała się równolegle z Jego abdykacją¹⁵. „Miłość nigdy nie jest «skończona» i spełniona; miłość zmienia się wraz z biegiem życia, dojrzewa i właśnie dlatego pozostaje wierna samej sobie”, czytamy w encyklice *Deus caritas est* (nr 17). I nie ma to nic wspólnego z rutyną czy wyrachowaniem.

I być może po to, żeby nam to właśnie powiedzieć, wezwał nas tu dzisiaj Bóg. Być może to jest istotą naszego spotkania, a zarazem elementem niekończącej się nigdy pracy Łaski w naszym życiu: wyostrzyć na nowo nasz duchowy smak, wstrząsnąć naszą duszą i tym samym ją oczyścić (*katharsis, metanoia*). Oto jestem, mój Teologu, mówi do każdej i każdego nasz Bóg: mam dla ciebie to, co zawsze i jak zawsze nowe – teologię, słowo o Mnie na tu i teraz, dla ciebie, dla twojego serca i dla twojego rozumu, na tę fazę twojego życia.

Pszów – Katowice, 27 marca – 6 kwietnia 2013 roku

Jerzy Szymik, ur. w 1953 roku w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan Archidiecezji Katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną.

W latach 1986–2008 związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie był m.in. kierownikiem Katedry Chrystologii (1997–

¹⁴ J. Ratzinger, *Głosiciele Słowa i słudzy waszej radości. Teologia i duchowość sakramentu święceń*, red. G. L. Mueller, tłum. M. Górecka, M. Rodkiewicz, Lublin 2012 (Opera Omnia, t. XII, red. K. Gózdź, M. Górecka), s. 320.

¹⁵ J. Ratzinger/Benedykt XVI, *Miłości można się nauczyć. Małżeństwo i rodzina na drodze życia*, oprac. E. Guerriero, tłum. P. Borkowski, Warszawa 2013.

2005). Od 2005 roku pracownik Zakładu Teologii Dogmatycznej WTL Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, od 2014 roku Katedry Teologii Dogmatycznej i Duchowości WTL UŚ; od 2007 roku jako profesor zwyczajny. W latach 2004–2014 członek watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej. Od 1991 roku stały współpracownik „Gościa Niedzielnego”.

Autor przeszło 50 książek naukowych, poetyckich, eseistycznych (ostatnio m.in.: *Teologia na usługach wiary, bliższa życiu... w 30 lat później*, Lublin 2011; *Chodzi o Boga*, Katowice 2011; *Theologia benedicta*, t. I–III, Katowice 2010–2015; *Poezja i teologia*, t. I–II, Katowice 2009–2013; *Hilasterion*, Katowice 2014; *Teologia i my*, Katowice 2014). Promotor 20 doktoratów, 181 magisteriów. Specjalizuje się w chrystologii, metodologii teologii, teologii kultury, teologii J. Ratzingera/Benedykta XVI. Mieszka w Katowicach i Pszowie.



Zdjęcie zrobione przez uczestników seminarium u Księdza Profesora
(wiosna 1998 roku, ewentualnie jesień 1997 roku):

Najniżej, przykucnięta: Ewa Pędolska-Szeliga

Rząd przedni, od lewej: Dorota Kunciewicz, Joanna Czerwińska, Katarzyna Najman,
Gabriela Seifert-Knopik, Marzena Kaczyńska, s. Anna Chruścielska, Maja Kiermacz,
Monika Dążyk, ks. Marcin Hołuj

Rząd tylny, od lewej: Paulina Badowska, Justyna Sprutta, Ryszard Obarski, Elżbieta
Zakrzewska, ks. Jerzy Szymik, s. Monika Goliszewska, Katarzyna Papiernik,
Aleksandra Balewska, s. Romualda Walewacz, Ewa Porada, ks. Jacek Szewczyk

Danuta Borkowska

Moje spotkania z teologią i osobą Księdza Profesora Jerzego Szymika

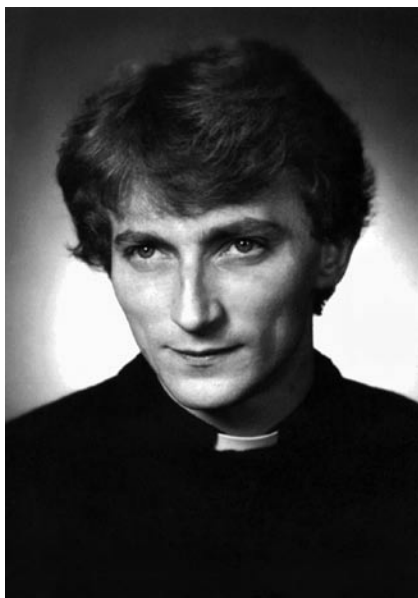


Najpiękniejsze jeszcze przed nami [ks. prof. Jerzy Szymik]

„Kochać w życiu wystarczy, by życie
było nasycone.
Nie trzeba robić niczego więcej w życiu,
jak tylko
pozwolić się Bogu ukochać
i podawać tę miłość dalej”

Bardzo trudno jest zacząć, w ogóle opisać wszystko, ująć w słowa to, co się wydarzyło wiele lat temu, co się wtedy czuło i jaki to miało wpływ na moje wybory i życiowe decyzje. Jednak mimo wszystko spróbuję.

Znam Księdza Profesora przez większą część mojego życia. Poznałam go, gdy był wikarym w swojej pierwszej parafii Świętego Ducha w Bytkowie.



...dobrze zapowiadający się, szczupły i uśmiechnięty neoprezbiter ks. Jerzy Szymik, skierowany do tworzącej się wówczas parafii Świętego Ducha w Bytkowie, nazywany przez naszą grupę ŚRODO-WISKO Ojcem Założycielem...



...zwany również Bazylem (ze względu na swój przenikliwy wzrok)

Ja byłam wtedy licealistką. Ksiądz Jurek był już rok w naszej parafii. To on tworzył młodzieżową grupę oazową, która spotykała się w piątek na wspólnych spotkaniach, a potem na spotkaniach w grupach. A w sobotę wieczorem zainicjował po wieczornej mszy świętej modlitewne spotkania, które odbywały się w nieistniejącej już kaplicy. No i właśnie na takie modlitewne spotkanie namówiła

mnie koleżanka mieszkająca w sąsiedniej klatce. To od tamtego czasu modlitwa nabrała w moim życiu zupełnie innych barw, zaczęła mieć znaczenie w życiu, zaczęłam odczuwać jej potrzebę. Zaczęłam w niej widzieć radość obcowania z Bogiem. Myślę, że nadal uczę się jej sensu. I to ona sprawia, że modląc się, łączę się z niewyczerpaną Miłością sprawczą, która porusza mnie, to ona uzupełnia moje niedomaganie, wzmacnia mnie i dzięki niej się odradzam, zmieniam, nieustannie nawracam.

W czasie modlitewnego czuwania śpiewaliśmy znane, oazowe piosenki. A niektóre utwory wtedy właśnie powstawały, a ich twórcami byli oazowicze wraz z Księdzem Jurkiem.

„Tam się z nadziei urodzi w nas
modlitw podniebnych spełniony czas.
I zachwyceniem otula Bóg
ślady skrwawione człowieczych stóp.
Tam, gdzie rozpaczy stłumiony jęk
przed światłem, słońcem, olśniony dźwięk.
I błękit życiem skoszonych łąk
włożysz mi, Panie, w uśmiech mych rąk.
Tam, gdzie wielkie jest proste,
a prawdziwe – najdroższe,
gdzie dotykalne jest szczęście,
gdzie Ważne jest najważniejsze”

Ksiądz pokazywał nam swoim życiem, co to znaczy żyć blisko Pana Boga, co to znaczy, że Bóg jest dla człowieka ważny i co to znaczy, że Bóg ma być w naszym życiu zawsze na pierwszym miejscu. Dla wielu z nas właśnie wtedy Bóg zaczynał być Kimś bliskim, zaczęliśmy zanurzać się w Jego Miłości, uczyć żyć inaczej. Niektórzy zaczęli przewartościowywać swoje życie.

„Boże, rozterko serca mojego
w takiej prawdzie
się modłę
o rozjaśnienie kroków
o *prześwietlenie lotu*
o czystość pragnień
wyższą niż obłoków”

A Ksiądz Jurek? Miał (i ma) w sobie niesamowity dar komunikacji z każdym, z całej jego osoby przebijała (przebija) radość. No i tym oczywiście mnie zachwycił. A jego uśmiech był (i jest) tak zaraźliwy, że człowiek na ten uśmiech nie może pozostać obojętny. Ma w sobie tyle ciepła, że po prostu chciało się przebywać w jego

towarzystwie, bo czuło się, że każdy z nas jest dla Księdza ważny, każdy jest wyjątkowy i każdy jest potrzebny dla grupy, która się wtedy wokół niego tworzyła i była coraz większa.

Poza tym mówił o Bogu zupełnie w inny sposób. To wtedy poznałam ludzi, z którymi przyjaźnię się do tej pory, to tak zwane Środowisko. Trwamy w tej grupie już tyle lat... Ale też wiele osób spoza Środowiska jest mi bliskich, a którzy to też tworzyli, nazwijmy to krąg bytkowski, nie wszyscy należeli do oazy, niektórzy po prostu z racji wieku nie, ale byli z nami i wśród nas.

„Pokora sprawia, że kapłan
jest przezroczysty na Boga.
O nic innego przecież nie chodzi”

Potem wyjazdy na oazy, różnego rodzaju rekolekcje. A nade wszystko zachwywanie się Panem Bogiem, przybliżanie się do Niego, zresztą tak jest do tej pory, zachwycam się Nim i staram się być blisko Niego i nie wyobrażam sobie życie bez Niego, bez tej świadomości, że to On jest najważniejszy dla mnie, choć czasem tak od Niego uciekam w jakiś grzech.

Muszę tu też wspomnieć o słynnych bytkowskich pielgrzymkach do Częstochowy. W tym roku odbyła się XXXIV, a mnie od czterech lat udaje się znów w nich uczestniczyć, poznawać ludzi, zachwycać się ich dobrem, podziwiać mijane, znane, a tak piękne krajobrazy, odkrywać Boga tu i teraz, niezależnie gdzie i z kim się jest. Szukam Go w małych promykach chwil, w prostych ludzkich gestach, w trudach i radościach wędrowki. Każda pielgrzymka, te sprzed wielu, wielu lat, jak i te z ostatnich, napełniają mnie dobrem, które otrzymuję od innych, napełniają mnie wiarą, nadzieją i mocą, by starać się codziennie wszystko zmieniać na lepsze. Uczą mnie nieustannie na nowo poznawać prawdę, że życie jest wędrowką, że cały czas jesteśmy w drodze.

Z Księdzem Jurkiem chodziliśmy szlakiem Orlich Gniazd i przeżywaliśmy wspólnie niezwykle chwile, takie, które zostają w sercu na zawsze. To do nich się wraca z uśmiechem, ba, z radością, gdy po intensywnym marszu docieraliśmy przed oblicze Matki Boskiej Częstochowskiej. Nocne czuwania, bliskość Obrazu, czułe spojrzenie Maryi, Tej, która wszystko rozumie, która zawsze wysłucha. Pamiętam też doskonale rozgrywki w skoku w dal z miejsca. Nie do pokonania był Ksiądz Jurek. Jak sam kiedyś powiedział, pokonał go po wielu latach jeden z jego studentów.



Nowa konkurencja sportowa: skok w dal z miejsca obunóż, której pomysłodawcą był oczywiście ks. Jurek, gdyż czuł się w niej niezagrożony...
Jak się okazało, do czasu...



A tu mały trening przed zwycięskim skokiem...

„A kiedy Jasną Górę oblegają
Jak Szwedzi ludzkie mrówki zagubione.
Profesor, babuleńka, punk i ja, śpiewamy, śpiewamy.
Maryjo, Tyś jest naszym majem,
Końcem rozpacz i zaufaniem”



Pielgrzymkowe śpiewanie w grupach większych i mniejszych.
Jest tu Ilona, której nie ma już wśród nas...



Myśli ks. Jurka już wtedy były tak odkrywcze, że już je zapisywano



Ks. Jurek w pielgrzymkowej koszuli flanelowej, wtedy była bardzo na topie

Po posiłku zbieramy się, by ruszyć dalej. Jak się okazało, ktoś nie wziął chleba (wtedy wszystko nosiliśmy ze sobą, stąd duże plecaki). Nikt się nie zgłosił, by go spakować jako kolejną rzecz do plecaka. Wziął go więc ks. Jurek, by potem go dać innym na posiłek...



Wróćę jeszcze do sobotnich modlitw wieczornych. Spotykaliśmy się wszyscy na wspólnej adoracji w kaplicy. Ile to tamtejszych modlitw zostało wysłuchanych, to tylko sam Pan Bóg wie. Ja wiem o niektórych. A po modlitwach, po posprzątaniu kaplicy (były dyżury), mieliśmy tak zwane religie. Najpierw opierały się one na książce F. Krenzera *Taka jest nasza wiara*. Według Darka były one odpowiedzią na potrzebę „rozmowy o czymś mądrzejszym i posłuchania czegoś, co mają inni do powiedzenia na nurtujące nas tematy” i stanowiły szansę formacji dla młodych ludzi niezwiązanych z oazą. I tak oto sobotnie wieczory z modlitewną ciszą, mądrym nauczaniem i radością zwykłych ludzkich spotkań stały się gruntem dla naszego Środo-wiska.

Te religie kończyły się wspólną herbatą, niekończącymi się rozmowami. Czasami ktoś coś do herbaty przyniósł słodkiego. W tamtych, osiemdziesiątych latach niestety w sklepach nie było półek zasypanych przeróżnymi słodkościami. Często były to wystane w kolejce, zdobywcze ciastka lub inne łakocie, wszak czekolada była na kartki, a w sklepach, by można było powiedzieć: „jest czekolada”, pojawił się produkt czekoladopodobny, który wtedy czasami smakował jak prawdziwa czekolada, choć naprawdę czekolady nie przypominał. Woda gotowana była w słynnym samowarze. A rozmowy odbywały się w tak zwanym archiwum, które też już niestety nie istnieje. Te rozmowy się czasem przeciągały do późnych godzin wieczornych, potem były wspólne powroty do domu, odprowadzanie się. No i w domu były różne „kazania” na temat tych powrotów. Rodzice czasem mieli wątpliwości do tego, czy rzeczywiście nasze rozmowy z Księdzem trwały aż tak długo.

„W świętości życia
zawsze chodzi o to samo:
by akceptować swój czas i miejsce,
kochając”

Spotkania sobotnie zaowocowały wystawieniem w kaplicy misterium bożonarodzeniowego *Mizerna cicha*, którego autorami byli (i są nadal) ksiądz Jerzy Szymik – słowa i ksiądz Antoni Klemens – muzyka.

Kolejnym misterium było misterium wielkanocne – *Pasja według św. Łukasza*, na dodatek tych samych autorów.

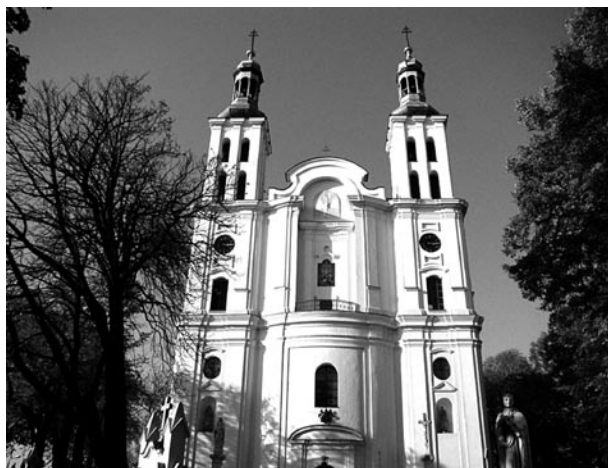
„O, Chrystusowa męko
kluczu mego życia
ile się w Tobie uczyć
ile kochać..
O, Chrystusowa męko
Tyś jest błyskawica
co czarnego nieba
odślaniasz sens, przestrzeń...
Zachwyć mnie Tobą
krwią broczący Boże”.

I bywaliśmy z Księdzem w jego ukochanym Pszowie.

Zobaczyliśmy to miejsce cudowne samą mocą piękna Maryi. To w Pszowie jest wizerunek Maryi słynący łaskami. Maryja uśmiecha się na nim, ale jest to bardzo tajemniczy uśmiech, a właściwie pół-uśmiech. Artysta lekko i po mistrzowsku wkomponował go w rysy

twarzy. I ten uśmiech dostrzega się lub nie, w zależności od stanu ducha – jak mawiają mieszkańcy Pszowa. Czasem jest wyraźny, radosny, promieniujący, czasem melancholijny, delikatny, mało widoczny, a bywa, że jest sceptyczny, nieufny, mający wątpliwości...

Pszowska bazylika piękna
w październikowym słońcu



„Matko Boska
Matko Boska
czym płacisz za ten
mądry uśmiech?
co Ci kaleczy serce
pod starym płótnem?
widziałas już tyle
z pokornej niskości obrazu
włamywaczy i biskupów
generałów obłąkanych
babcię moją
i mnie
Matko Boska
Matko Boska”

Maryja z tajemniczym uśmiechem

Po niespełna trzech latach nastąpiła zmiana parafii. Wiosną 1982 roku Ksiądz Jurek dostał dekret i okazało się, że jego następna parafia to parafia NMP Wspomożenia Wiernych w Chorzowie Batorym, więc niedaleko.

Ks. Jurek z pożegnalnym
bukietem kwiatów, no i ze
smutkiem w oczach (przygryza
wargi, by nie było tego widać),
13.05.1982 r.



Odwiedzaliśmy w Chorzowie naszego już byłego wtedy wikarego. Teraz z perspektywy czasu widzę, że prawie cały czas ktoś go odwiedzał. A on? On zawsze miał dla nas czas, choć często tak naprawdę go nie miał, bo przecież musiał też spać, ale wtedy minimalizował swoje potrzeby do minimum. Niestety, my to wykorzystywaliśmy do maksimum.

W chorzowskiej parafii miały miejsce niezwykle wydarzenia. Odbywają się niezwykle koncerty: *Kolędy w stylu blues*; *Msza rockowa*; *Historia wiary Abrahama i naszej w stylu reggae*; *O Małym Księciu, róży i miłości w stylu flamenco*; *Święty Paweł, nadzieja i samba*; *Rok 1985. Być uczniem. Pieśń jedności*; *Koncert na wschód słońca*; *Ballady o tęsknocie*. Te koncerty były owocem przyjaźni księdza Jurka z Witkiem Wolnym.

Należy pamiętać, że to były lata osiemdziesiąte XX wieku, panował wtedy ponury, zniewalający człowieka stan wojenny. A wokół nas działy się niepowtarzalne, wprost cudowne rzeczy.

„Wyruszył kiedyś tam
Abram ze swego Ur Chaldejskiego,
Bo wierzył, że
Będzie taki czas i usłyszysz, że:
Ruszaj, ruszaj, ruszaj tam,
Gdzie Ziemię Obiecaną daje ci Pan!
Ruszaj, ruszaj, ruszaj tam,
Gdzie Ziemia Obiecana jest!”

Myślę, że nie jestem odosobniona, pamiętając te niezwykle koncerty. Smak modlitwy, nawrócenia, zawierzenia, pogłębiania wiary, próba odpowiedzenia na najważniejsze dla nas wtedy pytania odnośnie sensu życia. Tam Chrystus docierał do nas w sposób niepowtarzalny. Na jednym z koncertów (*O Małym Księciu, róży i miłości w stylu flamenco*) w kościele zostaje rozdanych osiemset róż pomiędzy prawie trzytysięczną publiczność. Róże były darem sparaliżowanej, nieżyjącej już dziś Dziewczyny, która w tym celu sprzedała swoją wieżę foniczną.

[illegible]

„Ty na pewno wierzysz w małeńki świat,
w ciepło płatków róży, bez kolców krzak.
Ty na, na pewno wierzysz w bezkresną dal,
wielką ciszę wiatru i Boży żar.
Ty, musiałeś kiedyś marzyć jak on,
Że będzie inny dzień,
Że będzie nowy ktoś.
Ty, jak Mały Książę różę swą masz
I bardzo kochasz ją, więc czemu kryjesz
twarz”

Nikt chyba nie przypuszczał, że te poetyckie teksty zdobędą sobie tak ogromną popularność. Piosenki takie jak: *Ruszaj, ruszaj...*; *Samba pocztowo-dżdżysta*; *Joan*; *Ojcie, Abrahamie* śpiewają również dzisiaj grupy pielgrzymkowe, oazowe, zespoły wokalo-muzyczne.

Po czterech latach ksiądz Jurek został wysłany do Lublina na studia doktoranckie na KUL. No i tam zatrzymał się na dłużej, bo po studiach doktoranckich został wykładowcą teologii dogmatycznej w Lublinie.

„pracowicie
notują

zawieszam głos.
Udaję
że się zamyśliłem
nad tym
co
tak święte a
takie zawiłe

ale ja tylko patrzę
raduję się chwilą
i
uczę się kochać

potem mówię
to i owo
czyli wygłaszam
kwestie nader dialektyczne
znów
zawieszam głos
by smakować pokorę
cierpliwych słuchaczy”

W tym też czasie zaczęły się spotkania naszej grupy, którą nazwano Środo-wisko, od dnia, w którym się spotykaliśmy. Rozpoczęły się we wrześniu 1984 roku. Były to i są systematyczne, cotygodniowe spotkania. Pierwsze sezony spotkań odbywały się u Mariolki i oparte były na materiałach *Droga do wspólnoty* (III).

W następnych latach zaczęliśmy się spotykać w domach kolejnych osób naszej grupy, więc każdy był i jest dwa lub więcej razy gospodarzem spotkania. Na spotkaniach w przeciągu minionych prawie 30 lat „przestudiowaliśmy” wspólnie księgi Pisma Świętego, książki religijne, które polecał nam Ksiądz Jurek, poznaliśmy hagiografię świętych, dowiedzieliśmy się o sztuce i muzyce chrześcijańskiej, o której to opowiadały: Ewa, Mia, Bożenka (zwana przez nas Wiśnią) i Ala. Oczywiście na każdym spotkaniu wspólnie się modlimy.

Jak już wspomniałam, Ksiądz w Lublinie spędził wiele lat.

Oczywiście spotykaliśmy się rzadziej, był czas, że nie miałam kontaktu z Księdzem, ale zawsze mieliśmy siebie w pamięci modlitewnej, a to największy dar, jaki możemy ofiarować drugiemu człowiekowi. Jednak każdego roku spotykaliśmy się w Pszowie na kolędowaniu i urodzinach Księdza Jurka. Oczywiście, były też wspólne rekolekcje.

A my, Środo-wisko spotykaliśmy się i spotykamy również w celach towarzyskich, urodzinowych, na jubileuszach, ogniskach, wspólnych wyjazdach, wycieczkach, wypadach w góry, Sylwestrach. I trwa to już ponad trzydzieści lat.

Zdajemy sobie sprawę, że to dar Boga. To, że tyle lat nasza grupa istnieje, to nie nasza zasługa. To łaska, którą otrzymaliśmy od Boga, On obsypuje nas w ten sposób swoją miłością, obsypuje nią w dużych dawkach. Gdyby nie Jego łaska, moc, nie trwalibyśmy razem, pewnie taka grupa wcześniej czy później by się rozpadła. A my jesteśmy.

W dużej mierze jest to zasługa Księdza Jurka, to on nas zjednoczył wokół siebie, wokół Boga i tak trwamy i cieszymy się sobą.

A każde spotkanie z naszym Przyjacielem, którym jest dla nas Ksiądz Jurek, to przeogromna radość. Chłoniemy wtedy te chwile, smakujemy ich intensywność i już wiemy, że do nich będziemy wracać, tęsknić za nimi. Wszak do tej pory wracamy do wspólnych pielgrzymek, rekolekcji, wyjazdów, kolędowania. Dostrzegamy w tych spotkaniach Boży blask. W czasie takich spotkań, dużo rozmów między nami, niektóre są tak oczekiwane. Śmiejemy się, żartujemy. Jest nam najzwyczajniej razem dobrze. Można powiedzieć, że błękit unosi się nad nami. Jak nieskończenie kocha nas Bóg, że daje nam Siebie w tych ludziach i poprzez tych ludzi!!! Czasem zastanawiam się: jak to możliwe, że tyle lat się znamy, przyjaźnimy, wszak każdy z nas ma wady, jakieś przywary? Czy na to wszystko zasłużyliśmy? Czy ja na to zasłużyłam? Wiem, że nie. Zachwycam się więc nie tylko tymi chwilami, ale samym Bogiem i Jego pomysłem na nasze życie, że my jesteśmy tu i teraz. To najlepszy dla nas czas i miejsce. Wiem, że musimy go maksymalnie wykorzystać.

„Może to jej szukamy tak zawzięcie?

Może to o nią chodzi, z jej braków nasz gniew?

Może to dla niej wyprawy za morza?

Nazwał nas przyjaciółmi,

tamtej nocy, przed męką,

i odtąd bez niej nie umiemy żyć”

Jeszcze sprawa rekolekcji. Początkowo na rekolekcje do Pszowie jeździła nasza grupa. Nie potrafię powiedzieć, ile tych rekolekcji było. W pewnym momencie dołączyła do nas grupa z Chorzowa-Batorego, potem bywalcy oazy studenckiej na Starym Groniu i jeszcze nauczyciele ze szkoły w Zabrze.

Teraz grupa rekolekjonistów jest przeogromna i główny jej trzon stanowią mieszkańcy Pszowa, a współorganizatorem jest Grupa „PoCo”, w dużej mierze Ewa i Janek.



Rekolekcje w Pszowie 10–12.12.2010 r.
Rodzina jest Boża i nasza.
Konferencja ks. Jerzego

Ale na rekolekcjach bywaliśmy też nie tylko w Pszowie. Takim szczególnym miejscem były Laski.



Nasza grupa w Laskach przy kawie i ciastku. No i kogo my tak uważnie słuchamy?
Na kogo kierujemy bacznie swój wzrok? Kto to do nas przemawia?



Kolędowanie w Pszowie 2002 r.

„Czekając
na ludzi których kocham
uświadamiam sobie
że jest mi w nich
bardzo ciepło przejrzyscie
zdziwienie że są
że w ogóle są
jak lek poszukiwany
z niedostępnej apteki
Miłość”



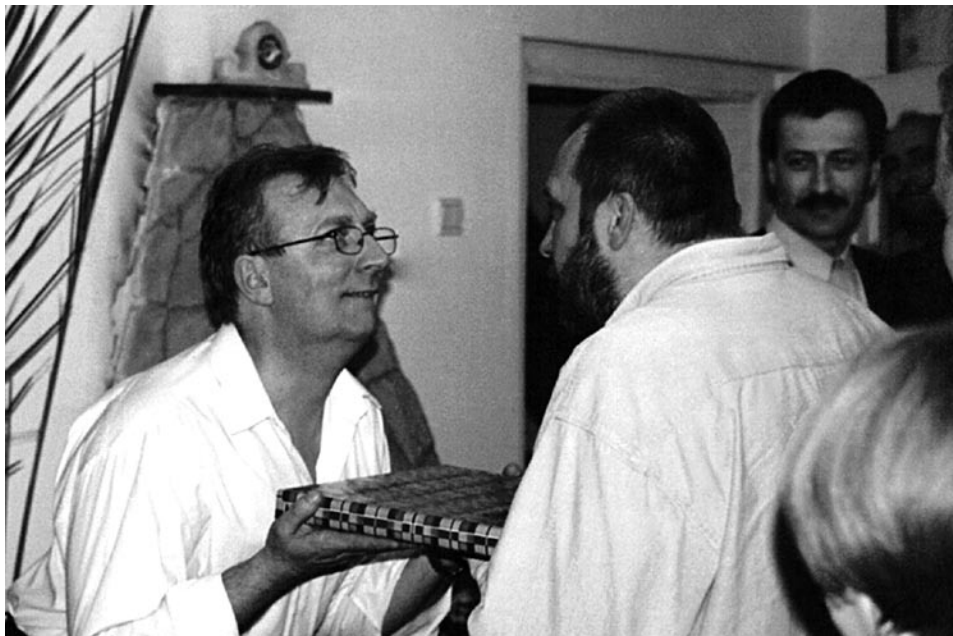


Znawcy piłki nożnej



Przed meczem z Portugalią spotkanie z Księdzem Szymikiem – w Bytkowie, w Siemianowickim Centrum Kultury – 2.10.2006 r.
Wiadomo wszem i wobec, że Ksiądz Jurek to znawca tematyki piłki nożnej, szczególną miłością obdarzył drużynę Portugalii i na jej temat wie nieomal wszystko, więc trudno go „zagiąć” jakimś pytaniem

Urodziny Księdza Jurka (nie pięćdziesiąte)



Ksiądz radośnie przyjmuje wręczany mu prezent



Czyta nam swoje wiersze.
Tak to lubimy...

I uroczyste obchody pięćdziesiątej rocznicy urodzin Księdza Jurka.



Przyjmowanie życzeń i prezentów...



Dwudziesta czwarta strona z wydanego z okazji pięćdziesiątej rocznicy urodzin ks. Szymika przez „Gość Niedzielny” numeru specjalnego

„Biuletynu Kanonizacyjnego”.

W Teatrze Rozrywki 30.09.2003 r. odbyło się spotkanie z Jubilatem.

Wydarzenie przebiegało w konwencji rozmowy (prowadził ją Michał Loskot), przepłataną recytacjami wierszy oraz piosenkami (m.in. z muzyką również doskonale znanego w Chorzowie ks. Witka Wolnego, do słów ks. Jerzego w interpretacji autora i aktorów Teatru Rozrywki, przy akompaniamencie teatralnej orkiestry pod dyktando Jerzego Jarosika)

„teraz, wiosną,
w skrawku kwietniowego światła,
objawiło się czym jest,
życie moje:

jest liściem oderwanym z wysokiej gałęzi;
w dół, w górę, tańczy, dygoce;
ciemnieje, drży.
Uspokoi się, kiedy dotknie ziemi.

Skąd to jest, pytam po tylu latach,
osłupiały, to coś spoza mnie, w mojej
krwi obecne bardziej niż ja sam?
Skąd jest to przeczucie szczęścia,
Że będzie dobrze, kiedy dotknę? Ta radość większa niż
Cokolwiek?
Skąd?”



Spotkanie autorskie promujące tomik poezji *Błękit* w Górnośląskim Centrum Kultury w Katowicach, 9.05.2003 r. Uczestnicy mieli wziąć ze sobą „błękitną” rzecz lub element ubioru miał być koloru błękitnego, stąd moja jasnodżinsowa kurtka

Nie wspomniałam o tym, że ja w tym czasie, gdy Ksiądz był w Chorzowie, a potem w Lublinie, skończyłam studia teologiczne.

Poszłam na nie zainspirowana tym, co działo się we mnie i wokół mnie. Chciałam odpowiedzieć sobie na wiele pytań związanych z wiarą, chciałam, by bardziej stawała się wiarą rozumną. Pragnęłam nauczyć się myśleć, żyć, wybierać, oceniać, poszukiwać, porządkować swój świat wewnętrzny według wartości, które odkrywałam, czytając Pismo święte. A nade wszystko pragnęłam zachwycać się Tajemnicą Boga i uczyć się Jego Miłości, i według Niej żyć. Czy te studia to spełniły? Tak, choć wiem, że w swej wierze, w swoim dochodzeniu do Boga, w kochaniu Go do końca, cały czas jestem wędrowcem i uczniem. Staram się w drobnych, zwykłych, codziennych sprawach trwać przy Bogu. Choć wiem, że nie jest to zawsze proste.

„Nic nie jest moim pomysłem.
Nic nie jest moją zasługą.
Jestem owcą wśród cierni.
Jestem drachmą ukrytą
w szczelinie podłogi życia.

Jak srebrna rybia ość wbita w Boskie gardło”

Nie obroniłam w terminie pracy magisterskiej, bo mój promotor poważnie zachorował. Odłożyłam to na tak zwane potem. A wówczas, gdy termin naglił, pomógł mi oczywiście Ksiądz Jurek. Pamiętam, jak się w to zaangażował. Dopytywał w Lublinie, co mam zrobić, skoro kilka lat minęło od ukończenia przeze mnie studiów. To on mnie motywował. To on przypominał bardzo cierpliwie o terminach. To on dodawał wiary w to, że mi się uda (ja wtedy pracowałam i miałam już trójkę dzieci). Wierzył, że mi się uda.

I obroniłam się w Lublinie 11 czerwca 2001 roku. I tam spotkałam się z grupą magistrantów Księdza Jurka, poznałam wtedy Kasię, Gosię, Beatkę i Monikę, z którymi kontakt mam do tej pory. To Ksiądz zadbał o tak niby prozaiczną sprawę, jak mój nocleg w Lublinie. Pamiętał o wszystkim.

„nic nie jest tak ważne
jak czas stracony dla Boga
gdy nic się nie dzieje
ucieka istotne pilne i potrzebne
człowiek ubożeje
traci swoją szansę
nareszcie pięknieje
Czym jest dla mnie dzisiaj teologia?”

Nieustanną próbą ukazywania Boga jako Miłości, dążeniem do Prawdy, poznawaniem Prawdy, tęsknotą za Bogiem. Szukaniem słów, czynów, by prowadzić siebie i wskazywać drogę tym, których uczę, do Słowa, porywaniem ich do Chrystusa. Jest codziennością życia w wymiarze Boga, w Jego „sferze”. Nieustannym poszukiwaniem Jego znaków. Uceniem się optyki Chrystusa: Jego widzenia i myślenia oraz Jezusowej postawy. Chrystus w centrum wszystkiego, co robię.

Teologia opisywana jest i rozumiana jako „nauka wiary”, więc w parze ze sobą idą wiara i rozum (*fides et ratio*). Papież Jan Paweł II w swojej encyklice *Fides et ratio* ujmuje, że wiara i rozum z sobą nie konkurują, lecz są wobec siebie komplementarne. A kardynał Józef Ratzinger definiuje teologię jako „próbę naukowego wnikania w rzeczywistość chrześcijańskiej wiary”. W praktyce więc teologia to nie tylko mówienie o Bogu, ale równoczesne prowadzenie z Bogiem do Boga. Jest to rozmowa o Bogu, w której to On sam uczestniczy.

„Dlaczego jest? Dla kogo jest?

Czym jest?

Sposobem na życie?

Szukaniem Go? Poza wszystkim, bez goryczy?

Albo i z goryczą?

Nieskończonym ciągiem pytań, bo nic nie jest tu możliwe
inaczej?

Słodyczą nocy, bez księżycy, z milczącym różańcem
w kieszeni?

Pocałunkiem Anioła?

Wyśnioną kobietą? *La donna, la teologia?*

Boże, wzywam teraz, w rzymską noc, wysłuchaj modlitwy
teologa:

czymkolwiek ona jest,
pozwól wytrwać przy Tobie

A ja chciałabym zawsze

stać przed Nim z pustymi rękami

i wyciągać je ku Niemu

(nie z rękami, które gdy pochwycą, to mocno trzymają, lecz
z rękami,

które się otwierają, obdarowują, a tym samym są stale gotowe
przyjąć)

nie wyc z wilkami,

ale cierpieć z powodu nieprawości.

Nie móc odwrócić nieszczęścia,
ale współcierpiąc, stanąć po stronie skazanych,
a tym samym – kochając w ten sposób –
stanąć po stronie Boga

pamiętać, że znakiem rozpoznawczym
Jego obecności jest nadmiar.
Mieć tylko Boga, czyli puste ręce”



Pożegnalne zdjęcie grupy bytkowskiej na rekolekcjach w Pszowie w 2012 r.

Danuta Borkowska – absolwentka teologii KUL oraz Poddyplomowych Studiów Komunikacji Społecznej na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego, katechetka w Zespole Szkół Sportowych w Szkole Podstawowej nr 8 w Siemianowicach Śląskich. Bardzo lubi góry, stąd latem trochę wędruje, a zimą jeździ na nartach.

Ks. Janusz Chyła

Teologia i ja

Uległem prowokacji. Jej autorem jest Ksiądz Profesor Jerzy Szymik. W wykładzie-swiadectwie podczas Wielkiego Zjazdu Seminarzystów w Katowicach powiedział: „Sięgam tak daleko, tak prywatnie i tak intymnie tylko w jednym celu. Żeby tą opowieścią sprowokować waszą, moich Uczniów i Przyjaciół, wędrówkę ku korzeniom waszej osobistej przygody z teologią”.

Moje spotkanie z teologią (nie znałem jeszcze wówczas tego słowa) rozpoczęło się dzięki s. Ludwice Małkiewicz, elżbietance ratującej dzieci żydowskie podczas wojny. Była ona częstym gościem w moim domu rodzinnym. Jako dorastający nastolatek otrzymałem od niej książkę autorstwa ks. Malińskiego pt. *To nie takie proste, mój drogi*. Byłem wówczas na etapie zdystansowanego zainteresowania książkami, a także szkołą. Ale osoba darczyńcy, a zwłaszcza etap nastoletnich poszukiwań i kryzysów, były zachętą do lektury. Szło mi z początku opornie. Czułem też, że dokończenie tekstu może być niebezpieczne. I takie było. Lektura oddziaływała na moje życie. Wiedziałem już, że nie należy szukać w życiu dobrych rzeczy, ale tylko najlepsze, ponieważ na dobre szkoda czasu. Następny tekst, z którym się zmierzyłem, był jeszcze ambitniejszy. To encyklika Jana Pawła II *Dives in misericordia*, ofiarowana moim rodzicom przez znajomego pracownika KUL. Niewiele z niej rozumiałem. Pociągała mnie jednak w fascynujący świat filozoficznej i teologicznej głębi. Pozostało z tego spotkania zamiłowanie do tekstów gęstych w treść. Zaprzyjaźniłem się wówczas z teologiczną literaturą. Ale odkryłem, że książki sycą tylko mój umysł. A po pewnym czasie także próżność, nie sycąc serca. Szukałem bezskutecznie odpowiedzi na pytania o życie i moje w nim miejsce, myląc teologię z Panem Bogiem. Wiedziałem na Jego temat sporo. Cóż z tego, skoro rozum i serce dzieliła przepaść. Skutkiem była pycha. Patrzyłem na religijność ludową i ludzi nieznających teologii z poczuciem wyższości. Pan Bóg okazał mi jednak wielką cierpliwość. Dyskretnie upominał się o moje serce, mimo iż w zwariowanych latach szkolnych chodziłem po drogach dalekich od Jego dróg. W napięciu między życiową

puszką a zainteresowaniem teologią odczytałem powołanie kapłańskie. Patrząc teraz na tę osobistą historię zbawiania, naznaczoną błogosławioną winą, ze zdumieniem. Bóg jest artystą. Posługuje się nawet tworzywem o marnej jakości.

Teologia, będąc przewodniczką w drodze do Boga, w odpowiednim momencie ustąpiła miejsca Temu, dla którego było ono przeznaczone. Upominała się jednak o przyjaźń. Po trzyletniej posłudze wikariuszowskiej w Łebie, rocznych studiach w Lublinie, trzyletnich w Rzymie i obronionym w Katowicach pod kierunkiem Księdza Szymika doktoracie, zostałem wykładowcą teologii dogmatycznej w pelplińskim seminarium, a następnie na Wydziale Teologicznym UMK w Toruniu.

Obecnie, ucząc innych teologii, uczę się jej nadal sam. Ta przygoda z teologią jest wypadkową życia, lektur i doświadczeń własnych i tych, którym służę jako kapłan, a nie tylko nauczyciel. Największym moim mistrzem co do stylu myślenia oraz duszpasterskiej posługi jest Jan Paweł II. Wśród profesorów, bezpośrednio kontaktu, jestem bardzo wdzięczny (w kolejności chronologicznej) księżom: Antoniemu Dunajskiemu, Jerzemu Buxakowskiemu i Jerzemu Szymikowi. Ale obok akademickich wykładowców uczyły mnie teologii dzieci, które przygotowywałem do sakramentów pokuty i pojednania oraz Eucharystii. Trudne pytania zadawane podczas katechez obecnie stawiam moim studentom. Poza tym wspólnota neokatechumenalna pokazuje mi, jak słowo zapisane w Biblii tłumaczyć na język życia. Bracia uczą mnie, że Słowo jest wydarzeniem, a teologia musi być bliska człowiekowi i dostosowana w formie do odbiorcy. Przestrzeniami, gdzie staram się myśleć, mówić i działać teologicznie, są: życie, liturgia, sala wykładowa, a ostatnio, za przykładem Benedykta XVI i Franciszka, również świat wirtualny (Twitter). Od moich mistrzów chciałbym się nauczyć bezinteresowności w uprawianiu teologii. Staram się więc w gąszczu przepisów koniecznych w pracy na wydziale, publikacji, zachować wolność wewnętrzną. Bez niej teologia jest co najwyżej pańszczyzną czy źródłem utrzymania.

Moim uczniom, na zajęciach z introdukcji do teologii dogmatycznej, pragnę pokazać, że teologia jest narzędziem, a nie celem. Nim jest Bóg – Tajemnica. Mówię, że teologia jest z Jego tęsknoty za człowiekiem – źródłowo i człowieka za Nim – egzystencjalnie. Stąd duszpasterstwo wymaga odkrycia tych tęsknot i doprowadzenia do spotkania Boga z człowiekiem. Zdrowa teologia jest więc

podstawą zdrowego duszpasterstwa. Takiego, które wzorem św. Jana Chrzciciela wskazuje Słowo i dodaje odwagi do pójścia za Nim. Myślę, że konieczna jest do tego pasja, czyli fascynacja niedezertująca przed zmaganiem, a nawet cierpieniem. Wiem, że w teologii potrzeba pokory wobec Boga, świata i człowieka, a więc i prawdy o własnej kruchości. Potrzeba zaciekawienia Bogiem i światem, równowagi między teorią i praktyką. Teolog, krytycznie oceniając zjawiska, ma rozumieć, czyli nie obrażać się na znaki czasu i współczesną kulturę, a zwłaszcza na człowieka uwikłanego w gąszcz niepewności. Odważne stawianie pytań, cierpliwe wsłuchiwanie się w pytania stawiane przez innych, chronią teologię przed pokusą redukcji do jakiejś formy ideologii. A głęboka wiara w moc Prawdy, która ostatecznie ma wymiar osobowy, stanowi odpowiedź nadającą życiu smak. Ufam, że moja przygoda z teologią będzie trwała tyle czasu, co samo życie.

Janusz Chyła, ur. w 1967 roku w Skórczu na Pomorzu, prezbiter Diecezji Pelplińskiej. Jest doktorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. Pracuje jako adiunkt na Wydziale Teologicznym UMK w Toruniu, kierownik studiów podyplomowych w zakresie teologii i wicektor Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. Autor książek: *Jezus Chrystus Jana Pawła II*, Pelplin 2007; *Siedem znaków Paschy. Kazania pasyjne*, Pelplin 2014; *Ewangelia na Twitterze*, Pelplin 2014; kilkunastu artykułów naukowych i około 100 popularnonaukowych. Promotor 10 magisteriów. Specjalizuje się w teologii Jana Pawła II i Benedykta XVI. Mieszka w Pelplinie.

Agnieszka Dudek-Kowalska

Moja droga teologiczna

Gdy rozmyślałam o mojej drodze teologicznej, do głowy przychodziło mi wiele wątków i skojarzeń. Gdy postanowiłam przenieść rzecz na papier, pozostało samo sedno. Chyba tak to jest, gdy ma się półroczne dziecko. Wszystko zaczyna ograniczać się do tego, co najważniejsze.

Moje spotkanie z teologią to jednocześnie spotkanie z Księdzem Profesorem Szymikiem. Myślę, że bez niego nie studiowałabym tego kierunku.

Gdy byłam jeszcze w liceum, mój ojciec uczestniczył w wieczorze poetyckim Księdza Profesora. Zakupił wtedy kilka tomików wierszy i mi je sprezentował. Przez wiersze te – głównie z tomików *Zupełnie inaczej*, *Dotyk żrenicy* – spotkałam autora.

Gdy w 1996 roku zaczynałam studia prawa świeckiego w KUL, z grafiku zajęć na prawie kanonicznym dowiedziałam się, że Ksiądz Profesor ma wykład zatytułowany *Teologia dogmatyczna*. Zaczęłam w nim uczestniczyć. Pamiętam wyraźnie, że to, co tam usłyszałam, było jak dotknięcie transcendencji. Wciągnęło mnie bardzo mocno. Egzaminu nie musiałam zdawać, ale i tak do niego podeszłam. Przeniosłam go na wrzesień 1997 roku, żeby lepiej się do niego przygotować. I tak się zaczęło.

Na kolejny wykład Księdza Profesora chodziłam już na trzecim roku. Był to wykład chrystologii na kursie teologii. Potem także na wykład monograficzny. Pamiętam, że padły wtedy słowa Księdza Profesora, że jeśli chcę studiować teologię, to on mi pomoże. Wymyśliłam sobie wtedy, że nie chcę robić kursu magisterskiego teologii, tylko napisać doktorat.

Wiele zawdzięczam także ówczesnym władzom Wydziału Teologii – ks. prof. Gabrielowi Witaszkowi i ks. prof. Krzysztofowi Gózdziowi. Zaaprobowali mój śmiały plan. Miałam tylko uzupełnić w pewnym zakresie studia magisterskie z teologii i zrobić kurs licencjacki teologii dogmatycznej.

Na zajęcia kursu licencjackiego uczęszczałam na piątym roku studiów prawniczych. W rok po obronie magisterium na prawie, czyli

w 2002 roku, obroniłam pracę magistersko-licencjacką *Reinterpretacja relacji miłosierdzie-sprawiedliwość w posoborowych dokumentach Kościoła*. Zdałam także egzamin licencjacki. Uzyskałam stopień magistra i licencjata teologii.

W międzyczasie odbywałam aplikację sądową w Katowicach. Zostałam asesorem sądowym. Gdyby nie zdecydowana postawa Księdza Profesora, który określił terminy oddawania poszczególnych rozdziałów doktoratu, moje codzienne życie tak by mnie wciągnęło, że wizja doktoratu zaczęła się nieco oddalać. Dzięki niemu jednak zmobilizowałam się i ostatecznie w 2006 roku obroniłam rozprawę doktorską *Mysterium Christi jako klucz do Tajemnicy Bożego miłosierdzia w posoborowym nauczaniu Kościoła*.

Nie pracuję w zawodzie teologa. Przeciwnie, jestem sędzią, zajmuję się sprawami na wskroś świeckimi. Potrzeba studiowania teologii jako odkrywania prawdy o mnie samej i najwyższym sensie ludzkiego życia pozostała. Bez niej zresztą nie podjęłabym studiów teologicznych. Jak powiedział mój promotor pracy magisterskiej na prawie, ks. prof. Sławomir Fundowicz, jestem bodaj jedynym sędzią w Polsce (albo i nie tylko w Polsce), który zdobył stopień doktora teologii.

Myślę, że o studiach teologicznych zadecydowało spotkanie z Księdzem Szymikiem. To jego wyczucie i forma przekazu okazały się na tyle inspirujące, że zdecydowałam się studiować teologię. Nie wiem, czy każdy wykładowca porwałby mnie w ten sam sposób. Chyba nie.

Także to, kim jestem, zawdzięczam w dużej mierze Księdzu Profesorowi Jerzemu Szymikowi. Bez dwóch zdań, teologia mnie ukształtowała. Czasem ktoś mnie pyta, czy nie lepiej byłoby obronić doktorat z prawa. Może i byłoby to bardziej praktyczne od strony zawodowej, ale ja nie żałuję swoich wyborów. Gdyby nie teologia, nie byłabym tym, kim jestem teraz. Nie miałabym tej samej wrażliwości, nie spotkałabym tych samych ludzi.

Agnieszka Dudek-Kowalska, ur. w 1977 roku w Chorzowie. Studia z zakresu prawa oraz teologii odbyła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w latach 1996–2002. W zakresie teologii dogmatycznej w 2006 roku uzyskała stopień doktora za rozprawę *Mysterium Christi jako klucz do Tajemnicy Bożego Miłosierdzia w posoborowym nauczaniu Kościoła*. Obecnie pracuje jako sędzia.

S. Ksenia Kalemba ZSAPU

Nie ma mowy. Bez dzieci nigdzie się nie ruszam

„Istniejemy po to, aby ukazywać ludziom Boga.
A tylko tam, gdzie widać Boga, naprawdę zaczyna się życie.
Dopiero wówczas, gdy spotykamy w Chrystusie żywego
Boga,
poznajemy, czym jest życie. [...]”
Nie ma nic piękniejszego, niż zostać osiągniętym,
zaskoczonym przez Ewangelię, przez Chrystusa.
Nie ma nic piękniejszego,
niż poznać Go i dzielić się z innymi przyjaźnią z Nim”

Benedykt XVI

Biorę do ręki *Dziurawy kajak i Boże miłosierdzie* Jana Grzegorzcyka, książkę o faustynkach, zgromadzeniu założonym według wizji s. Faustyny przez ks. Michała Sopoćkę. Przeglądam ją w poszukiwaniu czegoś interesującego – jakiejś ciekawej historii, poruszającego świadectwa. Natrafiam na fragment o Siostrze Aurelii. Czytam:

„Siostra Aurelia przeżyła ciężki wypadek, Z samochodu, w którym jechała, została miazga. To, że żyje, jest cudem. Opowiadała mi o swej krytycznej nocy w szpitalu.

– Przeżyłam nagość przed Bogiem.

– Widziała Siostra Boga? – spytałam.

– Pamiętam, że stanęłam wtedy przed pytaniem ostatecznym. *A dlaczego nie przyprowadziłaś mi twoich dzieci?* Te słowa mnie ogarnęły, jakbym stanęła w strugach deszczu. Nie zostałam zapytana o to, czy byłam zakonnicą, tylko czy kochałam w życiu.

– Ale Boga Siostra nie widziała?

– To pytanie było Bogiem. Nie umiem tego wytłumaczyć. W tym pytaniu był Bóg.

I wtedy tak bardzo zapragnęłam wrócić na ziemię. By móc bardziej kochać.

Bóg jest miłością. Bóg jest pytaniem o miłość”¹.

Pozwalam tym słowom pobyc w mnie. Poruszają mnie i zastanawiają, więc daję im przestrzeń. Wciąż mam przed sobą także perspektywę napisania artykułu na temat mojego spotkania z teologią. Szukam inspiracji – myśli, słowa, obrazu... Czegoś, co pomogłoby mi wydobyć przeczucie. Na razie nie widzę wyraźnego związku między opowieścią s. Aurelii a moją. Są to jeszcze dwie zupełnie inne sprawy, dwie myśli, dwie historie. Za jakiś czas rozmawiam z moją młodszą siostrą Natalią (*notabene* matką dwójki uroczych dzieci) i proponuję jej wycieczkę w góry. Jej dzieci są na to zdecydowane za małe, więc musiałyby zostać w domu. „Nie ma mowy. Bez dzieci nigdzie się nie ruszam” – odpowiada. I natychmiast słyszę przeczytane kilka chwil temu słowa: „A dlaczego nie przyprowadziłaś mi twoich dzieci?”. Teraz dopiero zaczynam widzieć jasno, że opowieść s. Aurelii, Natalii i moja jest w zasadzie jedną historią, choć mającą różne barwy. Bo w gruncie rzeczy chodzi nam wszystkim o to samo – o danie życia, o miłość.

★★★

„Tam jest życie, gdzie widać Boga” – mówi Benedykt XVI. „A Bóg jest miłością” – uczy św. Jan Ewangelista. „Jest pytaniem o miłość” – interpretuje siostra Aurelia. A czym wobec tego jest teologia? Czym jest teologia dla mnie? Kim jest teolog? Czy ja nim jestem? Stawiając sobie te pytania, wiem, że dotykam bardzo ważnej kwestii mojego życia, mojej osoby, bo odsłaniam jednocześnie samą istotę mojego powołania.

Jestem teologiem. Niezwykle rzadko i z dużą nieśmiałością wypowiadałam to zdanie, bo mam świadomość jego ciężaru. Jestem przekonana, że bycie teologiem to bardzo poważne wyzwanie. Poważne najpierw w kwestii łaski, otrzymanego daru, ale także w sferze odpowiedzialności za jego przyjęcie oraz nadania mu indywidualnego, osobistego kształtu i wyrazu. Intuicja Księdza Szymika o ukrytym w teologii ogniu, który może okazać się wielce niebezpieczny dla

¹ J. Grzegorzczak, *Dziurawy kajak i Boże miłosierdzie*, Poznań 2006, s. 301.

samego teologa², jest mi bardzo bliska, zaprasza mnie ona do rozmowy.

Metafora ognia przywołuje na myśl wspomniane przez Księdza Szymika ryzyko bycia teologiem – niebezpieczeństwo „spalonej wiary”, a jednocześnie szansę „wiary ocalonej”, żywej i rodzącej życie. Idę tutaj krok dalej, przesuwając nieco punkt ciężkości: z tego, co przynosi teologia dla samego jej ucznia, twórcy, mistrza na to, co może ona dać innym przez jego misję. Bo w powołaniu teologa odsłania się nie tylko przestrzeń potężnej łaski, ale także niebagatelne zobowiązania.

Teologia w moim rozumieniu i odczuciu (doświadczeniu) ma bardzo wiele wspólnego z miłością. Jest pytaniem o miłość (parafrazuję s. Aurelię). Ograniczenie jej do badań naukowych jest jej poważnym zubożeniem, a nawet odebraniem jej samej istoty, rdzenia. Nie studiuje się przecież teologii prawdziwie wtedy, gdy serce nie jest poruszone przez łaskę. „Myśl szukająca Boga ściga serce już wcześniej dotknięte przez Niego” – pisze Ksiądz Szymik. Teologia tak naprawdę rodzi się więc z szukania Oblicza Boga. Tak, rodzi się z wiary, ale także rodzi się z miłości – z więzi, ze spotkania, z doświadczenia. Tu jest dopiero początek. Na tym teolog nie może się zatrzymać, musi iść dalej – powinien dać świadectwo spotkanej Miłości. Dać siebie. Jak to rozumiem? Najpierw jako oddanie swojego rozumu i serca, zdolności i czasu, bogactwa i ubóstwa swojej osobowości – na służbę, dla innych. Sądzę, że jest to także przyzwolenie teologa na odsłonięcie się, na swoiste wcielenie, na przepuszczenie teologii przez swoje życie – przez jego piękno, szczęście, ale również jego pytania, niepokoje i cierpienie (dzięki temu, zdaje mi się, mamy pluralizm teologiczny). Przez to teologia staje się żywa, bo tworzona przez człowieka żyjącego tu i teraz, człowieka z konkretną historią życia. Staje się też zaangażowana, inaczej mówiąc – patetyczna. A jakie są tego konsekwencje? Że jest inspirująca? Ciekawa? Interesująca? Tak, taka jest również. Ale ważniejsza od tego jest jej służebność. Bo przez nią dokonuje się dawanie życia.

Wybitny słoweński teolog i artysta zarazem, Marko Ivan Rupnik twierdzi, że nikogo nie czyni się chrześcijaninem przez konferencje i szkoły. W przeciwnym wypadku – zauważa – cała Europa byłaby zewangelizowana. Chrześcijanina czyni się przez chrzest, przez pojednanie, czyli ostatecznie przez ojcostwo i macierzyństwo duchowe.

² W wykładzie zatytułowanym *Teologia i my* ks. Szymik mówi, że ogień, który może spalić wiarę, jest zarazem ogniem ocalającym – człowieka i jego teologię.

Tutaj właśnie widzę ogromną rolę teologii. Jej szansę i jej powinność. Ostatecznie także jej sens. Nie chcę jednak w żaden sposób absolutyzować teologii. Ona jest tylko środkiem. To, co najistotniejsze, dokonuje się w relacji, w byciu dla innych. Życie dzieje się w osobach – w Ojcu, w Synu, w Duchu Świętym. W człowieku obdarowanym łaską. Bo to nie teologia ma udźwignąć ciężar ludzkiego życia, dać nadzieję czy sens. To Chrystus jest nadzieją, sensem, odpowiedzią. Ale teologia może o tym powiedzieć, albo lepiej: teolog może to ukazać. Wtedy spełnia swoją misję, która nie jest rezygnacją z naukowego warsztatu (to jest oczywiste), ale która się na nim nie kończy, bo jest czymś więcej. Ma ewangelizacyjne nachylenie, ciężenie do daru, do dawania, do płodności. Tego uczy nas przecież Ewangelia. Wbrew światu, który ponad wszystko proponuje skuteczność.

★ ★ ★

Miała to być „wędrownka do korzeni mojej osobistej przygody z teologią”³. Dlaczego więc nie piszę tutaj wspomnień o pierwszych spotkaniach, wyborach, fascynacjach? Korzenie sugerują przecież przeszłość. Piszę natomiast o tym, czym jest teologia, jakie jest powołanie teologa. Może jest tak dlatego, że jest to dla mnie kwestia teraźniejszości. Że ta przygoda, która rozpoczęła się kilkanaście lat temu, wciąż trwa, jest żywa. Że od tego czasu nieustannie mnie kształtuje.

Nie chcę pozostać jedynie na zakreśleniu jakiegoś ideału czy wyobrażenia, do którego próbuję dorastać. Chcę być teologiem, co oznacza, że chcę dawać siebie. Chcę przez swoje powołanie ukazać Boga, żeby inni mieli życie. Mam świadomość, że to są zbyt duże słowa, ale wiem też, że nie mogę się uchylić od wezwania, jakie ze sobą niosą. Nie mogę udawać, mówiąc, że kiedyś przytrafiło mi się ciekawe spotkanie z teologią, z drugim człowiekiem, z Bogiem. Bo to spotkanie ani nie było, ani nie jest epizodem. I nie w ciekawości tkwi jego wartość. Bo jest to doświadczenie, które mnie stanowi, angażuje, określa. Jest dla mnie zasadnicze. Jest zadaną mi łaską. Powołaniem.

Odsłaniam się tak bardzo, bo wiem, że przez to czynię w sobie przestrzeń dla innych. Nie jest to moja zasługa, raczej dar, choć

³ Tak wyraził swoją propozycję/prowokację Ksiądz Szymik w cytowanym już wykładzie.

wymaga ode mnie dużej odwagi. Ale nie mogę inaczej, bo wciąż kołaczę we mnie to pytanie z historii s. Aurelii: „a dlaczego nie przyprowadziłaś mi twoich dzieci” i nierozdzielnie towarzyszące mi słowa Natalii, mojej siostry: „Nie ma mowy. Bez dzieci nigdzie się nie ruszam”.

Ksenia Kalemba ZSAPU, ur. w 1978 roku w Chorzowie, siostra albertynka. Absolwentka teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. W 2007 roku uzyskała tytuł doktora nauk teologicznych w zakresie teologii dogmatycznej. Pracę doktorską pt. *Misterium paschalne jako objawienie Trójjedynego Boga. Studium na podstawie polskiej teologii posoborowej* pisała pod kierunkiem ks. prof. Jerzego Szymika. Jej teologiczne zainteresowania związane są z trynitologią, chrystologią i teologią paschalną. Obecnie mieszka w Zakopanem, gdzie pracuje jako katecheta w liceum. Z pasją realizuje tutaj swoje powołanie albertyńskie, ewangelizując zakopiańską młodzież.

Ks. Szymon Kiera

Teologiczna droga do prawdy

Tamten ciepły, wiosenny wieczór na długo zostanie w mojej pamięci. Rzymskie Lungotevere jak zwykle w okolicach osiemnastej było zakorkowane, a charakterystyczny dźwięk klaksonów mieszał się z pokrzykiwaniami, jakie wydobywały się z ochrypłych gardeł kierowców. Niepomny na uwagę Iwaszkiewicza, że „ruch tu piekielny, a spalinami można się udusić”¹, szedłem wzdłuż Tybru, niespiesznie zmierzając w stronę Piazza San Pietro. Kiedy jednak poprzez motoryzacyjny gwar niespodziewanie przedarł się mocny dźwięk dzwonów watykańskiej bazyliki, zdecydowałem się natychmiast przyspieszyć kroku. Chwilę potem wyraźnie widziałem już biały dym unoszący się nad dachem Kaplicy Sykstyńskiej. Zaczęło się wzruszające oczekiwanie na werdykt zakończonego co dopiero konklawe. Obserwowałem pęczniejący z każdą minutą Plac Świętego Piotra. Przyglądałem się emocjom, jakie malowały się na twarzach napływających ze wszystkich stron ludzi. Modliłem się za nowo wybranego papieża. Był 19 kwietnia 2005 roku.

Fala radości, jaka ogarnęła mnie, gdy usłyszałem, że głosy kardynałów wskazały na Josepha Ratzingera, do dziś trudna jest do opisanie. Stojące tuż obok zakonnice z Filipin głośno wiwatowały, koledzy z Instytutu Polskiego machali biało-czerwonymi flagami, australijski dziennikarz prosił o jakiś komentarz „na żywo”. W jednej chwili watykańska loggia skupiła na sobie uwagę całego świata, a plac przed bazyliką zamienił się w morze radości i entuzjazmu. Choć właściwie nie do końca. Wśród dziennikarzy, którzy co rusz podsuwali nam przed usta mikrofony, spotkałem redaktora pewnego polskiego portalu internetowego. Jego komentarz do wyboru Benedykta XVI daleki był od zachwytów, jakie rozlegały się wokół. Pamiętam wyraźnie tamten grymas wykrzywiający mu wargi i gorzkie słowa, które rzucił w moją stronę: „To fatalna decyzja. Kościół się teraz uwsteczni!”.

¹ J. Iwaszkiewicz, *Podróże do Włoch*, Warszawa 2008, s. 14.

Spojrzałem na niego badawczo i spokojnie zapytałem: „A jakie książki Ratzingera pan czytał, że tak pan sądzi?”. Mężczyzna na moment się zawahał. W końcu odpowiedział: „Właściwie to tylko kilka wyjątków...”. „W takim razie proszę koniecznie sięgnąć do jego twórczości” – odparłem – „jestem pewien, że wtedy zmieni pan zdanie”.

Nie mam pojęcia, czy spotkany na Piazza San Pietro redaktor kiedykolwiek skorzystał z mojej rady, choć poziom komentarzy, jakie pojawiały się później na jego portalu pod adresem Benedykta XVI, każe mi szczerze w to wątpić. Niemniej jednak, pierwszą osobą, która zabrała się do uważnego studium dzieł Ratzingera, stałem się ja sam. W dniu rozpoczynającym pontyfikat niemieckiego papieża byłem już po lekturze *Wprowadzenia w chrześcijaństwo* i *Ducha liturgii*. Znałem też wywiad-rzekę *Sól ziemi* i kilka dokumentów Kongregacji Nauki Wiary, które jako kardynał sygnował swoim nazwiskiem. Postanowiłem zatem, że kolejne miesiące i lata papieskiej posługi Benedykta XVI będą dla mnie okazją, by poszerzyć znajomość jego myśli teologicznej. Jakiś czas później Bóg dał mi łaskę pogłębienia tych zainteresowań na seminarium naukowym, prowadzonym przez Księdza Profesora Jerzego Szymika.

W ten sposób niepostrzeżenie Joseph Ratzinger stał się moim przewodnikiem po tajnikach chrystologii, eklezjologii, eschatologii czy wreszcie metateologii. Spośród mnóstwa fascynujących wątków jego myśli teologicznej szczególnie bliskie stały się dla mnie dwa zagadnienia. Pierwszym z nich jest możliwość dojścia do prawdy w procesie poznania teologicznego. Drugie to uzasadnienie, iż o rezultatach aktu poznawczego teologii możemy mówić w kategorii „pewności”, a nie „powątpiewania”. Obydwu tym kwestiom warto z pewnością przyjrzeć się nieco dokładniej.

Poznanie prawdy

Joseph Ratzinger podkreśla wielokrotnie, że jednym z fundamentalnych zadań teologii jest służenie poznaniu prawdy objawionej. Rezultatem każdego aktu poznania teologicznego ma być więc konkretna treść, będąca racjonalnym uzasadnieniem przesłanek proponowanych przez wiarę. Nie chodzi tu tylko o zrozumienie funkcjonowania rzeczy, ale o prawdę ludzkiego istnienia². Teologia

² Por. J. Ratzinger, *Prawda w teologii*, Kraków 2005, s. 63.

ma dawać człowiekowi światło dotyczące jego pochodzenia i przeznaczenia, kwestii bycia szczęśliwym, sensu życia i śmierci, a ostatecznie także samego Boga.

Ratzinger podkreśla, że teologia, jak i w ogóle chrześcijaństwo, głosi zgodnie ze swymi aspiracjami, że ma do powiedzenia coś o Bogu, człowieku i świecie – „coś, co jest prawdą i źródłem światła”³. Istotne staje się więc pytanie, skąd bierze się roszczenie teologii do prawdy? Co sprawia, że treść będąca owocem procesu poznania teologicznego może zostać uznana za wiarygodną?

Niemiecki teolog wskazuje, że podstawową przesłanką uzasadniającą wspomniane roszczenie jest fakt objawienia się Boga. To sam Bóg postanowił wyjść naprzeciwko człowiekowi, ukazał mu swoje oblicze i otworzył przed nim serce, a tym samym rozpostarty został przed teologią horyzont prawdy⁴. Przekazana w objawieniu prawda jest zatem darem Boga, dzięki któremu człowiek otrzymuje światło co do podstawowych zagadnień swego istnienia.

W sygnowanej swoim nazwiskiem instrukcji Kongregacji Nauki Wiary *Donum veritatis* Ratzinger ujmuje tę kwestię w następujący sposób:

„Bóg w swojej bezgranicznej miłości zechciał być blisko człowieka poszukującego własnej tożsamości i z nim przebywać (por. Łk 24,15). Uwolnił go także z zasadzek «ojca kłamstwa» (por. J 8,44) i umożliwił mu wewnętrzny związek z sobą, aby człowiek mógł znaleźć, i to przeobficie, ostateczną prawdę i swoją rzeczywistą wolność. Ten wywodzący się od «Ojca światłości» (Jk 1,16; por. 1 P 2,9; 1 J 1,5), pełen miłości zamysł, spełniony przez Syna, zwyciężąc śmierci (por. J 8,36), jest stale aktualizowany przez działanie Ducha prowadzącego do «pełnej prawdy» (J 16,13)”⁵.

Roszczenie teologii dotyczące jej wiarygodności wynika zatem z zamiaru samego Boga, który chce, „by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2,4). Ratzinger zwraca uwagę, że teologia z samej swej istoty zakłada *auctoritas*. Oznacza to, że istnieje ona tylko dlatego, że obieg jej własnego myślenia został przerwany przez kogoś, „kto w jego kierunku wyciągnął rękę, która je pociąga ku górze, ponad jego własne siły”⁶. Bez tej przesłanki,

³ Tenże, *Bóg i świat. Wiara i życie w dzisiejszych czasach* [rozm. P. Seewald], Kraków 2005 s. 242.

⁴ Por. tenże, *Kościół. Pielgrzymująca wspólnota wiary*, Kraków 2005, s. 16 i 268.

⁵ Kongregacja Nauki Wiary, *Donum veritatis. Instrukcja o powołaniu teologa w Kościele*, Rzym 1990, 3.

⁶ J. Ratzinger, *Kościół...*, s. 27.

odpowiedzi przekraczającej to, co człowiek sam znalazł, nie ma tak naprawdę teologii.

Autorytetem poruszającym serce i wprawiającym w ruch myślenie, jest przede wszystkim słowo samego Boga, który jest Prawdą⁷. To słowo dostępne człowiekowi w akcie wiary ma prowadzić go do przyjęcia i zrozumienia sensu danego mu z góry. Stąd też wynika kolejność etapów w akcie poznania teologicznego. Fakt zaangażowania się Boga w ludzkie sprawy, Jego wyjścia naprzeciw człowiekowi sprawia, że rozum potrzebuje uprzedzającego światła wiary, by był w pełni sobą i mógł dojść do poznania prawdy⁸.

W akcie poznania teologicznego – przypomina Joseph Ratzinger – prawda jest pierwszorzędnie dostępna dzięki wierze. Bóg objawiający prawdę w swoim słowie, porusza serce człowieka, by doprowadzić go do aktu wiary. Ta z kolei jest „podarowanym nowym początkiem myślenia”, którego człowiek o własnych siłach nie byłby w stanie podjąć. Konsekwencją otwarcia się serca na prawdę staje się proces rozumowania:

„Prawda rozjaśnia [...] cały nasz byt, a więc angażuje też nasz intelekt, chce zostać przezeń zrozumiana. Prawda ta zwraca się jako prawda do rozumu i musi zostać przezeń pomyślana, by człowiek ją przyswoił, by mogła rozwinąć całą swoją siłę”⁹.

Owocem aktu poznania teologicznego ma być zatem prawda, której gwarantem autentyczności jest sam Bóg. Treść wydobyta z objawienia przez teologię nie jest jedynie hipotezą ludzkiej myśli. Teologia mówi o pochodzącej od Boga prawdzie, gdyż to sam Bóg przemówił do człowieka.

Akt poznania teologicznego nie jest oczywiście w stanie objąć całej prawdy objawienia. Proces ten musi być stale otwarty na nowość Bożego słowa, które wyprzedza ludzkie myślenie. Słowo podarowane przez Boga zawsze będzie zadaniem, którego w historii nigdy do końca nie będzie można wyczerpać¹⁰. Chociaż prawda objawiona przekracza rozum ludzki i ostatecznie pozostanie dla niego niezgłębiona, to jednak właśnie rozum jest „danym przez Boga narzędziem poznawania prawdy”¹¹. Dlatego też prawda pozostaje w harmonii

⁷ Por. Benedykt XVI, Adhortacja apostolska *Verbum Domini*, Katowice 2011, s. 20-22.

⁸ Por. J. Ratzinger, Encyklika *Spe salvi*, Kraków 2007, 23.

⁹ J. Ratzinger, *Prawda...*, s. 63.

¹⁰ Por. tamże, s. 120-121 oraz J. Ratzinger, *Bóg i świat...*, s. 43.

¹¹ Kongregacja Nauki Wiary, *Donum veritatis*, 6.

z rozumem, przenika go i zaprasza do wejścia w światło umożliwiające zrozumienie.

Roszczenie teologii co do wiarygodności poznanych przez nią treści wynika zatem zarówno z autorytetu samoobjawiającego się Boga, jak i z naturalnej zdolności rozumu ludzkiego do poznania prawdy. Dążenie intelektu ku prawdzie pozwala mu przeniknąć treść objawienia i tym samym dojść do przyjęcia i zrozumienia objawionego przez Boga sensu.

W tym miejscu Ratzinger zwraca jeszcze uwagę na trudność w wyrażeniu prawdy poznanej w akcie teologicznym. Treści wiary nie można zrozumieć tak, jak dowolnej formuły matematycznej i nigdy nie stanie się ona dla człowieka całkowicie przejrzysta. Poznanie teologiczne poprzez wiarę dochodzi do coraz głębszych warstw, w misterium Bożej nieskończoności, „poza wszelkie słowa i formuły, w to, co przed mową i ponad nią”¹². Dlatego też ludzkie słowa, poprzez które wypowiada się wiara, nigdy nie będą w stanie całkowicie ująć jej treści. W odróżnieniu od precyzji języka matematycznego, przedmiotu wiary nie da się ująć w sposób jednoznaczny, zaś im głębiej ludzkie słowa docierają do sedna rzeczywistości objawionej, tym mniej okazują się wystarczające.

Możliwości języka w wyrażeniu prawdy poznanej przez teologię są więc mocno ograniczone. Stąd też konkretne orzeczenia językowe wiary muszą być często wyrażane za pomocą obrazów, a nie pojęć.

Pewność wiary

Istotnym problemem w rozważaniach dotyczących procesu poznania teologicznego jest kwestia wartości jego rezultatów. Innymi słowy, chodzi o to, czy przyjęta prawda wiary może dać człowiekowi pewność, czy też należy do niej podchodzić z krytycznym powątpiewaniem.

Joseph Ratzinger podejmuje to zagadnienie, wychodząc od zrozumiałej w języku niemieckim dwuznaczności terminu „wiara”¹³. W pierwszym, potocznym znaczeniu słowo *Glaube* stosowane jest do wyrażenia niedoskonałej formy poznania. Używając czasownika

¹² J. Ratzinger, *Prawda...*, s. 110.

¹³ Taka dwuznaczność nie zachodzi w języku polskim. Podobna do niemieckiej ambiwalencja znaczeniowa ma miejsce np. w języku włoskim, gdzie czasownik *credere* może wyrażać zarówno wiarę, jak również mniemanie, myślenie, przekonanie.

glauben, wyraża się jakieś przekonanie, sąd, mniemanie, na przykład: „myślę (niem. „wierzę”), że jutro będzie ładna pogoda”, lub „myślę (niem. „wierzę”), że dana wiadomość jest prawdziwa”. To użycie terminu „wiara” odnosi się więc do poznania niepełnego, które jest formą przypuszczenia i nie osiągnęło statusu wiedzy. Stąd rodzi się mylne przekonanie, że również w domenie religijnej słowo „wiara” służy do wyrażenia niedoskonałego, wstępnego etapu wiedzy.

Wskazany tu problem wykracza oczywiście daleko poza kwestie filologiczne i przejawia się w kwestionowaniu wartości poznania uzyskanego w akcie teologicznym. Podstawowym zarzutem jest tu negacja pewności wiary. Przekonanie, że jest ona oparta jedynie na przypuszczeniach (*Glaube* jako mniemanie) prowadzi do stwierdzenia, że jej koniecznym warunkiem musi być powątpiewanie. Jedną z przyczyn takiego myślenia jest pozytywizm poznawczy, dla którego sposobem dochodzenia do pewności są jedynie metody nowożytnych nauk przyrodniczych¹⁴. Wszystko inne staje się tu tylko hipotezą, a wszelka wiara w ostatecznym rozrachunku sprowadzona jest do „być może”.

Joseph Ratzinger polemizuje z tym poglądem, stwierdzając, że dla wierzącego chrześcijanina słowo „wierzę” oznacza „pewność szczególnego rodzaju”. Jest to pewność zawierająca w sobie moment, w którym jeszcze nie wszystko jest jasne, posiadająca element „cień i obrazu”, ale jednocześnie pod pewnym względem jest pewnością większą od pewności wiedzy¹⁵. Jak przekonuje niemiecki teolog, wiary nie można utożsamiać z powątpiewaniem, gdyż formy wykazywania pewności nowożytnych nauk przyrodniczych nie są jedynym sposobem dochodzenia człowieka do pewności. Według Ratzingera w przestrzeni wiary mamy do czynienia z inną formą zdobywania pewności:

„Jak człowiek bywa pewny miłości drugiego, mimo iż nie może jej zweryfikować metodami nauk przyrodniczych, tak samo w relacjach między Bogiem i człowiekiem istnieje pewność, która jest zupełnie innej natury niż pewności myślenia obiektywizującego. Wiare przeżywamy nie jako hipotezę, lecz jako pewność stanowiącą fundament naszego życia”¹⁶.

Bawarski kardynał zauważa, że miłości nie wolno traktować jako hipotezy, którą należałoby poddawać ciągłej weryfikacji.

¹⁴ Szerzej omawia tę kwestię J. Szymik w *Theologia benedicta*, t. 1, Katowice 2010, s. 51.

¹⁵ Por. J. Ratzinger, *Kościół...*, s. 14.

¹⁶ Tamże, s. 15.

Sprowadzenie jej do przedmiotu, który podlegałby dowolnym manipulacjom, podważałoby samą jej istotę. Natomiast przyznawanie wartości jedynie tezom dowiedzionym metodami nauk przyrodniczych doprowadziłoby do utraty z horyzontu istotnych, ludzkich problemów wraz z ich całkiem innym rodzajem pewności. Takiej obiektywizacji nie można przede wszystkim poddać samego Boga, ani tym bardziej próbować wtłoczyć Go w naukowe kategorie poznawcze. Wiara nie jest więc ani mniemaniem, ani powątpiewaniem, ale pewnością, że Bóg poprzez swoje objawienie otworzył przed człowiekiem horyzont prawdy.

Joseph Ratzinger dowodzi w ten sposób, że dojście do pewności możliwe jest nie tylko na drodze metod nowożytnych nauk przyrodniczych. Nauki te ograniczają się bowiem jedynie do „fenomenów”, do zjawisk, do tego, co uchwytne. Ich perspektywę stanowi tylko to, co widzialne i możliwe do zmierzenia. Rezygnują one jednak z poszukiwania tego, czym jest „rzecz sama w sobie”, nie chcą zgłębiać istoty bytu, uznając ją za coś niedosięgalnego¹⁷. Tymczasem właśnie teologia, będąca odzwierciedleniem aktu wiary, przynosi człowiekowi całkiem nową formę poznania, poprzez którą możliwe jest dojście do pewności w kwestiach fundamentalnych dla ludzkiego istnienia.

Wobec pewności płynącej z wiary formułowane są również inne, odwrotne argumenty, których wyrazicielami w historii byli Martin Heidegger i Karl Jaspers. Obydwaj egzystencjaliści twierdzili, że charakterystyczna pewność wiary nie pozostawia miejsca na stawianie pytań, wyklucza autentyczne badania naukowe i poszukiwanie ostatecznej prawdy. Według Heideggera istotą filozofii jest stawianie pytań, a zatem każdy, kto jest przekonany o posiadaniu odpowiedzi, nie może filozofować. Jaspers dopowiada, że wierzący nie może być filozofem, gdyż wszelkie pytania jego stają się pozorne i musi on dochodzić do udzielonej już odpowiedzi. Tym samym według Jaspersa teologia nie może być uznawana za autentyczną wiedzę, a jej argumentacja ma charakter pozorny, uwarunkowany odpowiedziami danymi już wcześniej.

Ratzinger wskazuje, że w ten sposób teologia wydaje się stawać wobec podwójnej aporii. Z jednej strony, wiara, która byłaby jedynie powątpiewaniem, nie byłaby w stanie dać mocnego fundamentu pod myślenie naukowe. Z drugiej strony, jeśli wiara dostarcza jedynie

¹⁷ Por. J. Ratzinger, *Wprowadzenie w chrześcijaństwo*, Kraków 2006, s. 55.

gotowych i pewnych odpowiedzi, to wyklucza tym samym autentyczne naukowe poszukiwanie. Ostatecznie jednak obydwie przeciwstawne pozycje formułują zarzut wobec wiary, wychodząc z tego samego założenia, że istnieje tylko jedna forma pewności. Niemiecki teolog twierdzi, że jest to założenie błędne, gdyż nie bierze pod uwagę specyficznej struktury wiary. W odpowiedzi na krytykę poznania teologicznego i pewności wiary Ratzinger proponuje refleksję nad następującymi pytaniami:

„Czy rzeczywiście chrześcijańskie odpowiedzi są tego rodzaju, że zamykają drogę myśleniu? Czy odpowiedzi dotyczące rzeczy ostatecznych nie są ze swej natury zawsze otwarte ku temu co Niewypowiedziane, a także Niewypowiadalne? Czy nie mogłoby być tak, że właściwie dopiero takie odpowiedzi dają pytaniom ich prawdziwą głębię i dramatyzm? Czy nie mogłoby być tak, że radykalizują one zarówno myślenie jak i pytanie, wskazując drogę zamiast blokować?”¹⁸.

Zarzuty Heideggera i Jaspersa okazują się bezpodstawne, gdy zauważy się, że uprzedzająca wiedza wiary nie niszczy myślenia, ani nie znosi stawiania pytań. Wprost przeciwnie, odpowiedź wiary daje rozumowi prawdziwie wielkie wyzwania i wywołuje w nim twórczy niepokój¹⁹. Joseph Ratzinger dodaje, że wiara słyszy odpowiedź, gdyż nieustannie podtrzymuje pytanie, które stanowi integralny składnik jej istoty²⁰. Ponieważ odpowiedź wiary stale utrzymana jest w związku ze swoim pytaniem, dlatego też jest odpowiedzią wiarygodną.

Pewność zdobyta w teologicznym procesie poznania broni się przed zarzutami egzystencjalistów dzięki specyfice wiary. Autor *Wprowadzenia w chrześcijaństwo* przypomina, że w akcie wiary „otrzymanie wyprzedza wykonanie. Nie umniejsza to wartości wykonywania ani nie czyni go zbytecznym. Tylko dlatego, żeśmy otrzymali, możemy także wykonywać”²¹. A zatem odpowiedź proponowana przez wiarę nie tylko nie przekreśla wartości stawianych przez człowieka pytań, ale wręcz umożliwia dostrzeżenie ich głębi i jeszcze bardziej je radykalizuje.

¹⁸ Tenże, *Prawda...*, s. 17.

¹⁹ Por. tenże, *Kościół...*, s. 22.

²⁰ Por. tenże, *Prawda...*, s. 24.

²¹ Tenże, *Wprowadzenie w chrześcijaństwo*, s. 72.

Intelektualna przygoda z Ratzingerem nauczyła mnie, że piękno i wielkość teologii polega na tym, iż dzięki wierze sięga ona prawdy samego Boga, a poprzez działanie rozumu przekłada ją na konkret codziennych zmagañ człowieka, dając mu odpowiedzi dotyczące fundamentalnych zagadnień jego egzystencji. Papież, który jako motto swojej biskupiej posługi wybrał zawołanie *Cooperatores Veritatis*, jasno wskazał mi cel zarówno dociekań teologicznych, jak i codziennej posługi duszpasterskiej. Jest nim ciągle poszukiwanie prawdy samego Boga, odczytywanie rzeczywistości w jej świetle i wreszcie prowadzenie innych do spotkania z Tym, który daje się każdemu poznać przez wiarę.

Szymon Kiera, ur. w 1976 roku w Chorzowie, od 2003 roku prezbiter Archidiecezji Katowickiej. W latach 2003–2013 studiował przy *Pontificio Istituto Liturgico Sant'Anselmo* i *Pontificio Istituto di Spiritualità Teresianum* w Rzymie, pracował jako wikariusz i kapelan sióstr jadwizanek w Katowicach-Bogucicach oraz jako misjonarz archidiecezjalny. Aktualnie pracuje jako wikariusz przy parafii NMP Wspomożenia Wiernych w Katowicach, jest współpracownikiem „Gościa Niedzielnego” oraz członkiem komisji ds. świeckich II Synodu Archidiecezji Katowickiej. Przygotowuje doktorat *Teologia Bożego Miłosierdzia w ujęciu świętej Teresy od Jezusa* pod kierunkiem ks. prof. Jerzego Szymika na Wydziale Teologicznym UŚ.

Maja Kiermacz

Wdzięczne przywiązanie

„...staralem się niestrudzenie tchnąć w Wasze dusze to,
co jest najlepszą częstką mojej duszy własnej...”

Z przemówienia Kazimierza Twardowskiego,
uhonorowanego w 1931 roku przez uczniów
medalem *Discipulorum amor et pietas*

„Teologowi pierwszorzędnie nie chodzi o *uczone teorie*.
Pyta, myśli, wierzy, «[...] bo śmierć siedzi mu na karku».
Nie szuka hipotez, ale sposobu sprostania życiu
poprzez przezwyciężanie umierania”.

J. Szymik, *Teologia i my* (Wykład wygłoszony w auli Wydziału
Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach podczas
Wielkiego Zlotu Seminarzystów z okazji 60. urodzin Profesora)

Zamiast wstępu

Choć entuzjastycznie zareagowałam na propozycję „opisu mojej wędrówki z teologią”, inspirowanej spotkaniem z osobą i refleksją Księdza Profesora Jerzego Szymika, od razu uderzyła mnie myśl o praktycznej niewykonalności tego zadania. To jak z przelaniem łyżeczką oceanu, jak z opisaniem przestrzeni rozpiętej pomiędzy niebem i ziemią, myślę. Niech więc niniejszy tekst pozostanie tylko garścią impresji – zarówno o moim osobistym początku przygody z teologią, jak i o spotkaniu z fenomenem Księdza Profesora oraz spotkania tego następstwach. A wszystko „z wnętrza”, z akcentem na osobę Mistrza, bez pokusy opisywania jego dzieła, bo to „za duży wiatr na moją wełnę”.

Teologiczne poruszenie

Szkicuję z pamięci: jest jesień 1986 roku, odziana w przyduży chirurgiczny fartuch wybiegam z pokoju opatrunkowego, szybko do

sali nr 6, zerknąć na panią Krysię, może czegoś potrzebuje, wczoraj wyglądała niespecjalnie. Już w progu widzę... łóżko bez pościeli, oczekujące nowej pacjentki. Zwalniam. Ze ściśniętym gardłem skręcam w korytarz „męski”, zastanawiając się, czy pan Stanisław jeszcze..., bo wczoraj przecież pana Janka już nie zobaczyłam... Może raczej wyczyszczyć te statywy do kroplówek....

Dziesięć lat później, mądrzejsza m.in. o wykłady Księdza Profesora, już wiem, że powodem porzucenia przeze mnie dylematów: anglistyka czy medycyna, a może jednak polonistyka lub chemia i łapczywe rzucenie się w wir KUL-owskiej teologii było egzystencjalne tsunami, które w nieistniejącym dziś szpitalu *Juliusz* w Rybniku dosięgło piętnastoletnią wówczas licealistkę. Oddział onkologii w czasach siemiennej medycyny schyłku PRL-u, brak dosłownie wszystkiego – pielęgniarek, salowych, leków, opatrunków – skłonił ówczesnego ordynatora do poproszenia o pomoc kilku uczennic z sąsiedniego Liceum Sióstr Urszulanek. Dziewczyny myślą o studiach medycznych, więc wolontariat w szpitalu (który zresztą świetnie zorganizowano, nie zamykając przed nami nawet bloku operacyjnego) dobrze im zrobi, a pacjentom przyda się szeroko rozumiana pomoc i opieka – dumiał.

Pewnie nigdy nie zdał sobie sprawy, że żadna z nas nie pozostała po tym doświadczeniu sobą, to jest beztroską nastolatką, nieświadomą nieodwołalności kresu ludzkiego życia. Dla każdej stało się ono przeżyciem najgłębiej formatującym własne jestestwo – frontalnym zderzeniem z faktem najgłębszego cierpienia, wrzuceniem wprost w orbitę śmierci.

Decyzja u progu matury była więc prosta – szkoda życia na praktykę leczenia, które nie ocala, szkoda na brodzenie w meandrach wiedzy, która nie odpowiada na jedyne godne namysłu pytanie, szkoda czasu na przewalanie tomiszczy uwodzących fałszywymi opowieściami, bo może i niejeden ich autor „wielkim pisarzem jest”, ale czy z ostrością skalpela pokazuje cel życia? Trzeba sięgnąć od razu do Źródła sensu, do próby intelektualnego dotknięcia Tajemnicy Tego, co ma „słowa życia wiecznego” (J 6,68).

Pierwsze wrażenie

No i zaczęła się jazda. Frapujące studium filozofii, później pierwsze wykłady z „prawdziwej” teologii – fundamentalnej, teodycei

i wreszcie z teologii dogmatycznej. A wraz z nimi spotkanie z nowym Wykładowcą (na drugi-trzeci rok moich studiów przypada początek pracy dydaktycznej w KUL naszego Mistrza), czyli... czas otwarcia przed nami nieprzewidzianych światów.

Od razu rejestrujemy niestandardowość nowego Nauczyciela, nie wiedząc, co o niej stanowi: świeżość języka (nasz Mistrz jest przecież poetą), zakres *imaginarium* kulturowego (ich fizycznym znakiem spiętrzenie rozmaitych publikacji na profesorskiej katedrze), osobiste zaangażowanie w głoszone treści, wybitnie personalne podejście do słuchaczy, troska o ich reakcje, a może sam fakt, że ten oto człowiek mówi nam o rzeczach absolutnie naj..., właściwie o sprawach, o których powiedzieć dorzecznie (tak wówczas myślałam) nie sposób?

Jakaś niezwykła kompilacja czynników wymienionych oraz wielu innych, których istnienie jedynie przeczuwaliśmy, od razu postawiła nas wobec wyboru – fascynacja i podziw lub wynikła z niezrozumienia (nie-pojęcia) jego nowości (inności) rezerwa. Autentyzm Profesora wywoływał bowiem w słuchaczach mojego roku dwie skrajne postawy – bezwarunkową akceptację lub dystans. Oczywiście lwia część kursu plasowała się w pierwszej grupie, ale byli i chmurni, których zbroją przeciw nowatorstwu Mistrza stawał się brak zaufania. Na ile z kolei niemal bezgraniczne zaufanie do niego groziło stanieniem się mentalną kopią Nauczyciela, niech pozostanie pytaniem retorycznym.

Świeżość podejścia Księdza Jerzego do studentów przejawiała się zwłaszcza w dydaktyce. Jeśli dla wielu miarą doskonałości nauczyciela akademickiego był sprawny rzemieślnik, chłodną głową ogarniający temat – bo już nie reakcje i potrzeby słuchaczy, jeśli guru niewymagający więcej niż niezbędne do zaliczenia przedmiotu, to nasz Profesor tę miarkę wysadził w powietrze. Nienawykłym do wysokich temperatur w relacjach akademickich, ceniącym przewidywalność kostycznych zachowań i minimalizm wymagań postawa młodego Wykładowcy mogła wydać się dziwna, a nawet groźna. Groźna dla ich świętego spokoju (niech on nie docieka moich motywacji), dla utkwienia w szablonie (żadnych prac pisemnych), dla wątpliwości wyobraźni religijnej (po co czytać tytuły spoza „branży”).

Mniemam jednak, że cierpliwa praca Profesora nad łękami „bezbrownych dwudziestolatków”, zjednała mu ostatecznie wszystkich studentów. Był Nauczycielem wymagającym, lecz pełnym empatii, zdającym się mówić: „towarzyszę ci, możesz na mnie liczyć”.

Szczęśliwie, nasz Mistrz nie pozostawał w tych zabiegach całkiem osamotniony. Uniwersytet dał nam bowiem możliwość obcowania z niejedną postacią megaformatu.

Próba nazwania fenomenu

Patrząc z dystansu ponad dwudziestu (już!) lat na dokonania naszego Profesora, uświadamiam sobie, że oddanie wielowymiarowości jego postaci ograniczone jest zarówno nieodzowną fragmentarycznością postrzegania, jak i niemożnością precyzyjnego nazwania postrzeganego. Jeśli jednak płaszczyzna zapisanej stronicy ma choć odrobinę oddać wielkość osoby, to punkt przecięcia perspektywy upatruję (wysoce subiektywnie i skrajnie schematycznie) w przypadku Księdza Jerzego w zbiegu czterech komponentów. Dwa z nich odnoszą się do kompetencji moralnych oraz interpersonalnych, kolejne dwa do walorów intelektualnych, przekładających się na typ uprawianej przez Profesora teologii.

Pierwsza z cech to świadomie budowana z każdym z nas relacja mistrz–uczeń, motywowana troską o dobro tej oto i tego oto młodego człowieka. Troską bardzo zindywidualizowaną, wychyloną ku konkretnemu uczniowi, z jego ograniczeniami, choć z akcentem na osobisty potencjał. Przy stale zwiększającej się liczbie studentów zadanie niemal niewykonalne, w wydaniu Profesora jednak – genialne i do tego stopnia wnikliwie, że wielu wrażliwców obawiało się deszyfracji tego, co też im w duszy gra. Relacja mistrz–uczeń dla zgłębiania naszej dyscypliny okazuje się nieodzowna, skoro teologia (jako „efekt” zdobywania wiedzy) jest więcej niż nauką. Jak chciał Akwinata, jest ona mądrością – zarówno ściśle teologiczną, opartą na intelektualnym wnikaniu w treść wiary, jak i „mądrością świętych”, czyli darem Ducha Świętego. Na tak wysokim pułapie wtajemniczenia cierpliwe i wyrozumiałe towarzyszenie mistrza jest dla ucznia jak tlen – widzę to jaskrawo po latach. W tych przestrzeniach mentor przestaje być tylko autorytetem naukowym, ale kształtuje, rzeźbi różne (wszystkie?) poziomy życia uczniów („ciężar odpowiedzialności”). Myślę, że Ksiądz Profesor krzewił i pielęgnował w nas cnotę podatności na nauczanie – *docilitas*, wyrażającą się w postawie akceptacji prawdy podanej przez nauczyciela. Prawdy nie tyle wykonywanej, ile twórczo wywiedzionej z niedosiężnych rejonów Tajemnicy.

Docieramy w tym miejscu do następnego przymiotu Profesora. Bycie mistrzem *scientiae fidei* nie jest możliwe bez daru świadectwa wynikającego z osobistej relacji z Jezusem Chrystusem. Przepraszam za skrajnie prywatny – ufam, że nie skrajnie obcesowy wtór (dotyczy rejonu, w który nie śmiem nawet zerkać), jednak przeżyty i zapamiętany widok Nauczyciela klęczącego przy kratkach konfesjonału i przed Najświętszym Sakramentem Eucharystii w jednym ze śródmiejskich kościołów Lublina pozostawia niezatarte wrażenie. To nieklamany dar dla adepta świętej nauki, pozostający kliszą, przez którą intelekt przesącza treści traktatów teologicznych. Ma on moc za-pewnienia o prawdzie owych treści, prawdzie, która autentycznie znaczy – intelektualnie i egzystencjalnie. Dar świadectwa osadza ucznia w pewności, że otrzymał skarb – słowo życia, perłę, zbroję, tarczę, przepis na szczęście, GPS; że otrzymał wszystko i że wiele lat po egzaminie z *De Deo Uno et Trino*, kiedy przyjdzie niejeden egzamin z życia, ów puklerz ostatecznie go ochroni – pomimo i wbrew własnym grzechom.

Pierwszy z komponentów oddających niezwykłość intelektualną naszego Profesora to ogromna waga przykładana do kontekstualizacji teologii – badania znaków czasu, odnoszenia refleksji do żywej tkanki świata, wyczuwania przemian kulturowych i ich znaczenia dla naszej dyscypliny, rozumienia tendencji kształtujących zbiorową wyobraźnię, namysłu nad językiem refleksji teologicznej oraz przepowiadania. Profesor zawsze uwrażliwiał nas na wyłapywanie sygnałów kodujących stan cywilizacji, zachęcał do wyzbycia się postawy zabarykadowania w bibliotece z lęku przed huraganem „potężnych sił antywangelizacji” (Jana Paweł II).

Oczywiście w zamierzonych czasach moich studiów (biorąc pod uwagę tempo przemian kulturowych, lata dziewięćdziesiąte XX wieku to dziś prehistoria) kontekst uprawiania teologii w Europie znacząco różnił się od dzisiejszego – intelektualna Sahara ośrodków akademickich (w których zanikło rozumienie mądrości jako wiedzy otwartej na moralne dobro) była ledwie zapowiedzią stepu, wykształcenia nie utożsamiano z korzystaniem z zasobów komputera, a refleksji nie równano do wodzenia oczyma po monitorze, słowem – oglupienie duchowe było wówczas ledwie wątłym pagórkiem, dziś stało się osuwiskiem destrukcji. Tym silniej teologia pozostaje więc dzisiaj znakiem sprzeciwu, ale zarazem palącym, choć z rzadka uświadamianym pragnieniem zdechrystianizowanego świata, bo przecież dla niego – a nie dla samej siebie – istnieje.

Troską naszego Mistrza zawsze była współpraca teologii z kulturą, Kościoła ze światem w najgłębszym przekonaniu, że Kościół, teologia, ostatecznie – Chrystus – ma temu światu coś do zaoferowania. Antychrześcijański zwrot dzisiejszej (rozumianej maksymalnie szeroko) kultury musi wszak budzić słuszny sprzeciw teologa i sprzeciw ów nasz Profesor zawsze artykułował. Chodzi ostatecznie o odwagę wyrażenia niezgody na chrystofobiczny kształt cywilizacji, o stanie w prawdzie wobec dewiacji współczesności, bo nie wszystko można oswoić, nie każdą aberrację skropić święconą wodą, jak trafnie bowiem zauważa krytyk kultury Andrzej Horubała: „są rzeczy większe od tych książczyn, są rzeczy potężniejsze niż filozofia uprawiana w błazeńskim kostiumie”.

Ostatni wreszcie – obiektywnie najistotniejszy – komponent osoby i dzieła Księdza Profesora to wielkość uprawianej przezeń refleksji teologicznej, która doczeka się z pewnością wielu fachowych analiz oraz wnikliwych syntez. Mam tu na myśli jej źródła, zakres, konteksty, głębię, implikacje. By poczuć ciężar gatunkowy tej teologii, wystarczy sięgnąć po pierwszy lub drugi tom *Theologia benedicta* i... od razu wpaść w głębinę zapierającej dech w piersiach przygody (intelektualnej, duchowej, egzystencjalnej), która uświadamia ogrom pracy umysłu i serca wykonanej przez Profesora w ciągu ostatnich dwudziestu lat. W niczym nie umniejszając jego wcześniejszych dokonań, lektura najnowszej pracy Teologa działa na intelekt niczym wystrzelenie wprost na orbitę Neptuna, porażając rozmachem, trafnością diagnoz, zbalansowaniem aspektów, kierunkami interpretacji, egzystencjalnymi implikacjami (liturgia!), maestrią języka. Czytając najnowsze dzieło Księdza Szymika, zwyczajnie zazdroszczę aktualnym słuchaczom jego wykładów (przywilej późno urodzonych), że oto dostają wykład teologii w arcydojrzałej, więcej – w arcydzielnej postaci. Zazdroszczę też sobie, że miałam szczęście być uczennicą Człowieka Mądrego.

Zawsze bliski mi będzie swoisty kod genetyczny teologii Księdza Profesora, czyli zbiór reguł, pozwalających na „stworzenie” oraz „rozszyfrowanie” poprawnej doktrynalnie, nośnej treściowo, nowatorskiej językowo i ważkiej życiowo teologii. Sekwencja zasad tak kodowanej *scietiae fidei* obejmuje, w moim przekonaniu, następujące czynniki: ostateczny prymat Boga (tak w refleksji, jak i w życiu), ześrodkowanie na prawdzie, naukowość (racjonalność), kontemplatywność (modlitwa jako paliwo teologii), wierność źródłom, eklezjalność, unikanie fałszywych alternatyw (Bóg – człowiek, wiara

– wiedza, tradycja – nowoczesność *etc.*), szacunek wobec Tajemnicy, wolną od wykluczenia, gotową na cierpienie postawę dialogu i otwarcia na innego, katolickość (maksymalne rozwarcie kąta widzenia), komunikatywność (troska o precyzję i piękno języka), odniesienie do (a nie oderwanie od) znaków czasu, troskę o egzystencjalne konsekwencje. Tylko tyle i aż tyle. A może i wiele, wiele więcej...

Zupełnie na koniec i całkiem prywatnie (po przekroczeniu Rubikonu czterdziestki można) wyznam, że w całym procesie edukacji właśnie osoba i dzieło (lektury, lektury) Księdza Profesora miały (i mają) na mnie największy wpływ, nie pomijając znaczenia innych znamienitych mentorów. Przede wszystkim w wymiarze intelektualnym, choć nie tylko – ukształtowały mój sposób myślenia o Bogu, o świecie, o Kościele i o wzajemnych odniesieniach tych rzeczywiście. Więcej, nasz Mistrz stał się dla mnie wzorem nauczyciela, wzorem kapłana oraz wzorem relacji, jakie profesor, kapłan może mieć z uczniem, z osobą świecką, z kobietą. To jak matryca wdrukowana w osobowość, o której istnieniu nie pamiętamy, a do której nieświadomie odnosimy nasze związki z innymi. No i jego poezja, konkretna – ta lub inna – fraza wiersza, jak chroniący przed śmiercią haust powietrza.... Ale to temat na inną opowieść.

Słowem, które obracam w myślach na różne sposoby, a które wyraża moje najgłębsze odniesienie do Profesora, jest *pietas*, wdzięczne przywiązanie.

Maja Kiermacz, ur. 22 stycznia 1971 roku w Gdyni. Ukończyła studia teologiczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Obecnie prowadzi działalność gospodarczą. Zaangażowana w ruch hospicyjny. Mieszka w Beskidzie Śląskim.

Kl. Jacek Kijas

O teologii, *communio* i tym, co w życiu piękne

Moje życiowe spotkanie z teologią przypomina drogę do celu, która prowadzi przez wysokie schody. Z kolejnym stopniem doświadczam bliższego spotkania z Tym, w którym mogę naprawdę wszystko (por. Flp 4,13). Każdy etap tej wędrówki wzwyż przynosi pogłębienie tego, co już za mną i odkrycie pragnienia – by wciąż iść w górę, poznawać więcej i to na poziomie drżenia serca. Postaram się opowiedzieć nieco o szczególnych momentach tej drogi.

Bóg często przychodzi do nas przez ludzi. Dziękuję Mu za wspałałe osoby, które prowadzą mnie do Niego. Wśród nich jest także Ksiądz Profesor Jerzy Szymik. W tej osobistej historii nie zabraknie odniesień do osoby Księdza Profesora, któremu winien jestem wdzięczność za ukończone z powodzeniem studia teologiczne w Katowicach. Czas ten w moim życiu przyniósł wiele zachwytu nad tajemnicą spotkania Boga i człowieka. Był on z pewnością swoistym przygotowaniem do bardzo konkretnego kroku, a może nawet skoku ku wyższym schodom – myślę tu o moim wstąpieniu na drogę przygotowania do kapłaństwa.

Kiedy wracam myślą do momentu w moim życiu, gdy po raz pierwszy mniej lub bardziej świadomie rozpocząłem teologiczne poszukiwania, to z pewnością jest to czas licealny. Nie pamiętam już dobrze, jak to się stało, ale dość głęboko zapisały się wtedy w mojej pamięci słowa św. Jana Pawła II o tym, że „człowieka nie można zrozumieć do końca bez Chrystusa”. Nie dawały mi one spokoju i sprawiły, że po różnych poszukiwaniach trafiłem do Ruchu Światło-Życie. Tutaj rozpoczęło się moje doświadczanie żywego Kościoła, a przede wszystkim wspólnoty. Dziś z perspektywy czasu dziękuję Bogu za to, że w Jego odwiecznym planie spodobało Mu się zbawiać nas przez Kościół, rozumiany jako wertykalne i horyzontalne *communio* z Bogiem i drugim człowiekiem.

Równolegle ze wzrostem zainteresowania Kościołem i nauczaniem Jana Pawła II zdobywałem wtedy cenną wiedzę społeczną

i obywatelską. Byłem stałym bywalcem konkursów i olimpiad o tematyce unijnej. Mogłem dzięki temu zwiedzić instytucje europejskie i poznawać ludzi, którzy zajmują się polityką. Myślałem o tym, by na studia wybrać się do Katowic. Chciałem składać papiery na politologię, jeden z kierunków proponowanych przez Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Był rok 2005, wczesna wiosna. Niepewność i nerwy przed maturą, wiele wątpliwości oraz pytań krążących po głowie... Był w tym wszystkim Bóg, oazowa wspólnota, częsta Eucharystia. Okazało się, że był to też czas, kiedy do domu Ojca odchodził Jan Paweł II. Na horyzoncie zaś ukazywała się z wolna sylwetka kardynała Josepha Ratzingera, który miał objąć stery Kościoła z woli Ducha Świętego jako papież Benedykt XVI.

Duch Święty działał na kardynałów zgromadzonych w Kaplicy Sykstyńskiej i z pewnością mocno dotykał wtedy również mojego serca. Maleć zaczęła moja pewność związana z wyborem kierunku studiów. Odkryłem wtedy, że Pan upominał się o to, by moje życie, coraz bardziej z Nim związane, nabrało także od strony formalnej teologicznego charakteru. To był początek wspinania się na to piętro po schodach, które nosi nazwę: Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego. Po powrocie z rekolekcji oazowych III stopnia (a więc po świeżym zachwycie nad Kościołem!), w ostatnim możliwym dniu podpisałem się na liście osób, które potwierdzały swoją chęć studiowania świętej teologii.

Ten wstęp był potrzebny, by ukazać, jak moje wcześniejsze życie stanowiło coś na kształt *praeparatio evangelica*. Dzisiaj o wiele jaśniej widzę, jak Boży wspaniały plan dla mojego życia realizował się w kolejnych etapach i prowadził mnie do sal wykładowych przy ul. Jordana 18 w Katowicach. Właśnie tam rozpoczęło się dla mnie poszukiwanie teologii bliskiej życiu, która skutecznie dotyka serca. Miejsce, na którym wzniesiono gmach Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego, wiąże się z działalnością sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego. Kilkadziesiąt lat wcześniej funkcjonowała tu Krucjata Wstrzemięźliwości, którą ostatecznie zlikwidowały władze państwowe. Dzięki temu splotowi faktów czułem od początku, że jestem w miejscu, które łączy najważniejsze dla mnie życiowo sprawy.

Potrzeba było najpierw dwóch trudnych lat zmagania z filozofią, by móc zbliżyć się do teologicznych głębi. Wytrwałość w tym wspinaniu się po kolejnych filozoficznych schodach przyniosła w końcu oczekiwany rezultat. Wkraczałem w świat teologii i niemal od

początku wiedziałem, że ważnym przewodnikiem będzie w nim dla mnie Ksiądz Profesor Jerzy Szymik. Słyszałem o nim już wcześniej. Zaczęło się od „Gościa Niedzielnego”. Tam przeczytałem słowa, które były dla mnie pięknym i głębokim podsumowaniem mojego doświadczenia relacji z Panem. Dziennikarz sięgnął w swym tekście po słowa z rekolekcji dla studentów w krypcie katowickiej archikatedry. Ksiądz Profesor mówił tam o „cudzie Wcielenia, czyli o tym, że Bogu i człowiekowi cudownie jest być razem”¹. Nie spotkałem dotąd tak syntetycznie ujętej prawdy, której niemal namacalnie doświadczało moje serce. Pamiętam, że wypisywałem te słowa na kartkach uczestnikom grupy oazowej, którą wtedy prowadziłem. I one trafiały, trafiały w samo sedno ludzkich pragnień! Później był rok 2006 i piosenka „Uczył nas”, do której Ksiądz Profesor napisał słowa. Była to Piosenka Roku w Ruchu Światło-Życie. Pamiętam płytę z tym utworem i nagrany wywód Księdza Profesora. Było to dla mnie coś niezwykłego, że ten Ksiądz, o którym słyszałem już trochę, mówi tyle dobrych słów o Ruchu. Już wtedy, pod koniec pierwszego roku studiów, wiedziałem, że na pewno zapiszę się na wykład monograficzny, prowadzony przez Księdza Profesora. Potem okazało się, że do wykładu dołączyło także seminarium magisterskie.

Różne wydarzenia, niczym życiowe znaki czasu, doprowadziły mnie do spotkania z Księdzem Profesorem. Ten czas wykładów, spotkań i wyjazdów pozostawił we mnie do dziś kilka niezwykłych śladów. Pewnie mało jest dotąd w tym tekście i nie za wiele będzie w dalszej jego części głębokiej metateologii. Jednak te osobiste odkrycia prowadzą mnie do autentycznego doświadczenia Boga. Stanowią dla mnie istotne elementy *teologii – rozmowy o Bogu i człowieku*². Teologii bliskiej Boga i człowieka. Teologii bliskiej życiu.

Istotne do dziś pozostają dla mnie relacje „mistrz–uczeń”. Wielokrotnie Ksiądz Profesor opowiadał nam, swoim uczniom, jak to ważna relacja w życiu człowieka wierzącego. Nie dla podkreślenia swojej wielkości. Ujmowało mnie zawsze, że właśnie w tym momencie, gdzie można sięgnąć po ludzki prymat, Ksiądz wskazywał na

¹ Taki właśnie tytuł nosiły rekolekcje akademickie, wygłoszone przez Księdza Profesora Jerzego Szymika w krypcie katowickiej katedry Chrystusa Króla w dniach 9–12 kwietnia 2000 r. Spisane treści tych rekolekcji ukazały się nakładem Księgarni Świętego Jacka w 2007 r. w ramach cyklu wydawniczego *Skrypty z Krypty*.

² To tytuł książki Księdza Profesora Jerzego Szymika, która została opublikowana przez Wydawnictwo KUL w czasie moich studiów w Katowicach, w 2008 r.

Mistrza – na Chrystusa. Mówił, że relacja ludzka jest tu ważna, ale tylko wtedy, gdy mistrz *ziemski* prowadzi do Mistrza *boskiego*. Tak pozostaje do dziś i cieszą mnie momenty, gdy mogę tego doświadczać. Jest tak za każdym razem, gdy dane jest mi spotykać Księdza Profesora. To często krótkie spotkania przy okazji sympozjów lub innych wydarzeń na Jasnej Górze czy też w częstochowskim seminarium. Jednak porozumiewawczy błysk oczu jest zawsze ten sam. I to poczucie, że jestem zawsze uczniem uszanowanym przez Księdza Profesora, zapamiętanym. Staram się odwzajemnić moim szacunkiem i życzliwością. Sztuką jest być prawdziwie człowiekiem. I zachwycające jest to, że także Chrystus nas tego uczy do końca. „Oto Człowiek!” (J 19,5) – mówi Piłat, wskazując na ubiczowanego i zakrwawionego Zbawiciela. Oto nasza miara człowieczeństwa, do której zmierzamy!

Z pewnością do końca życia będę wdzięczny Księdzu Profesorowi za to, że przybliżył mi postać Josepha Ratzingera/Benedykta XVI. Dziękuję za zburzenie mitu „pancernego kardynała” oraz ukazanie wielkości i przenikliwości myśli tego wybitnego niemieckiego teologa, czciciela Boga, Maryi i Kościoła. Zaczynałem ten tekst od Jana Pawła II i to z nim wiąże się wiele moich życiowych doświadczeń. Sięgałem do jego nauczania, pisząc pracę magisterską pod opiekuńczymi skrzydłami Księdza Profesora. Jednak pewien skok mojej myśli o Bogu, jej dojrzewanie, wdrapanie się na kolejne teologiczne schody wiąże się z pewnością już z osobą Benedykta XVI. I to niezwykle, że w tym zgiełku i zamieszaniu wokół papieża z Niemiec, tak rzekomo odległego i niemal zamkniętego w bibliotece, Ksiądz Profesor ukazał nam zupełnie inne oblicze Josepha Ratzingera. Dziś poznajemy Kościół prowadzony przez Franciszka, jednak z pewnością, niczego nie umniejszając obecnemu papieżowi, wielu z nas, uczniów Księdza, może powiedzieć: tak, tęsknimy za Benedyktem XVI!

W końcu chcę podkreślić, że zarażam się w sposób pozytywny tym, co charakteryzuje teologiczne poszukiwania Księdza Profesora: dążeniem do odnalezienia możliwie najpełniejszych w danym momencie odpowiedzi na podstawowe pytania ludzkiego życia. Po to, by odkryć, mówiąc językiem Księdza, „jak się rzeczy mają”. Nie zadowalają nas przecież częściowe rozwiązania. Gdy „chodzi o Boga”³, tam proponowane odpowiedzi mają być „dosiężne”,

³ Cykl audycji w Radiu eM, w których Ksiądz Profesor Jerzy Szymik wraz z Dominiką Szczawińską-Ziembą przedstawia osobę Josepha Ratzingera/Benedykta XVI

i najlepiej „nadziejorodne” zarazem. Wszak nasza największa Nadzieja sięga nieba, a wszystkie pomniejsze nadzieje w niej znajdują swe dopełnienie. „*Spe salvi facti sumus*” (Rz 8, 24) – przypomniał nam Benedykt XVI⁴.

Dziś, po kilku latach od zakończonej przygody ze studiowaniem teologii w Katowicach (obrona magisterium miała miejsce 29 czerwca 2010 roku, w uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła, patronów mojej parafii w Zawierciu), wiem, że ten katowicki etap w moim życiu przygotował mnie w dużej mierze do przeżywania obecnego, częstochowskiego. Jestem aktualnie alumnem V roku w Wyższym Seminarium Duchownym Archidiecezji Częstochowskiej. Już jako kleryk uczestniczyłem w Wielkim Zlocie Seminarzystów w Katowicach i spotykałem Księdza Profesora tu, w Częstochowie. Czas studiów w Katowicach i wspólne teologiczne poszukiwania nie pozostają bez znaczenia dla mojego przygotowywania się do kapłaństwa. Jest tak, bo choć dotąd nie wybrzmiało to wprost, to poza niewątpliwym moim uznaniem dla Księdza wiedzy, czytania i wyjątkowego, pięknego człowieczeństwa, moje serce zostało dotknięte także przez kapłaństwo Księdza Profesora. Pamiętam śródowe Eucharystie w kaplicy Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w ciągu roku akademickiego. Pamiętam tę szczególną w dniu obrony – pierwotnie błagalną o dary Ducha Świętego, a wskutek nieoczekiwanych zmian organizacyjnych dziękczynną. Pamiętam i dziękuję za wszelkie duchowe przeżycia i doświadczenia – szczególnie z wyjazdu do Kalwarii Zebrzydowskiej, który utwierdził mnie w tym, że jestem w dobrym miejscu i wyjątkowej, teologicznej szkole. Tę moją wdzięczność na kartce papieru wyrażam słowami, w kaplicy zaś czynię to przez modlitwę. Tam spotykam się znów z naszym wspólnym Mistrzem i doświadczam, jak „myśl ściga serce” w poszukiwaniu teologii bliskiej życiu i człowiekowi. Aż po drżenie serca i serc w osobowej wymianie darów oraz wzajemnym napełnianiu się Bożą obecnością. Tak rodzi się życiodajne *communio*.

Schody dalej pną się w górę w moim życiu – tym razem ku Chrystusowemu kapłaństwu. Zabieram ze sobą w tę drogę plecak z bagażem doświadczeń. Pakuję pieczołowicie zestaw teologicznych

oraz jego teologię. Zapis tych audycji ukazał się w formie książkowej nakładem Księgarni Świętego Jacka w 2011 r.

⁴ Rzecz jasna, nawiązując do encykliki Benedykta XVI *Spe salvi* o nadziei chrześcijańskiej.

wytycznych od Księdza Profesora. Pozwolą mi one trzymać kierunek ku Bogu, który jest Miłością (1 J 4,8). Napełniam serce na modlitwie miłością do Boga i człowieka, radością oraz zachwytem nad człowieczeństwem, które objawia *imago Dei* w nas. Szanuję portugalską piłkę, jednak do plecaka wkładam szalik polskiej reprezentacji (Księżo Profesorze, wiemy od niejakiego Linekera, że po boisku biega dwudziestu dwóch piłkarzy, a i tak zawsze zwyciężają Niemcy!) Ale wiemy, komu biją nasze serca kibiców). Na twarzy promienny uśmiech, oczy z tym charakterystycznym błyskiem. Szukam tego u siebie, tak jak Stwórca to niepowtarzalnie wymyślił. I ruszam w drogę, by wcielić (tak, tak, Wcielenie jest tak istotne dla nas!) światło w życie. Idę w poszukiwaniu teologicznej głębi i życiowego spełnienia (to ratujące nas tak często katolickie „i”). Co nowego przyniesiesz mi, życie? Jaka powstanie z tego teologia? Ile razy zaskoczy mnie mój osobisty *kairos*? Jak spojrzę na to wszystko z perspektywy kresu? Z tymi pytaniami w sercu wędruję dalej. Panie... *Fiat voluntas Tua...*

Jacek Kijas – alumn V roku Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Częstochowskiej, redaktor naczelny pisma kleryckiego „Nasze Życie” oraz administrator strony internetowej seminarium (www.seminarium.czest.pl). Absolwent teologii na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Pracę magisterską napisał z teologii dogmatycznej pod kierunkiem ks. prof. Jerzego Szymika.

Jola Kubik-Migoń

Zadając sobie najważniejsze pytania. Moja przygoda z teologią Księdza Profesora Jerzego Szymika

Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Profesorem Szymikiem. To był początek października 2006 roku. Od czterech miesięcy byłam magistrem filologii polskiej. Na studia teologiczne wracałam po rocznym urlopie dziekańskim, który wykorzystałam na pisanie pracy o reportażach wojennych Ryszarda Kapuścińskiego i Wojciecha Jagielskiego oraz na pracę początkującej dziennikarki w „Gościu Niedzielnym”. Miałam za sobą trzy lata wykładów z historii, filozofii, języków – pracy trudnej, żmudnej, czasochłonnej. Ale miałam też wrażenie, że nic specjalnego nie zostało mi w pamięci z tego czasu poza przekonaniem, że najważniejszą sprawą w teologii jest punktualność i nieokazywanie emocji. Zaczęłam się zastanawiać nad sobą jako teologiem... Miałam poczucie, że spełniam swoją największą pasję: zajmuję się czytaniem i pisanem (!), a teologia, która miała być zaspokojeniem moich potrzeb poszukiwania głębszej wiedzy o człowieku w świecie – rozumiana dość stereotypowo jako nauki biblijne, dogmatyka, moralność – jakoś „grała” nie tak jak powinna... Mnie interesowało w teologii raczej to, co nieoczywiste, co kłopotliwe, wątpliwe, wymagające stawiania pytań. Chciałam włączyć w to mój warsztat filologiczny. Doszłam do przekonania, że jeśli chcę zmierzyć się z tym „brakującym elementem”, to tylko pisząc pracę magisterską, która nie byłaby *sensu stricto* teologiczna. Fascynowała mnie eseistyka Czesława Miłosza i wiedziałam, że ten temat mogę zrealizować tylko pod opieką Księdza Profesora Jerzego Szymika... który bodaj od roku mieszkał w Katowicach i prowadził zajęcia na tutejszym Wydziale Teologicznym. Nauczona, że jeśli się czegoś chce, to można to osiągnąć, postanowiłam dołożyć wszelkich starań, aby zbliżyć się do realizacji mojego pomysłu. Cekał mnie

najbardziej intensywny rok z życia i jedna z najpiękniejszych relacji, jakie dane mi było doświadczyć.

Profesor, kiedy podeszłam, aby poprosić go o przychylność w mojej sprawie, powiedział tylko: „Musimy usiąść”. Wiedział od dziekana o moim pomysle i czekał na tę studentkę, która chciała „przewrócić Wydział do góry nogami”. Opowiedziałam mu o tym, że chcę napisać w ciągu jednego roku akademickiego pracę magisterską o teologii u Miłosza, że chcę zrobić dwa lata w rok. Profesor miał być moim opiekunem naukowym. Z perspektywy czasu myślę, że to było szaleństwo. Pamiętam, że usłyszałam: „Jolu (po raz pierwszy w mojej «karierze akademickiej» profesor zwrócił się do mnie po imieniu), w Lublinie moi studenci pisali prace magisterskie przez trzy lata, w Katowicach będą to robić przez dwa, a ty chcesz zrobić to w rok... ale pomogę ci”. To było olśnienie połączone z poczuciem ulgi i szoku. W jednej sekundzie poczułam, że jestem we właściwym miejscu, że to jest to, czego mi brakowało, czego szukałam. Byłam „w domu”. Poczułam się zaopiekowana. Podobnie poczułam się, jak „w domu”, kiedy słuchałam wykładu Profesora pt. *Teologia i my* w sobotę podczas Wielkiego Zlotu Seminarzystów z okazji jego sześćdziesiątej rocznicy urodzin.

Kiedy dziś wracam myślami do tych wszystkich chwil, które wtedy przeżyłam, czuję jak wzrasta moja energia do działania, życia, bycia. Oczywiście nie było cukierkowo. O, nie!

★★★

Odgrzebałam dzisiaj notatki z seminarium magisterskiego, wyciągnęłam kilka tomików wierszy i *Małego teologa* 2. Przeglądam, czytam, mój wzrok przebiega przez zakurzone już nieco kartki papieru...

Na kartce w kratkę zapisałam pod datą 12 października 2006 roku: „Wizja pracy: wspólnie się nauczyć i rosnąć ku Bogu. Rozwój intelektualny jest głęboką formą pobożności, jeśli nie ma w tym pychy. Chodzi o rozumienie rzeczywistości. Pomyśleć świat jako cały. Teologia śmie mówić, że wie, kto to jest człowiek i dokąd ma być człowiek. Wie to głębiej niż genetyk, historyk. Twierdzi, że wie, jak być człowiekiem”. Uśmiecham się i myślę: dobrze, że te słowa przyjął papier, serce i głowa.

W mojej historii spotkań z Księdzem Profesorem Jerzym Szymikiem jest kilka ważnych dla mnie punktów. Pierwszym z nich jest spotkanie studentów i absolwentów seminarium w Lublinie między 27 a 29 października 2006 roku. Zauroczył mnie Kazimierz i Nałęczów, zatopiony w czerwono-żółtych liściach. Robiłam zdjęcia – dokumentację wyprawy. Zachwyciła mnie atmosfera lubelska. I nie chodzi mi o powszechną nieśpieszność i legendarny stosunek do czasu, który jest przeciwieństwem śląskiego poukładania, terminowości, słowności. Raczej o serdeczność, gościnność i otwartość „nowych przyjaciół” – studentów Księdza Profesora Szymika z Lublina. Były warsztaty, zabawa, modlitwa, zaduma, spacer, rozmowy, radość. W drodze powrotnej pojawił się pomysł, aby studenci katowiczcy napisali na wzór tego, co zrobili kilka lat wcześniej studenci lubelscy – drugą edycję *Małego teologa*. Wyróżnieniem stał się wybór Promotora, który zaprosił mnie do pracy przy tworzeniu tej książki. Razem z Tomkiem Klikowiczem stworzyliśmy niezły *tandem*. A z Anią Pilch przeprowadziłyśmy całkiem fachowy wywiad o literaturze. Nie wiem, czy kiedykolwiek podziękowałam Profesorowi za to, co wtedy w drodze między Lublinem a Katowicami zrobił... Z perspektywy czasu widzę, jak bardzo potrzebowałam Kogoś, kto dobrze odczyta mój potencjał i właściwie mnie „obsadzi”. Kogoś, kto „da mi zadanie na moją miarę uszyte”. Profesor ma tę zdolność, że trafia w dziesiątkę. Jego intuicja w tym względzie nie ma sobie równych. Po studiach wiele razy cierpiałam z tego powodu: szukając ludzi, którzy potrafiliby mnie „dobrze obsadzić”, zaliczałam kolejne potknięcia. Do dziś pobrzmiwa we mnie nuta tęsknoty za tamtym czasem, tamtą atmosferą.

Praca nad *Małym teologiem 2* to było fantastyczne doświadczenie. Począwszy od stworzenia koncepcji: „połączenia starego z nowym”, doboru tematów, podziału pracy, poprzez mozolne budowanie całości, pisanie tekstów, robienie zdjęć, selekcję, aż po promocję. To było potężne doświadczenie, robione niejako obok standardowego grafiku zajęć studenta teologii i obowiązków magistranta. Pracy było wtedy bardzo dużo. I choć były momenty, że czułam znużenie, a energię do dalszego wysiłku brałam tylko z odliczania dni do końca sesji, to czułam, że jestem częścią czegoś większego; że działam w grupie; że za mną stoi Ktoś, Coś większego, ważniejszego, lepszego. Bo przecież w *Małym teologu. Śląskiej reaktywacji* nie chodziło o sukces, tylko o nauczenie się solidnej pracy, przekroczenie siebie, wyzwolenie nowych możliwości. Chodziło wreszcie o to, aby „nie

walczyć w pojedynkę”, ale być razem. Majowa promocja książeczki była wielkim wydarzeniem. Oczywiście głównie dla nas, seminarzystów, naszego Promotora, naszych przyjaciół i rodzin, naszych wykładowców. To była też pierwsza lekcja życia – wprowadzie w warunkach laboratoryjnych, ale jednak.

I jeszcze jedna notka znaleziona z datą 9 listopada 2006 roku, czyli na pierwszym seminarium po powrocie z „wyjazdu integracyjnego”: „Jak wiecie w Lublinie bawiliśmy się świetnie, wzrosła tam nasza pewność siebie i poczucie, że z niczego może powstać coś” – to oczywiście podsumowanie Promotora z przymrużeniem oka.

★ ★ ★

Zasadniczym celem spotkań seminarzystów Profesora Szymika było pisanie pracy magisterskiej. Ja pamiętam strach, który rodził się w oczach nas wszystkich, kiedy Promotor ogłaszał terminy oddania poszczególnych partii pracy, nie dopuszczając przy tym do negocjacji. Wszyscy, łącznie ze mną, wiedzieli, że nie ma żartów. Terminy to świętość. Ale dzięki temu to, co zostało zaplanowane, zostało i wykonane. Tego dziś mi często brakuje. W gąszczu notatek znalazłam taką, która mnie rozbawiła, znowu słowa Promotora: „bardzo ważna informacja: wybrać pyską delegację i zebrać na 25.01, żeby się dowiedziała, co w tym roku trzeba złożyć do dziekanatu, żeby zdać w sesji letniej”. Pamiętam, że moja obrona z racji indywidualnego toku studiów miała miejsce w grudniu 2007 roku, czyli sporo po sesji letniej. Broniałem się z Asią Mastalerz. Było kameralnie, bardzo miło. Po obronie poszliśmy na obiad. Nie pamiętam, ani o co mnie pytała komisja, ani co jedliśmy wtedy, ale obawiam się, że nasz Promotor może to pamiętać... Bo kiedy zagadałam się przy stole podczas Wielkiego Zlotu Seminarzystów, Profesor przywołał mnie do porządku, przedstawiając: „Jola Kubik, obrona 12 grudnia 2007, praca o wątkach teologicznych w eseistyce Miłósza”. I tą swoją niezawodną pamięcią mnie bardzo zaskoczył, bo, że pisałam „z Miłósza” to wiedziałam, ale że się broniłam 12 grudnia – to już w mojej głowie zostało zepchnięte w odmęty nieświadomości.

Książdz Profesor Jerzy Szymik zawsze wiedział, jak łączyć ciężką pracę z dbaniem o człowieka i jego potrzeby. Pamiętam, że jedno z seminariów odbyło się pod hasłem „śniadanie u Promotora”. Cała nasza grupa rozsiała się w gabinecie, zającąc kanapki, przeglądała

wzorcowe prace poprzedników, czerpiąc inspiracje do swoich poszukiwań naukowych. To było jak łączenie nas – ludzi różnych światów – niewidzialną nicią. Nic podobnego w świecie naukowym nigdy wcześniej ani później mi się nie przytrafiło.

★★★

Jeszcze jeden istotny punkt z tamtego czasu to spotkanie z poezją Księdza Jerzego Szymika. Pamiętam szczególnie towarzyszące wydaniu tomu *Cierpliwość Boga*, które miało miejsce 28 listopada 2006 roku w Katowicach. Jest wśród tych sześćdziesięciu sześciu wierszy kilka, które i mnie są bliskie. Oczywiście są nawiązania do myśli papieża Benedykta XVI. Tych spotkań poetyckich było więcej także później, ale tamto utkwiło w mojej pamięci głęboko. Może dzięki dedykacji, której fragment brzmiał: „Dobrze, że się w życiu spotkaliśmy, prawda?”. Odpowiem teraz po latach: Bardzo dobrze! I bardzo dziękuję za to spotkanie!

★★★

Kwietniowe jubileuszowe spotkanie wszystkich studentów Księdza Profesora Jerzego Szymika pokazało mi, jak wielka jest siła ludzi. Jak wiele dobrych rzeczy może narodzić się z pracy ludzi, których łączy wspólne widzenie świata. I jak potężne rzeczy można budować, mając w fundamencie miłość, cierpliwość, uczciwość, pracowitość, nadzieję.

Kiedy pisałam kilka lat temu odpowiedź na pytanie, czym jest dla mnie teologia (do *Małego teologa 2*), zanotowałam, że jest poszukiwaniem, odkrywaniem i zadziwieniem nad światem i człowiekiem. Nie jest to „pobożna odpowiedź”. Bardziej niż teologiem czuję się filologiem. To słowa, język, literatura są moim żywiołem. Także zawodowo. Jednak, kiedy myślę o teologii, to wcześniej czy później pojawia się doświadczenie bycia studentem Księdza Profesora Jerzego Szymika. Profesor to człowiek, który przypominał mi, że w życiu ważna jest uczciwość, pracowitość, miłość i Bóg. To człowiek, który nauczył mnie, że poza trudnościami i wyzwaniem jest także miejsce na beztrudną radość, bycie z ludźmi i dumę z własnej pracy. Dzięki niemu, jego publikacjom naukowym, popularnym i poezji

potrafiłam dodać jeszcze jedną odpowiedź na pytanie kim jestem: jestem stąd, jestem Ślązaczka. Jak się okazuje, to ważna składowa mojej tożsamości.

Miałam szczęście przez rok studiować u Profesora Jerzego Szymika. To krótko. Za to bardzo intensywnie. Napawa mnie dumą to, że przynależę do tego środowiska, do tej grupy ludzi, którzy studiowali i pisali pracę pod jego kierunkiem. Cieszy mnie to, że mogliśmy się wszyscy spotkać w jednym miejscu i czasie (5 i 6 kwietnia 2013 roku w Katowicach). I bardzo jestem wdzięczna tym, którzy zaoferowali mi swoją przyjaźń kiedyś i ona trwa. A bierze swój początek w teologii Księdza Szymika. Jestem przekonana, że udało się zbudować relacje, które wykraczają poza przeszłość i odważnie wchodzi w przyszłość. Wiem, że przygoda z teologią Księdza Profesora Jerzego Szymika nie była w moim życiu incydentem, ale wydarzeniem, z którego czerpię także tu i teraz.

Piekary Śląskie, 20 maja – 15 września 2013 roku

Jola Kubik-Migoń, ur. w 1982 roku, redaktor i nauczyciel języka polskiego; piekarczanka, absolwentka filologii polskiej i teologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą współczesnej szkole polskiego reportażu. Zadebiutowała na łamach „Gościa Niedzielnego” w 2002 roku. Jako dziennikarz, sekretarz redakcji, redaktor naczelny pracowała w lokalnej prasie: „Gościu Niedzielnym”, „Głosie Piekarskim”, „Gońcu Górnośląskim”, „Gwarku”, „Twoich Piekarach”, „Gazecie Uniwersyteckiej UŚ”. Współpracuje z wydawnictwem Księgarnia św. Jacka. Jest członkiem rady parafialnej przy sanktuarium Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej w Piekarach Śląskich, członkiem redakcji miesięcznika „Z Piekarskich Wież”. Redaktor prowadzący „Studiów Piekarskich. Tomu 3” (2012), poświęconego pamięci bł. ks. Józefa Czempieła i członek Stowarzyszenia Rodzin i Przyjaciół bł. ks. Józefa Czempieła w Chorzowie. W listopadzie 2013 roku ukazała się jej książka *Moje Piekary*.

Teologia i my. Odblask

Czy na bezludną wyspę wzięłabym dzieła świętego Augustyna, Tomasza z Akwinu bądź von Balthasara? Czy bez dzieł Jana z Damaszku, Bonawentury i Rahnera można sensownie żyć? Czy trzeba tworzyć teologiczne dysertacje i artykuły? Święty Ireneusz pisze: „Pan nasz, Słowo Boże, najpierw przyciągnął ludzi do służby Ojcu, a potem uwolnił tych, którzy byli Jemu poddani, jak to sam powiedział swoim uczniom: *fuż was nie nazywam sługami [...]*”¹. Pan nasz przyciągnął ludzi do siebie... Być teologiem – to łaska. To powołanie, Jego inicjatywa, plan wobec mnie – tak to rozumiem.

Kilkuletnia dziewczynka nie chciała zostać uczennicą szkoły sportowej, nastolatka nie chciała w przyszłości być nauczycielką, młoda zakonnica chciała studiować pedagogikę z nachyleniem ku wychowaniu przedszkolnemu. Decyzje wyżej, a w sensie dosłownym: Najwyższego, były odmienne. Teologia stała się celem moich zainteresowań, a później – codziennością. Piękną codziennością. Bo bliskością Boga.

Cóż dalej czytamy u Ireneusza? „Przynaglając nas do tego, byśmy szli za Nim, Bóg nie potrzebuje naszej posługi. On chce nas jedynie zbawić. Iść bowiem za Zbawicielem znaczy tyle samo, co mieć udział w zbawieniu, podobnie jak iść za światłem, to tyle samo, co być zanurzonym w świetle. Ci, którzy chodzą w świetle, nie oświecają przecież światła, lecz światło ich oświeca i opromienia. Oni sami nic nie przydają światłu, otrzymują zaś od niego to dobrodziejstwo, że poruszają się w jego blasku”². Czy ja wybrałam teologię? Czy zafascynowała mnie dogmatyka? Przecież mój studencki start to proseminarium z ekumenizmu i seminarium z teologii moralnej... Myślę, że początkiem jest tęsknota za Bogiem, a reszta to Jego dzieło. Nie my układamy nasze życie, ale to my stajemy przed wyborami, wobec pytań. Słuchamy, dajemy odpowiedzi, decydujemy, działamy. Sprawy Boże i sprawy ludzkie, niebiańskie i ziemskie – w jednym

¹ Z traktatu św. Ireneusza, *Przeciw herezjom, Liturgia Godzin. Codzienna modlitwa Ludu Bożego*, t. II, Poznań 1984, s. 65.

² Tamże, s. 66.

człowieczym życiu. W moim. Tak, teologia, dogmatyka, chrystologia – stały się mi bliskie. Moje. Na co dzień. Teraz.

Znów Ireneusz: „tym, którzy idą za Nim i służą Mu, Bóg daje życie, niezniszczalność i wieczną chwałę. Udziela im swoich darów za to, że Mu służą i że idą za Nim, sam nie przyjmując od nich niczego”³. Dane mi było słuchać i czytać, rozmyślać i studiować. Jest mi dana łaska bycia teologiem – widzenia, oceniania, próba rozumienia świata w świetle Słowa. I obietnica daru ostatecznego.

Teologia – w ludzkie słowa, zdania, traktaty naukowe ubrane Słowo Boga. Słowo o Bogu i Jego rzeczywistości, w której żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. Teologia – z modlitwy wyrosła i ku modlitwie prowadząca. Bo jej źródłem i celem jest sam Trójjedyny. Teologia – dar i zadanie. By przyjąć to, co Bóg objawił o sobie i przekazać innym. Wszędzie, wszystkim na wszelkie sposoby. Na krańce ziemi.

Jestem nauczycielką, uczę o Bogu. Jest moim pragnieniem, aby Go spotkano. Ja mam tylko podprowadzić ku Niemu – moją teologiczną wiedzę, umiejętnościami, modlitwą i życiem. Tak, jest mi bliski *metateologiczny namysł z egzystencjalnym punktem ciężkości*.

Gdybym urodziła się wcześniej – o jakieś sto pięćdziesiąt lat – może pisałam jak Założycielka mojego Zgromadzenia zakonnego: „ach, jaka to piękna i wzniosła musi być nauka filozofii chrześcijańskiej i dogmatyki, również i mistyki, jak wszystko musi podnosić ducha człowieka [...]. Ach, mój Boże! Czemuż to prawdy takie piękne, czyste, wzniosłe nie mogły mi być przedłożone, wyjaśnione, za pomocą których i łaską Bożą byłabym mogła z większą łatwością wznieść się i utrzymać w innym zupełnie świecie. Czemu to niewiastom nie dają częściej do rąk takich dzieł głębszych!”⁴. Na półkach klasztornych bibliotek natrafiam na wiele dzieł. Ile Sióstr je przeczytało przed laty, ile współcześnie? Czytam, słucham – a przynajmniej chcę i próbuję to robić.

Teologia jest piękna. Bo o Tym, który jest Pięknością, Dobrem, Mądrością samą; bo z prawdy, miłości i piękna się rodzi i ku nim prowadzi. Dar i łaska teologicznego namysłu. Droga dla mnie. Dziękuję.

Ukraina, Żółkiew, 31 maja 2013 roku

³ Tamże.

⁴ Notatka z 29 sierpnia 1882 w: B. Mazur, J. Bar, *Wierna Utajonej Miłości. Rys życia i wybór pism Kolumby Róży Białeckiej*, Kraków 1989, s. 138.

S. Sara Ewa Łakoma, ur. w 1969 roku w Tarnobrzegu. Od 1988 roku w Zgromadzeniu Sióstr św. Dominika, katechetka i nauczycielka – pracowała z przedszkolakami, uczniami szkół podstawowych i ponadgimnazjalnych w Kielcach, Srebrnej Górze, Bobowej, Zaczerniu, Kłodzku, Rydzynie. Studia w Lublinie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim zwieńczone zostały doktoratem z teologii dogmatycznej w 2006 roku. Od 2009 roku mieszka w Żółkwi na Ukrainie, pracując jako katechetka i nauczycielka języka polskiego w Sobotniej Szkole Języka Polskiego przy Delegaturze Zgromadzenia Sióstr św. Dominika.

Gdy *belles lettres* i teo-logia spotykają się we wzajemności...

Rzecz będzie o historii pewnego Spotkania, opowiedzianej z perspektywy majowego poranka A.D. 2013 roku. Zaczynam kolejny dzień wędrówki po najbliższej mi krainie, czyli po świecie literatury. Jako filolog, literaturoznawca, dotykam (od jakichś dwudziestu lat wiernie, czyli „na dobre i na złe”) przestrzeni duchowych doświadczeń ludzi szczególnie obdarzonych talentem pracy w słowie. Spotykam artystów: poetów, prozaików, eseistów. Ludzi o różnej wrażliwości oraz postawie wobec tego, co najbardziej – w moim przekonaniu – służy pięknu *belles lettres*. Obserwuję ciągle z uwagą (a przynajmniej bardzo staram się na miarę swych umiejętności i wrażliwości), w jaki sposób pisarze wsłuchują się w dźwięki prawdy o najgłębszych wymiarach rzeczywistości człowieka i świata. I z tych skromnych podróży mogę chyba słusznie (pomimo pewnego uproszczenia, które jednak nie jest tu nadużyciem) wyciągnąć wniosek następujący: poprzez literaturę piękną zarówno twórca, jak i jego czytelnik, prędzej czy później, dochodzi do momentu, w którym stanie u progu *sacrum*. Wystarczy twórczo, „zaledwie” lub „aż”, zdobyć się na wysiłek uczciwości intelektualnej i artystycznej wobec siebie, a tym samym wobec innych. Z tego samego obowiązku nie może być, rzecz jasna, zwolniony czytelnik. „Bowiem świat jest dla nas – jak powiada Simon Weil – «tekstem o wielu znaczeniach»¹, jest też swoistą metaforą”². To ona, myślicielka kontrowersyjna, skażona manicheizmem, niejednokrotnie wątpiąca w katolicką dogmatykę, a mimo to paradoksalnie zakorzeniona w najgłębszych pokładach chrześcijaństwa, obsesyjnie niemal bojąc się fałszowania prawdy o Bogu, przeczuwała znakomicie i trafnie, że sztuka („kultura artystyczna”) i poezja, owo „żywe poczucie piękna”, są zdolne ilustrować

¹ S. Weil, *Wybór pism*, tłum. i oprac. Cz. Miłosz, Kraków 1991, s. 87.

² Tamże, s. 95.

nasz ludzki wymiar „prawd duchowych”³. Prawda była dla niej syntezą cnoty, wszelkiego dobra i piękna właśnie, dlatego zapewne także poprzez literaturę, poezję, było jej dane dorastać do doznania mocy modlitwy. O metafizycznym doświadczeniu zrodzonym i danym jej za sprawą recytacji ulubionego siedemnastowiecznego angielskiego poematu *Miłość* pisała w liście do o. J.M. Perrin: „Chrystus sam zstąpił i zdobył mnie dla siebie”⁴. Oczywiście, rzeczywistość modlitwy jako spotkania z osobowym Bogiem i poezja nie są tożsame, ale – jak się wydaje – poprzez poematy, ich poważną recytację, poszukiwanie skrytego w nich Sensu, dochodziła Weil do prawdy modlitwy, by ostatecznie, recytując *Pater noster*, z pełną świadomością grozy i piękna wypowiadać niejednokrotnie słowa „Bądź wola Twoja”. W tym miejscu przytoczę jeszcze dwa znamienne i poruszające mnie cytaty. Niech będą dalszym mottem historii pewnego Spotkania, o którym opowiadam:

„We wszystkim, co wywołuje w nas czyste i autentyczne poczucie piękna, jest naprawdę obecność Boga. Istnieje jakby rodzaj inkarnacji Boga w świecie, której piękno jest znakiem.

Piękno jest eksperymentalnym dowodem, że inkarnacja jest możliwa.

Stąd wszelka sztuka pierwszorzędna jest w swojej istocie religijna. (O tym się dzisiaj już nie pamięta). Melodia gregoriańska daje świadectwo równie jak śmierć męczeńska”⁵.

I dalej:

„Bóg ustanowił konwencjonalny język do rozmowy z przyjaciółmi. Każde zdarzenie życia jest słowem tego języka. Wszystkie słowa te są synonimami, ale, jak to się zdarza w pięknych językach, każde ma odcień specyficzny, jest nieprzetłumaczalne. Wspólny sens tych wszystkich słów jest: kocham”⁶.

Weil miała niezwykłą świadomość siły duchowego wymiaru sztuki, a przede wszystkim mocne przeczucie jej religijnego horyzontu. Zapewne nie miałyby też zastrzeżeń do postulatu Thomasa Mertona, gdy ten głośno dopominał się konieczności harmonijnej koegzystencji autentyzmu duchowego i artystycznego w dziele sztuki⁷

³ Tamże, s. 94.

⁴ Tamże, s. 34.

⁵ Tamże, s. 112.

⁶ Tamże, s. 97.

⁷ T. Merton, *Szukanie Boga*, Kraków 1988, s. 316.

i zachęcał: „miejmy szerokie horyzonty”, „zachowajmy niezależność sądu”, „miejmy oczy otwarte, by patrzeć na rzeczy warte oglądania”. Parafrazy słów trapisty nie tracą na aktualności szczególnie dziś w dobie artystycznej polifonii, ale też chaosu i wiary we wszechmoc oraz absolutyzację samowystarczalności sztuki dla sztuki. Choć Merton w przywoływanej wypowiedzi koncentrował się na sztukach plastycznych, to jednak w jego głosie mieści się jakieś uniwersum myśli o sztuce w ogóle, tej, która dotyczy horyzontu religii. Mianowicie „sztuka religijna to teologia wyrażona w linii i kolorze, przemawia ona do całego człowieka, do jego oczu w pierwszym rzędzie, ale także do jego umysłu i serca”⁸. Słowa eseisty pośrednio odnoszą się też do świata literatury pięknej, która przecież także potrafi operować barwą, obrazem, zapachem i dźwiękiem, ponieważ za pośrednictwem słowa ludzkiego jest w stanie – sugerując – przekazywać „ukryte rzeczywistości”⁹. I w tym momencie dochodzimy do newralgicznego punktu, do spotkania na obrzeżach przestrzeni szczególnych *belles lettres* i teo-logii.

Spotkaniu temu przyglądają się od wielu lat literaturoznawcy i teologowie, widząc swoisty i ważny dla obu stron fenomen dialogu. Wystarczy zaznaczyć, że powstało dotąd wiele znaczących książek i opracowań naukowych. Nie będę zatem referować szczegółowo wzajemnych relacji, wiele zostało powiedziane w tym względzie i wiele zostanie jeszcze zapewne dopowiedziane. Skoncentruję się zaledwie na jednym aspekcie: konkretnym spotkaniu literaturoznawcy z teologiem w przestrzeni poezji, eseistyki i nauki o literaturze, któremu ten pierwszy zawdzięcza mnóstwo bezcennych inspiracji i doświadczeń duchowych.

Wpierw jednak muszę wyznać wprost: nie jestem teologiem. Czynię to wyznanie z pewną dozą nieśmiałości, gdyż mam przecież świadomość, że piszę te słowa do książki teologów, która zadedykowana i ofiarowana będzie wkrótce Teologowi. Co więcej, nieustannie poruszam się na pograniczu literaturoznawstwa i teologii. Szukając zatem jakiegoś uzasadnienia, odnalazłam cenne dla mnie osobiście, dawno odczytane po raz pierwszy, wyjaśnienie Anny Kamieńskiej, która odważyła się napisać tom esejów o Biblii *Twarze Księgi*. Nim jednak to uczyniła, pytała siebie i swojego przyszłego czytelnika: „Czyż to nie zbyt wielka zuchwałość pisać o Biblii, na której w ciągu

⁸ Tamże s. 316.

⁹ Tamże, s. 320.

wieków narosły całe biblioteki komentarzy i wykładni?”¹⁰. Nie było to pytanie retoryczne. Pisarka udzieliła bardzo odważnej, ale jakże konkretnej i szczerej odpowiedzi:

„Byłoby tak, gdybyśmy nie zbliżali się do Księgi z najwyższą czcią i miłością. Prawda zawarta w tym wielkim morzu nie staje się mniej prawdą w każdym drobnym naczyniu, które z tego morza czerpie”¹¹.

Ta poetka, obdarzona hojnie wyjątkowym słuchem religijnym, czerpała z morza biblijnej prawdy poprzez okulary poezji. W poezji czuła się u siebie, mieszkała tam, we własnej duchowej ojczyźnie, zakorzenionej w Piśmie. Nie była teologiem, a jednak powiada się, że jej poezja bywa wyjątkowo teologiczna. Teologia Kamieńskiej to niemal wzorcowa poetycko-literacka realizacja triady „wiera, refleksja, eksterioryzacja”¹², to po prostu dostępna każdemu wierzącemu teologia doświadczana. Takie rozumienie teologii niech przez chwilę zdominuje tę opowieść, bo moje oko nie jest także okiem uzbrojonym w szkiełko teologa. Jest raczej okiem zawodowego czytelnika, który wierzy, albo lepiej: jest przekonany najgłębiej, że istnieje możliwość dialogu między literaturą a teologią. Z korzyścią dla obu stron, pomimo autonomii obu dyscyplin. Teraz dla mnie rzecz najważniejsza: tego dialogu uczyłam się, wsłuchując w głos pewnego Teologa, który kocha teologię i kocha literaturę.

Pora więc na krótką retrospekcję: jest rok 1991 lub 1992¹³. Nie pamiętam dokładnej daty, ale w późółkłym maszynopisie mojej pracy magisterskiej widnieje taki oto zapis bibliograficzny: ks. Jerzy Szymik: *Literatura jako locus theologicus*. Praca doktorska, Lublin 1990 (sama książka ukazała się drukiem w 1994 roku¹⁴). Pamiętam owo pierwsze osobiste spotkanie jak przez mgłę. Następne odbyło się kilka miesięcy później już w Lublinie. Przygotowując pracę magisterską, prosiłam Księdza Doktora Jerzego Szymika o konsultacje, gdy stawiałam pierwsze kroki na drodze do własnych interpretacji literatury zakorzenionej w myśli teologicznej. A jednak kontekst tamtego, wcześniejszego Spotkania był szczególny. Trwają rekolekcje akademickie. Kryptę wypełnia wyjątkowa, rekolekcyjna atmosfera, której nie da się zapomnieć: panujący wewnątrz chłód, tłumy

¹⁰ A. Kamieńska, *Twarze Księgi*, Warszawa 1981, s. 5.

¹¹ Tamże.

¹² Za: J. Szymik, *Teologia na początek wieku*, Katowice–Ząbki 2001, s. 334-335.

¹³ Wydarzenie, o którym tu mowa, miało rzeczywiście miejsce wiosną 1992 roku.

¹⁴ J. Szymik, *W poszukiwaniu teologicznej głębi literatury*, Katowice 1994.

młodych ludzi i sprzyjająca skupieniu cisza. Msza Święta i konferencja. Rekolekcionista mówi w skupieniu, odczuwa się moc starannie dobieranego słowa, które trafia celnie w pokłady wrażliwości. Autentyzm wypowiedzi i jej szczerość. Żywa narracja – świadectwo o tych, którzy odeszli, o ich miłości i oddaniu. A jednocześnie o doświadczeniu ich trwania i kontynuacji w życiu kolejnych pokoleń. Pamiętam doskonale tę opowieść o babci Luizie, jej rozumieniu miłości, oddanej aż do końca. Tekst ten znany jest dziś doskonale z tomu esejów Księdza Profesora Jerzego Szymika *Zapachy, obrazy, dźwięki*¹⁵. Nosi tam tytuł *Z gałązką bzu do nieba*¹⁶. Ale wtedy, podczas rekolekcji, brzmiał ze szczególną mocą, wzruszał i porażał jednocześnie. Przytoczę tylko te trzy fragmenty, wystarczą, by czule i radykalnie poruszyć wyobraźnię również po latach:

„We wrześnie odbyło się w pobliskich Wilchwach wesele jednego z braci Antoniego. Zachowała się czarno-biała fotografia z tej uroczystości. Antoni w smokingu (!), Luiza w wiśniowej (podobno) sukience z białym wykładanym kołnierzem. Smukła sylwetka, cienie na szczupłej twarzy. Jakieś zamyślenie, niezwykle w samym środku weselnej uroczystości. Zbliżał się moment przejścia”.

Na zachowanej fotografii nieruchomieje czas:

„Wracali z wesela pieszo, polnymi drogami z Wilchw do Czyżowic. Luizę uwierały nowe buty. Zdjęła je, mąż dał jej swoje. Sam szedł boso, bojąc się przebiegnięcia żony. Być może wyda się to tanie i naiwne, ale przyznam się, że często wracam w wyobraźni do tamtej drogi i nie potrafię tego robić bez wzruszenia. Jest początek jesieni, późny wieczór, potem już noc. Idą, chroniąc swoje kruche szczęście. Świat widziany przez pryzmat tej drogi okazuje się nie taki podły, jak nam się w chwilach zwątpienia wydaje”.

Tymczasem dramatyczny punkt opowiadanej historii nadchodzi: chora na gruźlicę decyduje się urodzić dziecko, wyniszczona fizycznie umiera. Czas na pointę:

„Powieм teraz rzecz dla mnie najważniejszą: Luiza – to moja babcia. Dzieckiem, które się wtedy urodziło, była moja mama. Z tamtej ofiary i uporu o Boskich korzeniach – jestem. Żyję z tego daru. Nic więcej nie trzeba dodawać”.

Doświadczenie tego wydarzenia zostało potem uwieńczone w poetyckiej wizji w wierszu, dedykowanym pamięci babci Luizy,

¹⁵ J. Szymik, *Zapachy, obrazy, dźwięki*, Katowice 1999, s. 19-23.

¹⁶ Pierwodruk: *Zamyślenia. Konferencje dla młodzieży* (Tęsknota, *Z gałązką bzu do nieba*, *Upili się młodym winem?*, *O dziadku i jego wesółych znajomych*), „Spojrzenia”, 4(1992) nr 7-8(42-43), s. 7-9.

Przejsście. Ale póki co, w Krypcie trwają jeszcze rekolekcje akademickie. Nastaje żywa i przejmująca cisza. I z perspektywy lat słyszę jeszcze inne słowa, zapisane u wejścia do górskiej świątyni w Łopusznej, wyrzeźbione na drewnianej tablicy, umieszczone przy głównej bramie: „Ciszą wszelkich cisz jest cisza kościółka. Kto chce znaleźć Boga, musi wejść w ciszę” (ks. J. Tischner). To cisza, gdy słowo o Słowie trafia najcelniej, zbliża do Słowa. To Spotkanie poprzez słowo w Słowie. W ten konkretny sposób i przy wielu innych okazjach Ksiądz Jerzy Szymik dowodzi, że język literatury i teologii wzajemnie się dopełnia. Jest teologiem, ale też poetą i eseistą. Wie doskonale, że literatura bywa – jak powiada – sejsmografem epoki, ale może też „służyć nadziei” i przywracać ją dzisiejszemu światu, pogrążającemu się w duchowej depresji:

„Poezja jest formą służenia życiu. Służenia istnieniu. Wtedy, kiedy poeta nazywa słowem byt, życie, kiedy się nim zachwyci, kiedy nad nim płacze, a także kiedy rozpacza, kiedy próbuje zatrzymać ulotną chwilę, opisać jakiś fenomen życia, jakiś jego błysk – wtedy jest po stronie życia. Służy istnieniu i pomaga człowiekowi zakorzenić się. Poezja w ten sposób współpracuje z Bogiem. Współpracuje ze Stwórcą – mówię to już jako teolog – który zawsze jest po stronie życia. Szatan jest po stronie śmierci”¹⁷.

Stwierdzenie „być świadkiem Sensu” najprościej i jakże celnie określa rozumienie funkcji i roli pisarza (poety i eseisty) w poezji i eseju teologicznym Księdza Jerzego Szymika. Przekonują mnie o tym jego wszystkie, różnorodne w formie i kształcie literackim, wypowiedzi. Teologiczność właśnie stanowi o ich literackim walorze, sile ekspresji i autentyzmie wymiaru duchowego. Teologia, czyli „to, co mówi się o Bogu” w chrześcijaństwie na podstawie Objawienia (*Theos* i *Logos*). Cenię szczególnie tę definicję pojęcia, bowiem pozwala na spotkanie literatury i teologii w ich wzajemności, gdy jest: „[...] «mową o Bogu/człowieku (Chrystusie)», czyli też «mową o Bogu i o człowieku (każdym z nas)», o ich ontycznej i egzystencjalnej relacji. A być mową o człowieku (we wnętrzu mowy o Bogu) znaczy przybrać koniecznie postać dialogu, roz-mowy”¹⁸. I właśnie ów akcent padający na słowo, mowę oraz dialog jest – w moim przekonaniu i w mojej sferze poszukiwań – niezmiernie znaczący i perspektywiczny. Daje bezcenną szansę na doświadczenie szczególnego rodzaju Spotkania. Przeżycie tego Spotkania – tu przywołuję ponownie myśl ks. Józefa Tischnera – „wprowadza tego,

¹⁷ J. Szymik, *Zapachy, obrazy...*, s. 269.

¹⁸ Tamże, *Teologia. Rozmowa o Bogu i człowieku*, Katowice 2008, s. 13.

kto spotyka, w jakąś jedyną w swoim rodzaju, osobistą prawdę spotkanego człowieka”¹⁹, dodam jeszcze od siebie, że pozwala przeczuć namacalnie prawdę Tajemnicy Spotkania Boga i człowieka.

Kończąc, powiem tylko: „Bo nic pośród rzeczy ludzkich nie pomaga nam bardziej w nieustannym kierowaniu spojrzenia ku Bogu, niż nasze uczucie przyjaźni do przyjaciół Boga”²⁰. Tak! Z wdzięcznością prawdziwą, Księżu Profesorze, dziękuję!

Aleksandra Pethe, doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Absolwentka filologii polskiej UŚ w Katowicach, tam też uzyskała doktorat a następnie habilitowała się. Od 2013 roku profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, gdzie kieruje Katedrą Dziennikarstwa Ekonomicznego i Nowych Mediów. W latach 2005–2013 adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej i Lingwistyki Stosowanej w Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach. W publikowanych pracach poszukuje w literaturze współczesnej miejsc przenikania się, krzyżowania, polemiki lub jednania dorobku myśli ludzkiej, kultury i teologii. Inne jej zainteresowania naukowe obejmują wpływ przemian kulturowych na formę i treść przekazu literackiego, literaturę najnowszą, tendencje dominujące we współczesnej krytyce literackiej w Polsce oraz szeroko pojętą problematykę edytorską, a także zagadnienia związane z postępującym zjawiskiem mediatyzacji *sacrum* w rozlegle rozumianej przestrzeni medialnej. Opublikowała m.in. książki: *Poeta czasu otwartego. O wierszach ks. Janusza Pasierba* (2000), *Ars, fides et ratio. Esej teologiczny?* (*Tischner, Pasierb, Szymik*) (2012). Mieszka w Katowicach.

¹⁹ J. Tischner, *O człowieku. Wybór pism filozoficznych*, oprac. A. Bobko, Wrocław – Warszawa – Kraków 2003, s. 305.

²⁰ S. Weil, *Wybór pism*, s. 39.

Ewa Porada

Pozwolić się poprowadzić. Moja przygoda z teologią

Tak to się zaczęło

Sięgam pamięcią wstecz, poszukując momentu, w którym zaczęła się moja „przygoda z teologią”... Nie znajduję jednak takiego miejsca, chwili, wydarzenia, które w radykalny sposób miało wpłynąć na moją teraźniejszość. Jestem za to głęboko przekonana, że kształt mojego życia w dużej mierze zawdzięczam moim przodkom. Wierzę i wiem, że to ich modlitwa, wierność, zaufanie Bogu przekazywane z pokolenia na pokolenie ukształtowały moje „teraz”. Wiem, że jestem z modlitwy, wiary i miłości moich Rodziców, którą miałam i mam możliwość obserwować i uczyć się jej ciągle na nowo.

Wiem, że ukształtowały mnie, jak się wydaje, drobne i mało znaczące sytuacje z dzieciństwa, które pamiętam jak przez mgłę, a wspominam o nich na świadectwo, że nawet te najmniejsze gesty mają czasami ogromne znaczenie w życiu człowieka. Potwierdzeniem tego niech będzie zdanie Michała Anioła, które przed laty znalazłam w jednej z książek, której tytułu nie jestem w stanie jednak już odtworzyć. Zdanie brzmiało tak: „I drobnostek nie należy lekceważyć, bo one są podstawą doskonałości, a doskonałość nie jest drobnostką”. Do doskonałości ciągle dążymy i ciągle nam daleko do niej, ale myślę, że warto pamiętać o tych właśnie drobnostkach, małych chwilach, które nadają życiu smak.

Przypominam sobie na przykład, kiedy to z Babcią, pewnie w Wielką Sobotę, jako około trzylatka obserwowałam przez szczebelki kłęcznika nogi Pana Jezusa złożonego do grobu. Sytuacja wydaje się dzisiaj, z perspektywy czterdziestu kilku lat, komiczna, wtedy jednak musiało to wywrzeć na mnie ogromne wrażenie, skoro niemalże każdego roku, w Wielką Sobotę, przypominam sobie ten moment.

Słynną stała się historia również z mniej więcej tego okresu, kiedy to najbardziej chyba nieśmiała dziewczynka na świecie, która najpewniej czuła się, gdy rodzice stali tuż obok, nagle podczas jednej z Mszy Świętych w kościele pw. NMP w Bytomiu, cichutko, niemalże na paluszkach, ruszyła w stronę ołtarza... Przerazenie rodziców było ogromne, a o pięć lat starszy brat równie cichutko ruszył za mną. A zatem udało mi się oddalić zaledwie kilka kroków, w tylnej przestrzeni pustawego kościoła, gdzie zawsze staliśmy, by nie przeszkadzać innym wiernym. I w momencie, gdy już grzecznie odwróciliśmy się, aby wrócić na swoje miejsce, kaznodzieja (bo rzecz miała miejsce podczas kazania), śp. ks. prof. Wacław Schenk, przerwał homilię (co ponoć było u niego niespotykane), spojrzał na nas i łagodnie powiedział: „Chłopcze, pozwól jej pójść do Pana Jezusa”, ja zaś bez chwili wahania puściłam rączkę brata, odwróciłam się i podażyłam grzecznie w stronę ołtarza, gdzie pozostałam przez dłużą chwilę, po czym wróciłam jak gdyby nigdy nic do rodziny. Nie pamiętam tej historii, rodzice zapamiętali ją za to znakomicie – czy miała jakieś znaczenie? Nie wiem, chociaż osoby, które znają ks. Schenka, twierdzą, że nie mogła być bez znaczenia.

Później szkoła podstawowa i liceum... Cóż pamiętam... Msze Święte szkolne w drugiej klasie szkoły podstawowej i tłum dzieci zgromadzonych wokół ołtarza, śpiewających z całych sił na chwałę Boga i szokująca wiadomość u progu trzeciej klasy, że ojciec, który nas prowadził, odszedł z kapłaństwa. A dla nas było to pierwsze zderzenie z rzeczywistością Kościoła, której do końca nie byliśmy w stanie zrozumieć. Nie pamiętam też, żeby kiedykolwiek później były jeszcze takie tłumy dzieci przed ołtarzem.

Później katecheci i sytuacje, które mniej lub bardziej wpisały się w mój życiorys. Katecheci, którym sporo zawdzięczam, głównie podstawy życiowej, rozmów, przykładu życia – bo to w człowieku zostaje najbardziej. Były też – jak pewnie u wielu z nas – wspólnoty młodzieży. Krótka przygoda z oazą, bo po roku formacji i dwóch wyjazdach rekolekcyjnych byłam pewna, że to nie dla mnie, że nie chcę być w tego typu grupach, to nie jest moja droga. Wtedy jednak okazało się, że moja koleżanka ma dokładnie takie same odczucia, jednak ona znalazła już FRA, czyli Franciszkański Ruch Apostolski. Pierwsze spotkania, pierwsze rekolekcje i już wiedziałam, że to jest to! Atmosfera radości, otwartości, pokory, szczerości i droga normalnego życia, tyle tylko że z Panem Bogiem. O to właśnie chodziło.

I w końcu klasa maturalna i wahania do ostatniego momentu: ekonomia czy teologia, a może analityka medyczna? Do końca nie wiedziałam jak się skończy mój wybór, co ostatecznie będę studiować, jak potoczy się moje życie. W końcu kończyłam klasę o profilu matematyczno-fizycznym, a większość kolegów i koleżanek mojej klasy wybierała studia ekonomiczne lub politechnikę. Pamiętam jednak, co mnie zdopingowało do tego, aby złożyć dokumenty na teologię do Lublina. A mianowicie na jednym ze spotkań naszej wspólnoty dzieliliśmy się planami na przyszłość. W odpowiedzi na moje wątpliwości dotyczące studiów jeden z braci powiedział: „Na teologię to ty się w życiu nie dostaniesz, i jeszcze do Lublina... – nie masz szans. Daj sobie z tym spokój i idź na ekonomię”. Nie było lepszej motywacji, wtedy to podjęłam decyzję: idę na teologię.

Moja teologiczna droga

Na teologię oczywiście dostałam się bez najmniejszego trudu i tak, chcąc-nie-chcąc, zaczęła się moja teologiczna droga. Najpierw siedem lat w Lubinie (pięć lat studiów magisterskich, dwa lata doktoranckich). Czas poznawania Pana Boga, uczenia się Kościoła, zderzania się ze świętością i grzechem.

Znakomici profesorowie (idąc kolejnymi latami): o. prof. S.C. Napiórkowski, śp. ks. prof. J. Kudasiewicz, ks. prof. J. Szymik, o. prof. Z. Kijas, ks. prof. H. Seweryniak, ks. prof. K. Góźdz, ks. bp A. Czaja, śp. ks. prof. J. Nagórny, ks. prof. Cz. Bartnik, ks. abp A. Nossol. I wielu innych wielkich ludzi, kapłanów, teologów, którzy uczyli nas o Bogu, Kościele i życiu.

Co teologicznie zawdzięczam studiom w Lublinie: solidne teologiczne podstawy i co za tym idzie, teologiczną odwagę, wrażliwość na to, co się dzieje w Kościele i z Kościołem, odpowiedzialność za słowo i świadomość zakorzenienia. To ostatnie pewnie głównie dzięki seminarium Księdza Profesora Szymika. Dzisiaj, z perspektywy czasu widzę to wyraźnie, jak prowadził nas przez teologiczne zmagania, mieliśmy przewodnika, mistrza, który uczył nas nie tylko teologii, ale i życia. Wtedy wydawało się nam to oczywiste, że tak jest i być musi, docenia się to dopiero z perspektywy, widząc, że buduje się na solidnym Fundamencie Boga i solidnym fundamencie mistrzów. Dzisiaj myślę o tym z ogromną wdzięcznością. Po powrocie do Katowic często zadawano mi pytanie: co ci właściwie dała ta

teologia – i tak jej nie wykorzystasz w pracy w szkole? Dała jednak ogromnie dużo – dała mocne podstawy, które pozwalały przetrwać niejedno i dała pokorę, aby z odpowiedzialnością patrzeć na Kościół oraz świadomość tego, że to, co wiemy jest z perspektywy mistrzów, z którymi obcowaliśmy w relacjach osobistych i książkowych, jedynie małą kropelką.

A dalsze lata pracy zawodowej to historia pewnie podobna do wielu z nas... Poszukiwanie pracy, zderzenia z przedstawicielami Kościoła innymi od tych, których spotykaliśmy w Lublinie, ale też w moim przypadku ogromne szczęście i prowadzenie przez Boga i niesamowitych ludzi, których spotkałam i spotykam nieustannie. Prowadzenie przez Pana Boga, bo schemat przełomowych momentów mojego życia jest wciąż ten sam: gdy już zaplanuję sobie życie, podejmę decyzję, jak już wiem, jak mają wyglądać moje najbliższe lata, pojawia się ktoś z propozycją, która przewraca moje życie i plany do góry nogami. Tak było z poszukiwaniem pracy, zajęciami na pedagogice, wyjazdem na studia do Rzymu, pracą w kurii i zajęciami we Wrocławiu na Papieskim Wydziale Teologicznym. Wszystkie te propozycje złożone przez wspaniałych i mądrych ludzi (chronologicznie): ks. Zdzisława Brzezinkę, ks. abp. Damiana Zimonia, o. prof. Kazimierza Lubowickiego OMI, w momencie, gdy padały, zaskakiwały i wywracały wszystko, co było już tak poukładane w moim życiu. Ale też muszę powiedzieć, że były to najlepsze dla mnie propozycje, które przemieniały moje życie, wprawdzie nie tak jak tego chciałam, ale na pewno zdecydowanie lepiej niżbym tego chciała i mogła sobie wymarzyć. Mam świadomość, że zdecydowaną większość rzeczy, która wydarzyła się w moim życiu, nie zawdzięczam sobie, ale innym: Panu Bogu i ludziom, którym jestem bardzo wdzięczna.

Teolog i teologia z perspektywy mojego życia

Można się zastanawiać, po co ta historia życia. Ale dla mnie jest jasne, że teologia wypływa z historii życia, czyli innymi słowy – życie kształtuje teologię. Dalsze więc rozważania na temat współczesnej teologii będą na wskroś praktyczne, przesiąknięte życiem i środowiskiem, w którym żyję, pracuję. Jednak pomimo tego, że

subiektywne, to myślę, że ważne, bo kształtujące sporą grupę osób nam powierzonych.

A zatem kim powinien być – moim zdaniem – współczesny teolog?

Historia uczy, że najwięksi teologowie, którzy ciągle są czytani, od których nieustannie się uczymy, to ludzie¹ niekoniecznie ze znakomitych rodów, nie zawsze wybitni naukowcy, ale często to ludzie święci. To osoby, które pozwoliły się poprowadzić Panu Bogu, które zostawiły potomnym istotną wiedzę na temat tego, kim jest Bóg i jak do Niego dążyć. Dla mnie, jako teologa, to właśnie jest wyznacznikiem teologicznej wielkości².

Joseph Ratzinger pisze tak: Bóg „chce tylko tego, co stworzenie może Mu od siebie dać, to jest naszej miłości. W ten sposób ofiara to nie takie lub inne cierpienie, nie taki lub inny czyn, lecz po prostu wyjście z ciasnych granic naszego egoizmu, z naszej pyszałkowej samowystarczalności, i poddanie siebie nowemu prawu Jezusa Chrystusa, który jako Człowiek dla innych ludzi i jako Syn Boży trwa w wiecznej, trójjedyniej Miłości. A ponieważ sami nie jesteśmy do tego zdolni, dlatego ofiara chrześcijan polega właśnie na tym, aby pozwolić się wziąć Chrystusowi miłosiernemu za rękę i dać się prowadzić do wewnętrznej jedności z Jego organizmem, to jest z Jego świętym Kościołem, i w jedności z Nim stać się podobnym Bogu”³. Słowa te wyznaczają drogę chrześcijan i teologów wszystkich czasów, ale wydaje się, że szczególnie współczesności. Dać się wziąć Panu Jezusowi za rękę i pozwolić się poprowadzić.

Oczywiście naiwnym byłoby twierdzić, że jest to prosta sprawa. Dzisiaj widzę już wyraźnie, jak cienka jest granica pomiędzy tym, komu dajemy się poprowadzić: Bogu czy rywalizacji, karierze, własnemu „ja”, nowym prądom, modzie... i jak trudna i niebezpieczna jest ta droga. Dlatego tak ważne są korzenie, fundamenty, na których buduje teolog i ludzie, którymi się otacza.

Przytoczę w tym miejscu pewną sytuację sprzed kilku miesięcy, nieco humorystyczną, jednak dla mnie szalenie ważną właśnie

¹ Mam tu na myśli chociażby: Ojców Kościoła, św. Jana od Krzyża, św. Teresę od Dzieciątka Jezus, św. Jana Pawła II i wielu innych.

² Mieliśmy w historii teologów „dobrze zapowiadających się”, wybitnych, o których po kilku latach ludzie zapominali. Wymienię chociażby dwóch, z którymi się spotkałam na łamach ich publikacji podczas studiów: H. Künga i T. Węclawskiego.

³ J. Ratzinger, *Służyć prawdzie*, Wrocław 2001, s. 156.

w kontekście tychże fundamentów, ważną dla hierarchii wartości i priorytetów. Całkiem niedawno dowiedziałam się, że Ksiądz Profesor Jerzy Szymik jest prałatem, zaczęłam przy pierwszej okazji zapytać go: „A ja jeszcze nigdy nie widziałam Księdza w prałackiej sutannie...”, odpowiedział: „Bo jeszcze nie zdążyłem sobie uszyć...”. I pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że prałatem został mianowany siedem lat wcześniej. Odpowiedź, jaką usłyszałam, była zabawna (w stylu Księdza Profesora), ale jednocześnie naturalna, bo jako uczennica Księdza Szymika wiem (i w takich sytuacjach przypominam sobie ciągle na nowo), że bóg toczy się nie o zaszczyty, ale o Pana Boga i o ludzi, do których On nas wysyła.

A ponieważ nie o karierę a o człowieka tu chodzi, dlatego w teologii potrzeba ogromnej odpowiedzialności za słowo. To nie jest bez znaczenia, czy napiszemy to, czy tamto, czy będziemy głosić poglądy własne czy Kościoła, czy będziemy tak, czy inaczej żyli, bo od tego zależy życie innych. Tym bardziej, jeżeli słowo to głosi kapłan. Ludzie za tym idą. Jeżeli głosi siebie, prowadzi ludzi często donikąd. Teolog w pierwszej mierze musi wsłuchiwać się w Słowo, w Słowo obecne w Kościele. By jednak zrodziło się Słowo, trzeba najpierw usłyszeć ciszę⁴. Potrzeba w życiu teologa ciszy, wsłuchiwania się w Słowo, bo teologia ma ostatecznie do Słowa, do Boga prowadzić. To jest przecież główny sens i cel teologii: uczenie jak podawać rękę Panu Jezusowi i pozwolić się Mu prowadzić do życia, które będzie autentycznie szczęśliwe i przepełnione sensem, a nie będzie nieustannym poszukiwaniem namiastek, których świat ma aż za dużo. Nie ma gotowej recepty na udane życie, recepty takiej samej dla wszystkich. Ale jest jedna droga, która do tego prowadzi. Tą drogą jest Jezus Chrystus. Często ludzie oczekują od nas gotowego poradnika: zrób to czy tamto, powiedz to czy owo, a będziesz szczęśliwy i życie popłynie ci spokojnie, będziesz miał udane małżeństwo, dobrą pracę i nie będziesz musiał nic robić. Tylko czy to jest szczytem marzeń o szczęściu? Obawiam się, że byłoby sporo reklamacji.

Papież Franciszek w homilii w Wigilię Paschalną 2013 roku mówił między innymi: „Nowość często budzi w nas lęk, także nowość, którą przynosi nam Bóg, nowość, jakiej Bóg od nas oczekuje. Jesteśmy jak apostołowie z Ewangelii: często wolimy trzymać się naszych pewno-

⁴ Jest to cytowany z pamięci tekst życzeń na Wielkanoc 2013 r., o. Innocentego Kielbasiewicza OFM.

ści, zatrzymać się przy grobie z myślą o zmarłym, który ostatecznie żyje tylko w pamięci historii jak wielkie postaci z przeszłości. Boimy się niespodzianek Boga. Drodzy bracia i siostry, w naszym życiu boimy się niespodzianek Boga! On zawsze zaskakuje! Taki jest Pan”⁵. Dlatego teologia nigdy nie da gotowych recept na życie, nie stworzy poradnika innego niż Biblia, ale może i powinna uczyć, jak dostrzegać wyciągniętą dłoń Pana Boga ku człowiekowi.

I w tym kontekście rodzi się we mnie kolejna wątpliwość dotycząca relacji współczesnej teologii do nauk przyrodniczych, do nowinek świata zachodniego, do zachłystywania się grupami i wspólnotami tzw. „ponadwyznaniowymi”. Może jest to zbyt pochopne wrzucenie wszystkiego do jednego worka, jednak mam wrażenie, że często efekt jest ten sam: służalczość teologii, która objawia się w stwierdzeniu: „przemilczmy pewne sprawy, bo ludzie nie chcą o tym słuchać”, a co za tym idzie rozmywanie się prawdy o Bogu. Absolutnie nie kwestionuję potrzeby dialogu z naukami, z kulturą, ze współczesnym światem – wprost przeciwnie. Jednak czy nie jest czasami tak, że sprzedajemy teologię za pieniądze, które oferują zagraniczne „grupy chrześcijańskie”, by głosić Pana Boga na wypracowany przez nich wzór i model? Czy nie próbujemy naciągać nauczania Kościoła pod nowoczesne nurty psychologiczne oraz pod prymitywne poradniki, próbujące dawać banalne recepty na życie? Czy w końcu nie zapominamy o Panu Bogu, chcąc się przypodobać światu?

Mam wrażenie, że także na terenie Kościoła w Polsce, w różnych kręgach, wyrasta coraz więcej „specjalistów od teologii”, którzy nigdy nie mieli z nią styczności, a przeczytawszy kilka poradników *quasi*-teologicznych, głoszą z przekonaniem poglądy czasami znacząco odbiegające od zdrowej nauki Kościoła, przedstawiając się jednocześnie jako jedyni znawcy Pana Boga i Kościoła⁶. Mam wrażenie, że pokazuje to też w pewnym sensie słabość naszej teologii. Może teologia zbyt mało wychodzi poza sale akademickie, może za duży jest rozdźwięk pomiędzy wydziałami teologicznymi a codziennym życiem parafii, szkoły. Jestem jednak głęboko przekonana, że dobra teologia, dobrze przekazana, obroni się sama. Przyznam, że ucząc w szkole, zdarzyło mi się kilka razy przekazywać treści na poziomie akademickim. Za każdym razem wszyscy słuchali

⁵ Cyt. za: www.vatican.va

⁶ Niestety jesteśmy narodem, który znakomicie potrafi się sam „leczyć”, sam potrafi „wszystko naprawić”, a ci którzy zapłacili mandat są najlepszymi „specjalistami prawa”. W ostatnim czasie mamy także takich znakomitych „teologów”.

z zaciekawieniem, a po lekcji usłyszałam: ciekawa jest ta teologia, proszę nam częściej mówić takie rzeczy.

★★★

Żyjemy w ciekawych czasach trzech wielkich Papieży: Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Każdy z nich w inny sposób prowadził i prowadzi Kościół, w inny sposób uprawia teologię. Pierwszy z nich – filozof i mistyk, otwarty na świat, zarażający swoją świeżością, Benedykt XVI – jeden z największych teologów XX wieku, wyróżniający się teologiczną głębią i precyzją słowa, oraz papież Franciszek – mówiący do nas językiem prostym, ale jakże głębokim i jak bardzo dotykającym sedna chrześcijaństwa. Wszyscy oni bezkompromisowo mówią nam o Bogu. Nikt z nich nie daje ani nie dawał prostych recept, nie wskazywał drogi „na skróty” i pewnie właśnie dlatego idą za nimi tłumy. Czyż to nie jest wyznacznik dla nas, teologów XXI wieku?

Ewa Porada, doktor teologii w zakresie teologii dogmatycznej. Studia podyplomowe z zakresu małżeństwa i rodziny na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. Pracuje w Wydziale Duszpasterstwa Rodzin Archidiecezji katowickiej – Archidiecezjalny Doradca Życia Rodzinnego; sekretarz Komisji Katechezy i Wychowania Katolickiego II Synodu Archidiecezji Katowickiej; katecheta w Społecznym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach.

Tomasz Samulnik OP

Wrażliwość, która pociąga w stronę Boga, czyli moja wędrowka/przygoda z teologią Księdza Profesora Jerzego Szymika

„Są dwa punkty otwarcia się na Boga:
jedni potrzebują do tego nieszczęścia,
inni – przeciwnie – smaku szczęścia.
Pierwsi szukają Pana Boga, aby wyratował ich z opresji,
drudzy – aby Go sławić, wyrazić Mu wdzięczność za
wspaniałość istnienia.
Wielka teologia wyrasta z tego drugiego motywu – jest
teologią wdzięczności”.

J. Tischner, *Przekonać Pana Boga*, Kraków 1999, s. 5

Po raz pierwszy nazwisko Księdza Profesora usłyszałem w Poznaniu. Ksiądz Szymik głosił wtedy rekolekcje w naszym kościele przy ul. Kościuszki 99. Były to bodaj rekolekcje tak zwanej ostatniej szansy lub rekolekcje dla inteligencji. Nie pamiętam. W każdym razie w tamtym miejscu zabrzmiało mi w uszach pierwszy raz imię i nazwisko: „Jerzy Szymik”. Po kilku latach, gdy byłem na trzecim roku studiów seminaryjnych w Krakowie, podczas wycieczki w góry zacząłem rozmawiać z jednym z braci na temat jego pracy magisterskiej. Jacek opowiedział mi o swoim temacie, o Ratzingerze/Benedyckie oraz swoim polu zainteresowań teologicznych. Bardzo spontanicznie rozmowa zesłała na promotora – i wtedy się zaczęło... W opowieści Jacka na temat Księdza Profesora (którego nazwisko wówczas samo się odpomniało...) było coś z postawy Andrzeja względem swojego brata Szymona (jeszcze wtedy nie Piotra), którą św. Jan opisuje w kontekście spotkania uczniów z Jezusem w pierwszym rozdziale swojej Ewangelii.

Piszę te słowa bez cienia przesady.

Przyszedł czas decyzji w kwestii wyboru promotora. Opatrznościowo (jak wierzę) odbywała się w naszym krakowskim klasztorze sesja poświęcona teologii Trójcy Przenajświętszej. Ksiądz Profesor Jerzy Szymik był jednym z prelegentów. Przedstawił podówczas wykład zatytułowany *Unum neccesarium. Prymat Boga w teologii Josepha Ratzingera/Benedykta XVI*. Przedstawiona treść, a także sam sposób jej prezentacji (mam tu na myśli głębię refleksji, jej aplikację do prostego, codziennego życia, ciepły głos prelegenta, jego swoiste poczucie humoru) sprawiło, że decyzja, pod wpływem (jak wierzę) Ducha Bożego, niejako sama się podjęła. Przedstawiana treść wraz z postawą przedstawiającego niejako symultanicznie karmiła wiarę i radość z jej przeżywania. Sługa radości? Z pewnością! Co więcej: myślę, że wrażliwość i przekaz teologiczny Księdza Szymika stały się miejscem spotkania z moją wrażliwością. Tak – pomyślałem – chcę uczyć się od tego człowieka, ponieważ, jak sądzę, jest to człowiek Boży, człowiek do cna Chrystusowy. Po wykładzie odbyła się dyskusja. Poszedłem wtedy na różaniec, aby całą sprawę skonsultować z Kim trzeba. Po zakończonej sesji podszedłem do Księdza Profesora, przedstawiłem się, podziękowałem i poprosiłem o przyjęcie do grona uczniów. Tak zaczęła się jedna z największych i najpiękniejszych przygód mojego życia.

W szkole Mistrza

„Jest więc teologia tęsknotą za Światłem Osoby. Czy też – ujmując rzecz z innej strony – refleksją zrodzoną na kanwie egzystencjalnych wysiłków (człowieczych *par excellence!*) poszukiwania Mistrza, czyli refleksją zrodzoną z tęsknoty za światłem bijącym z postaci Nauczyciela życia. I jest dla mnie rzeczą oczywistą, że owo poszukiwanie mistrza na płaszczyźnie ludzkiej (autorytet osobowy, intelektualno-egzystencjalny), czyli pragnienie przebywania w kręgu światła rozsiewanego przez kogoś, od kogo uczeń chce się uczyć i ma się czego uczyć, jest znakiem pragnienia ontologicznie i teologicznie znacznie głębszego. Jest ono mianowicie piękną, ale i kruchą jednocześnie, ubogą ubóstwem doczesności próbą ziemskiej realizacji tej jednej jedynej tęsknoty godnej serca ucznia, serca po ludzku nienasyconego: «jeden jest wasz Nauczyciel, [...] jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus» (Mt 23,8.10)¹.

¹ J. Szymik, *Teologia. Rozmowa o Bogu i człowieku*, Lublin 2008, s. 172-173.

Opisane powyżej pragnienia przenikają się w życiu człowieka wiary: mistrz prowadzi do Mistrza, jest drogowskazem, znakiem (!) ukazującym Prawdę i do Niej odsyłającym. Jest tym znakiem przez głoszenie Prawdy, Prawdy o Odkupicielu człowieka; Znak w tym wypadku znaczy także przez to, jak wygląda jego (znaku) życie tą prawdą. Prawda – Jezus Chrystus emanuje swoim blaskiem, który nie sposób stłumić czy też ukryć. Przebywający w obecności Chrystusa, trwający w Nim, mają również zlecone przez Niego zadanie: „Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca Waszego, który jest w niebie” (Mt 5,16). W moim głębokim przekonaniu, które jest poparte doświadczeniem osobistym i wspólnotowym, Ksiądz Profesor poprzez poznawaną, głoszoną i przeżywaną Prawdę bez wątpienia jest jej godnym wiary świadkiem. I to mnie pociąga, uwrażliwia, inspiruje do tego typu postawy, którą jest – mówiąc w prostych słowach – życie Ewangelią Jezusa Chrystusa.

„jeśli jest prawdą (a jest; to dla mnie bez wątpienia jej cecha konstytutywna), że teologia jest poszukiwaniem Mistrza (Epistata!!!) i że aby teologia była teologią, potrzebuje ona mistrzów, to właśnie w tym i takim sensie: potrzebujemy naśladowców Chrystusa, jedyne Mistrza. W tym sensie też i przy koniecznym założeniu, że świadomie nie schodzimy poniżej pewnego poziomu rozważań, wiarygodnie już brzmi teza, iż prawdziwe *mistrzostwo* w teologii jest nierozzerwalnie związane ze świętością. *Kochający Boga wiedzą o Nim najwięcej, a teolog musi się im przysłuchiwać*². To właśnie *przysłuchiwanie się* jest istotą terminowania u mistrzów, procesem, który ma swoje źródło w pragnieniu terminowania u Jedyne Mistrza”³.

Oddana w przytoczonych powyżej słowach rzeczywistość-relacja: Mistrz–mistrz–uczeń podaje, w sposób według mnie najgłębszy, argumentację dotyczącą terminowania u mistrza, którym jest dla mnie (w teologii, w poszukiwaniu prawdy, w życiu, w drodze do świętości) Ksiądz Profesor Jerzy Szymik oraz, co się z tym nierozzerwalnie łączy, uprawiana i prezentowana przez niego teologia. Zmierzenie się z łaską teologii (!), tym oryginalnym darem Pana dla każdego z nas, dla naszego życia, serca i rozumu (jak często powtarza Ksiądz Profesor) jest niewątpliwie piękną przygodą wiary organicznie połączonej z życiem. Słowa poezji i wykładów Księdza Profesora łączą teologię z prostym życiem – być może w tym

² H. Urs von Balthasar, *Wiarygodna jest tylko miłość*, tłum. E. Piotrowski, Kraków 1997, s. 15.

³ J. Szymik, *Teologia. Rozmowa...*, s. 175.

(niejako teandrycznym) miejscu leży jej wielkość i egzystencjalna nośność. Bóg stał się człowiekiem; stał się dla człowieka w najbardziej dobitnym sensie – zechciał podzielić los człowieka, wejść totalnie w jego życiową kondycję, objawiając przy tym prawdziw(i)e oblicze Trójjedynego. W tym względzie teologia uprawiana przez Księdza Profesora odwzorowuje tę sytuację. Jest o Bogu i tym samym jest dla człowieka – w najbardziej przystępnej (i tym samym głęboko bosko-ludzkiej) formie.

„Ziemia jest pełna nieba, a każdy zwykły krzew płonie Bogiem. Ale tylko ci, którzy widzą, zdejmują sandały; reszta siada i zbiera jagody” (Elisabeth Barret Browning)

W szkole wrażliwości

Wrażliwość, w której spotkałem się z Księdzem Profesorem, jest wrażliwością właściwą literaturze i sztuce w ogóle. W twórczości teologicznej Księdza Szymika spotykają się erudycja i piękno; teologiczna głębia oraz próba jej wyrażenia językiem literatury, szczególnie poezji. W taki sposób wyrażona Prawda pociąga, fascynuje, zdumiewa, zachwyca. „Biblia jest literaturą” – stwierdza Marie-Dominique Chenu OP –

„Bóg objawia się nie poprzez system idei czy poprzez sposób spekulacji o sprawach fizycznych, metafizycznych lub moralnych, ale przez historię i przypowieści o ludziach o rysach osobliwych i różnych losach. Ten literacki rodzaj Objawienia Boskiego stwarza w naturze i w prawie teologię języka chrześcijańskiego. Znaczące jest to, że w budzeniu się teologii pierwszym problemem, który się pojawia, jest język ludzi chcących być wiernymi w zaangażowanie ludzkie Słowa Bożego. Owo Słowo Boże zostało ogłoszone im i wokół nich w świecie jako *nowina* i ważne jest, aby nie było powtarzane w postaci formuł nabytych”⁴.

Przywołane słowa zdają się wyrażać charakterystyczny rys osobowości oraz twórczości Księdza Profesora. Jak już wspominałem – taka postawa zachwyca i pociąga, a także uczy wrażliwości, otwierając zarazem umysł i serce na przeżywanie wiary w ten sposób. Ksiądz

⁴ M.-D. Chenu, *La littérature comme lieu de la théologie*, „Revue des Sciences Philosophiques et Théologiques”, styczeń 1969, s. 76; tłum. J. Dobies.

Profesor Jerzy Szymik wyrażał to w wielu miejscach swojego teologicznego piśmiennictwa. Oto jedno z nich:

„Religia i sztuka [...] dotykają tej samej wrażliwości życia i człowieczego serca. Poezja i religia *zaprzyjaźnione*, pomagają wybrzmieć prawdzie bytu w jednej melodii, rytmie, symfonii. Główne i żywotne, a też najbardziej podstawowe źródło poezji drzemie w religii. [...] Religia bez sztuki staje się sucha, a sztuka bez religii staje się jałowa. Prościej: żyjemy w zachwycie życiem i w pasmach różnorakiego bólu, więc poezja kręci się wokół życia i jego tajników. Ponieważ życie nie jest abstrakcyjną, religijną wartością, jeśli poezja zachwyca się życiem, jeśli wyje z bólu, to znaczy, że może coś ważnego powiedzieć religii o życiu, o jego dojmującej konkretności”⁵.

Właśnie tak opisany charakter ma terminowanie w szkole Księdza Profesora Jerzego Szymika: egzystencjalny, głęboko katolicki, sensotwórczy, pełen wrażliwości i ją kształtujący; pełen Boga a poprzez to najwznioślej ludzki...

★ ★ ★

Spotkanie z Księdzem Profesorem Jerzym Szymikiem, a także przygoda z jego refleksją teologiczną oraz poezją w efekcie skłania do dziękczynienia i oddania chwały Bogu za to, że spotyka ludzi ze sobą i sobą nawzajem; krzyżuje (!) ludzkie drogi i plany. Owo dziękczynienie niech mi będzie wolno wyrazić słowami św. Hildegardy z Bingen, Doktor Kościoła:

*O quam mirabilis est
prescientia divini pectoris,
quae praescivit omnem creaturam.
Nam cum Deus inspexit
faciem hominis quem formavit,
omnia opera sua
in eadem forma hominis
integra aspexit.
O quam mirabilis est inspiratio
quae hominem sic suscitavit*

„O, jak przedziwna przedwiedza Bożego serca, która poznała (przedwidziała) wszelkie stworzenie. Bo gdy Bóg wejrzał na oblicze człowieka, którego ukształtował, ujrzał w nim wszystkie swe dzieła, całe i nienaruszone w owym ludzkim kształcie. O, jakże przedziwne to tchnienie, które w ten sposób zbudziło człowieka”⁶.

⁵ J. Szymik, *Cień rzeczy duchowych*, Wrocław 2005, s. 86.

⁶ Por. B. Matusiak, *Hildegarda z Bingen. Teologia muzyki*, Kraków 2003, s. 45.

Tomasz Samulnik – ur. w 1981 roku w Parczewie na Lubelszczyźnie. Dominikanin. W latach 2011–2013 magistrant ks. prof. Jerzego Szymika na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Interesuje się zbawieniem własnym i braci, a także muzyką (klasyczną, jazzem, kompozycją, aranżacją), teologią współczesną, zwłaszcza okołosoborową oraz filozofią dialogu. Fascynuje się także postacią oraz duchowością Hildegardy z Bingen oraz Teresy z Lisieux. Mieszka we Wrocławiu.

Gabriela Seifert-Knopik

Wędrówka z teologią po ciernistych i opty-mistycznych szlakach

„Słyszę jak ktoś szepcze w czyjeś ucho:
Najpiękniejsze ciągle przed nami...
I wątpię, i wierzę”

ks. Jerzy Szymik, *Monachium*, fragm.

Okres studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim był dla mnie pięknym, niepowtarzalnym czasem, prawdziwą łaską od Pana Boga. W tym czasie doświadczyłam nie tylko „pokarmu” intelektualnego, ale również duchowego i moralnego, dotykającego całej mojej osoby. Oprócz wykładów i ćwiczeń, spotkań z profesorami, kolegami i koleżankami (z niektórymi z nich mam do dzisiaj kontakt), moją osobę kształtowało duszpasterstwo akademickie. Wszystko to karmiło mój nieuksztaltowany, spragniony poznania prawdy rozum oraz spragnioną prawdziwej miłości, a jeszcze nieuksztaltowaną duszę. Siedem lat na KUL-u (tyle zajęło mi studiowanie dwóch kierunków pedagogiki i teologii) to niepowtarzalne lata mojego życia, podwalina intelektualno-moralno-duchowa.

Po studiach wyjechałam na dwa lata za granicę. Tutaj doświadczyłam zderzenia ideałów z rzeczywistością, bardzo trudną, twardą, wymagającą zaparcia, radzenia sobie z byciem przecież nie w swoim kraju, z dala od stron rodzinnych. Odezwał się „głos”, aby moją pasję ze studiów magisterskich, czyli mistykę i chrystologię, pogłębić poprzez studia doktoranckie. O doktoracie mówiono mi już na KUL-u, ale ja wówczas nie chciałam o tym myśleć. Po zaliczeniu jednego z egzaminów u księdza arcybiskupa Alfonsa Nossola, usłyszałam z jego ust słowa, aby kończyć studia magisterskie, wrócić na Opolszczyznę i zrobić doktorat. Innym razem, kiedy zastanawiałam się nad wyborem tematu pracy magisterskiej, czy zająć się chrystologią św. Ignacego Loyoli czy św. Teresy z Avila, Ksiądz Profesor

Jerzy Szymik (nie wiem, na ile żartem, na ile serio) zasugerował mi: pisz o św. Ignacym Loyoli (*Teologia tajemnic ziemskiego życia Jezusa w „Ćwiczeniach duchownych” św. Ignacego Loyoli*), a św. Teresę zostaw sobie na doktorat (bardzo chciałam pisać o tej ostatniej, ale o św. Ignacym miałam już dużo materiałów ze względu na magisterkę z pedagogiki). Słowa tych dwóch osób – ówczesnego Arcybiskupa mojej diecezji oraz mojego Promotora nie dały mi spokoju. Decyzję przypieczętowała ostatecznie lektura książki *Być dla, czyli myśleć sercem* (rozmowa ks. Szymika z biskupem Nossolem). Dlatego też po powrocie z Niemiec zapisałam się na studia doktoranckie w Opolu. Tu na Wydziale Teologicznym w Opolu zrodziła się (nie bez bólu) praca doktorska *Tajemnica Jezusa Chrystusa w dziełach Teresy z Avila*. I na tym skończyła się moja „kariera” naukowa. Dalsze poszukiwania „przysypała” trudna rzeczywistość, do dziś odkrywana powoli droga bycia teologiem inaczej, bo już nie w sposób naukowy. Nie traciłam jednak nadziei, chociaż moja droga z teologią to wędrówka poprzez gąszcz ciemności, samotności, niemocy, niekiedy buntu albo bezradności. Teologia stała się dla mnie krzyżem możliwym do uniesienia tylko z Chrystusem żywym, którego zaczęłam coraz bardziej poszukiwać w życiu, a wiedziałam, iż musi to być Bóg wcielony, a nie Jego iluzja, obraz wymyślony przeze mnie. To Bóg ukryty, *Deus absconditus*, Bóg pokorny, obecny niekiedy tam, gdzie najmniej można było się spodziewać...

„Jakże bylibyśmy szczęśliwi,
wyciszeni, skupieni na tym co pewne i nieważne. Jakiegoż to
symfonie konstruktywne przetaczałyby się przez naszą
uporządkowaną wyobraźnię
jakiż jasny,
jakiż piękny byłby cel.
Gdybyśmy tylko nie kochali.
Na (nie)szczęście
miłość jest naszą przypadłością nieuleczalną.
[...]
Boże,
wykończy nas ta miłość
wykończy.
Ukrzyżuje”

(ks. Jerzy Szymik, *Choroba, brak leku. Modlitwa, fragm.*)

Zostałam szczęśliwą żoną, a potem szczęśliwą matką, chociaż nadal niezbyt szczęśliwym teologiem. Nie mogłam jednak tak naprawdę rozstać się z teologią, chociaż przez kilka lat nie zajmowałam się

nią zawodowo, bo najzwyczajniej nie znalazłam zapotrzebowania na ten zawód. To zaś z kolei stało się dla mnie bardzo dużym cierpieniem i przedmiotem poszukiwań. Dziś nauczyłam się dziękować Bogu za to, co daje i ufać, iż On wie, po jakich ścieżkach mnie prowadzić. Wychowując małe dziecko oraz pracując z małymi dziećmi, uczę się prostoty wiary, prostego wznoszenia dłoni i serca do mojego Ojca w niebie, uczę się zaufania Jemu i oddawania mojego życia przez ręce Maryi. Uczę się „przedzierania” do Boga poprzez zarośla tego, co zakażone w naszej cywilizacji i szukania ciągle Jezusa – „Antywirusa” na to zakażenie. Uczę się nieobrażania na innych, przyjmowania ich takich, jacy są, wreszcie odnajdywania w nich Jezusa wcielonego. Moja wędrówka z teologią ciągle trwa...

Zaraz po abdykacji papieża Benedykta XVI sięgnęłam do książki Księdza Profesora Jerzego Szymika *Teologia benedicta I* i jakoś „mocno” chłonełam jej treści. Podjęty na wykładzie *Teologia i my* (wygłoszonym 6 kwietnia 2013 roku w Katowicach podczas Wielkiego Zlotu Seminarzystów z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin Księdza Profesora) wątek: *myśl ścigająca serce* bardzo mi się podoba i inspiruje do zastanowienia się nad sensem i „jakością” realizacji mojego powołania, między innymi jako teologa. Droga od pytań egzystencjalnych i szukania na nie odpowiedzi najpierw na sposób filozoficzny (rozumowy), a potem teologiczny (rozum+wiara) nasuwa mi refleksję na „dalszą część” poszukiwań, gdzie istota leży w słowie: MISTYKA: „Jest próg, gdzie kończy się filozofia, a zaczyna się teologia. I jest próg, gdzie kończy się teologia, a zaczyna się mistyka [...]”¹. Osobiście jestem głęboko przekonana, że istota tego, co niesie słowo mistyka: poszukiwanie bliskości Boga żywego, bliskiej z Nim relacji, nadaje głęboki sens i jest formą odpowiedzi na prawdę, iż „śmierć siedzi mi [nam wszystkim bez wyjątku!!] na karku” (słowa Księdza Profesora wygłoszone podczas w/w wykładu).

Postawa papieża Benedykta XVI, jego odejście na swoją „Górę Tabor” – jak zapowiedział – daje wiele do myślenia i jakby pokazuje ten drugi próg. Moim zdaniem, pokazuje też kierunek, w którym chrześcijaństwo powinno pójść, aby zachować swoją tożsamość (znane słowa Karla Rahnera, iż chrześcijanin XXI wieku albo będzie mistykiem, albo nie będzie go w ogóle!). Pod ten próg można

¹ To cytat z książeczki, która zawiera wykład bpa Wacława Świerzawskiego, wygłoszony dnia 26 lutego 1996 roku na KUL-u w ramach XXI Tygodnia Duchowości, pod hasłem: *Ku szczęściu bez oszustwa*, w: W. Świerzawski, *Przyjaźń z obecnym – źródłem szczęścia*, Sandomierz 1996, s. 30.

podejść, jeżeli na przykład my, teolodzy, zobaczymy (czyt. uświadomimy sobie): „Kto nam tak ustawił to życie, że jestem tu, że studiuję [albo studiowałam] teologię” i Kim jest Ten Bóg żywy w moim życiu, które daje między innymi powołanie do bycia teologiem. Co to właściwie znaczy być dzisiaj teologiem?

Dziękuję Księdzu Profesorowi za dwie „wskazówki” dla teologów:

- a. potrzeba: uporządkowania w pracy, systematyczności, profesjonalizmu, PRACY;
- b. potrzeba uprawiania teologii „tylko w basenie”, czyli – jak nas uczono: „na kolanach”, w relacji osobistej do Pana Boga (i w uznaniu zależności od Niego).

Podobnie czytam w bardzo ważnym dla teologów dokumencie Kościoła: „Uprawianie teologii wymaga duchowego wysiłku związanego ze zdobywaniem ścisłości i uświęceniem”².

W skrócie, jeżeli chodzi o moje doświadczenie: ten pierwszy punkt starałam się szczerze realizować w okresie studiów magisterskich i doktoranckich. Kiedy zawodowo zajmowałam się czymś innym – poszedł na boczne tory. Na ile to jest moja wina, trudno mi odpowiedzieć. Ograniczenia czasowe i „siły” (obowiązki zawodowe i rodzinne) jakoś to tłumaczą, być może nie do końca. Doświadczenie mówi mi, że istnieje potrzeba silnej determinacji trwania przy swojej pasji – a o to nie jest łatwo. Największą zaś przeszkodą jest zniechęcenie, brak nadziei, brak zobaczenia dalszej drogi – może też brak zrozumienia i konkretnej „pomocnej dłoni”. Stąd zapewne wiele bólu z tego powodu w moim życiu, czym nieraz mogłam podzielić się z Księdzem Profesorem i nie zostałam zbesztana... Czy to jest tylko mój problem, czy jest on bardziej „obiektywny”? Spotykam osoby, które borykają się z tym, jak realizować swoje zamiłowania teologiczne. Niektórzy obierają drugi kierunek studiów albo idą w kierunku bardziej „świeckiego” zawodu. Dobrze, jeżeli jeszcze lubią to, co robią i gdzieś po drodze „przemycają” treści teologiczne i „szymikowe”, gdy starcza im czasu, sił i pasji. A jeżeli nie mogą znaleźć tego, co mogliby robić i czym służyć Kościołowi i społeczeństwu, „bo nikt ich nie najał”? Czy nie szkoda trochę tych teologów świeckich? Czy to nie jest jakiś potencjał, który papież Franciszek zauważył w polskim Kościele? Aż potencjał, ale zawsze jednak tylko

² Kongregacja Nauki Wiary, *Donum veritatis. Instrukcja o powołaniu teologa w Kościele*, Rzym 1990, 10.

potencjał. Tu chyba leży jakaś prawda, iż teologia jest niedoceniona przez świat, przez naszą ojczyznę, a nawet przez ludzi Kościoła (o czym było nieco wspomniane w części panelowej Wielkiego Złotu Seminarzystów, po wykładzie)... Bo przecież „żniwo jest wielkie” ciągle, nadal... potrzeba wciąż ludzi, którzy mają i wykształcenie, i serce, które mogliby dać, poczynawszy od szczybli w parafiach, diecezjach, placówkach, gdzie teologia ma być wprowadzana w życie... Dlaczego więc w tak słabym stopniu „wykorzystuje się” nierzadko dobrze wykształconych i zarazem kochających Kościół, teologów świeckich? Czy to jest kwestia zbyt małego zaufania? Ekonomii? Mentalności?

Być może tu też tkwi choćby częściowa odpowiedź na spostrzeżenie Księdza Profesora, iż obecnie na teologię nie przychodzą tylko najzdolniejsi. Bo chyba dla wielu teologów świeckich (a zwłaszcza kobiet) istnieje jakaś „granica” możliwości rozwoju intelektualnego. Siłą rzeczy trzeba sięgać po to, co jest możliwe, co nam oferuje tzw. proza życia. Chyba szkoda... Jest to sytuacja, która przynosi poczucie ogromnej samotności w Kościele, jakiegoś „muru” nie do przebiccia, przed którym uczyć się pokornie stawać i cierpliwie czekać, i nie tracić nadziei na dożycie dnia, kiedy on runie...³

Ad b. – staram się bardzo żyć w tym basenie i niekiedy nie chciałoby się z niego wychodzić. Warto chyba wprowadzać „szkoły pływania”, bo to jest niezbędne, aby między innymi myśleć o sobie właściwie i nie wymądrzać się przed innymi⁴.

Cała sztuka to umieć znajdować na co dzień ten „złoty środek”, aby było „a” i „b”. Ale jest on chyba w różnym miejscu dla różnych osób; dla niektórych więcej jest pracy zewnętrznej, dla innych – więcej trwania przed Panem. Wzruszające i piękne jest pragnienie Księdza Profesora, aby bardziej żyć Eucharystią, adoracją. Wiele rzeczy w tym życiu ziemskim pozostaje na płaszczyźnie pragnień. Św. Jan M. Vianney podobno parę razy uciekał od swoich parafian do trapistów, ale „bieda” ludzka znowu sprowadzała go do Ars...

³ „Pośród powołań wzbudzanych przez Ducha w Kościele wyróżnia się powołanie teologa, którego szczególnym zadaniem jest zdobywanie, w łączności z Urzędem Nauczycielskim, coraz głębszego zrozumienia Słowa Bożego zawartego w natchnionym Piśmie Świętym i przekazanego przez żywą Tradycję Kościoła”, tamże, 6 (wyróżnienia własne).

⁴ „Teolog – z racji swojego powołania – musi żyć intensywną wiarą i zawsze łączyć badania naukowe z modlitwą”, tamże, 8 (wyróżnienia własne).

Z drugiej strony jednak, osobista decyzja papieża Benedykta (bo nikt z żyjących mu tego nie doradził), która wiele go kosztowała, jest dla mnie dowodem ogromnej odwagi, właściwego odczytywania woli Bożej (znaków czasu) i jakiegoś znaku działania Ducha Świętego przez papieża Franciszka, (którego by nie było bez „ofiar” ze strony jego poprzednika).

„Wszystkie wielkie rzeczy w życiu są proste” (słowa Księdza Profesora wygłoszone podczas w/w wykładu), chociaż nie zawsze łatwe. Pociągają mnie „środowiska”, gdzie jest „duch ewangeliczny”: prostota i ewangeliczne „ubóstwo”, gdzie można wracać jak do źródła. Cieszy i budzi wdzięczność fakt, że takie „środowisko” mogę znajdować także dziś. Jednym z nich było przed laty seminarium u Księdza Szymika w Lublinie, na które przesłam dopiero na czwartym roku studiów magisterskich (szukając właściwego promotora), podczas wykładów, zwłaszcza z chrystologii, na które uczęszczałam dwa razy (drugi raz w trakcie „dziekanki” na Wydziale Pedagogicznym), a potem doświadczyłam podobnej atmosfery podczas WZS. Inne miejsce, gdzie chętnie wracam, jak do źródła, to „Siostry Różowe” w Nysie, które nie odmówiły mi jeszcze gościny i przyjmują na kilka dni w roku, kiedy mam potrzebę odnowienia swojej relacji z Bogiem. One też w całej swej pokorze i prostocie poprosiły mnie o wykłady między innymi na temat wiary i modlitwy u św. Teresy z Avila. Pięknie potrafią słuchać, a także dzielić się swoim doświadczeniem życia w relacji z Bogiem. Niedawno zaprosiły mnie do podzielenia się wykładami na temat modlitwy, czyli etapów Zjednoczenia z Bogiem (na podstawie *Zamku wewnętrznego* św. Teresy Wielkiej). Tym razem słuchaczami były osoby tworzące Eucharystyczną Wspólnotę Adoracyjną. Na co dzień tego źródła szukam w Eucharystii, ale też i w sakramencie małżeństwa, gdzie – jak mi mówi wiara – jest obecny Chrystus ze swoją miłością i mocą. Oby takim „źródlanym środowiskiem” była też cała moja rodzina!

„rozpoznać przypisaną
nam miarę
świętości
wyrozumiałość to cudowna cnota”

(ks. Jerzy Szymik, *CARO CARDO SALUTIS*, 11, fragm.)

Gabriela Seifert-Knopik, ur. w 1972 roku, doktor teologii, magister pedagogiki. Studia magisterskie z pedagogiki i teologii ukończyła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w 1998 roku, studia doktoranckie z teologii na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego uwieńczyła obroną pracy doktorskiej w 2004 roku, zatytułowanej *Tajemnica Jezusa Chrystusa w dziełach Teresy z Avila*. Przełożyła dwie książki z języka niemieckiego (Hermann Liebenow, *Konsekwencja w wychowaniu dzieci*, Kraków, WAM 2006 oraz Sebastian Painadath, *Wyzwolenie przez medytację. 50 kroków do samopoznania*, Kraków, WAM 2008). Chętnie dzieli się tematem modlitwy i drogi do zjednoczenia z Bogiem, przedstawionej przez hiszpańską Doktor Kościoła m.in. w obrazie zamku wewnętrzne-go czy też ogrodu z chwastami i kwiatami. Posługuje się przy tym metodą obrazową. Jest szczęśliwą żoną Roberta i mamą Michałka. Razem z mężem są uczestnikami Ruchu Duchowości Małżeńskiej – Equipes Notre-Dame.

Justyna Sprutta

Moja przygoda nie tylko z teologią...

Teologia uchodzi dzisiaj za niemodną, ograniczającą horyzonty oraz pozbawioną przyszłości dziedzinę nauki, stanowiącą jedynie... powód do wstydu. Ciężko jest też osobie świeckiej, zwłaszcza kobiecie-dogmatykowi, w pełni poświęcić się jej naukowo na rodzimym gruncie, chociaż wciąż wierzę, że żaden wybór, także ten, nie został spisany na straty. Teologia w wielu kręgach nie cieszy się sympatią, a nawet „przeszkadza”. Wydaje się średniowiecznym reliktem, któremu dzisiaj odmawia się często statusu nauki ze względu na niemożność poznania jej przedmiotu *a posteriori*. Niejednokrotnie „zamyka” przede mną „drzwi”, uniemożliwiając mi uzyskanie stałej pracy. Na teologa najczęściej spogląda się z politowaniem, pogardą lub ironią, zapominając o tym, że to właśnie teologia stanowiła przed wiekami jeden z pierwszych kierunków na wielkich uniwersytetach oraz o tym, że teolog nie jest żadnym dziwolągiem...

Teologia to specyficzna dziedzina, ponieważ bez życiodajnej wiary i czyniącej chrześcijaństwo wiarygodnym autentyczności przeobraża się po prostu w „trupa”. Dynamiczna wiara i autentyczność postawy cechuje między innymi apostoła Jana pod Chrystusowym krzyżem i Marię Magdalenę zapatrzoną w ogrodzie ze zdumieniem i miłością w swego Mistrza. Żywa, radosna, pociągająca teologia nie jest teologią skostniałą, „scholastyczną”, wiecznie czegoś zakazującą, wszędzie doszukującą się grzechu. Tracące dzisiaj na atrakcyjności chrześcijaństwo potrzebuje innego przekazu Ewangelii, przekazu pełnego entuzjazmu i autentyczności. Dopiero taka teologia będzie w stanie wypełnić serca treściami chrystocentrycznej wiary. W XXI wieku nie można mówić o Bogu językiem „suchym”, ścisłym aż do „ból”, ale należy mówić o Nim na przykład językiem poetyckim, co czynił już Paweł Evdokimov i... Książd Profesor Jerzy Szymik. Jedynie „poetycki”, niemalże „malarski” przekaz uplastycznia teologiczną treść, przekształcając ją w piękny, budzący zachwyt „obraz” kochającego Boga, lecz nie Boga-Sędziego, gdyż udręczony świat

bardziej potrzebuje miłości i nadziei niż egzystencjalnej niepewności i lęku przed Bogiem. Ksiądz Profesor potrafił ze specyficzną dla siebie lekkością, żartem i poetycko opowiadać studentom o Bogu. Była to malowana słowami opowieść o Jezusie Chrystusie lub inaczej: poetycka chrystologia. Nie znam wykładowcy, który w taki sam sposób prezentowałby kwestie teologiczne.

Ale teologia jako dziedzina ma jeszcze inny wymiar. Teologią jest na przykład treść obrazu religijnego, Boże piękno śpiewu ptaka i jesienny czar gór. Nie można teologii zawężać do książek, gdyż świetną jej nauczycielką jest także sztuka i przyroda. Teologia może zatem być malowana pędzlem, kuta dłutem w kamieniu lub z kamienia wznoszona. Wystarczy wkroczyć do wnętrza świątyni Sagrada Familia w Barcelonie, odczytując symboliczne znaczenie każdego, tworzącego ją elementu. Świątynia ta stanowi zresztą wspałała, dzięki geniuszowi Antonia Gaudiego, „Biblię ubogich” (*Biblia pauperum*). Każdy natomiast komponent przyrody zawiera w sobie *vestigium Dei*, ponieważ wyszedł z rąk Boga; dlatego również przyroda mówi nam wiele o Stwórcy. Zachwycając się sztuką i przyrodą, można zachwycić się Bogiem. Bez tej fascynacji teologia traciłaby swój dynamizm, nie istnieje bowiem prawdziwa, czyli autentyczna wiara bez zachwyty Bogiem.

O wyborze teologii jako kierunku studiów oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego jako miejsca ich realizacji zadecydowały u mnie dwa czynniki: pragnienie mistyczności oraz ukazująca dziedziniec tak zwanego Starego KUL-u (z nieodłączną magnolią) fotografia. Ujrawszy zdjęcie, zadecydowałam: „muszę tam być!”, mimo iż wcześniej zamierałam studiować historię lub filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z perspektywy czasu uważam, że był to dobry wybór, chociaż w 2014 roku ukończyłam także drugie studia (doktoranckie) – historyczne – o specjalizacji: historia sztuki na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Tego wyboru również nie żałuję.

Katolicki Uniwersytet Lubelski posiadał niepowtarzalny klimat: ducha, relacji, nauki i historii (uwielbiałam liczące kilka stuleci korytarze i „zakamarki” Starego KUL-u). Nie zamieniłabym też Lublina na inne miasto studiów ze względu na jego historyczne piękno, wzgórza i niezwykłą, szczerą życzliwość mieszkańców. Nie zamieniłabym również jezuickiego Duszpasterstwa Akademickiego KUL na inne, gdybym tylko mogła cofnąć się w przeszłość i ponownie

rozpocząć studia. Po kolokwiah i egzaminach przemierzałam, z zamiarem odreagowania stresu, uliczki dawnego Lublina, wracając po kilku godzinach autobusem lub „trajtkiem” do akademika, a w czasie studiów doktoranckich na stancję.

Pilność pilnością, ale zdarzały się też „wagary”... niestety, na seminarium prowadzonym przez Księdza Profesora. Były one niechlebną konsekwencją mojej niechęci do uczestniczenia w seminariach, wywołanej przekonaniem, że czas poświęcony na udział w seminarium owocniej wykorzystam, pisząc pracę magisterską. W pewną środę (seminaria odbywały się w tym dniu w porze wieczornej) natknęłam się na Promotora w pobliżu KUL-owskiego konwiktu, gdy podążał z kubłem ze śmieciami ku *hasiokowi*. „Wykręciłam się” od przypomnianego przez Księdza Profesora obowiązku uczestnictwa w seminarium... rzekomym stanem podgorączkowym. Nie pierwszy raz uniknęłam obecności na seminarium, wskutek czego zamiast oceny bardzo dobrej otrzymałam dobrą, co okazało się niezbyt skuteczną nauzką... przynajmniej nie zmieniło to moich przekonań. Poza pracą badawczą, dydaktyczną i licznymi podróżami Ksiądz Profesor znalazł także czas na udzielenie mi rad dotyczących mojej twórczości poetyckiej. Rady okazały się wartościowe i owocne, o czym zaświadczyć mogą zdobyte w kilku konkursach laury.

Ksiądz Profesor okazał się przyjacielem braci żakowskiej nie tylko w czasie studiów, ale także podczas wieńczących je obron magisterskich, stając wiernie po tej samej stronie „szranków”, co student. Na moją obronę magisterską przybyłam z godzinnym opóźnieniem, spowodowanym „własną” interpretacją polecenia Księdza Profesora, który nakazał wszystkim trzem studentkom-magistrantom stawić się przed „gabinetem obron” o tej samej porze a nie kolejno. Ujrzałam wtedy, wstrząśnięta i lekko przestraszona, opuszczając gabinet komisję. Wtedy to po raz pierwszy Ksiądz Profesor, stanawszy przede mną, zmierzył mnie „piorunującym” wzrokiem, ale wszystko zakończyło się dobrze: bardzo dobrą oceną i bukietem niezwiędniętych (ze względu na będące karą oczekiwanie) kwiatów. Z obroną rozprawy doktorskiej w Instytucie Teologii Dogmatycznej KUL (Katedra Teologii Ikony) wiąże się natomiast inna, trącająca anegdotą sytuacja. Moje wysokie ambicje zaowocowały pewnym szantażem. W Dzień Zaduszny udałam się na stary, lubelski cmentarz przy ul. Lipowej, by zapalić znicz na grobie księdza profesora Idziego Radziszewskiego, założyciela Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Modlitwę za duszę fundatora KUL zakończyłam

skierowanym ku niemu żądaniem jednomyślniej, bardzo dobrej oceny na obronie doktorskiej w zamian za kupno i zapalenie znicza. Ksiądz profesor Idzi Radziszewski nie zawiódł.

Pracę magisterską pisałam pod naukową pieczę Księdza Profesora, pod jego kierunkiem rozpoczęłam także studia doktoranckie w Instytucie Teologii Dogmatycznej Wydziału Teologicznego KUL, lecz po pojawieniu się w tym instytucie Katedry Teologii Ikony przeszłam pod „skrzydła” profesora Karola Klauzy, u którego napisałam dysertację traktującą o ikonie rozpatrywanej z perspektywy wiary, łaski, liturgii i piękna. Ksiądz Profesor był „wewnętrznym” recenzentem mojej rozprawy, a wystawiona przezeń recenzja bardzo pozytywną. Mimo iż upłynęło już dziesięć lat od tamtej chwili, nadal pasjonuję się ikoną, o czym świadczy między innymi drugi doktorat, tym razem zrealizowany z historii sztuki pod kierunkiem profesora Waldemara Delugi.

Po wykładach, seminariach i obronie magisterskiej pozostały nie tylko zdjęcia czy trwalsze od nich wspomnienia, ale także książki autorstwa Księdza Profesora i jego niewielki, lecz jakże dla mnie cenny podarunek: monografia o księdzu profesorze Wincentym Granacie, którego dogmatyką, a konkretnie protologią i chrystologią zajęłam się w swojej pracy magisterskiej. Szkoda tylko, że czasu nie można już cofnąć...

Justyna Sprutta, pochodzi z Ziemi Gostyńskiej (Wielkopolska), teolog, historyk i historyk sztuki. Jest doktorem nauk teologicznych w zakresie teologii dogmatycznej (specjalność: teologia ikony) i doktorem nauk humanistycznych w zakresie historii (specjalność: historia sztuki). Prowadzi zajęcia zlecone na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w Górnośląskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej im. Kard. Augusta Hlonda w Mysłowicach oraz na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu im. Kard. Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. W latach 1995–2000 odbyła studia magisterskie, a w latach 2000–2004 doktoranckie na Wydziale Teologicznym KUL oraz, w latach 2008–2014, studia doktoranckie na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych UKSW. Posiada licencję pilota wycieczek. Członkini Polskiego Instytutu Studiów nad Sztuką Świątą (Warszawa), Towarzystwa Miłośników Sztuki Sakralnej (Przemyśl) i Ostrowskiego Towarzystwa Naukowego. Autorka blisko stu artykułów naukowych i współautorka książek: *Sztuka i wychowanie*

(Mysłowice 2013) oraz *Ołobok. Na cysterskim szlaku* (Sieroszewice 2010). Laureatka konkursów literackich i fotograficznych. Mieszka w Ostrowie Wielkopolskim.

Anna Szoltysek-Grzesikiewicz

Codziennność, teologia i poezja

W podziękę
Rodzicom, Mężowi, Córeczce,
Ks. Prof. Jerzemu Szymikowi,
Ks. Krzysztofowi Grzywoczowi
i wielu innym

„Blask świata, blask rzeczy idzie ku mnie od zewnątrz
i jednocześnie jest jakby projekcją wewnętrznego mojego
blasku.

Nie wiem, jak to się dzieje.

Jest to jedna z tajemnic,

jakie znają tylko tak nawiedzeni jak ja lub może zakochani.

Świat ma wtedy podwójne oblicze,

wszystko jest przedziwne i niezwykle,

wszystko ma drugie dno.

Poza tym więcej przebywać w *skrytości serca*”

Anna Kamieńska

I

Był początek upalnego lata roku 2010. Wkrótce mieliśmy – ja i Mariusz – wziąć ślub. Na kilka dni przed uroczystością Ksiądz Profesor przesłał mi w prezencie swój tomik *Największa jest. 50 wierszy o miłości*. Jakże to wymowne: na nową drogę życia razem z poezją! W istotę życia z poezją! Nic dziwnego: moja znajomość z Księdzem Profesorem, moje podążanie ścieżkami jego myśli, to wszystko ma swoje źródło w poezji właśnie.

Od czasu do czasu wracam do tych pięknych wierszy; miesiące mijają, życie „pęcznieje”. Różne nastroje, odmienne wybarwienie emocjonalne kolejnych etapów życia – w tej „pojemnej” poezji odnajdywałam kolejno pejzaże różnych życiowych stacji. Niechaj swoim otwarcie tych rozważań będzie *Miłość III*:

„kochać tak
jak się całuje chleb

na klęcząco
i w świętym milczeniu
być tak
jak bywa Bóg
zawsze cały
i jakby trochę w cieniu
dawać tak
że już nic nie zostaje
a jest się bogatym
po brzegi
żyć tak
że już bardziej
nie można”

październik 1984 r.

Istnienie w codziennym doświadczeniu jawi się jako gęste, nieogarnione; jak wnikać w nie? Jak rozpoznać kształty bycia? Myśl moja kluczy wokół kilku wątków: codzienności, biografii, losu, melancholii... Wszystkie one wzajemnie wnikają w siebie tworząc rozległą substancję istnienia. Ugruntowaniem ich jest właśnie *codzienność*, o której pięknie pisał Karl Rahner, iż „zamienia się ostatecznie sama z siebie w wielką melancholię życia”¹. Lecz jest ona (melancholia) zarazem ledwie etapem. Delikatnym i subtelnym zaproszeniem do odbycia podróży w głąb siebie, we własną historię. Wszakże również „melancholia jest koniecznością narodzin w człowieku tego, co wieczne”². Przecież jeżeli to życie – które wydaje nam się, że je znamy – jest tak zachwycające, tak „obszerne” – to o ileż bardziej Życie Wieczne, z którego istoty jakieś przebłyski docierają do naszego serca niekiedy w chwilach szczególnej jasności i otwarcia – porywające, wchłaniające nas? Wieczność pośrodku czasu. Tymczasem „wraz z człowiekiem zaczyna się głęboka niedostępność”³.

II

Tekst ten powstał z potrzeby serca. Z pragnienia podziękowania najbliższemu. Napisała go kobieta trzydziestoletnia, żona, mama.

¹ K. Rahner, *Bóg mojej codzienności*, w: tenże, *Modlitwy życia*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2001, s. 110.

² R. Guardini, *O sensie melancholii*, tłum. B. Grunwald-Hajdasz, Poznań 2009, s. 57.

³ Tenże, *O Bogu żywym*, tłum. K. Wierszyłowski, Warszawa 1987, s. 19.

Perspektywa trzydziestu lat życia nie jest być może (z pewnością!) wyczerpująca – wszakże dopiero teraz z całą wyrazistością i siłą powabu pociąga mnie to, co będąc codziennym doświadczeniem, urasta do misteryjności. Jestem zatem dopiero u zarania. Co więc z tymi latami, które rozpościerają się gdzieś z „tyłu świadomości”, z których wyrosłam, w których tkwią moje korzenie? „Aby napisać historię człowieka – wyznaje biograf Piera Giorgia Frassatiego, Robert Claude – trzeba go długo nosić w sercu, wyczuwać duchową tajemnicę jego indywidualności, być mu oddanym”⁴. Podobnie, gdy chce się zgłębić drogę swego życia, która nieustannie odkrywa istnienie – powiedzmy nieco poetycko – „świętych obecności”. Przeszłość wraca częściowo tylko w wyraźnych wspomnieniach; raczej pełne aluzji sny, nagle odczucia zrozumienia, rozpoznania czy odkrywanie czułych bliskości z wydarzeniami, osobami, książkami (tak! Jakże ważne są dla *historii serca* skrupulatnie tworzone bibliografie) dopomaga zrekonstruować mocny fundament tego, co przeszłe. A przecież, jak pisał Rilke w korespondencji do Franza Kappusa, „nie tak łatwo wszystko ująć i wypowiedzieć, jak to nam zwykle sugerują; nie można wysłowić wszystkiego, co się zdarza, wiele zdarzeń żyje w przestrzeni, której nigdy nie naruszyło słowo”⁵. Nie tak łatwo zaświadczyć o tym, z czym spotkaliśmy się i co żywo wpłynęło na duszę, o tym, z czym rozminęliśmy się, co było nierozpoznane, co napawa żalem, czego utrata być może w równie wyraźny sposób stanowi rys osobowości, charakteru. Obecność Boga żywego wszak jest wielokształtna, rozkłada się na wiele głosów, obrazów, spotkań. Nasze serce powinno więc być „pełne oczu”, by uchwycić bogactwo istnienia, delikatność własnego trwania. By odtwarzać własną historię, trzeba – jak pisał biograf – również siebie długo nosić w sercu, wyczuwać własną duchową tajemnicę. Perspektywa lat trzydziestu – między pełnią (ponieważ tak pojęłam czas noszenia w sobie Córeczki i później czas jej rodzenia) a każdorazowym rozbłyskiem początku – nie chroni zatem przed jakiegoś rodzaju żalem. Czy jest to pierwsze zranienie melancholią z powodu straty młodości? Z upływem lat zwiększa się dystans, wewnętrzna pustka między kolejnymi – w pewnym sensie – etapami w przebiegu historii serca (jakby niosło się w sobie nieskończenie wiele fotograficznych autoportretów będących dowodem przecież jednak przynoszącego ulgę przemijania), niesie się w sobie żal, że dzieciństwo wydaje się

⁴ R. Claude, *Pier Giorgio Frassati*, tłum. J. P. Mroczkowska, Kraków 2012, s. 27.

⁵ R.M. Rilke, *Listy do młodego poety*, tłum. J. Nowotniak, Warszawa 2010, s. 12.

zbyt odległe, by stanowić kolebkę losu, a jednocześnie zbyt bliskie, by umożliwić wewnętrzne odejście na pustynię... Urodzenie Córki uczyniło ze mnie na powrót realistkę. Dzięki temu jakby znów otwarło się we mnie to, co było najcenniejsze w dzieciństwie: pragnienie prostoty.

Do spotkania z teologią wiodły mnie kolejno: zetknięcia z literaturą i rodzinnymi archiwami fotograficznymi. Miłość do literatury zaszczerpiła we mnie moja niewidoma Mama. Zanim straciła wzrok, bywała pogrążona w lekturze, potem – w marzeniach. Fotografowanie pokochałam dzięki Ojcu. On sprawuje wciąż rolę dokumentalisty rodzinnego. Dlaczego fotografia? Między interpretatorem a obrazem (może szczególnie osobą uwięzioną w portretowej pozie) tworzy się paradoks dystansu i bliskości, aporetyczne napięcie między doznaniem minionym a nieuchwytną często teraźniejszością. „Kontemplacja dawnych zdjęć, sprzed dziesiątków lat, narkotyzuje teraźniejszość, powiększa ją i unosi, obmywa z wszystkiego, co stoi na przeszkodzie bezpośredniemu poznaniu [...]”⁶. „Powiększanie” i fascynacja – podobnie jak w przypadku pracy w ciemni fotograficznej – może stać się przyczynkiem do tworzenia kolaży, nowych jakości, alternatywnych historii. Tutaj raczej pociągało mnie zgłębianie historii rodzinnej, „dziejów” – by tak rzec – światła, którego aurę śledziłam, będąc dzieckiem, na kolejnych poznawanych zdjęciach, słuchając towarzyszących im opowieści. Kontemplacja oswojonych zdjęć napotyka na tajemnicę, jest związana ze wstrząsem wynikłym z obecności. Archiwa rodzinne z jednej strony ewokują przeszłość, czynią ją osobliwie obecną (specyficzne światło obecowania) i budzą odruch odszukiwania się w prawidłach losu, z drugiej strony kuszą możliwością dopowiedzeń, osadzania się w tym szerokim nurcie historii, kreacji własnego losu nastrojonego na słuchanie, czułego na głos Tego, który w szczególnych chwilach wstrząsa znużonym sercem.

Biografia (własna, ale również bliskich, Nieobecnych, mistrzów ducha i serca) – bo przecież wszystko zmierza ku temu, by rzecz ująć w ów termin – jest tym, co ostatecznie porusza serce. W zadziwiający sposób – mimo przemijania, odchodzenia – wszystko jest „podnoszone”, wszystko posłusznie trwa. Także w nas, w warstwach

⁶ M. Bieńczyk, *Medytacje migawkowe*, w: W. Nowicki, *Dno oka. Eseje o fotografii*, Wołowiec 2010, s. 8.

naszego istnienia... Być może nigdy nie uda się nam przez nie przebrnąć. Aż do poznania w śmierci.

Poezja i codzienność. Żal, że wszystko się oddala. A jednocześnie jest blisko. „Droga – pisze Anna Kamieńska – tym jest dla mnie poezja. Zwykła droga ludzkiego życia. Tu, w poezji, naprawdę nie ma nic, gdy nie ma biografii. [...] [Poznanie poetyckie – *przypr. aut.*] Już bardziej przypomina poznanie religijne. I tak jest wpisane w nasze wiersze, jak doświadczenie życia wpisuje się w rysy twarzy i zmarszczki rąk. [...] W szczeliny wiersza wsącza się milczenie i cisza. [...] Istnieje w nas i w życiu coś nieprzekazywalnego. Coś z tajemnicy. I to właśnie usiłuje uchwycić i wyrazić liryka. Jest tu jednak pewna sprzeczność: aby wyrazić to tajemnicze – trzeba mocno trzymać się konkretów, realiów”⁷. A więc raz jeszcze: realizm! Cudowny, bogaty realizm! Przebywając w pobliżu tego, co dotykalne (przechadzanie się w obecności tajemnicy, która ostatecznie spoziera zza woalu spowijającego rzeczy) uruchamia się dążenie do aforystycznego ujmowania myśli. Nie ma to jednak nic wspólnego z hołdowaniem sytuacjonizmowi. Nawet fotografia opiera się tej pokusie. Jest znieruchomieniem pozornym. Raczej migawką między dwiema nieobecnościami. Obcowanie z Nieobecnym wyczula nas na tajemniczą ciągłość losów. Jedna bogata i pełna biografia zaprasza do współuczestnictwa. Biografie dokonane (czy są takie?) i życia wciąż tętniące i drżące zapraszają, są naturalnie przestrzenią, w którą wchodzimy (jeśli jesteśmy wrażliwymi słuchaczami Słowa i słów, jeśli jesteśmy czułymi widzami i cierpliwymi od-twórcami ról)... Obecność Zmarłych nam bliskich, obecność Świętych... „Przenoszenie” losów. Rodzinne archiwa fotograficzne, rozrastające się kolekcje zdjęć (książek również) przypominają, że wszystko trwa w prawdzie istnienia, które jest procesem. Wydaje się, że współczesność usunęła intuicję o procesualności bycia na rzecz przypadkowości, sytuacjonizmu właśnie.

Lata moich przerwanych studiów doktoranckich pozostają epizodem w perspektywie lat trzydziestu. Jednak ich ciężar, można rzec – zasobność i obszerność – sprawiają, iż epizodyczność czasu zyskuje zwielokrotnienie w doświadczeniu.

⁷ A. Kamieńska, *Na progu Słowa. Siedem wykładów o poezji i Biblii*, Poznań 2004, s. 12-14.

III

Był czas, który zrodził pragnienia rozpoczęcia studiów doktorskich z teologii. Nie miałam wątpliwości – chciałam, by moim opiekunem naukowym został Ksiądz Profesor Jerzy Szymik. O tym, jak „błogosławioną” opieka ta się okazała, przekonywałam się i przekonuję nieustannie. Wybór obszaru zainteresowań – twórczość Romano Guardiniego – został delikatnie zasugerowany przez Księdza Profesora po kilku rozmowach. Czyż nie było to swego rodzaju postawieniem diagnozy stanu mojej duszy? Lubię w ten sposób – trochę rozbawiona – o tym myśleć. W książkach tego niezwykle, genialnego i melancholijnego człowieka rozczytywałam się w długich miesiącach, będąc już w ciąży. Oddychałam nimi, zachwycona stylem Guardiniego – uwodzającym anachronizmem, pewną rozczulającą a przecież dotykającą mnie głębią. W jego pisarstwie wychwycić można nastrojenie na delikatną rzeczywistość (jak nieskazitelnie czyste powietrze, światło, drżenie), w której we wszystkich warstwach tkwi wewnętrżność, głębia, ślady Boskiej Obecności. Jakże mocno medytacyjna lektura niemieckiego teologa zespoliła się z obecnymi moimi „dziejami duszy”! Niemożliwym jest sądzić, iż to wszystko miałoby się okazać jedynie przypadkiem. Ksiądz Profesor doskonale wiedział, co robi, kiedy „zaznajamiał” mnie z tym niezwykle doprawdy myślicielem. Twórczość Romano Guardiniego domagała się ode mnie intensywnego i codziennego zaangażowania. Lub też raczej codzienność domagała się niestrudzonego wplatania w swe trwanie pięknych myśli (czasem uderzającego zdania) teologa. On sam pisze: „Można długo obcować z jakimś dziełem, zanim do nas przemówi. Aż pewnego dnia w jakichś sprzyjających okolicznościach pojawia się odpowiedni nastrój i dzieło chwyta nas za serce. Jest to wtedy przeżycie niezwyklej mocy”⁸ i w innym miejscu: „Prawdziwy odbiór dzieła sztuki polega na wewnętrznym wyciszeniu, skupieniu, pogrążeniu się w dziele, na otwarciu swojej duszy i uważnym patrzeniu, wsłuchiwanie się, powtarzaniu doznań artysty. [...] Otwierają się przed nami możliwości głębszego ukształtowania siebie, bycia sobą w sposób bardziej prawdziwy, czystszy, pełniejszy”⁹. Styl Guardiniego – niezwykle pociągający – być może częściowo czerpał swe źródła z opisowej metody fenomenologicznej,

⁸ R. Guardini, *Goethe czy Homer? Wykształcenie klasyczne czy niemieckie?*, w: *Bóg daleki, Bóg bliski*, tłum. J. Koźbial, Poznań 1991, s. 240.

⁹ Tenże, *O istocie dzieła sztuki*, w: *Bóg daleki...*, s. 283.

która była mu bliska. Metoda ta składa hołd rzeczywistości takiej, jaka jawi się czującemu podmiotowi. Jest przede wszystkim głęboko realistyczna. Jednocześnie tak „pojemna”, by próbować uchwycić całą przepastność ludzkiej egzystencji. Z tą głębią nieustannie mierzył się Guardini. Odtąd stał się moim mistrzem.

IV

Codzienność, Światło.

Coraz częściej w snach słyszę słowa czytanych książek. Kilka dni temu znów wróciło światło w sny. I słowa Anny Kamieńskiej: „Światło poprzez ciała. Światło przez wszystko. Jasność na przedmiotach. Wchodzę w blask jak w głęboką wodę”.

Dziękuję.

Gliwice, maj 2013 roku

Anna Szołtysek-Grzesikiewicz, ur. w 1982 roku w Pyskowicach na Górnym Śląsku. Studiowała filozofię i teologię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Pracowała jako katecheta, następnie rozpoczęła studia doktoranckie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Obecnie wychowuje Córkę i zajmuje się domem.

Pisze wiersze i eseje. Lubi fotografować (jej praca *Perseweraacja* zdobyła wyróżnienie w *Ogólnopolskim Filozoficznym Konkursie Fotograficznym „Homo absconditus. Człowiek ukryty”* w Krakowie). Admiratorka literatury, rozmiłowana w twórczości teologicznej Romano Guardiniego, poezji Rainera Marii Rilkego i przepięknej prozie Sándora Máraiiego. Kolekcjonuje stare fotografie i przedmioty, które wyszukuje na często odwiedzanych „targach staroci”. Mieszka w Gliwicach.

Spis treści

Serce serca

Rozmowy o księdzu Jerzym Szymiku z lat 2012–2014

Gabriela Pardubicka, Izabela Skrobak

W kwestii serca 11

ROZMÓWCY:

Salomea Szymik 13

Ksiądz Stanisław Gańczorz 55

Arcybiskup Damian Zimoń 71

Arcybiskup Alfons Nossol 81

Ksiądz Tomasz Jaklewicz 99

Ksiądz Marek Gancarczyk 113

Ksiądz Michał Anderko 119

Piotr Skowronek 133

Ewa i Jan Kaintochowie 151

Grupa „PoCo” 190

Myśl ścigająca serce

Pokłosie Wielkiego Złotu Seminarzystów
Katowice, 5–6 kwietnia 2013 roku

Gabriela Seifert-Knopik

O wędrownicy z teologią 203

Ks. Jerzy Szymik

Teologia i my 205

<i>Danuta Borkowska</i> Moje spotkania z teologią i osobą Księdza Profesora Jerzego Szymika.....	213
<i>Ks. Janusz Chyła</i> Teologia i ja.....	235
<i>Agnieszka Dudek-Kowalska</i> Moja droga teologiczna.....	238
<i>S. Ksenia Kalemba ZSAPU</i> Nie ma mowy. Bez dzieci nigdzie się nie ruszam	240
<i>Ks. Szymon Kiera</i> Teologiczna droga do prawdy.....	245
<i>Maja Kiermacz</i> Wdzięczne przywiązanie.....	254
<i>Kl. Jacek Kijas</i> O teologii, <i>communio</i> i tym, co w życiu piękne	261
<i>Jola Kubik-Migoń</i> Zadając sobie najważniejsze pytania. Moja przygoda z teologią Księdza Profesora Jerzego Szymika	267
<i>S. Sara Ewa Łakoma OP</i> Teologia i my. Odblask	273
<i>Aleksandra Pethe</i> Gdy <i>belles lettres</i> i teo-logia spotykają się we wzajemności.....	276
<i>Ewa Porada</i> Pozwolić się poprowadzić. Moja przygoda z teologią	283
<i>Tomasz Samulnik OP</i> Wrażliwość, która pociąga w stronę Boga, czyli moja wędrówka/ przygoda z teologią Księdza Profesora Jerzego Szymika	291
<i>Gabriela Seifert-Knopik</i> Wędrówka z teologią po ciernistych i opty-mistycznych szlakach.....	297
<i>Justyna Sprutta</i> Moja przygoda nie tylko z teologią.....	304
<i>Anna Szoltysek-Grzesikiewicz</i> Codzienność, teologia i poezja.....	309

Osoba Księdza Profesora [Jerzego Szymika][...] w jakiś naturalny sposób ewokuje tematy stawiane przez współczesność, sytuując je w samym centrum debaty światopoglądowej i aksjologicznej. [...] Wszystkie te sprawy, jakże często relatywizowane przez współczesny *mainstream*, w utkanej ze wspomnień i komentarzy Rozmówców biografii Księdza Profesora odzyskują kształt wartości podstawowych dla każdego, kto mieni się wyznawcą Chrystusa. [...] Nadto opowieści o niezwykłym kapłanie snute przez ich Autorów wpisują się w nadziejo-rodną – w naszym przekonaniu – postawę i dzieło Księdza Profesora.

Gabriela Pardubicka, Izabela Skrobak (fragment wprowadzenia)

Teologia oraz spotkania z Księdzem Jerzym są [...] głęboko naznaczone nie tylko wiedzą naukową; przebija z nich również serdeczność, egzystencjalne zaangażowanie, odwaga osobistego przeżywania teologii. Nikt, kto spotkał Księdza Jerzego Szymika, nie pozostał taki sam – to najciekawsze i o tym świadczą teksty naszych Autorów. Pan Bóg w swojej Opatrzności dał nam Księdza Profesora, wielkiego naukowca, ale też i człowieka o wielkim sercu. I to jest w teologii chyba najcenniejsze.

Gabriela Seifert-Knopik (fragment wprowadzenia)

Sluga naszej radości, księga pamiątkowa dedykowana ks. prof. Jerzemu Szymikowi, zawiera teksty o Profesorze i o teologii uprawianej w jego szkole. W pierwszej części (*Serce serca*) znaleźć można rozmowy o ks. Jerzym Szymiku z lat 2012–2014 (wysłuchane i spisane przez Garielę Pardubicką i Izabelę Skrobak). Profesora wspominają: Salomea Szymik, ks. Stanisław Gańczorz, abp Damian Zimoń, abp Alfons Nossol, ks. Tomasz Jaklewicz, ks. Marek Gancarczyk, ks. Michał Anderko, Piotr Skowronek, Ewa i Jan Kaintochowie, członkowie grupy „PoCo”. W części drugiej (*Mysł ścigająca serce*), zebranej i opracowanej przez Garielę Seifert-Knopik, zgromadzono teksty stanowiące pokłosie Wielkiego Zlotu Seminarzystów z kwietnia 2013 roku.



księgarnia św. Jacka
WWW.KSJ.PL

PATRONAT MEDIALNY

ISBN 978-83-7030-965-7

